

WOŚ vs JAKI
Czego Platforma
nauczyła PiS

NAUCZKI Z NIEWIEDZY
Dlaczego szarlatani
są władcami umysłów

DUCHY EUROPY
Raport „Tygodnika”
o kryzysie wiary

MAREK BIEŃCZYK
Sny są ważniejsze
od wspomnień

DZIŚ
PONAD
140 STRON

Kraków 21 października 2018 nr 43 (3615)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Obojętni na koniec świata

Właśnie waży się nasz los.
Taki mamy klimat

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

W NUMERZE
DODATKI
MAGAZYN CONRAD
**EUROPA PATRZY
ZA HORYZONT**
**WIELKOPOLSKA
NIEPODLEGŁA**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



21. JAZZ JANTAR FESTIWAL

PROGRAM

26.10.2018 | G. 20.00

RACZKOWSKI/KOSTKA DUO

MŁODA POLSKA

KAMIL PIOTROWICZ SEXTET |
PRODUCT PLACEMENT

MŁODA POLSKA

27.10.2018 | G. 20.00

CUKIER | THIRD SOURCE

MŁODA POLSKA

BRAVE NOISES

YOUNG LITHUANIA | PIERWSZY RAZ W POLSCE

28.10.2018 | G. 17.00

SPOTKANIE AUTORSKIE

Z **MAGDALENĄ GRZEBĄŁKOWSKĄ**

(WSTĘP WOLNY)

28.10.2018 | G. 19.00

POKUSA XXL

MŁODA POLSKA

BINKER GOLDING BAND

YOUNG BRITAIN

8.11.2018 | G. 19.00

IRREVERSIBLE ENTANGLEMENTS

AVANT DAYS

**JOSEF LEIMBERG AND THE ASTRAL
PROGRESSION ORCHESTRA**

ALL THAT JAZZ | PIERWSZY RAZ W POLSCE

9.11.2018 | G. 20.00

GEORGE BURTON QUINTET

YOUNG AMERICA | PIERWSZY RAZ W POLSCE

VIJAY IYER SEXTET | FAR FROM OVER

ALL THAT JAZZ

10.11.2018 | G. 20.00

CHRIS PITSIOKOS CP UNIT

YOUNG AMERICA | PIERWSZY RAZ W POLSCE

MARY HALVORSON OCTET |

AWAY WITH YOU

AVANT DAYS

11.11.2018 | G. 19.00

VIBE QUARTET | HIDDEN PERSPECTIVES

MŁODA POLSKA

MAREK NAPIÓRKOWSKI | WAW-NYC

POLSKA SCENA JAZZOWA

12.11.2018 | G. 19.00

DILLALUDE

ICELAND.NOW | PIERWSZY RAZ W POLSCE

AARON DIEHL TRIO

ALL THAT JAZZ

14.11.2018 | G. 19.00

THE THING WITH FIVE EYES |
NOIRABESQUE

AVANT DAYS | PIERWSZY RAZ W POLSCE

EVANS/DAHL/PRIDE

PULVERIZE THE SOUND

AVANT DAYS

15.11.2018 | G. 19.00

SNOWPOET | THOUGHT YOU KNEW

YOUNG BRITAIN | PIERWSZY RAZ W POLSCE

GREG FOX QUADRINITY |

THE GRADUAL PROGRESSION

AVANT DAYS

16.11.2018 | G. 20.00

ROLLER TRIO | NEW DEVICES

YOUNG BRITAIN | PIERWSZY RAZ W POLSCE

JAMES BRANDON LEWIS TRIO

FEATURING ANTHONY PIROG

YOUNG AMERICA

17.11.2018 | G. 20.00

YAZZ AHMED | LA SABOTEUSE

YOUNG BRITAIN | PIERWSZY RAZ W POLSCE

HAILU MERGIA | LALA BELU

ALL THAT JAZZ

18.11.2018 | G. 19.00

JAMES HOLDEN & THE ANIMAL SPIRITS |
THE ANIMAL SPIRITS

AVANT DAYS

jazzjantar.pl

ORGANIZATOR: KLUB ŻAK, 80-266 GDAŃSK, UL. GRUNWALDZKA 195/197, BIURO@KLUBZAK.COM.PL

KS. ADAM

Boniecki: Ten straszny antropocen

„JAK W CZASIE PRZED POTOPEM JEDLI I PILI, ŻENILI SIĘ i za mąż wydawali aż do dnia, kiedy Noe wszedł do arki, i nie spostrzegli się, aż przyszedł potop i pochłoniął wszystkich, tak również będzie z przyjściem Syna Człowieczego” (Mt 24, 38-39). Nic nie poradzę, że opublikowany w tych dniach szósty raport Międzynarodowego Panelu Klimatycznego przy ONZ (IPCC) tę zapowiedź Sądu Ostatecznego mi przypomniał. Choć nie myślę, by Sąd Ostateczny miał być wynikiem katastrofy klimatycznej (raport już nie mówi o ociepleniu, lecz o katastrofie), to skrajzenia budzi nieodparcie opowieść o beztroście zaskoczonych ludzi. Zbiorczy raport IPCC nie tylko jest wiarogodny, ale przedstawione w nim analizy i dane są – jak mi wyjaśnił poważny pracownik ONZ – „ostrożnościowe”, co oznacza, że rzeczywistość może się okazać znacznie gorsza. Istnieje dziewięć „granic planetarnych”, parametrów gwarantujących stabilność naszej planety, a cztery z nich zostały już przekroczone. Raport ostrzega, że jeśli do roku 2050 nie wyeliminujemy całkowicie emisji dwutlenku węgla, nastąpi klimatyczna katastrofa.

Piszemy o tym szczegółowo na kolejnych stronach. Tytułowy antropocen, o którym wspomina Adam Robiński, oznacza naszą erę, która (nie bardzo wiadomo, od którego momentu) następuje po 12 tysięcy lat trwającej epoce holocenu. Antropocen, czyli „era człowieka”, nasza era, w której działania ludzkie wpisują się w zapis geologiczny na setki tysięcy lat.

„Nie można już z pogardą i ironią traktować prognoz katastroficznych. Moglibyśmy zostawić następnym pokoleniom zbyt wiele gruzów, pustyń i śmieci” – napisał Franciszek w encyklice „Laudato si” (161). Papież, wskazując na degradację etyczną i kulturową towarzyszącą degradacji ekologicznej, ostrzegał przed planetarną katastrofą. Dziś 91 naukowców z 40 krajów, którzy na warsztat wzięli 6 tys. projektów badaw-



czych, podpisało się pod dokumentem wskazującym na moment, w którym musi nastąpić ta katastrofa, jeśli...

Mówi o tym papież, piszą nasi autorzy, że tak jak równowagę Ziemi naruszył człowiek, człowiek również może powstrzymać katastrofę o trudnych do ogarnięcia skutkach. To też powinien oznaczać antropocen.

I jeszcze jedno. Jeśli przerażające ostrzeżenia naukowców zostaną (wreszcie) potraktowane poważnie, będzie to musiało pociągnąć za sobą zmianę sposobu patrzenia na wszystko. Bo jeśli za trzydzieści kilka lat spadną na mieszkańców Ziemi trudne do wyobrażenia kataklizmy, jeśli to zagraża wszystkim mieszkańcom „wspólnego domu”, Ziemi, to jaki sens mają wojny, bezwzględna i okrutna rywalizacja gospodarcza, wynoszenie się jednych nad drugich?

Jest i inny problem: w internecie znajdziecie mnóstwo tekstów o tym, że ostrzeżenia IPCC to wielkie Climategate, spiszek i oszustwo naukowców. Że stoją za nimi wielkie potęgi przemysłowe, które po prostu boją się konkurencji naszego węgla. Globalne ocieplenie? To hipoteza, która do czasu pełnej weryfikacji powinna taką pozostać. Raport IPCC 2018? Został skrytykowany przez wielu uczonych. Pożyjemy (do 2050 r.), zobaczymy.

Za kilka tygodni odbędzie się w Polsce konferencja klimatyczna ONZ. Nie ona jedna. W Auditorium Maximum Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie będzie miał miejsce antyszczyc. Wezmą w nim udział naukowcy związani z Committee For A Constructive Tomorrow (CFACT) i European Institute for Climate and Energy (EIKE). Organizatorami tej drugiej konferencji są Instytut Edukacji Społecznej i Religijnej im. ks. Piotra Skargi oraz Sekcja Doktorancka Koła Naukowego Myśli Politycznej i Prawnej UKSW w Warszawie.

© P

TP

„Tygodnik Powszechny” zaprasza na Conrad Festival



ZUZANNA KARDYŚ

Serce Festiwalu Conrada bije przy Wiślniej w Krakowie. Od 10 lat w naszej redakcji rodzą się idee kolejnych edycji tego literackiego wydarzenia i powstaje ich program. „Tygodnik” jest strategicznym partnerem Festiwalu, a nasza Fundacja – jego współorganizatorem. Wszystkie obszerne, bogato ilustrowane dodatki poświęcone tej imprezie znajdziecie bezpłatnie na stronie TygodnikPowszechny.pl oraz w aplikacji naszego pisma. W tym roku, jak i w ubiegłych latach, Centrum Festiwalowe znajduje się w Pałacu Czeczotki, na rogu ul. Wiślniej i św. Anny. Stoisko

„TP” przygotowaliśmy z myślą o naszych Czytelnikach – będą niżki na zakup „Tygodnika”, przedpremierowo wydanie specjalne „Moc czytania”, tygodnikowe gadżety oraz książki – w prezencie! Pełny program festiwalu i imprez towarzyszących na conradfestival.pl



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



TEMAT TYGODNIKA

12 Zmierzch epoki człowieka

ADAM ROBIŃSKI

Katastrofa klimatyczna nie będzie długotrwałym procesem. Po przekroczeniu punktu krytycznego nasz świat po prostu runie. Jego los decyduje się teraz. Ale paradoksalnie apokaliptyczne wizje robią na nas małe wrażenie.

16 Planeta własnego wyrobu

ROZMOWA Z EWĄ BIŃCZYK, FILOZOFKĄ:

Mówienie, że na ratowanie Ziemi jest już za późno, paraliżuje. A my nie potrzebujemy wehikułów czasu ani geoinżynierii. Mamy opracowane proste rozwiązania. Musimy tylko zacząć je wdrażać.

22 Taki mamy klimat

PIOTR SIERGIEJ

Poziom wody w Bałtyku podniesie się o 30 cm. Na lądzie czekają nas susze. Rząd przedstawił trzeźwą diagnozę skutków zmiany klimatu, ale wciąż nie ma strategii, jak jej przeciwdziałać.



26 Prawo to nie matematyka

ROZMOWA RAFAŁA WOSIA Z PATRYKIEM JAKIM:

My, politycy, żyjemy w świecie, w którym istnieje odpowiedzialność. Jak Patryk Jaki się komuś nie podoba, to przychodzą wybory: dziękuję, do widzenia. Wystarczy, żeby choć takie reguły zapanowały w świecie sędziowskim.



80 Szesnastu uczciwych wojowników

ŁUKASZ LAMŻA

Gotowa do gry szachownica rzeczywiście przypomina pole bitwy – przed bitwą. Cisza, spokój, wojskowy porządek. Tylko konie niespokojnie przytupują, przeczuwając zbliżającą się rzeź.



66 Matka odchodzi

ROZMOWA Z MARKIEM BIŃCZYKIEM, PISARZEM:

Najbardziej boimy się bólu tych, którzy będą musieli przeżyć naszą śmierć. Gdy sobie to wyobrażam, ten przyszły ból wykracza wręcz poza jednostkowe istnienie i staje się bólem świata.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Wybory nie tylko lokalne
ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

75 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Taki mamy klimat
PIOTR SIERGIEJ

26 Prawo to nie matematyka
ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM

29 Miasto bez dyskusji
MARIUSZ SEPIOŁO: *Jedyne kino w Ostrołęce na razie nie zagra „Kleru”*

■ ■ WIARA

34 Mistyczna przyszłość Europy
JAREMA PIEKUTOWSKI: *Kryzys katolicyzmu na Starym Kontynencie jest faktem. Jaka czeka go przyszłość? Podsumowanie cyklu o Kościołach Europy*

38 Przekopać górę
KS. PIOTR ADAMEK: *Chińskie władze porozumiały się z Watykanem w sprawie mianowania biskupów. Co to oznacza?*

40 Nieposkromione dziecko lasu
BARTOSZ HLEBOWICZ o pierwszej indiańskiej świętej

42 Świadek świętości
PIOTR LITKA o księdze świadka cudu, który został uznany w procesie kanonizacyjnym ks. Popiełuszki

■ ■ ŚWIAT

44 Czego nie wiedzą Niemcy
ROZMOWA Z CHRISTOPHEM VON MARSCHALLEM



■ ■ DODATKI SPECJALNE ■

Magazyn Conrad
Wielkopolska niepodległa
Europa patrzy za horyzont

■ ■ FELIETONY ■

32 ANNA DZIEWIT-MELLER

43 SZYMON HOŁOWNIA

65 ANDRZEJ STASIUK

76 JAN KLATA

79 PAWEŁ BRAVO

84 STANISŁAW MANCEWICZ

84 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktładka: MAREK ZALEJSKI
// STOCK.ADOBE / DP
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

48 Bohaterowie z grupy berneńskiej

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: *Polscy dyplomaci z Berna wyrabiali Żydom fałszywe paszporty. Ich historia ujrzała światło dzienne*

51 Ostatni kadr INGA ROGG o zniknięciu saudyjskiego dysydenta w Turcji

52 Brunatna legenda Brazylii

JAN SMOLEŃSKI: *Nazywają go „latynoskim Trumpem”. Jair Bolsonaro może zostać prezydentem Brazylii*

■ ■ HISTORIA

54 Mogiła dla Jastrzębia

DOMINIK WILCZEWSKI o dowódcy powojennych litewskich „leśnych braci”

■ ■ OPINIE

58 Lekcje z niewiedzy

MARCIN NAPIÓRKOWSKI: *Dlaczego szarlatani są władcami umysłów*

■ ■ NAUKA

62 Załatać żółtą plamkę

PIOTR WASYLZYK: *Nowe terapie z komórkami macierzystymi w okulistyce*

■ ■ KULTURA

66 Matka odchodzi ROZMOWA Z MARKIEM BIEŃCZYKIEM, PISARZEM

70 Zabawmy się na śmierć

ANITA PIOTROWSKA o filmie „Climax” Gaspara Noégo

71 Warto zobaczyć w TV

72 Ten obcy ROZMOWA Z MAYĄ JASANOFF, HISTORYCZKĄ: *Na każdym kolejnym statku Conrad chłonił historie o przeżyciach i nadziejach innych ludzi*

76 Człowiek w hotelu LEKTOR o książce „Proza podróżna” Josepha Rotha

■ ■ ZMYŚŁY

80 Szesnastu uczciwych wojowników
ŁUKASZ ŁAMŻA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Michał Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Lubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adereć, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotorecenzja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



WYBORY NIE TYLKO LOKALNE

Na ten moment dwa główne bloki polityczne czekały w napięciu od trzech lat.
Czas rewanżu Platformy czy czas dobicia opozycji przez PiS?

ANDRZEJ STANKIEWICZ

WNIEDZIELĘ PIERWSZE STARCIE WYBORCZE, odkąd PiS objęło władzę. Po szybkim i momentami brutalnym przejęciu wszystkich instytucji centralnych Jarosław Kaczyński do domknięcia systemu swej władzy potrzebuje praktycznie już tylko samorządów. W 15 na 16 sejmików jego partia była w opozycji – celem prezesa jest maksymalna poprawa tych wskaźników.

Jednak kampania PiS nie była udana. W partii pojawiły się poważne pęknięcia podczas wyłaniania kandydatów (np. zawieszenie Andrzeja Jaworskiego, zausznika o. Rydyka, który nie chciał poprzeć Kacpra Płażyńskiego jako kandydata PiS na prezydenta Gdańska).

Po wtóre, premiera Mateusza Morawieckiego, wyborczego czempiona PiS, dopadła jego bankowa, liberalna przeszłość. Taśma z nagraniem w restauracji u Sowy może wpłynąć nie tylko na wynik wyborczy PiS, ale na polityczne losy szefa rządu. Platforma niezbyt wiedziała, jak zachować się w tej sytuacji – nie ma się co dziwić, wszak afera taśmowa to jej afera.

Wyборы samorządowe to dla Grzegorza Schetyny przypiecztowanie kierowniczej roli po stronie opozycji jako twórcy Koalicji Obywatelskiej. Schetyna wierzy, że obroni przed PiS połowę sejmików i wygra w kluczowych miastach. Taki wynik rzeczywiście dałby mu roczny spokój na wzmocnienie sojuszu z No-

Pikieta protestacyjna przed hotelem w Krakowie, gdzie odbywała się małopolska konwencja wyborcza PiS, 14 października 2018 r.

wczesną i przyciągnięcie do niego nowych graczy. Nawet jednak jeśli KO zostanie znokautowana, to Schetyna do wyborów parlamentarnych ustąpić nie zamierza.

Marzy o wyborach w 2019 r. podzielonych na dwa bloki: PiS i anti-PiS. Dlatego liczy, że przyciągnie do KO ludowców oraz SLD. W wyborach samorządowych PSL i lewica startują samodzielnie z podobnych powodów. Ludowcy są silni w samorządach i muszą sprawdzić, jakie spustoszenie w ich elektoracie dokonały rządy PiS, który wszelkimi metodami walczy o elektorat wiejski. To kluczowe dla polskiej sceny politycznej starcie tych wyborów – czy PiS całkowicie zmarginalizuje PSL. Kaczyński, żeby trwale wygrywać, potrzebuje głosów wsi.

Także SLD, po trzech latach poza Sejmem, musi sprawdzić swe realne poparcie. Od wyniku wyborczego SLD i PSL zależeć będą decyzje liderów obu partii dotyczące sojuszu ze Schetyną w wyborach parlamentarnych.

Nie przypadkiem ani Władysław Kosiniak-Kamysz, ani Włodzimierz Czarzasty nie atakowali Koalicji Obywatelskiej. Najmocniej – poza PiS, rzecz jasna – atakował ją lider partii, której jeszcze nie ma, czyli Robert Biedroń. Widać, że w pierwszej kolejności postawi na zdyskredytowanie obecnej opozycji. Na razie Schetyna nie musi się bać, bo potencjał Biedronia nie przeszedł realnego testu. Jednak za rok jego partia może być kłopotliwa dla KO.

Większej roli w tych wyborach nie odegra Kukiz'15. Ugrupowanie przeżywa kryzys, w dodatku nie dostaje budżetowych pieniędzy. Kukizowcy w najlepszym razie mogą być jęczyzkiem u wagi podczas klęczenia powyborszych koalicji w samorządach. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

■ Wybory samorządowe i krajowa polityka tworzą system naczyń połączonych. Kim są wyborcy, którzy głosują tylko lokalnie, i w jaki sposób partie próbują ich podbić? Dlaczego głosy na PiS są mniej „skuteczne”, to znaczy przekładają się na mniejszy udział we władzy niż w przypadku innych partii? Kto przed drugą turą jest w stanie zebrać więcej nowych głosów? Najnowsza analiza trendów wyborczych Jarosława Flisa na blogu jaroslawflis.blog.tygodnikpowszechny.pl

W SKRÓCIE

ZAUFANIE. Zdjęcie tygodnia przedstawia stojącą na warszawskim placu Piłsudskiego i otoczoną przez funkcjonariuszy SOP limuzynę. Po złożeniu kwiatów przed pomnikiem ofiar katastrofy smoleńskiej Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki i szef MON Mariusz Błaszczak rozmawiali w niej przez kilkanaście minut, a później rozeszli się do innych samochodów.



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

NIEUFNOŚĆ. „Z prywatnych rozmów wyciąga się nieuprawnione wnioski” – powiedział Mateusz Morawiecki, tłumacząc swój udział w nagraniach z afery taśmowej, a PO zapowiedziała w związku z nimi wniosek o wotum nieufności dla szefa rządu. Nieufność przebiła również przez dyrektację I LO w Ostrowcu Świętokrzyskim, która za udział w spotkaniu z premierem obiecała uczniom piątki z historii i sportu.

ZADUFANIE. Prywatna z pewnością nie była wypowiedź nowej ponoć nadziei polskiej polityki, Roberta Biedronia, do dziennikarki radia Tok FM: „Tresowaliście przez kilka miesięcy Barbarę Nowacką, by dołączyła do Koalicji Obywatelskiej i dzisiaj Koalicja Obywatelska ma takie same notowania, albo mniejsze, niż wcześniej”.

ZAMIESZANIE. Podczas telewizyjnej debaty kandydatów na prezydenta Warszawy Patryk Jaki oświadczył, że występuje z Solidarnej Polski i postawi na bezpartyjność, po czym opuścił studio i odjechał partyjnym autobusem PiS.

ZAKAZYWANIE. W Lublinie odbył się Marsz Równości, a nielegalną kontrmanifestację pod hasłami „Lublin miastem bez dewiacji!” i „Zakaz pedałowania!” rozpendziła policja. Żeby nie było tak kolorowo, wcześniej prezydent miasta usiłował zakazać również samego Marszu – jego decyzję uchylił jednak sąd.

Guten Appetit i mniej smacznego

PRODUKTY ZNANYCH MAREK w polskich sklepach nie różnią się recepturą od tych za granicą – zapewniał przez lata rzecznicy wielkich koncernów.

Ależ oczywiście – potwierdzali publicyści ekonomiczni, dodając uczenie, że globalnym graczom nie opłaci się przecież zmieniać lokalnie receptur. Ale polska ulica wiedziała swoje i po wydajniejszych proszki do prania i tak chodziła do sklepów z tzw. niemiecką chemią.

Zmieniamy jednak skład – przyznali z czasem rzecznicy – ale tylko dlatego, że w Polsce sypiecie za dużo proszku.

Aż w końcu Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów przebałd żywność w Polsce i w Europie Zachodniej i wyszło, że nawet ciastka i chipsy jemy chyba bardziej kompulsywnie od Niemców czy Francuzów. Nad Wisłą producenci pakują ich mniej do tych samych opakowań, a jeśli już waga się zgadza, to składniki są z tych tańszych i mniej zdrowych. Na 101 sprawdzonych produktów rozbieżności recepturowe wykryto w 12. Tylko w dwóch przypadkach różnice przemawiały na korzyść polskich konsumentów.

Producenci zapowiedzieli już, że ujednolicią receptury. Tym razem słowo honoru. © P MR

Europa wielorazowego użytku

W MAGLU POLSKIEGO ŻYCIA POLITYCZNEGO bez większego echa przeszła informacja o przyjętej przed kilkoma dniami rezolucji Komisji Europejskiej, która chce wprowadzić od 2021 r. całkowity zakaz używania jednorazowych naczyń z plastiku. To samo ma spotkać także lekkie torby plastikowe, mieszałeczka do napojów oraz pojemniki do burgerów i innych dań typu *fast food*. Parlament Europejski ma zająć się tą sprawą już podczas najbliższej sesji w dniach 22-25 października.

Zdaniem wnioskodawców zakaz pozwoli znacząco ograniczyć globalne zanieczyszczenie odpadami plastikowymi (UE to obok USA największy odbiorca produktów wysoko przetworzonych), nie szkodząc jednocześnie zbytnio gospodarkom krajów członkowskich. Państwa UE zgodnie z rezolucją miałyby także do 2025 r. ograniczyć produkcję wyrobów z plastiku, dla których nie istnieje alternatywa, np. pojemniki na kanapki czy kubków na desery czy lody. Zmiana pozwoliłaby zmniejszyć emisję CO₂ o symboliczną wartość 3,4 mln ton, ale oszczędności na kosztach ochrony środowiska sięgnęłyby 22 mld euro rocznie. Jeśli zmiany wejdą w życie, kraje członkowskie będą również musiały wdrożyć lokalne programy zachęcające do używania opakowań wielorazowego użytku. © P MAREK RABI



Pracownicy socjalni bez mocy

ICH PORTRET ZBIOROWY mógłby wyglądać tak.

Kwalifikacje: tytuł zawodowy pracownika socjalnego lub studia wyższe na kierunku praca socjalna.

Obowiązki: wsparcie potrzebujących; ciągła analiza ich sytuacji; udzielanie informacji i wskazówek; pobudzanie „społecznej aktywności i inspirowanie działań samopomocowych w zaspokajaniu niezbędnych potrzeb życiowych osób, rodzin, grup i środowisk”; współpraca z innymi instytucjami (i wiele innych obowiązków).

Realia: nawet 70 rodzin przypadających na jednego pracownika; siłą rzeczy częściej praca z nosem w dokumentach niż w kontakcie z ludźmi; codzienny stres; nierzadko wypalenie. A dodatkowo obowiązki, których wcześniej nie było, np. obsługa rządowych programów, takich jak „500 Plus” czy „Dobry Start”.

Zarobki: średnio tylko nieco ponad 2 tys. zł na rękę.

Oto portret zbiorowy pracowników socjalnych, którzy – wraz z innymi zatrudnionymi przez ośrodki pomocy społecznej, np. asystentami rodzinnymi – zjawili się w miniony piątek przed Ministerstwem Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej (na zdjęciu powyżej). Domagali się od resortu podwyżek – choć trwa spór, kto odpowiada za warunki ich pracy (rząd twierdzi, że samorządy, a samorządy, że rząd).

Ci, którzy nie mogli przyjechać, wzięli urlopy bądź przyszli do pracy ubrani na czarno. Ci, którzy w stolicy się zjawili, mieli transparenty. Wśród nich te z napisami: „Pomoc społeczna nie ma mocy, by udzielać pomocy” czy „Mamy dość płac na poziomie zasiłków”.

© (P) PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W SKRÓCIE

ROZLICZENIE NADUŻYĆ.

Również zakony zbiorą dane statystyczne dotyczące nadużyć seksualnych wobec małoletnich przez osoby zakonne – zapowiedział przewodniczący Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich w Polsce redemptorysta o. Janusz Sok. Z kolei diecezja pelplińska jako kolejna polska diecezja ujawniła statystyki nadużyć. W ciągu ostatnich 26 lat prowadzono 12 postępowań: w 4 przypadkach doniesienia nie zostały potwierdzone; 2 osoby zostały oczyszczone przez prokuraturę; 3 duchownych upomniano kanonicznie, w tym dwóch skierowano na terapię, a jeden porzucił kapłaństwo; w jednym przypadku duchowny zmarł przed zgłoszeniem do prokuratury; jeden został wydany ze stanu duchownego, a jedna sprawa znajduje się w Kongregacji Nauki Wiary.

PAPIEŻ W KOREI PÓŁNOCNEJ?

„Zanim papież przyjedzie, niektóre rzeczy na Północy muszą się zmienić. Np. nie ma tam kapłanów. Trzeba więc pozwolić na ich przyjazd. Musi też zaistnieć pewna wolność religijna” – tak skomentował wieść o zamiarze zaproszenia papieża przez Kim Dzong Una przewodniczący Episkopatu Korei Południowej bp Lazzaro You Heung-sik.

PAMIĘĆ O JANIE PAWLE II.

W przeddzień Dnia Papieskiego wręczono w Warszawie nagrody Totus Tuus, przyznawane przez Fundację Dzieło Nowego Tysiąclecia instytucjom i osobom za propagowanie nauczania św. Jana Pawła II. Laureatami zostali: była premier Hanna Suchocka, reżyser Ryszard Peryt, Stowarzyszenie Hospicjum św. Kamila w Bielsku-Białej, dominikanin Jarosław Kupczak oraz Katolicka Agencja Informacyjna świętująca 25-lecie powstania.



MACIEJ GDULA, autor tekstu

o polskich elitach (magazyn Conrad), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 17 października o godz. 15.00 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl



Synod: seks, brawa i wideo

O NAJMŁODSZYCH UCZESTNIKACH rzymskiego Synodu poświęconego młodzieży biskupi mówią, że jest ich spora grupa i reagują bardzo żywiołowo. Trzydziestu audytorów w wieku 19-36 lat nie ma wprawdzie prawa głosu, ale swoje zdanie wyraża na różne sposoby: czy to podczas dyskusji w grupach, czy reagując oznakami entuzjazmu lub dezaprobaty na wystąpienia „ojców synodu”.

Nietypowych zachowań jest więcej. Biskup Emmanuel Gobilliard z Lyonu wciela się w rolę reportera telewizyjnego i zamieszcza w internecie krótkie – ale profesjonalnie nagrane i zmontowane – relacje z obrad, miniwywiady z uczestnikami (w tym z papieżem), migawki z kulturalistów czy z nocnego wypadu biskupów do kawiarni (na zdjęciu: bp Gobilliard z papieżem podczas synodu).

Ale wystąpienie Gobilliarda na sesji plenarnej dotyczyło spraw poważnych: apelował o realistyczne podejście do etyki seksualnej – o duszpasterstwo, które seksualności nie będzie ani odrzucać, ani idealizować. Biskup wierzy, że można – przez „konstruktywne rozmowy o seksie w szkołach, grupach młodzieżowych, nowicjatch, seminariach czy podczas przygotowań do ślubu” – ukazać „piękno proponowanych przez Kościół wymagań, coraz powszechniej uważanych za nieosiągalne i przestarzałe”. Czystość – według francuskiego biskupa – nie jest skarbem, który trzeba strzec i zachowywać, lecz darem, jaki ofiaruje się wybranej osobie lub Bogu.

Z kolei kard. Reinhard Marx z Monachium przekonywał o potrzebie zwiększenia roli kobiet w Kościele – od parafii po Watykan. Odnosząc się do skandali pedofilskich sugerował, że przekazanie odpowiedzialnych funkcji kobietom może „przełamać zamknięte klerykalne schematy” – główną przyczynę nadużyć i przestępstw w Kościele.

Synod osiągnął półmetek. Wyznaczono komisję, która opracuje raport końcowy i próbuje zebrać w jednym dokumencie duszpasterską odpowiedź na problemy młodych ludzi z całego świata.

© (P) EDWARD AUGUSTYN z Rzymu

Franciszek wyrzuca biskupów-przestępców

DWÓCH BISKUPÓW EMERYTÓW z Chile zostało – decyzją papieża – usuniętych ze stanu kapłańskiego; to najsurowsza kara, jaką Kościół może zastosować wobec duchownych. Watykan informuje, że powodem tej decyzji jest fakt, iż emerytowany abp Francisco Cox Huneeus (obecnie lat 84) i emerytowany biskup Marco Antonio Ordenes Fernández (lat 53) dopuścili się w przeszłości przestępstw seksualnych wobec dzieci. Cox, w latach 1990-97 arcybiskup La Serena, ustąpił z urzędu w wieku 63 lat (chiljskie władze kościelne nie podały wtedy przyczyn) i dziś żyje w siedzibie swego zgromadzenia w Niemczech. Z kolei Ordenes, od 2006 r. biskup Iquique, ustąpił w 2012 r. (oficjalnie z powodów zdrowotnych) i wyjechał do Peru; w tym czasie toczyły się już sprawy przeciw niemu, cywilna i kościelna. Od papieskiej decyzji nie ma odwołania.

Afery pedofilskie wstrząsają Kościołem w Chile; prokuratura prowadzi śledztwa przeciw 167 pracownikom instytucji kościelnych, w tym 96 duchownym. W maju 34 urzędujących biskupów podało się zbiorowo do dyspozycji papieża, który jak dotąd zdymisjonował kilku z nich.

© WP / KNA, AFP, DPA

Wejść w mrok wiary

ŚWIECCY I MŁODZIEŻ ZAKONNA mają wzniosłe, ale niezyciowe pojęcie o kontemplacji – uważa s. Małgorzata Borkowska. „Cały sens i radość naszej służby polegają na tym, abyśmy Bogu siebie ofiarowali w mroku wiary, a nie w blasku widzenia” – mówiła do przełożonych polskich zakonów, odnosząc się do Listu do Hebrajczyków „Wytrwał, jakby widział Niewidzialnego”. Jej zdaniem życie kontemplacyjne zaczyna się tam, gdzie kończy się „żądanie widzenia” i poszukiwanie wzniosłych uczuć w modlitwie. Benedyktynka z Żarnowca wystąpiła na konferencji obradującej w Krakowie pod hasłem „Jeśli nie płoniemy, nie zapalamy”. Jej organizator, prowincjał augustianów o. Wiesław Dawidowski uważa, że zakony przechodzą kryzys, który jest wezwaniem, by wrócić do pasji dla Ewangelii. © ASK



VANDEVILLE ERIC / ABACA / PAP

Nowi święci: papież i arcybiskup

ABP OSCAR ROMERO I PAWEŁ VI zostali świętymi. Na placu św. Piotra w Watykanie przy obecności kilkudziesięciu tysięcy pielgrzymów Franciszek kanonizował zamordowanego przez prawicową dyktaturę w 1980 r. arcybiskupa San Salvadoru oraz papieża czasów Soboru Watykańskiego II i pięć innych osób, w tym 19-letniego świeckiego Włocha żyjącego w XIX w.

Kanonizację abp. Romero zawdzięcza Kościół Franciszkowi, który już w pierwszym miesiącu swego pontyfikatu odblo-

kował jego proces beatyfikacyjny (dokumenty o męczeństwie hierarchy trafiły do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych w 1997 r.). „Najsilniejsze przeszkody dla kanonizacji pochodziły z kurii rzymskiej. Tak wielki był sprzeciw wobec tej sprawy, że dostawałem pogroźki od kardynałów domagających się, abym dał sobie z tym spokój” – przyznał niedawno promotor procesu abp Vincenzo Paglia. Przypomniał, że Franciszek mówił o męczeństwie abp. Romero, trwającym „także po jego śmierci”, z rąk „współbraci biskupów, którzy źle mówili o Romero, ponieważ uważali go za niebezpiecznego bojownika, wspierającego polityczną lewicę”. © ASK

Prawosławie w przededniu schizmy



MACIEJ MÜLLER

11 PAŹDZIERNIKA SYNOD W STAMBULE pod przewodnictwem patriarchy ekumenicznego Konstantynopola Bartłomieja I wydał długo oczekiwany *tomos* (dekret) o autokefalii ukraińskiego prawosławia i uznał za nielegalną aneksję metropolii kijowskiej przez Moskwę w 1686 r. Kolejne kroki w kierunku nadania ukraińskiemu prawosławiu niezależności prowokowały coraz mocniejsze działania odwetowe patriarchatu moskiewskiego. Patriarcha Cyryl doprowadził już do wycofania imienia Bartłomieja I z modlitw liturgicznych, zakazu koncelebry biskupów rosyjskich z hierarchami konstantynopolitańskimi oraz zerwania kontaktów ze strukturami kościelnymi związany-

mi z Konstantynopolem. Cyryl uważa, że Konstantynopol nie ma praw nadawania autokefaliczności Kościołom lokalnym, a zależność prawosławia ukraińskiego od rosyjskiego uzasadnia historycznie. Mocno wspiera go w tym administracja Władimira Putina. Tymczasem prezydent Ukrainy Petro Poroszenko ogłosił, że *tomos* „oznacza zakończenie formowania się niepodległości” jego kraju.

Niewykluczone, że zbierający się 15 października synod Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego w Mińsku (ten numer „TP” zamykamy przed jego rozpoczęciem) doprowadzi do poważnej schizmy w prawosławiu. Moskwa grozi bowiem patriarche Bartłomiejowi ekskomuniką. © P

Nauru: azyl jak więzienie

„**NASI PACJENCI** opisują swoją sytuację jako gorszą niż w więzieniu, ponieważ w więzieniu przynajmniej wiesz, kiedy wyjdiesz”. To słowa Beth O'Connor (na zdjęciu podczas konferencji prasowej), psychiatry z Lekarzy bez Granic (MSF), którzy do minionego tygodnia na małej pacyficznym wyspie Nauru pracowali z azylantami odsyłanymi tu przez Australię. Miejsowe władze nakazały jednak organizacji natychmiastowe zakończenie projektu. W odpowiedzi MSF ogłosiło dramatyczne dane na temat zdrowia psychicznego azylantów: z ok. 900 osób (pochodzących w większości z Azji pld.-wsch.) aż 78 próbowało popełnić samobójstwo; wśród ok. setki dzieci diagnozowano przypadki tzw. syndromu wycofania społecznego.

Centrum zatrzymań na Nauru to element nieprzejednanej polityki Australii, która od kilkunastu lat kieruje wszystkich azylantów



DANNY CASEY / EPA / PAP

(w tym uciekających przed wojnami i prześladowaniami), którzy przybyli nielegalnie, do ośrodków poza swoim terytorium, gdzie oczekują na decyzję dotyczącą ich przyszłego statusu. System krytykują organizacje praw człowieka.

W ciągu kilku dni także 6 tys. australijskich lekarzy podpisał apel do rządu w Canberze o natychmiastową ewakuację dzieci-azylantów z Nauru. MSF twierdzi, że efektem nieobecności psychiatrów na wyspie będą m.in. samobójstwa. Do likwidacji ośrodka na Nauru wzywa też UNHCR, agencja ONZ ds. uchodźców. Pomysł kierowania azylantów do centrów zatrzymań w północnej Afryce wracają co jakiś czas także w europejskiej debacie na temat migracji. © P ZYM



VASSIL DONEV / EPA / PAP

Śmierć Marinowej: podejrzany zatrzymany

BUŁGARIA W ŻAŁOBIE po śmierci dziennikarki telewizyjnej Wiktorii Marinowej, która 6 października została zamordowana w Ruse na północy kraju (na zdjęciu protest z 8 października w Sofii). Zabójstwo wywołało dyskusję na temat wolności prasy i korupcji. Kilka tygodni temu Marinowa przygotowała raport dotyczący defraudacji wysokich kwot płynących z Unii Europejskiej przez miejscowych urzędników. Bułgaria uznawana jest za najbardziej skorumpowane państwo Unii.

Władze utrzymują jednak, że tragedia nie ma związku z jej pracą, a kobieta padła przypadkową ofiarą 20-letniego mężczyzny, którego po kilku dniach aresztowano w Niemczech. W Ruse – mieście położonym nad Dunajem, przy granicy z Rumunią – wzmożono środki bezpieczeństwa; do zabójstwa doszło w okolicy osiedli romskich i władze obawiają się zamieszek.

W Europie to już trzecie w ciągu roku zabójstwo dziennikarza badającego korupcję. W październiku 2017 r. na Maltzie zginęła Daphne Caruana Galizia; w lutym zamordowano słowackiego dziennikarza Jana Kucia. © P ZYM

Wybory w Bawarii osłabiają rząd w Berlinie

GRZEGORZ SZYMANOWSKI Z MONACHIUM I BERLINA



KONSERWATYWNA CSU, RZĄDZĄCA W BAWARII niemal bez przerwy od 1945 r., utrzymała się u władzy także po wyborach w minioną niedzielę 14 października. Jednak wygrana (z 37 proc. głosów) jest *de facto* porażką: to drugi najgorszy wynik w historii partii, która straciła teraz większość w parlamencie krajowym (Landtagu) i będzie skazana na koalicję z innymi konserwatystami – Wolnymi Wyborcami.

Nie pomogły ataki na politykę migracyjną Angeli Merkel z ostatnich miesięcy. CSU straciła wielu wyborców na rzecz Alternatywy dla Niemiec (10 proc., czwarte miejsce), a jeszcze więcej na rzecz lewicowych Zielonych, którzy z wynikiem 17,5 proc. stali się drugą siłą polityczną w Bawarii i świętują

największy sukces. Przegranymi są socjaldemokraci z SPD, którzy z ledwie 9 proc. spadli na piąte miejsce (i tracą poparcie także w całym kraju).

CSU i SPD, partie tworzące razem z CDU koalicję rządową w Berlinie, łącznie straciły w Bawarii ponad 20 proc. wyborców. W SPD mnożą się głosy, by wystąpić z rządu, póki jest co ratować. W CSU zaczyna się szukanie winnych; być może ustąpić będzie musiał szef partii i szef federalnego MSW Horst Seehofer. Ale zły wynik CSU osłabia też Angelę Merkel. Jeśli za dwa tygodnie jej CDU nie poradzi sobie dobrze w wyborach w Hesji, wzmożą się spekulacje wokół jej przywództwa w partii. Przyszłość „wielkiej koalicji” cały czas stoi pod znakiem zapytania. ©

Córka dwóch matek



CELL.COM

CHIŃSCY BADACZE wyhodowali myszy pochodzące od dwóch matek. Powstały z połączenia żeńskich, embrionalnych komórek macierzystych z komórką jajową innej samicy. Gryzonie rozwijały się i miały potomstwo w stosunkach z samcami.

Dzięki technikom molekularnym badacze stworzyli embrionalne komórki macierzyste, które mają połowę materiału genetycznego – tyle ile komórki rozrodcze. Ale zanim taki analog spermy zapłodnił jajeczko, należało rozwiązać jeszcze problem genetyczny. W skrócie: DNA obu matek nie mogło mieć nieaktywnych tych samych genów; doprowadzałoby to do śmierci zarodka. Naukowcom udało się obejść problem. Cały proces jest jednak daleki od doskonałości. Urodziło się 29 na 210 stworzonych embrionów.

Jak na razie, technika nie może zostać zaadaptowana w odniesieniu do ludzi. Gdyby nawet mogła, pojawia się kolejny problem – tym razem etyczny. © MARIUSZ GOGÓL



YURI KOCHETKOV / EPA / PAP

Sojuz runął na Ziemię

„AWARIA NOSICIELA!”: rzucił zaskakująco spokojnie kosmonauta Aleksiej Owczinin. Kilka sekund wcześniej kapsułą Sojuz szarpnęły wstrząsy: automatyczne systemy ratunkowe odłączyły pojazd od rakiety i Sojuz runął w stronę Ziemi. Zamiast na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, Owczinin i Amerykanin Nick Hague znaleźli się na kazachskim stepie. Na szczęście cali (na zdjęciu: start rakiety przed awarią).

To pierwszy tak poważny wypadek załogowego statku kosmicznego od katastrofy promu Columbia w 2003 r. Na czas śledztwa Sojuz uziemiono (zwłaszcza że to kolejny incydent: na początku października astronauta zauważyli w burcie kapsuły dziurę – Rosjanie podejrzewają sabotaż w fabryce). To problem dla stacji kosmicznej: bez Sojuzów nie można zawieźć tam ludzi. Amerykańskie kapsuły SpaceX Dragon2 i Boeing Starliner zaczynają loty dopiero latem 2019 r. Na stacji jest dziś trzej astronautów. Muszą wrócić na Ziemię najpóźniej w styczniu, bo ich jedyny środek transportu – zamówowany już do stacji Sojuz – może działać tylko 200 dni. Później, po raz pierwszy w swej historii, Międzynarodowa Stacja Kosmiczna zostanie bez załogi.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

W SKRÓCIE

NOMINACJA. Olga Tokarczuk znalazła się w finałowej piątce autorów nominowanych do The National Book Award, jednej z najbardziej prestiżowych nagród literackich w USA. Jej książce „Bieguni”, uhonorowanej dekadę temu Nagrodą Nike, przekład Jennifer Croft dał szansę na drugie życie. „Flights” („Loty” po angielsku) otrzymały już w tym roku m.in. najważniejszą nagrodę brytyjskiego rynku książki: Man Booker International Prize.

ALTERNATYWA. Pierwszą i chyba ostatnią laureatką alternatywnego literackiego Nobla została urodzona w Gwadelupie francuska pisarka Maryse Condé – w Polsce znana głównie za sprawą powieści „Ja, Tituba, czarownica z Salem”. Nową Nagrodę Literacką ustanowiono po skandalu, który na kilkanaście miesięcy sparaliżował szwedzką Akademię; w efekcie w tym roku nie było literackiego Nobla. W 2019 r. Akademia ma nadrobić zaległość i wskazać jednocześnie dwóch autorów.

ANGELUS. Z kolei po raz pierwszy w 13-letniej historii Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus jej laureatem został polski autor i tłumacz, Maciej Płaza. Jury doceniło jego drugą prozatorską książkę „Robinson w Bolechowiu”.

WYSTAWA. Polski akcent także w Paryżu: od 24 października Centrum Pompidou zaprasza na wystawę „Polska awangarda: Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński”. Ekspozycja obejmuje niemal wszystkie prace Kobro i znaczną część dorobku Strzemińskiego z kolekcji polskich muzeów i zbiorów prywatnych. W 2017 r. prace pary artystów prezentowano w madyckim Museo Reina Sofia.

MŁODOPOLACY. W Göteborgu natomiast będzie można obejrzeć prace twórców młodej polskiej sztuki. Miejskowe Muzeum Sztuki zaprezentuje ich ponad 60, w tym obrazy Olgi Boznańskiej, Józefa Chełmońskiego, Jacka Malczewskiego i Stanisława Wyspiańskiego. To próba zmiany narracji na temat sztuki schyłku XIX w., która w krajach skandynawskich jak dotąd mocno koncentrowała się wokół sceny paryskiej.

Zyta Oryszyn i ocalanie świata

RZADKO BYŁA OBECNA w przestrzeni publicznej, niechętnie udzielała wywiadów. Zarazem „jakimś cudem umiała zawsze godzić swoją osobność z darem czulej przyjaźni i sejsmograficznym uwrażliwieniem na wszystko, co dzieje się dookoła. Promieniowała spontanicznością i żywymi emocjami” – napisała po jej śmierci Małgorzata Łukasiewicz.



RAFAŁ MALKO / AGENCJA GAZETA

Zmarła w minionym tygodniu w wieku 78 lat Zyta Oryszyn była pisarką i tłumaczką, a przed 1989 r. także działaczką opozycji. Po studiach na UW, podczas których poślubiła Edwarda Stachurę (małżeństwo miało przetrwać 10 lat), wydała pierwszą powieść „Najada”; debiut wyróżniono Nagrodą im. Wilhelma Macha. W latach 70. publikowała w pismach drugiego obiegu. Pracowała w sekretariacie „Tygodnika Solidarność”, w PAP i dzienniku „Rzeczpospolita”. Wydała pięć powieści i dwa zbiory opowiadań. Jej ostatnią książkę „Ocalenie Atlantydy” uhonorowano Nagrodą Literacką Gdynia oraz Gryfią.

Całą twórczość poświęciła właściwie jednemu tematowi: opisywała sposób, w jaki najnowsza tragiczna historia obeszła się z losami zwykłych ludzi. Oddawała im głos w swej prozie, której zasadą była gawęda, anegdota, przypowieść. Nie miewała wieczorów autorskich, nie występowała w mediach. Wolała, by to, co napisane, broniło się samo.

Na pytanie, czy boi się śmierci, odpowiedziała kiedyś słowami Woody’ego Allena: „Wolałabym być nieśmiertelna, niż tworzyć nieśmiertelne dzieła”.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

ZMIERZCH EPOKI CZŁOWIEKA

Kilka najbliższych lat będzie
najważniejszych w historii
ludzkiej bytności na Ziemi.

Katastrofa klimatyczna
nie będzie długotrwałym procesem.
Po przekroczeniu punktu krytycznego
nasz świat po prostu runie.
Jego los decyduje się teraz.

ADAM ROBIŃSKI



NA POCZĄTKU PAŹDZIERNIKA IPCC, czyli Międzyrządowy Panel ds. Klimatu przy ONZ, opublikował szósty już w swojej historii zbiorczy raport, z którego wynika, że granicą, której w ogrzewaniu Ziemi nie powinniśmy przekroczyć, jest półtora stopnia Celsjusza. IPCC nie prowadzi badań, a jedynie streszcza stan ogólnej wiedzy ludzkości. Nie ma dziś bardziej wiarygodnej instytucji przyglądającej się klimatowi Ziemi.

Pod raportem podpisało się 91 naukowców z 40 krajów, którzy na warsztat wzięli 6 tysięcy projektów badawczych. Stwierdzają oni, że mamy tylko 12 lat na to, aby ograniczyć zatrucie atmosfery i wyhamować ocieplenie do półtora stopnia Celsjusza. Aby tak się stało, do 2030 r. musimy obniżyć emisję dwutlenku węgla o 45 proc., a do 2050 r. wyeliminować ją całkowicie. Jeśli nie zrobimy nic, za 32 lata Ziemia będzie cieplejsza o trzy stopnie.

Po drodze wejdzie w stan, w którym na każdym kroku będzie mogła przekroczyć tzw. punkty przełomowe (*tipping points*). Gdy roztopią się lodowce Antarktydy, do atmosfery trafi uwięziony pod nimi metan, a Ziemia jeszcze bardziej się ogrzeje. Gdy zbyt mocno ogrzejemy Arktykę, naruszmy schemat prądów oceanicznych na

Atlantyku, m.in. wygaszając Golsztrum odpowiedzialny dziś za klimat połowy Europy. Jedna zmiana pociągnie za sobą szereg kolejnych, nieodwracalnych.

Przyjęło się myśleć o zmianach klimatu jako procesie stopniowym, tymczasem po przekroczeniu punktu przełomowego znany nam świat runie jak obrazek ułożony z klocków domina. Klimatolodzy, coraz bardziej rozumiejąc potrzebę wysłania w świat klarownych komunikatów, mówią już nie o ociepleniu, lecz o destabilizacji klimatu, ociepleniu nagłym i gwałtownym, a nawet o katastrofie klimatycznej.

W 2009 r. The Stockholm Resilience Center, międzynarodowa organizacja non-profit zajmująca się sprawami środowiska, zidentyfikowała dziewięć tzw. granic planetarnych, a więc parametrów gwarantujących utrzymanie stabilności charakterystycznej dla holocenu. Znalazły się wśród nich: stan warstwy ozonowej, stopień zakwaszenia oceanów, dostępność wody pitnej, zanieczyszczenia chemiczne, zanieczyszczenia atmosfery, wykorzystanie powierzchni lądowych, zaburzenia cykli biogeochemicznych, zmiany klimatu oraz tempo utraty ziemskiej bioróżnorodności. Ale jeszcze ważniejsze jest to, że

wszystkie dziewięć granic jest ze sobą ściśle powiązanych. Igranie z jedną prowadzi do rychłego zachwiania pozostałych. Deforestacja zaburza stosunki wodne. Wzrost zakwaszenia oceanów wybija kolejne gatunki. Zanieczyszczanie atmosfery ogrzewa planetę.

W 2015 r. ta sama organizacja oznajmiła, że cztery z tych granic zostały już przekroczone. Dwie z nich: bioróżnorodność i zmiany klimatu, uznano za kluczowe. Na kołowym wykresie zrobiło się żółto i czerwono.

Obojętność

Z pojęciem „antropocenu” pierwszy raz zetknąłem się pod koniec lat 90. w liceum. Podczas lekcji geografii z tabelą epok geologicznych w roli głównej nauczycielka rzuciła, że w opinii wielu naukowców trwający od 12 tys. lat holocen już się skończył. To, co mamy dziś, to antropocen, czyli „epoka człowieka” – dodała. Ślady naszego działania obecne będą w zapisie geologicznym przez setki tysięcy lat.

„Epoka człowieka” brzmiało jak powód do dumy. Chęć sprawczości leży przecież w ludzkiej naturze. Pewnie dlatego, kiedy w 2000 r. Paul Crutzen, duński noblista z dziedziny chemii, zaczął mówić →



→ o konsekwencjach z tym związanych, a więc m.in. ogrzewaniu planety i podnoszeniu się poziomu oceanów, ludzkość niespecjalnie się tym przejęła. Nawet jeśli zimy faktycznie stawały się coraz cieplejsze i bezśnieżne, ptaki zaczęły zapominać o potrzebie migracji, a ssaki o hibernacji. Stwierdzenie, że tak być musi, bo klimat się ociepla, stało się wytrychem i uniwersalnym wytłumaczeniem. To, że Ziemia w 2050 r. może być o wiele mniej przyjaznym do życia miejscem, było bardzo odległą myślą. Zbyt odległą, by przejmować się nią tu i teraz.

Wciąż nie wiemy, kiedy tak naprawdę zaczął się antropocen. W tabelę stratygraficzną Ziemi wpisany jest na razie ołówkiem. Międzynarodowa Komisja Stratygrafii, która nią zawiaduje, zwleka z ostatecznym uznaniem tej nazwy i przypisaniem jej czasowych ram. Większość badaczy przekonuje, że świat przyspieszył po II wojnie światowej. Zachód zaczął się bogacić, Wschód – produkować na jego potrzeby, a transport morski i lotniczy zamienił Ziemię w Nową Pangeę, globalny superkontynent, w którym poszczególne ekosystemy mieszały się jak kolorowy tłum na Times Square (gdyby transport międzynarodowy potraktować jako kraj, byłby dziś szóstym największym emitentem dwutlenku węgla do atmosfery). Od 1945 r. dokonaliśmy około 2 tys. prób nuklearnych. Spalając wydobywane spod ziemi surowce podgrzaliśmy planetę o jeden stopień Celsjusza w porównaniu z czasami sprzed ery przemysłowej.

Naukowcy machają

Nowy raport IPCC jest o tyle szokujący, że do tej pory progiem bezpieczeństwa wydawały się być dwa stopnie Celsjusza, o jakie możemy ogrzać planetę. Utrzymanie ocieplenia „znacznie poniżej” tej granicy było celem, na jaki zgodzili się sygnatariusze porozumień paryskich z 2015 r. (choć w dokumencie dodano, że jeszcze lepiej byłoby nie przekraczać wspomnianego półtora stopnia). Dokument zakładał globalną transparentność. Każdy ze 195 krajów samemu wyznaczał swoje cele, które miały się złożyć na ten wspólny. Światowa społeczność zgodziła się, że większa odpowiedzialność ciąży na krajach rozwiniętych i to one powinny świecić przykładem. Dodatkowo co pięć lat każdy spowiadał się z własnych dokonań na polu ograniczania emisji oraz wyznaczał sobie nowe, ambitniejsze cele. Porozumienie

Spośród masy wszystkich ziemskich kręgowców 30 proc. to masa ludzi, 67 proc. kręgowce udomowione. **Tylko 3 procent stanowi masa dzikich zwierząt lądowych.**

przyjęto z umiarkowanym optymizmem. Uznano je za zbyt ostrożne, komentatorzy zwracali też uwagę na to, że może skończyć się na pustych deklaracjach, bo w umowę nie wpisano żadnych mechanizmów ich egzekwowania i karania. Ale w 2017 r. Donald Trump ogłosił, że Stany Zjednoczone w ogóle wycofują się z danego słowa. Zmiany klimatyczne nazwał chińską bzdurą, która ma spowolnić dalsze „stawanie się Ameryki wielką”.

Wbrew opinii Trumpa nie ma dziś żadnej kontrowersji co do tego, że za współczesne zmiany klimatu na Ziemi odpowiada gatunek ludzki. Na kilka miesięcy przed zaprzysiężeniem Trumpa do internetu trafił rozpowszechniany za darmo, mocno zaangażowany dokument w reżyserii Fishera Stevensa z Leonardem DiCaprio w roli głównej „Czy czeka nas koniec?” („Before the Flood”). Kilka tygodni po Paryżu di Caprio spotyka się w Białym Domu z Barackiem Obamą i pyta go, co jeśli kolejnym prezydentem zostanie ktoś, kto neguje dowody naukowe na zmiany klimatyczne. „Czy miałby dość władzy, by odwrócić wszystko, co pan osiągnął?”. „Nawet gdyby urząd objął ktoś, kto oparł kampanię na zaprzeczaniu zmianom klimatu, rzeczywistość ma sposoby, by dać ci po nosie, jak odwrócisz wzrok. Sądzę, że nauka zaczyna docierać do opinii publicznej, po części dlatego, że nie da się jej podważyć” – odpowiada Obama.

Jakby na potwierdzenie jego słów kolejne amerykańskie miasta zaczęły deklarować, że będą wyznaczać i realizować własne cele, by wbrew woli administracji federalnej Stany Zjednoczone i tak wypełniły większość swoich zobowiązań z Paryża. Zakładały one redukcję emisji o 26 proc. do 2025 r.

Naukowiec zostaje aktywistą

Przewijający się w prognozach rok 2050 nie jest już odległą i trudną do wyobraże-

nia przyszłością. Mój starszy syn będzie miał wtedy 36 lat. Dokładnie tyle, ile ja dziś. Na podobnym etapie życia będą też dzieci premiera Mateusza Morawieckiego czy wnuki Donalda Tuska. Czasami zastanawiam się, czy jeden i drugi wybiegają myślami w przyszłość tak często, jak ja. I co odpowiedzą na zadane kiedyś pytanie: a co ty zrobiłeś dla mojego świata? Czy Morawiecki będzie pamiętać, jak we wrześniu 2018 r. mówił, że „węgiel to nasze czarne złoto”? Albo kilka miesięcy wcześniej, że „węgiel to podstawa naszej energetyki i nie chcemy z niego rezygnować”? No i co powie reprezentantom całego świata, którzy w grudniu tego roku przyjadą do Katowic na kolejny szczyt klimatyczny? Jak przekona ich, że nie jest tylko trochę bardziej rozgarniętym Trumpem?

Trudno myśleć o antropocenie bez emocji. Jeszcze trudniej tak o nim pisać. Nawet jeśli kłóci się to z podstawowymi zasadami dziennikarstwa. Ale filozofka dr hab. Ewa Bińczyk [patrz wywiad obok] przekonuje, że nawet klimatolodzy i badacze zajmujący się naukami o systemach planetarnych Ziemi coraz częściej popadają w bezsilność i ośpienie. Są bezradni, bo zalewają świat szokującymi danymi, a ten ich nie słucha.

Niektórzy, jak wspomniany już Crutzen, klimatolog Mike Hulme czy chemik Will Steffen, swoją frustrację starają się przełożyć na czyny. Stają się aktywistami, angażują w doradztwo polityczne, próbują wyrwać społeczeństwa ze stanu marazmu.

Kiedy naukowcy wysyłają do mediów i polityków kolejne ostrzeżenia, świat najpierw się dziwi, potem na chwilę pokornie pochyla głowę, a potem przerabia te komunikaty na memy. Wszyscy widzieliśmy zdjęcia wychudzonych niedźwiedzi polarnych dryfujących na samotnych krach. Morskich ptaków uduszonych przez foliówki. Albo zółwi z plastikową nakrętką, która tak zniekształciła ich karapaksy, że przypominają klepsydry. Słyszeliśmy o Wielkiej Pacyficznej Plamie Śmieci o powierzchni ponad 1,6 mln kilometrów kwadratowych, a więc pięć razy większej od Polski.

Dziwimy się, że spośród masy wszystkich ziemskich kręgowców 30 proc. to masa ludzi, 67 proc. kręgowce udomowione, a tylko 3 proc. stanowi masa dzikich zwierząt lądowych (co obliczył badacz środowiska Vaclav Smil). Albo że

w 2050 r. (znowu ta data!) w oceanach będzie więcej plastiku niż ryb.

I wszystkie te informacje w żaden sposób nie wpływają na naszą codzienność. Ciągłe palimy węglem, jeździmy dieslami, palaszujemy burgery, w milczeniu zbieramy sklepowe foliówki, na naszych reprezentantów zaś wybieramy polityków, którzy twierdzą, iż „dwutlenek węgla nie może być szkodliwy, skoro spożywamy go w napojach gazowanych” (jak Zbigniew Ziobro w 2012 r.), a ten emitowany w Polsce „jest gazem życia dla żywych ze społów przyrodniczych, by stawały się coraz lepsze” (eksminister środowiska Jan Szyszko). Aktywiści nazywają to działaniem *business as usual*. Robieniem interesów bez zwracania uwagi na zmieniające się okoliczności. Najwyrazistszym przejawem tego biznesowego podejścia jest nasze uzależnienie od węgla i ropy.

Bohater w swoim domu

„Najbliższych kilka lat będzie prawdopodobnie najważniejszych w naszej historii” – komentowała raport IPCC jedna z jego autorek. „Wyhamowanie ocieplenia do 1,5 st. C jest możliwe z punktu widzenia praw chemii i fizyki, lecz realizacja tego celu wymaga bezprecedensowych środków” – dodawał inny. Co ważne, te środki leżą na stole. Tak samo uparcie, jak grozi palcem, świat nauki wytrwale dostarcza też recept wyjścia z kryzysu. Nie chodzi o wynajdywanie nowych technologii, które zrewolucjonizują świat, ale o skuteczną implementację od dawna proponowanych rozwiązań. Podatki paliwowe, zaprzestanie wydobycia kopalin, sadzenie lasów na masową skalę, ograniczenie rozroczności. Powiększanie obszarów bez ingerencji człowieka, bo dziś tylko 14 proc. wszystkich lądów i ledwie ponad 3 proc. oceanów jest objęte jakąkolwiek ochroną.

Ale paradoksalnie apokaliptyczne wizje robią na nas małe wrażenie. Może dlatego, że popkultura oswoiła nas z tym konceptem? Naoglądaliśmy się setek filmowych kataklizmów, widzieliśmy tonący Manhattan, asteroidy gruchoczące płaszcz Ziemi. „Droga” Cormaca McCarthy’ego budzi raczej dreszcz emocji niż przerażenie. Kiedy więc równolegle z raportem IPCC Ministerstwo Środowiska publikuje liczący ponad sto stron dokument ze scenariuszami dla Polski, odbieramy go właśnie tak: jak scenariusz. Zatopione Żuławy, pustynnienie województwa łódz-

Każdy może zostać bohaterem w swoim domu:

zrezygnować z wołowiny,
ograniczyć korzystanie
z samochodu, sumiennie
segregować śmieci,
naprawiać, a nie wyrzucać...

kiego czy nieustanny stan zagrożenia powodziowego, jaki w 2030 r. utrzymywać się będzie na Opolszczyźnie, brzmią jak filmowa wizja, której na samym końcu ktoś zapobiegnie.

W rozmowie z „Tygodnikiem” Ewa Bińczyk przekonuje, że tzw. oświeceniowy paradygmat postępu, a więc ślepa wiara w to, że przyszłe pokolenia uratują się same, to jedna z częstszych reakcji na naukowe ostrzeżenia – niestety. Ale wśród sygnatariuszy porozumień paryskich nie było żadnych superbohaterów. Były za to setki anonimowych twarzy o różnych kolorach skóry, przybyłych do Francji z sześciu kontynentów. Te przyszłe pokolenia również nie są anonimowe. A właściwie nie ma żadnych przyszłych pokoleń. Skoro to najbliższe lata będą decydujące, kształt naszego życia w antropocenie wcale nie zależy od dzieci moich czy premiera Morawieckiego, ale od nas samych.

Może więc każdy musi wzorem Los Angeles, Houston, Nowego Orleanu czy Nowego Jorku samemu, dobrowolnie dołączyć do porozumień paryskich? Nie oglądając się na innych, wyznaczyć sobie własne cele, a potem regularnie spowiadać się z nich przed lustrem i swoimi dziećmi. Rewidować je i rozwijać. Zostać bohaterem w swoim domu. Zrezygnować z wołowiny, ograniczyć korzystanie z samochodu, zainwestować w hybrydę, bez przymusu płacić umowny podatek węglowy na cele środowiskowe (według wyliczeń serwisu CarboTax przeciętny mieszkaniec Polski powinien płacić 65 dolarów rocznie). Sumiennie segregować śmieci. Jedzenie na wynos kupować we własnych pojemnikach wielorazowego użytku. Docieplić dom tak, by zużywać jak najmniej energii. Na jego dachu zainstalować fotowoltaiczny panel nie bacząc na to, że to wciąż kosztowne przedsięwzięcie. Nie latać kilka razy w roku samolotem. Nie kupować elektroniki z Azji i owoców z Ame-

ryki Południowej. Naprawiać, a nie wyrzucać. Sadzić drzewa, wspierać parki narodowe i przyrodnicze organizacje pozarządowe działające lokalnie. Walczyć o to, by sprawy środowiska na stałe weszły do politycznej debaty na szczeblu zarówno lokalnym, jak i państwowym, bo w rok 2030 wkroczymy za raptem trzy kadencje Sejmu.

W „Pikniku na skraju drogi” braci Arkadija i Borisa Strugackich tytułowym pobożem jest Ziemia, a piknikiem krótka wizyta obcych, po której w paru miejscach na planecie prawa fizyki nagle stanęły na głowie. Aby się po nich poruszać, trzeba najpierw rzucić kamieniem i zobaczyć, co się stanie. Jeśli poleci normalnym torem i w przewidywalny sposób spadnie na ziemię, można bezpiecznie pójść w jego kierunku. Co innego, gdy wbije się w powierzchnię z siłą meteorytu lub niewidzialny wiatr zepchnie go na bok. To dobra metafora naszej dotychczasowej wędrówki przez antropocen. Idziemy przed siebie, raz na jakiś czas rzucając kamieniem i ciesząc się, że wciąż spada na ziemię tak, jak do tego przywykliśmy. Nie przyjmujemy do wiadomości, że nie zawsze tak będzie. Z każdym kolejnym krokiem stawianym pod dyktando hasła *business as usual* rosną szanse na to, że odetniemy sobie nie tylko drogę przed nami, ale również po bokach i wstecz. I że w pewnym momencie dojdziemy do punktu, z którego nie wykonamy już żadnego bezpiecznego kroku.

Ale z książki Strugackich wyłania się jeszcze jedna ponura metafora. Może to my jesteśmy tą obcą rasą, która na chwilę pojawiła się na Ziemi, wyrwała do góry nogami jej realia, a potem zniknęła? 300 tysięcy lat, a więc tyle, ile według obecnego stanu wiedzy liczy nasz gatunek, to w historii planety akurat tyle, co piknik.

© ADAM ROBIŃSKI

Autor jest stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”. Za książkę „Hajstry” (2017) zdobył Nagrodę Magellana w kategorii Książka reportażowa oraz nominację do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy, Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza i Nagrody Conrada za debiut.

■ Jaki klimat nas czeka? Dlaczego środowisko i dbanie o nie jest w Polsce tak mało istotne? Co wynika z nowego projektu polityki ekologicznej państwa? O tym w artykule Piotra Siergieja w dziale Kraj.

Planeta własnego wyrobu

EWA BIŃCZYK, FILOZOFKA:

Mówienie, że na ratowanie Ziemi jest już za późno, paraliżuje. A my nie potrzebujemy wehikułów czasu ani geoinżynierii. Mamy opracowane proste rozwiązania. Musimy tylko zacząć je wdrażać.

ADAM ROBIŃSKI: Nazwijmy parę faktów po imieniu. W świecie nauki panuje zgoda co do tego, że za współczesne zmiany klimatu na Ziemi odpowiada człowiek.

DR HAB. EWA BIŃCZYK: Tak. 97 proc. klimatologów jest tego pewnych. Odłamowcy to margines. Nie możemy mówić o istnieniu żadnej kontrowersji. Jesteśmy świadkami zmian klimatycznych wywołanych działalnością człowieka.

Naukowcy już od dawna nie pytają „czy”, tylko zajmują się badaniem skutków tych procesów.

Przy czym w debacie o antropocenie wyłania się więcej wątków. Dominuje zmiana klimatu, ale mowa jest też o przekroczeniu granic planetarnych, zanieczyszczeniu gleb, zakwaszeniu oceanów, wymieraniu gatunków. Mówi się o destrukcji systemów planetarnych lub wytrącaniu ich z równowagi charakterystycznej dla holocenu, a więc poprzedniej epoki geologicznej.

Fakt drugi: według Międzyrządowego Panelu ds. Klimatu przy ONZ (IPCC), wzrost średniej temperatury na Ziemi o 2 st. Celsjusza oznacza 50 proc. szans na przekroczenie owych granic planetarnych, czyli policzalnych parametrów, których naruszenie grozi destabilizacją planety. Klimatolodzy twierdzą, że nie da się już tego uniknąć. Racja?

W debatach badaczy z najróżniejszych dziedzin owe 2 st. C pojawiają się nieustannie.

Ale mówi się, że i 4 st. C nie są kwestią odległej przyszłości. Niektóre instytucje szacują, że przekroczymy próg 4 st. C około 2070 r. Jeśli więc dalej będziemy robić to, co robimy dziś, katastrofa klimatyczna będzie niewątpliwie problemem pokolenia pana dzieci.

Fakt trzeci: świat nie robi dziś nic, by temu zapobiec. Protokół z Kioto z 1997 r. okazał się nieskuteczny, z postanowień paryskich z 2015 r. wycofały się już USA Donalda Trumpa.

Z dzisiejszego punktu widzenia mamy fiasco działań na rzecz realnej, skutecznej, dającej nadzieję polityki niskoemisyjnej.

Paryskie porozumienie klimatyczne jest wspaniałym, pięknie napisanym dokumentem. Jego lektura pozwala choć na chwilę poczuć się dumnym z ludzkości. Ludzie płakali ze wzruszenia, gdy je podpisywali. Są tam wątki genderowe, jest obiet-

nica wspomagania finansowego krajów rozwijających się przez kraje bogate. Ale to, co dzieje się za prezydentury Trumpa, to ogromny krok wstecz. Tak jakby Amerykanie odwrócili się od innych narodów. Panuje impas.

Choć otaczają nas slogany mówiące o zrównoważonym rozwoju, a Unia Europejska nie wypuszcza dokumentu, w którym nie byłoby o nim mowy, nijak się to jednak nie przekłada na ograniczenie konsumpcji i zmianę stylu życia, który prowadzimy, a który wiedzie do wysokich emisji.

Od kiedy jesteśmy świadomi problemu?

To dobre pytanie. Już w XIX wieku, gdy pojawił się przemysł np. farbiarski, zaistniała wraz z nim refleksja intelektualistów, że za szybko wycinamy lasy. Wątek deforestacji był głośno omawiany w Anglii i we Francji. Już wtedy mówiono, że wpływ człowieka jest zbyt nasilony, że nie można ogołacać całych krain. Mieszkańcy okolic miast, w których – jak np. w Manchesterze – rozwinął się choćby przemysł

EFEKT GLOBALNEGO OCIEPLENIA:

wyspy Republiki
Kiribati na
Oceanie

Spokojnym
niedługo mogą
zostać zalane.
Poziom wody
podnosi się co
roku o prawie
1,5 cm, ale
przewiduje się,
że następne
pokolenia już
nie będą miały
gdzie żyć.
Powoli ginie
roślinność,
słona woda
wdziera się
w głąb wysp. Na
zdjęciu wioska
Eita na wyspie
Tarawa we
wrześniu 2015 r.



JONAS GRATZER / GETTY IMAGES

włókienniczy, widzieli na własne oczy, jak wpływa na rzeki czy zatoki.

Naprawdę niepokojąco zaczyna się robić wraz z tzw. Wielkim Przyspieszeniem. Chodzi o czas po II wojnie światowej, kiedy nasiliły się procesy globalizacji, handlu międzynarodowego, a świat zaczął coraz więcej produkować i coraz ostrzej konsumować. I tym samym zanieczyszczać.

Dlaczego Międzynarodowa Komisja Stratygrafii wciąż nie może dojść do ładu z pojęciem antropocenu? Nadal nie zostało ono wpisane do tabeli stratygraficznej, jest więc ciągle pojęciem bardziej publicystycznym niż geologicznym.

Środowisko stratygrafów jest bardzo konserwatywne, nie do przyjęcia jest dla niego skala czasowa, o której mówimy. Geologia i stratygrafia operują setkami tysięcy, milionami lat, a my spieramy się dziś o dekady. Przejście od milionów lat do dziesięcioleci jest dla nich szokującą propozycją. Ale dziś merytorycznie uzasadnioną. W 2016 r. Grupa Robocza ds. Antropocenu na Międzynarodowym Kongresie

Geologicznym zarekomendowała komisji ostateczne uznanie pojęcia antropocenu.

Dlaczego nadanie tej etykiety jest tak ważne? Czy zajmowanie się terminologią nie odwraca uwagi od meritum?

Nieważna jest sama nazwa, czy będzie to antropocen, anglocen czy kapitalocen. Ważne, że spór się toczy, bo nadaje rozgłos problemowi. Żyjemy w bezprecedensowym czasie. Mówimy o egzystencjalnym lęku, epoce nieodwracalnych strat. Każdego dnia tracimy szanse na to, by odwrócić bieg spraw.

„Antropocen” ma dla Pani wyłącznie negatywne konotacje?

Za dużo w nim *anthropos*, ciągle mówimy tylko o człowieku. Ale to lepsze niż nic. Alternatywne nazwy też mają swoje wady: kapitalocen zupełnie gubi wymiar planetarny i nadzieję na przebudzenie się całej ludzkości. Z kolei kolejną wadą pojęcia „antropocen”, czyli „epoki człowieka w ogóle”, jest to, że odpowiedzialność za kryzys środowiskowy zrzuca ono na wszystkich ludzi. To bardzo niesprawie-

dliwe wobec tych, którzy do zmian klimatu przyczynili się najmniej lub wcale.

Mówimy „my”, mając na myśli cały gatunek ludzki. W książce „Epoka człowieka. Retoryka i marazm antropocenu” podkreśla Pani, że to przekłamanie.

Na Ziemi żyje dziś 7,4 mld ludzi, z czego miliard najuboższych nie emituje do atmosfery niemal nic. Ci ludzie nie konsumują, ich ślad węglowy jest zerowy. Radykalne zmiany stylu życia muszą zająć w społeczeństwach zachodnich. Dobrze odżywionych, konsumujących dobra produkowane na całym świecie. Transport międzynarodowy, z którego jesteśmy tak dumni, to jeden z największych emiterów dwutlenku węgla. Gdyby potraktować go jako kraj, byłby szóstym największym producentem CO₂ na Ziemi. Gdyby więc styl życia 20 proc. najbogatszych mieszkańców planety się zmienił, to byłaby szansa – no właśnie, na co? Celem walczących ze zmianą klimatu nie jest powrót do stanu sprzed epoki industrialnej. Na to jest już od dawna za późno. Przez kolejne 100 tysięcy lat będziemy odczuwać skutki tego, co już wyemitowaliśmy do atmosfery. Możemy je jedynie łagodzić, z pokorą i przyczynnością.

Patrzenia na świat z punktu widzenia człowieka nie unikniemy.

Kołąkowski pisał, że nie ma studni tak głębokiej, żeby człowiek zaglądając do niej nie zobaczył na dnie własnej twarzy. Jesteśmy przesiąknięci swoimi wartościami i nawet mówiąc o ocaleniu Ziemi, mówimy przecież o takim świecie, który nam odpowiada.

Cały czas tkwimy w antropocentryzmie. Ale nie bądźmy w nim aroganccy. Mając wiedzę o skali destrukcji, której dokonujemy, spróbujmy zlokalizować granice arogancji. Zostawmy tylko tyle antropocentryzmu, na ile możemy sobie pozwolić.

W Chile pojawił się pomysł ochrony rzek poprzez nadawanie im osobowości prawnej. To właśnie niearogancki antropocentryzm?

To ruch w bardzo dobrą stronę. Czynniki pozaludzkie, inne gatunki czy wartościowe ekosystemy powinny być traktowane jak podmiot posiadający prawa. A one powinny się stać częścią regulacji środowiskowych i przede wszystkim modeli gospodarczych. Te współczesne ➔



→ są ślepe na to, że gospodarka potrzebuje zasobów odnawialnych. A żeby się odnawiały, musimy im to umożliwić. Nie możemy więc takich pomysłów wyśmiewać. Powinniśmy uczynić np. Puszcę Białowieską podmiotem prawa.

Kto będzie bronił tych praw?

Wiadomo, że puszcza nie przemówi w swoim imieniu. Ale już rzecznicy środowiskowi, za którymi stałoby prawo, mogliby wprowadzić reprezentację ekosystemów na arenę międzynarodową. To się dziś wydaje bardzo odległe, ale ludzie nie są całkiem obojętni na kwestie zmian klimatu. Psychologia klimatyczna bada postawy obywateli w różnych krajach. Robią to choćby moi koledzy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Świadomość problemu jest bardzo duża. Generalnie ludzie są prośrodowiskowi. Tylko nie bardzo wiedzą, co mają robić. Na kogo naciskać. Na kogo głosować. Sama nie mogę zrozumieć, dlaczego w Polsce nie ma partii, która z postulatami proekologicznymi przejęłaby władzę. To logiczne z punktu widzenia racjonalności człowieka.

Temat ochrony środowiska w partyjnych programach pojawia się incydentalnie.

Demokracja to system naczyń połączonych. Z tym rzekomo najlepszym systemem, jaki znamy, na pewno coś jest nie tak. Nie generuje długofalowego impulsu planowania i troski o dobro wspólne w zakresie szerszym niż nasze zyski, inwestycje, miejsca pracy tu i teraz. Partie polityczne chcą przetrwać tylko cztery lata.

Powtarzana data 2050 roku kiedyś była bardzo odległa, dziś jest bliska.

A w dyskusji pojawiają się też daty bliższe. Choćby całkowite roztopienie się Arktyki latem, szacowane na lata 2020-30. Musimy pamiętać, że raporty IPCC są ostrożne. A i tak przerażające. Rozwój wydarzeń pokazuje zaś, że zmiany następują szybciej, niż je prognozowano. Mówienie, że i tak jest już za późno, paraliżuje. Jest trochę tak, że im człowiek bardziej zajmuje się tematyką antropocenu, tym bardziej popada w marazm. Bo jeśli jest za późno, to nie ma sensu się wysilać.

Oczekujemy na koniec?

Tak, mamy tendencję do melancholii, nostalgii, godzenia się z tym, że jako ludzie nie zasługujemy na ratunek. Dlatego nazy-

EWA BIŃCZYK:

Ludzie są prośrodowiskowi, tylko nie bardzo wiedzą, co mają robić. Na kogo naciskać. Na kogo głosować. Nie mogę zrozumieć, dlaczego w Polsce nie ma partii, która z postulatami proekologicznymi przejęłaby władzę.

wam optymistów klimatycznych desperatami. Oczekiwanie, że jako cywilizacja zmienimy się po kolejnej wielkiej katastrofie, nie brzmi jak optymizm.

Brzmi jak noworoczne postanowienie.

Debatą o zmianach klimatycznych ma wymiar eschatologiczny: u kresu czasu patrzymy na samych siebie i oceniamy, jaki był sens tego wszystkiego. Dokąd dotrwaliliśmy? Kim jesteśmy? Właśnie dlatego jestem zdumiona, że tak mało filozofów zajmuje się dziś tematyką zmiany klimatu. Ludzkość nie stała jeszcze przed tak wieloaspektowym problemem. Jest zarazem przyrodniczy, polityczny, etyczny, religijny i ekonomiczny. Papież Franciszek w encyklice „Laudato si” podkreśla, że nierówności ekonomiczne, problemy przyrodnicze i polityka są ze sobą sprzężone, tworzą gęstą galimatias, który prowadzi do katastrofy. Kim więc my jesteśmy, że na to pozwalamy?

Sama również bywam zdegustowana ludzkością. Podczas otwartych wykładów słyszę czasem, że przeniesiemy się na Marsa i po kłopotcie. To oburzająca idea. Nie mamy moralnego prawa zasiedlać innych planet, dopóki nie zrobimy porządku na własnej.

Są jakiegokolwiek powody do optymizmu?

Mało, ale są. Jest przykład Protokołu Montrealskiego z 1987 r. jako skutecznej reakcji świata na problem dziury ozonowej. Udało się uzyskać globalną, solidarną reakcję. Ale historycy zaraz studzą głowy, tłumacząc, że freony wyszły z użycia, bo chemiczny koncern DuPont wiedział już, jak produkować lodówki bez freonów, i jak na tym znowu zarobić. Sukces moż-

liwy był tylko dzięki temu, że koncern znalazł nowe źródło zysków.

Jestem akademicką, rzadko wychodzę na ulicę protestować. I dlatego mam ogromny szacunek dla tych, którzy to robią. Obserwując działaczki i działaczy na rzecz środowiska widzi się ich dużą frustrację i to, że odchodzą od działań na skalę państwową do spraw lokalnych, co zwiększa ich skuteczność, ale jest dużą stratą z punktu widzenia wyzwań stojących przed całą ludzkością. Tak czy inaczej, to właśnie w aktywistach i młodych ludziach jest nadzieja. Tylko że zderzają się oni z geopolityką i mechanizmami finansowymi sprzyjającymi przemysłowi paliwowemu. Według noblisty Josepha Stiglitz'a w USA na każdego kongresmena przypada sześciu lobbystów. To już nie jest demokracja, tylko forma plutokracji. Rządy najbogatszych. Prawo jest pisane pod koncerny wydobywcze, energetyczne i motoryzacyjne.

Skoro w nauce nie ma kontrowersji co do przyczyn zmian klimatycznych, to kiedy pojawiły się one w przekazie medialnym?

To nie jest pierwsza sfabrykowana kontrowersja w historii. W podobny sposób funkcjonowało kwestionowanie tezy o szkodliwości azbestu, a potem palenia i biernego palenia. Dzięki procesom sądowym w USA, które przegrał koncern Philip Morris, wiemy, że koncerny tytoniowe sponsorowały produkcję wątpliwości wobec tezy o szkodliwości palenia. Przemysł tytoniowy już w latach 50. XX w. wiedział, że palenie szkodzi, a jednak cały czas sponsorowano quasi-naukowców, którzy podważali wiarygodność danych empirycznych. Współczesne studia nad nauką i technologią badają wszelkie naukowe kontrowersje. Obserwują ich dynamikę. Dzięki niemu jesteśmy w stanie wyłapywać kontrowersje sfabrykowane. Takie, którym ktoś pomógł.

W swojej książce wymienia Pani konserwatywne instytuty badawcze i think-tanki typu Heartland Institute czy Cato Institute – jako sponsorowane przez przemysł paliwowy.

To profesjonalni handlarze kontrowersjami. Firmy, które kiedyś pracowały dla koncernów tytoniowych, dziś robią to samo dla przemysłu paliwowego. Kontekst amerykański jest nam najlepiej znany, bo mamy najwięcej źródeł. Te-

mat zmian klimatycznych zgłaszany był tam do Kongresu już w latach 50. jako poważne zagrożenie cywilizacyjne. To były jeszcze spekulacje, bo nie mieliśmy profesjonalnych narzędzi, klimatologia rozwinęła się dopiero dzięki rozwojowi komputerów i instrumentów pomiarowych. W tamtych czasach opór przeciwko regulacjom środowiskowym związany był z lękiem przeciwko jakimkolwiek odgórnym nakazom. Wie pan, kim jest arbuz?

Nie wiem.

Arbuzy to ci, którzy tylko z wierzchu są zieloni, a w środku czerwoni. Komuniści. Tak się mówiło. Jeśli ktoś podkreślał zagrożenia środowiskowe, musiał być komunistą. Podobne mechanizmy psychologowie znajdują w Polsce. Zazwyczaj osoby niechętnie regulacjom prośrodowiskowym są niechętnie silnemu państwu. A my potrzebujemy nawet nie jednego silnego państwa, tylko ich absolutnej solidarności.

Prześledźmy więc argumenty bagatelizujące problemy antropocenu. Choćby oświeceniową wiarę w kolejne pokolenia i to, że dzięki dalszemu postępowi unikną katastrofy klimatycznej.

Na wykładach pokazuję rysunek. Przyszłość, rok 2100, może 2150, nieważne. Ludzkość buduje wehikuł czasu. Podpis głosi: „jak stworzymy ten wehikuł, to cofniemy się do 2018 roku i wprowadzimy podatek paliwowy”. Bo my nie potrzebujemy wehikułów czasu, geoinżynierii, transhumanizmu. Mamy opracowane proste rozwiązania, musimy tylko zacząć je wdrażać.

Argument drugi: ludzkość ma ogromną zdolność adaptacji, więc poradzi sobie w nowych realiach.

Z niego najbardziej drwią badacze nauki o systemie Ziemi, która jest w samym centrum debaty o antropocenie. Oni patrzą na planetę jak na zintegrowane, sprzężone ze sobą układy. I wykazują, że skala tych interwencji – wykorzystanie zasobów wody pitnej, chemiczne zanieczyszczenia, wyprowadzenie oceanów ze stanu równowagi, zaburzenie prądów oceanicznych – jest taka, że nie mamy szans na adaptację. Po przekroczeniu punktu przełomowego kaskada konsekwencji w nieprzewidywalny sposób odbije się na całej planecie. Utracimy stabilną równowagę warunków życia, które znamy z holocenu.

To warunki, do których przystosowane są nasze rośliny. Ludzka zdolność adaptacji ma swoje granice. Nawet jeśli nasza kreatywność sięgnie zenitu, nie przeskozczymy pewnych spraw, takich jak dostęp do wody pitnej. Pytanie brzmi też, jaka jest stawka w grze. Czego się boimy? Utraty tego, co znane. Nieodwracalności. W nieodwracalny sposób stracimy wszystkie rafy koralowe. Ktoś powie „co z tego”, ale to utrata ontologiczna. Świat z rafami i świat bez raf to są dwa różne światy.

Będziemy więc żyli na innej planecie.

Planecie własnego wyrobu. Ten lęk związany jest też z utratą znanego nam ładu polityczno-gospodarczego. Bo nawet jeśli jakiś odsetek ludzkości będzie w stanie przetrwać, to w jakich warunkach? Chodzi zatem o lęk przed barbarzyństwem i militarystką.

Zapytam jak zagubiony człowiek filozofkę: jak być człowiekiem w czasach antropocenu?

No i teraz przechodzimy do trudnych pytań. Przemyśleć na poważnie zmianę stylu życia. Chodzić na głosowanie i nie popierać tych partii, które w ogóle nie poruszają tematów środowiskowych. Zostaje margines, ale to nic. Odmieńmy to. Poza tym trzeba rozważyć redukcję czerwonego mięsa w diecie, przesiąść się na rower, zrezygnować z turystyki lotniczej. I równocześnie mieć poczucie, że to za mało. Nie ma co obwiniać jednostek. Indywidualnie możemy niewiele. Myślenie o wspólnych problemach w kategoriach jednostkowych jest utopijne.

Czyli jesteście skazani na porażkę.

Nie do końca. Nie jesteśmy ślepcami we mgle. Rozumiemy, co jest nie tak i kto nami manipuluje.

Autorytet nauki ma wymiar instytucjonalny. Dziś łatwo sprawdzić, kto jest wiarygodny, a kto nie. I nauka daje nam recepty. Czasopismo „BioScience” w 2017 r. opublikowało list podpisany przez 15 tys. badaczek i badaczy z całego świata. Tych podpisów ciągle przybywa. Nazywa się on „Drugim ostrzeżeniem naukowców świata dla ludzkości”.

Pierwsze ostrzeżenie było kiedy?

W 1992 r. W jednym i drugim przypadku za ostrzeżeniem idą recepty. Przede wszystkim naukowcy nawołują, byśmy przestali subsydiować paliwa kopalne.

Odeszli od nich całkowicie. Zalesiali i tworzyli rezerwy. Odeszli od konsumpcji mięsa. Ograniczyli rozrodczość. Problemem jest to, że nie słuchamy naukowców.

Są też wizje innego ładu gospodarczego, innego pojmowania pojęć nowoczesności, rozwoju, dobrobytu. Znajdują się na marginesach ekonomii, ale istnieją. Jak ruch postwzrostu, który mierzy się z pytaniami o to, jak przemeblować nasz świat z korzyścią dla wartości takich jak czas wolny, wspólnotowość, szczęście. Do szczęścia potrzebujemy relacji, a nie dóbr materialnych. Przebudowa naszych światów społecznych to najlepsza odpowiedź na problem zmiany klimatycznej i związanej z nią potrzeby redukcji emisji. Klimatyczne korekty kapitalizmu powstają i trzeba je nagłaśniać.

Nie boi się Pani, że za dziesięć lat siądzie przed Panią inny dziennikarz i będzie musiała mu Pani powtórzyć to samo?

Nie, bo widzę postęp. Jeszcze pięć lat temu spierałam się ze wszystkimi, że w ogóle jest jakiś problem. To już jest na szczęście za nami. Udało się zdemaskować działania dezinformacyjne branży paliwowej. Jesteśmy krok do przodu. Musimy tylko zacząć wreszcie słuchać naukowców.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI



DR HAB. EWA BIŃCZYK jest profesorem Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, kierownikiem tamtejszego Zakładu Filozofii Nauki. Zajmuje się współczesną filozofią nauki i techniki, studiami nad nauką i technologią, a także socjologią wiedzy naukowej. Niedawno ukazała się jej książka „Epoka człowieka. Retoryka i marazm antropocenu” (PWN).

PAWEŁ

Śpiewak: *Głos Rachel*



GDY MOJŻESZ POWRÓCIŁ ZNAD RZEK BABILONU, praojcowie pytali go o los swoich dzieci. Mojżesz powiedział: część z nich zabili wrogowie, innych zakuli w kajdany, albo związali im ręce do tyłu sznurami, część zmarła w drodze, a ich ciała służą teraz

jako pokarm dla ptaków. Praojcowie lamentowali nad strasznym nieszczęściem. Mojżesz przeklinał Słońce: dlaczego jaśniało, gdy wrogowie wkraczali do Świątyni? Gniew praojców był straszny i błagali tylko o to, by ich dzieci nie ginęły gwałtowną śmiercią, by nie doszło do całkowitej zagłady Hebrajczyków. Wiedzieli dobrze, jak okrutni potrafią być Chaldejczycy. Zarzucili Bogu, że łamie prawa, które ustanowił dla swojego ludu, i pozwala dzień po dniu ginąć swoim potomkom.

I w tym momencie odezwał się głos Rachel, matki Józefa, żony Jakuba pochowanej w Betlejem. Rzekła Panu Jedynemu: O Władco Wszechświata, jest Ci wiadomo, jak wielką miłością otaczał mnie Twój sługa Jakub. Gdy nadszedł czas mojego wesela, ojciec podmienił mnie z moją starszą siostrą Leą. Ale nie byłam o nią zazdrosna i nie chciałam wystawić jej na pośmiewisko. Jeśli ja, istota stworzona z ciała i krwi, kurzu i popiołu, nie byłam zazdrosna o swoją rywalkę, to dlaczego Ty, Królu żywych, miłosierny i sprawiedliwy, masz być zazdrosny o bóstwa, które nie mają życia, i wyganiaś od siebie swoje dzieci?

Od razu litość Świętego Jedynego urosła i rzekł: O Rachel, to dla ciebie i w imię twoje odtworzę Izrael na swym miejscu. O tym mówię: „Tak mówi Pan: »Głos w Rama słyszany jest, narzekanie i płacz bardzo gorzki. Rachel płacząca synów swoich nie dała się pocieszyć po synach swoich, przeto, że ich nie masz«” (Jr 31, 15).

Po tych słowach idą dalsze zdania Boga: „Tak mówi Pan: »Zawściągnij głos swój od płaczu, a oczy swe od łez; bo będziesz miała zapłatę za pracę swoją«. Mówi Pan, że się nawrócą z ziemi nieprzyjacielskiej” (Jr 32, 16).

Pan Wszechświata słyszał głos matki. Odnajduje się w jej współczuciu. Od niej uczy się, czym jest i nie jest zazdrość. Oto Jego uczennica zamienia się w Jego nauczyciela. Bóg musi pojąć prawdę kobiecego doświadczenia; dzięki niej przywróci swój lud do Jerozolimy i zbuduje z nim Drugą Świątynię.

Ludzie stają się w tym sensie współtwórcami dzieła stworzenia, nie tylko dlatego, że budują mosty, drogi, domy, ale też działają wedle zasad sprawiedliwości, a przede wszystkim Boga, który im towarzyszy w wędrówkach. A zarazem uczą Go tego, co ludzkie. Uczą, by patrzył na nas też przez nasze cierpienia, małość, zazdrości i czyny miłosierne.

Przedstawiłem w trzech kolejnych komentarzach jeden z najwspanialszych znanych mi midrasz, które towarzyszą Biblii i są jej poetyckim dopełnieniem. Midrasz nosi tytuł: „Lamentacja praojców”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Jezus duszpasterz*



JEZUS WRAZ Z UCZNIAМИ I SPORYM TŁUMEM wchodzi do Jerycha, zauważa Go niewidomy żebrak Bartymeusz, syn Tymeusza, i zaczyna do Jezusa krzyczeć. Wtedy „Jezus zatrzymał się i rzekł: »Zawołajcie go!«.

I przywołał niewidomego, mówiąc mu:

»Odwagi, wstań, woła cię!«. On zrzucił z siebie płaszcz, zerwał się i szedł do Jezusa. A Jezus zwrócił się do niego: »Co chcesz, abym ci uczynił?«. Niewidomy odpowiedział Mu: »Rabbuni, żebym przejrzał«. Odrzekł Jezus: »Idź, twoja wiara cię uzdrowiła«. Zaraz przejrzał i szedł drogą za Nim”.

W tym opowiadaniu brak logiki. Skoro niewidomy prosi o pomoc kogoś, kogo nazywa synem Dawida, to jasne, że nie chodzi mu o zwykłą jałmużnę, ale o coś, co przekracza ludzkie możliwości. Wie o tym niewidomy, wie Jezus i inni. Mimo to Jezus zachowuje się tak, jakby nie wiedział, o co niewidomemu chodzi. Powie ktoś: po co rozszczepiać włos na czworo? Wydaje się jednak, że to dzielenie włosa ma sens, zwłaszcza w kontekście wypowiedzi papieża Franciszka o matczyńno-ojcowskiej czułości Boga i o klerykalizmie.

Kiedys Franciszek doradzał kaznodziejom, by na ambonie nie odpowiadali na pytania, których nikt im nie zadaje. Rozumiem przez to, że przygotowującemu się do wygłoszenia homilii nie wystarczy znajomość czytań mszalnych, Biblii, Tradycji. Konieczna jest również znajomość realiów, w jakich żyją chrześcijanie, czyli Kościół. Kaznodzieja nie liczący się z realiami od razu wzięłby się do roboty, by wyklarować niewidomemu, powiedzmy, zbawczy charakter cierpienia. Tymczasem Jezus do człowieka cierpiącego zbliża się delikatnie. Zaczyna z nim rozmawiać. Nie wyświadcza mu wspańiałości laski ani nie traktuje go jak natrętnego petenta. Nie narzuca się ze swoimi możliwościami, ale pyta, w czym może pomóc. Jezus po prostu nie chce, by przy nim ktokolwiek w jakikolwiek sposób poczuł się pomniejszony, upokorzony. Ten Chrystusowy styl duszpasterzowania bardzo by się przydał w naszych kościelnych relacjach.

Nie tylko nam i nie tylko w tych relacjach. Politykom też. „Sa dzisiaj różne dyskusje i spory dotyczące (...) przełomu 1989 roku – mówił niedawno nasz prezydent. – W Polsce nastąpiła bezkrwawa w zasadzie rewolucja. (...) Nie ma dzisiaj dziesiątek, setek czy tysięcy krzyży nad mogiłami młodych ludzi, (...) którzy być może byliby gotowi walczyć o wolną Polskę z bronią w ręku. Płacimy za to jednak cenę i wszyscy mamy tego świadomość. Tą ceną są także choroby, które bez przerwy, choć w coraz mniejszym stopniu, drażnią nasze państwo od tamtego czasu”. Czy z tego wynika, że lepiej byłoby dla nas, gdyby owe groby jednak zaistniały? Strach pomyśleć, że ktoś mógłby takim pomysłem na rozwiązywanie konfliktów społecznych i politycznych przytaknąć. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Młody wśród młodych

Boże, mój Boże! (...)
Jesteś jak morze spokojne,
w którym dusza żyje,
jak ryba.

KATARZYNA ZE SIENY



Pewnego razu rabbi
Zalman przerwał
modlitwę i rzekł:
„Nie chcę Twojego raju,
nie chcę Twojego
przyszłego świata,
chcę tylko Ciebie”.

OPOWIEŚCI CHASYDÓW



SYNOD BISKUPÓW DO-
biega półmetka. Chcę
się podzielić dwoma
obrazami – a właściwie
jednym, ale namalowa-
nym z dwóch różnych
perspektyw. To obraz Młodego Chrystusa.

„Chrystus – Młodzieniec wśród młodych ludzi” to tytuł 75. punktu „Instrumentum laboris”. Nawiązuje do myśli św. Ireneusza z Lyonu, który pisał: „stał się Niemowlęciem dla niemowląt – w ten sposób uświęcając niemowlęta; stał się Dzieckiem dla dzieci – uświęcając w ten sposób tych, którzy są w tymże wieku (...); stał się Młodym dla młodych, stając się przykładem dla młodych, uświęcając ich w ten sposób dla Pana”.

„Młody wśród młodych” – często wraca ta fraza na Synodzie. Ważne tylko, by nie pozostała jedynie ogólną intuicją. Trzeba ją rozpisać na konkrety. Wtedy musimy odbyć duchową pielgrzymkę do Nazaretu i zobaczyć Jezusa, który wzrasta w posłuszeństwie – w pokorze słuchając Maryi i Józefa, ucząc się od Nich rozumienia życia: siebie, innych, świata, Boga. To okres wzrastania nie do przywództwa (modne dziś *leadership*), ale przez i do uczniostwa (o wiele mniej modne *discipleship*, które jest istotą chrześcijańskiej egzystencji). Co więcej, wzrastanie to odbywało się w warunkach, które wielu uznałoby za niedopuszczalne – w ubóstwie, w zwyczajności i szarości, z dala od możliwości, jakie mógł zaoferować dojrzewającej młodzieży Rzym czy nawet... Jerozolima. Na miejsce szczęśliwego rozwoju

Jezus wybrał przestrzeń, którą uznalibyśmy raczej za przekleństwo niż błogosławieństwo – dowód, że człowiek zawsze jest większy od warunków.

Obraz drugi, przywołany przez jednego z Ojców: Chrystus na zachodniej ścianie Kaplicy Sykstyńskiej, „Zmartwychwstały Jezus błyszczący żywotnością i pięknem. Chwalebnie Młody. Nasz Zbawiciel jest młody, ponieważ jest żyjący. Promieniuje życiem. Ale jeśli Jezus Chrystus jest chwalebnie młody, to także Jego Ciało, Kościół, podobnie winien być młody”.

Tekst piękny i niepozostawiony na poziomie inspirującej intuicji. Przekazujący go biskup zaprosił nas bowiem do lektury Dziejów Apostolskich. Czytając je, zauważamy, że Apostołowie wyruszali na misje dwójkami – i że były one najczęściej międzypokoleniowe: Piotr (starszy) z (młodym) Janem, Paweł z Tymoteuszem (swoim „synem w wierze”), Barnaba z o wiele młodszym Markiem.

Słuchałem tego i nie mogłem uciec od pytania o wiek ludzi, z którymi wybieram się, by głosić Ewangelię (np. na rekolekcjach). Przecież to powinna być zasada: naturalne wprowadzanie kolejnego pokolenia w misję. Ale nie tylko. Ponieważ w takiej wspólnej ewangelizacji nie chodzi tylko o to, by zapewnić jej przedłużenie na jutro. Chodzi również o jej żywotność, młodość, siłę – kompletnie inny przekaz dzisiaj. Młodzi nie przygotowują się przecież do tego, by jutro być Kościołem, tylko tworzą go dzisiaj. Dają Chrystusowi siebie. Wszędzie tam, gdzie tylko im pozwolimy. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 X)

29. niedziela zwykła:
Iz 53, 10-11; Ps 33; Hbr 4, 14-16; Mk 10, 35-45;
Poniedziałek: Ef 2, 1-10; Ps 100; Łk 12, 13-21;
Wtorek: Ef 2, 12-22; Ps 85; Łk 12, 35-38;
Środa: Ef 3, 2-12; Iz 12; Łk 12, 39-48;

Czwartek: Ef 3, 14-21; Ps 33; Łk 12, 49-53;
Piątek: Ef 4, 1-6; Ps 24; Łk 12, 54-59;
Sobota: Ef 4, 7-16; Ps 122; Łk 13, 1-9;
30. niedziela zwykła: Jr 31, 7-9; Ps 126;
Hbr 5, 1-6; Mk 10, 46b-52.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

*Elektrociepłownia Bełchatów, maj 2018 r.*

TAKI MAMY KLIMAT

Rząd przedstawił trzeźwą diagnozę skutków zmiany klimatu,
ale wciąż nie ma strategii, jak jej przeciwdziałać.

Walka ze smogiem nie musi oznaczać,
że będziemy emitować mniej dwutlenku węgla.

PIOTR SIERGIEJ



ADAM STASKIEWICZ / EAST NEWS

zamierza im przeciwdziałać. Opublikowany właśnie przez Ministerstwo Środowiska projekt polityki ekologicznej państwa opisuje plany rządu na najbliższe 12 lat.

Klimat w Polsce. Co nas czeka?

Nie będzie dobrze. Dla każdego, kto interesuje się wpływem zmian klimatycznych, nie jest tajemnicą, że to najpotężniejszy czynnik, który ukształtuje życie przyszłych pokoleń na wiele stuleci.

Lektura rządowej diagnozy działa trzeźwiąco. Czekają nas przyszłość, w której ekstremalne zjawiska pogodowe – powodzie, trąby powietrzne i susze – staną się częścią codzienności. Pojawiają się tzw. krótkie opady nawalne, głównie na południu i w centrum Polski, co oznacza występowanie lokalnych powodzi i podtopień. Powódź w 1997 r. kosztowała nas 12 mld zł, powódź z 2010 r. to kolejne 12,2 mld zł. Łączne straty w gospodarce wywołane zjawiskami pogodowymi i klimatycznymi w ciągu ostatnich 16 lat wyniosły 126 mld zł!

Ale, co ciekawe, to nie nadmierna ilość opadów będzie naszym głównym zmartwieniem. Zmiany klimatu to nie palmy i drzewa oliwowe w naszych ogrodach, ale opadający poziom wód gruntowych, mniejsze opady i związane z tym susze. Problem suszy jest o tyle dotkliwy, że nawet po jej ustąpieniu skutki mogą być długotrwałe i kosztowne. Według Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa od 38 lat nie mieliśmy w Polsce ani jednego roku bez suszy.

Zmiany klimatu to również podnoszenie się poziomu mórz i oceanów, w tym Morza Bałtyckiego. Klimatolodzy szacują, że nawet w bardzo zachowawczej prognozie poziom wody podniesie się o 30 cm. Oznacza to – czytamy w diagnozie – że musimy zabezpieczyć przed tzw. stuletnim sztormem prawie połowę polskiego wybrzeża. Niezależnie od tych działań podnoszący się poziom Bałtyku zmniejszać będzie powierzchnię Polski o 6,5 hektara rocznie.

Wytwarzając w Polsce dwutlenek węgla, sami sobie szkodzimy. Emisyjność polskiej gospodarki, zarówno jeśli chodzi o CO₂, jak i pyły zawieszone, po krótkim okresie przemiany gospodarczej – gdy spadek był mocno odczuwalny – ustabilizowała się i nie ulega znaczącym zmianom. Przyczyną jest oczywista: podstawowym nośnikiem energii w Polsce jest wciąż węgiel kamienny.

Polityka ekologiczna w powiśkach

Polityka ekologiczna państwa składa się z wielu niezależnych pomysłów, które nie układają się w spójną narrację. Z dokumentów strategicznych też trudno wyciągnąć jednoznaczne wnioski, jak zamierzamy przeciwdziałać efektom zmiany klimatu.

Zmiany klimatu pojawiają się w strategii raczej jako powód do przystosowania się do nich i łagodzenia katastrofalnych skutków. Zajmiemy się adaptacją do zmian klimatu, będziemy budować więcej domów z drewna, zadamy o lasy, wodę i czyste powietrze. Trudno jednak dostrzec w tym strategicznym planie jakąś wizję Polski roku 2030. Czy zmierzamy w stronę większego zużycia węgla, czy może gazu? Jaki jest plan na zaopatrzenie kraju w energię? Czy idziemy drogą Niemiec, stawiających na energetykę odnawialną, czy może raczej – wzorem Francji – skupimy się na budowie elektrowni jądrowych? A może jednak będziemy podtrzymywać nierentowny sektor węglowy kolejnymi dotacjami?

Zbigniew Karaczun, profesor SGGW, ekspert Koalicji Klimatycznej, poddaje politykę ekologiczną państwa ostrej krytyce. – Strategiczne dokumenty zaprezentowane przez rząd powinny określać kierunek działań państwa – mówi. – Niestety, obecna polityka ekologiczna nic na ten temat nie wspomina. Zaprezentowano zestaw luźno ze sobą powiązanych działań, przedstawiając je jako politykę ekologiczną. Znamienna jest zwłaszcza nieobecność energetyki odnawialnej, co w polityce ekologicznej państwa, a więc związanej ze zmianami klimatu i emisją dwutlenku węgla, jest rażącym zaniedbaniem. Trudno to zrozumieć, zwłaszcza że we właśnie ogłoszonym przez ministerstwo projekcie zarówno diagnozę, jak i oszacowanie wpływu zmian klimatu na Polskę przedstawiono bardzo rzetelnie – dodaje.

Trudno wywnioskować, w jaki sposób jedna z proponowanych strategii, „Leśne gospodarstwo węglowe” (nazwa nieco paradoksalna), ma doprowadzić do znaczącego wzrostu pochłaniania dwutlenku węgla przez lasy. Na najbliższe 32 lata zaplanowano wzrost lesistości w Polsce o 3,5 proc. Oznacza to, że do 2050 r. przybędzie w Polsce 1 mln ha lasów, dzięki czemu pochłaniać będą CO₂ w ilości odpowiadającej 1,34 mln ton węgla rocznie – to około 10 proc. zużycia gospodarstw ➔

JESLI MIERZYĆ ZAANGAŻOWANIE KLIMATYCZNE liczbą konferencji, jesteśmy globalnym rekordzistą. W grudniu rozpoczęła się w Katowicach dwudziesta czwarta edycja międzynarodowej konferencji klimatycznej COP. Dotychczas odbywały się w kilkunastu różnych państwach, ale tylko w dwóch z nich wielokrotnie. W liczbie odbytych konferencji Polska ustępuje tylko Niemcom, które zorganizowały aż cztery edycje – właśnie przymierza się do trzeciej.

Skoro po raz kolejny zapraszamy do siebie przedstawicieli prawie dwustu państw, by debatować o klimacie, warto sprawdzić, jak do zmian klimatu podchodzi polski rząd i – co najważniejsze – jak



Prezydent Andrzej Duda sadi lipę, Stary Sącz, październik 2016 r.

Milion hektarów lipy

LEŚNE GOSPODARSTWA WĘGLOWE – TO ODPOWIEDŹ LASÓW PAŃSTWOWYCH

na zmiany klimatyczne spowodowane rosnącym poziomem CO₂ w atmosferze. Pomysł, którego gorącym zwolennikiem jest były minister środowiska Jan Szyszko, zakłada sprzedaż firmom przez Lasy Państwowe certyfikatów upoważniających nabywcę do emisji określonej ilości dwutlenku węgla, który będzie następnie usuwany z atmosfery dzięki konkretnym posunięciom LP. Kupujący mogą wybierać, na jakie cele LP przeznaczą uzyskane na aukcjach pieniądze. Wśród firm, które już podpisały listy intencyjne z Lasami Państwowymi, są największe spółki paliwowe, energetyczne, do których należy np. najbrudniejsza w Europie elektrownia w Bełchatowie, i węglowe (zarządzające m.in. koksowniami). Prowadzone przez spółkę gospodarstwa leśne, dzięki np. dodatkowemu nasadzeniu drzew o wyższym niż inne gatunki „apetycie” na CO₂

(np. buków), miałyby, jak twierdzą promotorzy projektu, zwiększać naturalną zdolność polskich lasów do konsumpcji dwutlenku węgla, a tym samym rozszerzyć także moce produkcyjne polskich firm, które dziś muszą – jak wszystkie firmy w Europie – kupować kosztowne certyfikaty CO₂. Brzmi interesująco, znawcy problematyki emisji i przyrodnicy podnoszą jednak, że twórcy koncepcji znacznie przeszacowali zdolności absorpcyjne polskich lasów. Krajowy Ośrodek Bilansowania i Zarządzania Emisjami szacuje je obecnie na ok. 30 mln ton rocznie; więcej dwutlenku węgla w skali roku emituje jedna elektrociepłownia w Bełchatowie. Pierwsze efekty działań LGW mają być widoczne dopiero za 25 lat. A i wtedy skutkiem programu będzie pochłonięcie zaledwie jednego dodatkowego miliona ton. Trudno dziś także wyobrazić sobie, że koncepcja LGW stanie się częścią wspólnotowej polityki klimatycznej i pozwolenia polskiego programu będą zamiennikami dla unijnych certyfikatów emisji.

© P MR

→ domowych i zaledwie 0,3 proc. całkowitej polskiej emisji CO₂.

A może tak czyste powietrze?

Dużo lepszym pomysłem wydaje się włączony do strategii program „Czyste powietrze”, który doprowadzić ma w dłuższej perspektywie do poprawy jakości tego, czym oddychamy w całej Polsce. Jednym z jego elementów jest zakaz sprzedaży „kopciuchów” – pozaklasowych kotłów na węgiel i drewno. Od 1 lipca 2018 r. w sprzedaży dostępne są jedynie kotły 5. klasy – emitujące nawet dwudziestokrotnie mniej pyłów. Wprowadzenie takiej regulacji nie oznacza jednak wycofania „kopciuchów” z gospodarstw domowych, a jedynie niemożność ich zakupu – większość kopających kotłów w Polsce zanieczyszczać będzie powietrze jeszcze przez co najmniej 15 lat.

Drugim ważnym elementem programu jest kontrola jakości węgla sprzedawanego indywidualnym klientom. Niestety przyjęte przez Ministerstwo Energii normy jakości pozostawiają wiele do życzenia, co wzbudziło protesty nie tylko aktywistów antysmogowych i władz samorządowych, ale również Ministerstwa Środowiska i Ministerstwa Zdrowia. Dopuszczono do sprzedaży węgla mocno zasiarczony, o podwyższonej wilgotności, a najgorszej jakości miały węglowe wycofane zostaną dopiero za dwa lata. Skazuje to społeczeństwo na co najmniej dwa sezony grzewcze, w których spalane będą toksyczne odpady, przynoszące kopalniom duże zyski. Ministerstwo Energii wskazało, że nowe normy sprawią, iż prawie całość węgla w Polsce pozostanie w sprzedaży.

Sprawa norm jakości węgla, które aktywiści antysmogowi skomentowali zdaniem „dobra zmiana, z której trudno się cieszyć”, pokazuje, że jeśli Ministerstwo Energii ma do wyboru interes zdrowia społecznego i sektora węglowego, będzie wybierać ten drugi. Trzeba zapytać, czy tak być musi.

Program „Czyste powietrze” pokazuje, że przy rozsądnym podejściu możliwe jest połączenie polityki klimatycznej z antysmogową. Trzeba bowiem pamiętać, że nie zawsze poprawa jakości powietrza oznacza jednocześnie zmniejszenie emisji dwutlenku węgla.

Typowym przykładem jest zastąpienie kotła na drewno kotłem gazowym. Drewno to co prawda paliwo odnawialne i neutralne, jeśli chodzi o bilans węglowy (dwutlenek powstały podczas jego spalania jest pochłaniany przez nowe drzewa). Ale jego spalanie w kotłach i kominkach emituje potężne ilości zanieczyszczeń. Gaz natomiast spala się w sposób „czysty” i nie zwiększa zapylenia powietrza, ale jako paliwo kopalne przyczynia się do emisji dwutlenku węgla. Jeszcze gorszym paliwem jest węgiel, którego spalanie to jednocześnie emisja pyłów i CO₂.

Oczywiście lepiej spalić dobrej jakości węgiel w nowoczesnym kotle niż odpady węglowe w „kopciuchu”, ale korzystniej jest używać takich źródeł ciepła, w których znikomym zanieczyszczeniom pyłowym towarzyszy mały „ślad węglowy”.

Program zakładający dopłaty do ocieplenia budynków jednorodzinnych połączonego z wymianą kotła czy pieca, który ma na celu zmniejszenie zanieczyszczenia powietrza, może stać się również metodą ograniczenia emisji CO₂. Domy jednorodzinne w Polsce zużywają ok. 30 proc. energii w skali kraju, jest więc o co walczyć.

Można zatem połączyć kilka celów: polepszyć jakość powietrza, zmniejszyć emisję dwutlenku węgla, ograniczyć zapotrzebowanie na energię, a tym samym podbudować niezależność energetyczną. Pytanie tylko, czy taką drogą pójdzie polski rząd.

Nadal nikt nie odpowiedział strategicznie na pytanie o źródło energii, która będzie ogrzewać ocieplone polskie domy. Rząd obiecał na program dopłat do termomodernizacji 103 mld zł. Tyle że nikt nie oszacował, jaki konkretnie będzie tego efekt, jeśli chodzi o zmniejszenie emisji CO₂. Gdyby pojawiły się konkretne liczby, wskazujące, o ile zmniejszy się emisja, to program ocieplenia domów mógłby spotkać się z przychylnością Komisji Europejskiej. Warto rozważyć przeznaczenie funduszy, jakie państwo pozyskuje sprzedając przemysłowi prawa do emisji CO₂, właśnie na programy termomodernizacyjne w połączeniu z ekologicznymi źródłami ciepła.

Poziom wody w Bałtyku podniesie się o 30 cm.

Na lądzie czekają nas susze.

Polak lubi liczyć

Jeśli oceniać naszą świadomość środowiskową po chęci wydawania pieniędzy na ekologiczny styl życia, daleko nam do doskonałości. Ekologia ma dla nas znaczenie o tyle, o ile się opłaca.

Polacy zapytani o problemy do rozwiązania na poziomie krajowym, najbardziej troszczą się o siebie samych. Aż 59 proc. badanych widzi problemy w ochronie zdrowia, a tylko 8 proc. w ochronie środowiska. Ciekawe, że te dwie sprawy nie zaczęły się jeszcze w naszych głowach łączyć, chociaż przykład smogu pokazuje, że widać światło w tunelu.

Jaką więc strategię przyjąć, skoro środowisko jest o tyle dla nas istotne, o ile ma bezpośredni wpływ na nasze życie? Odpowiedź nasuwa się sama. Każdego roku z powodu smogu przedwcześnie umiera 46 tys. Polaków. Zanieczyszczenie powietrza poprzez wpływ na nasze zdrowie stało się sprawą niezwykle ważną. Zapytani o problemy środowiskowe, aż 39 proc. respondentów dostrzega problem zanieczyszczenia powietrza, zaraz po śmieciach (45 proc.).

Być może więc warto przekonać Polaków do troski o klimat poprzez pokaza-

nie, że walka ze zmianami klimatycznymi może również oznaczać poprawę jakości powietrza i – w konsekwencji – naszego zdrowia.

Czy rząd ma plan?

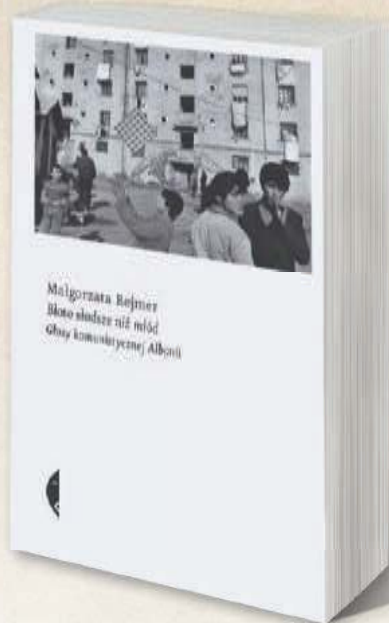
Za kilka tygodni zaczną się pojawiać w Polsce delegaci konferencji klimatycznej, a z nimi międzynarodowe media. Jakie będzie polskie stanowisko i propozycja klimatycznych rozwiązań? Rząd doskonale wie, jaka czeka nas przyszłość, stąd plany adaptacyjne do zmian klimatu. Ale jednocześnie trudno dostrzec konkretne działania i strategię przeciwdziałające wzrostowi emisji CO₂.

Mamy więc poważny problem z polską polityką ekologiczną, w której zabrakło wzmianek o odnawialnej energii i jej roli w miksie energetycznym. Zabrakło również planów zmniejszenia energochłonności polskiej gospodarki. Jedynie program „Czyste powietrze” może dawać jakąś nadzieję na zmniejszenie nie tylko zanieczyszczenia i smogu, ale również emisji CO₂ do atmosfery. O efektywności energetycznej polskich domów mówi się wyłącznie w kontekście zmniejszenia zanieczyszczenia powietrza i zmniejszenia kosztów ogrzewania dla gospodarstw domowych.

Co powiemy więc przedstawicielom prawie dwustu państw, którzy zapytają rząd, jaka jest jego polityka związana z ograniczeniem emisji dwutlenku węgla? Czy jedyną odpowiedzią będą leśne gospodarstwa węglowe?

© PIOTR SIERGIEJ

REKLAMA



Nowa książka Małgorzaty Rejmer

SERIA SULINA

Błoto słodsze niż miód

Głosy komunistycznej Albanii

O ludziach z dnia na dzień skazywanych na zesłanie, tylko dlatego że urodzili się w niewłaściwej rodzinie lub szeptem w czterech ścianach próbowali samodzielnie myśleć. O krwawych buntach w obozach pracy, tragicznych ucieczkach z kraju zamienionego w bunkier. O życiorysach ofiarowanych na ołtarzu ideologicznego raju i o tych, którzy je miażdżyli, nie bacząc na konsekwencje.

CZARNE.COM.PL

Prawo to nie matematyka

PATRYK JAKI, KANDYDAT PIS NA PREZYDENTA WARSZAWY:

Wszyscy chcemy być w Unii Europejskiej, pytanie tylko, w jakiej. Ja jestem zdania, że idąc do Unii umawialiśmy się trochę na coś innego, niż dostaliśmy.

RADEK PIETRUSZKA / PAP



Patryk Jaki, Warszawa, 30 września 2018 r.

RAFAŁ WOŚ: Pan wie, że spora część rodaków boi się Pana i Pańskiej formacji?

PATRYK JAKI: Wiem.

A wie Pan dlaczego?

Po części to jest nasza wina. W moim ugrupowaniu jest wiele działań, a zwłaszcza wypowiedzi, które szczególnie w formie mogą odstraszać.

W „Uchu prezesa” jest scena, w której prezes Kaczyński wypisuje sobie na tablicy dosadne sposoby na określanie politycznych wrogów. „Łże-elity? Były. Kondominium? Było. Gorszy sort? Był. Pucz, rebelia, zdrada narodowa? Były”. Takie zagrania ma Pan na myśli?

Po co szukać daleko? Mnie się też zdarzały emocjonalne wypowiedzi, których dziś bym już nie powtórzył.

Poproszę przykład.

W Sejmie bądź w telewizji.

A może ten najnowszy z kampanii warszawskiej? Pana kandydat na wiceprezydenta Piotr Guział napisał, że „jak wygra Trzaskowski, to Warszawa na lata będzie odcięta od funduszy z budżetu państwa na budowę metra, mostów i obwodnicy”. Szantażyk?

Piotr Guział tłumaczył mi potem, że podzielił się swoim doświadczeniem na temat funkcjonowania samorządu w Polsce. Bo jak był burmistrzem Ursynowa i miał koalicję z prawicą, to rządząca Platforma odcięła go od funduszy. Mówi, że tak wygląda praktyka.

Ale Pan też w to poszedł, mówiąc, że nie będzie Pan budował mostów dla Trzaskowskiego.

Ja powiedziałem coś innego: że rząd nie będzie budował mostów, których Trzaskowski nie chce budować. Bo on przecież powiedział, że nie są potrzebne nowe mosty dla samochodów, wystarczą... kładki pieszo-rowerowe. Więc trudno byśmy finansowali komuś coś, czego nie chce. Ja jednak zawsze będę pomagał Warszawie, bez względu na to, czy wygram, czy nie. Warszawa jest wyjątkowa i będę o nią dbał.

Będziemy się tak w kotka i myszkę gonić. Przecież Pan wie, o co chodzi. Chcieliście nastraszyć wyborców?

Mogę zadeklarować, że nawet jak przegram wybory, to chętnie wcielę się w rolę pośrednika pomiędzy prezydentem a rządem. Żeby Warszawa i jej mieszkańcy nie zostali bez pomocy. Problem w tym, że Rafał Trzaskowski ani razu w tej kampanii nie deklarował chęci współpracy z rządem przy konkretnych projektach. Mówił na-

wet [w sierpniu na Facebooku – red.], że dla takiego celu jak walka z rządem warto np. wstrzymać budowę dróg. Mam wątpliwości, czy warszawiacy chcą prezydenta wojującego z rządem, który przecież ma ogromny wpływ na podział środków. Także tych z UE.

Patryk Jaki rozpamiętujący swoje zbyt mocne wystąpienia. Patryk Jaki mediator. To ma być maska na potrzeby rozmowy z pożytecznym idiotą Wosiem i jemu podobnymi symetrykami?

Spytał pan, dlaczego wielu obywateli się nas boi, i ja uczciwie mówię, że część winy leży w nas samych. Ale to tylko część odpowiedzi. Drugim elementem jest przyklejanie nam gęby, która jest nieprawdziwa. Gęby ugrupowania antydemokratycznego. Gęby ludzi, którzy łamią konstytucję, chcą wsadzać do więzienia i wszystkich naokoło podsłuchiwać.

To dlaczego łamiecie konstytucję? Nie łamiemy konstytucji.

To ja Panu teraz wyliczę, a Pan w spokoju wysłucha, dobrze? Odmowa stosowania ustaw o wyborze sędziów Trybunału Konstytucyjnego uchwalonych w poprzedniej kadencji. Nieprzyjęcie ślubowań od sędziów. Niepublikowanie wyroków Trybuna-

łu. Przerwanie mocą ustawy kadencji sędziów. Skrócenie kadencji członkom Krajowej Rady Sądownictwa. Skrócenie kadencji pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. I jeszcze zastosowanie prawa łaski przez prezydenta przed zapadnięciem prawomocnego wyroku w sprawie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Wszystko to są posunięcia bez precedensu w historii wolnej Polski. Mało, żeby postawić zarzut łamania konstytucji?

Z każdym z tych zarzutów mogę się zmierzyć. Weźmy choćby przypadek pani prezes Gersdorf. Jedna strona powoła się na argument, że jest sześćioletnia kadencja, zapisana w konstytucji. My zaś powołujemy się na inny jej punkt [art. 180, p. 4 – red.], stanowiący, że ustawa sejmowa określa granice wieku, po osiągnięciu której sędziowie przechodzą w stan spoczynku. Doktryna mówi, że nie można pełnić tej funkcji, jeśli się jest w stanie spoczynku. Spokojna, merytoryczna i jasna odpowiedź.

Ale przecież to kruczek. Fortel, żeby się pozbyć nieulubianej sędzi.

Mamy dwa przepisy tej samej ustawy zasadniczej. W takich sytuacjach rozstrzyga Trybunał Konstytucyjny. I są orzeczenia najwyższego organu, które potwierdzają kompetencje Sejmu w sprawie ustalenia zasad przechodzenia sędziów w stan spoczynku.

No i zacznie się „prawniczenie”, za którym żaden normalny człowiek nie jest w stanie nadążyć, a na koniec wyjdzie, że każdy ma trochę racji. Może to właśnie jest Wasza strategia, mająca zalegalizować rozchwianie przez Was konstytucyjnych reguł gry? Rozmycie sporu?

Na początku mówi pan, że doszło do naruszenia konstytucji, a teraz zarzuca pan „prawniczenie”, kiedy staram się rzetelnie wytłumaczyć nasze stanowisko.

Przyjmuję argument. Proszę wytłumaczyć Wasze stanowisko.

Za tym kryje się poważny spór o miejsce prawa w życiu publicznym. Prawo nie jest jak matematyka, gdzie 2 plus 2 równa się 4. Na jednym wydziale prawa są trzy wykluczające się interpretacje jednego przepisu. Prawo ma coraz mniejsze znaczenie, sędziowie zaczynają politykować, a traci zwykły człowiek i osłabia się całe

państwo. Ludzie wymiaru sprawiedliwości często zapominają, że nie są sami dla siebie, tylko mają służyć ludziom. Prawo też jest po to, aby służyć ludziom, a nie być polem do walki o interpretację. Niestety z taką „twarzą” prawa spotykają się na co dzień obywatele tego kraju.

I generalnie nie są zadowoleni.

Tu pełna zgoda.

No właśnie. Polskie sądownictwo należy do najdroższych w Europie i jednocześnie najmniej efektywnych. Jednocześnie postępowania są niezwykle przewlekłe, a obywatele nie ufają sądom, bo jakość wielu orzeczeń, mówiąc delikatnie, pozostawia sporo do życzenia.

To zabawne, ale teraz Pan brzmi jak Leszek Balcerowicz. Sam pamiętam, jak jeszcze parę lat temu architekt terapii szokowej narzekał na przewlekłość postępowań, zabijającą biznes niepewność i brak zaufania do sądownictwa.

My też doszliśmy do wniosku, że dotychczasowy model nie działa. Nie od razu w takiej formie, jak teraz. W latach 2005–2007 diagnoza mojej formacji była taka, że sądy są niesprawne, bo sędziowie zostali zawałeni robotą, i gdyby mieli więcej asystentów, toby sądzili sprawniej i sprawliwiej. Dołożyliśmy więc asystentów. W 2015 r. wróciliśmy do władzy i sytuacja była taka, że asystentów jest o sto procent więcej, więc wzrosły koszty systemu, a przewlekłość się jeszcze pogorszyła.

I wtedy w PiS zapadł wyrok na polskie sądownictwo?

Jesteśmy siłą polityczną, która widzi problem i szuka jego rozwiązań. Teraz nasza diagnoza jest taka, że problem z sądownictwem jest głębszy. Po 1989 r. sądownictwo zostało sprywatyzowane i oddane korporacji. Sami siebie wybierają, sami siebie kontrolują, istnieje niezdrowy system kooptacji, niesprawiedliwy dla dobrych prawników, którzy nie mieli żadnych układów i nie mogli awansować.

Ta korporacja miała gwarantować niezależność sądów. Bez nich będzie Pan miał model rodem z PRL, z wyrokami na telefon pierwszego sekretarza.

Nasi krytycy lubią się powoływać na Monteskiusza i ideę trójpodziału władz. A ja na to odpowiadam, że ten system

z trójpodziałem niewiele ma wspólnego. To model, w którym sądy mogły kontrolować demokratycznie wybrany parlament i rząd. Ale w drugą stronę to nie działało, a Monteskiusz sam podkreślał, że władze muszą się równoważyć. Gdzie więc ten fundament zdrowej demokracji, który tak wielu oplakuje? No, chyba że tu nie chodzi o trójpodział, tylko o utrzymanie dotychczasowego modelu, w którym korporacja sędziowska jest nietykalna. Żyjemy złudzeniem, że korporacja jest samonaprawiającym się mechanizmem.

I tu wchodzimy my i mówimy, że skoro ona tego nie zrobiła przez poprzednie 28 lat, to prawdopodobnie nie zrobi również przez następnych 28 lat. 150-letnim spadkobiercom roszczeń zwracano w Warszawie kamienie z lokatorami, a wielu sędziów to przyklepywało. Czy korporacja ich ukarała? Nie! Jeszcze awansowali!

Pan mówi, że budujecie prawdziwą demokrację. Wasi oponenty są przekonani, że mordujecie konstytucję. Koniec końców musimy się przecieżyć jakoś w tym wspólnym domu ułożyć.

A co my mamy zrobić? Patrzeć, jak mijają kolejne cztery lata, a potem iść do wyborców, którym obiecaliśmy realne zmiany w funkcjonowaniu sądów, i ręce rozłożyć? „No, nie udało się, bo wiecie, rozumiecie, korporacja zbyt silna”. Funkcjonowanie w życiu publicznym ma sens tylko wtedy, kiedy ma się siłę iść również pod prąd, aby reformować państwo.

Naprawiać tak, ale z poszanowaniem reguł.

My, politycy, żyjemy w świecie, w którym istnieje jakaś odpowiedzialność. Jak Patryk Jaki się komuś nie podoba, to przychodzą wybory: dziękuję, do widzenia. Tak to działa. Tak jak kiedyś z posłem Chlebowskim z PO czy ostatnio Piętą z PiS – skompromitowali się i nie ma przed nimi politycznej przyszłości. Wystarczy, żeby choć takie reguły zapanowały w świecie sędziowskim. To byłby postęp.

Wyobraża pan sobie, że chcę zabrać własnej córce alimenty, sprawa wychodzi na jaw, a ja dalej jestem aktywnym politykiem? A tak właśnie zrobił sędzia Waldemar Żurek [w 2017 r. była żona sędziego złożyła wniosek o dyscyplinarne ukaranie go przez komisję etyki KRS, ale sprawa została odrzucona – red.]. I co? I nic. Jest gwiazdą Temidy.

→

→ **Zostawmy sądy, choć to temat bez dna. Inny gruby zarzut wobec Was jest taki, że chcecie wyprowadzić Polskę z UE. Prawda to?**

Bzdura. Sam chodziłem i namawiałem do głosowania na „tak” w referendum akcesyjnym. W naszym obozie politycznym nie było w zasadzie nigdy silnego nurtu zwolenników wyjścia z UE. Mogą być jakieś pojedyncze przypadki, ale wszyscy chcemy silnej Polski w Unii. Znowu: to próba przyprawienia nam gęby.

Jakże skuteczna.

Prawda jest taka, że nikt u nas nie pyta, czy chcemy być w UE, bo wszyscy chcemy – tylko w jakiej Unii. Ja jestem zdania, że idąc do Unii umawialiśmy się trochę na coś innego, niż dostaliśmy. Miała być wolna gospodarka, przepływ osób, towarów. Miała być Europa solidarna energetycznie. A co dostaliśmy? Zbiurokratyzowanego molocha, który chce decydować o kształcie bananów, robi instrukcje korzystania z kaloszy i sprawdza, czy nasze sery mogą być oscypkami.

Ale Pan Korwinem pojechał. Dawno takiej tyrady nie słyszałem.

Mnie to zawsze było bliskie. Gospodarczo zawsze byłem liberałem, który uważa, że problem dzisiejszej Europy to jej nadmierna gospodarcza ociężałość. Unia jest przebiurokratyzowana, nieinnowacyjna, pełna barier. Dlatego przestaje być konkurencyjna w stosunku do innych gospodarek światowych.

Mnie w Europie przeszkadza brak solidarności bogatych z biednymi. Np. niemieckich banków z greckimi pracownikami. Panu nie?

Mnie przeszkadza inny brak solidarności – politycznej i energetycznej. Rurociągi Nordstream 1 i Nordstream 2 to nie są fantazje. To rzeczywistość pokazująca, że interes polityczny często bierze górę nad solidarnością. Chcę mieć prawo o tym mówić. Dlatego namawiałem do wejścia do UE, bo chcę wolności, która pozwoli mi się z taką polityką nie zgodzić.

„PiS w Europie to zero. Zero kompetencji, zero kontaktów, zero umiejętności sprzedawania swojej racji”. To słowa Pana konkurenta, Rafała Trzaskowskiego. Prawdziwe?

To ciekawe, bo sądzę, że tego zdania nie podziela np. Jacek Saryusz-Wolski, który

PATRYK JAKI:

My, politycy, żyjemy w świecie, w którym istnieje odpowiedzialność. Jak Patryk Jaki się komuś nie podoba, to przychodzą wybory: dziękuję, do widzenia. Wystarczy, żeby choć takie reguły zapanowały w świecie sędziowskim.

uczył Trzaskowskiego Europy i wie o niej dużo więcej.

To zresztą działa w dwie strony. Blisko naszych politycznych rywali jest dziś Roman Giertych, kiedyś jeden z najbardziej zagorzałych przeciwników naszego członkostwa w Unii. Tak to się wszystko zmienia.

Powtarzam, my nie chcemy z Unii wychodzić. Chcemy mieć prawo zadać pytanie: „jaka Europa?”.

Premier Wielkiej Brytanii David Cameron też twierdził, że chciał Unią potrząsnąć i zainicjować rozmowę o jej przyszłości. Aby dowieść wagi swych słów, rozpiął referendum i na koniec nie miało już znaczenia, że nie chce brexitu. Ma Pan pewność, że Pana ugrupowanie nie postąpi podobnie?

To się nigdy nie wydarzy. Polska ma silną potrzebę bycia w Unii Europejskiej. A może Unia pod wpływem obecnych wydarzeń się trochę zmieni?

Czy PiS jest ugrupowaniem demokratycznym?

Już mówiłem, że tak.

Wiem, że to wbrew domniemaniu niewinności, ale czy potrafi Pan to udowodnić?

Kiedy myślę o najbardziej fundamentalnych filarach demokracji, to nie wypadamy wcale gorzej od oponentów. Weźmy media.

Co z nimi?

Za czasów naszych poprzedników mieliśmy trzy główne kanały telewizyjne,

które reprezentowały jeden nurt. Idę o zakład, że medioznawcy nie potrafiliby mi pokazać drugiego kraju Unii, w którym monopol informacyjny był tak jaskrawy, a przez to osłabiona była demokracja – no, może poza Włochami Berlusconi. Dziś mamy większy pluralizm dzięki telewizji publicznej.

To teza prezesa TVP, Jacka Kurskiego. On otwarcie przyznaje, że buduje wyimaginowany pluralizm całego systemu poprzez jawne zaprzeczanie pluralizmowi w podległej sobie instytucji. Kompromituje w ten sposób samą ideę medium publicznego, czyniąc z TVP instytucję partyjną.

Przyzna pan, że wejście służb specjalnych do redakcji dużego opiniotwórczego medium, które jest w samym środku publikacji niewygodnych dla rządu materiałów, to był cios w wolne media. Mówię o akcji z tygodnikiem „Wprost” za czasów naszych poprzedników. Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby coś takiego zdarzyło się za naszych rządów. Więc z całym szacunkiem, ale nasi wrogowie dużo mówią o demokracji, ale kiedy popatrzymy na fakty – to oni skreślali jej kręgosłup, wysyłając służby na media.

Wy macie inne metody. Ekonomicznie przyduszacie swoich krytyków i kierujecie ogłoszenia państwowych spółek do zaprzyjaźnionych tytułów.

Nie zgadzam się, chyba że pan mówi o „Gazecie Wyborczej”, która w mojej ocenie jest biuletynem partyjnym opozycji, a nie medium.

Nie tylko „Wyborczej” obcieliście, ale nawet gdyby sprawa dotyczyła tylko jej, i tak jest to skandal.

Nie mam intencji przyduszania nawet wrogich mediów. Ale jednocześnie cieszę się, że „Gazeta Wyborcza” nie ma już opiniotwórczego monopolu w Polsce.

Małostkowe.

Nie zgadzam się. Pluralizm różnych ośrodków opinii ma fundamentalne znaczenie dla siły demokracji.

My się tak możemy przerzucać godzinami. Koniec końców liczy się, czy czytelników Pan przekonał.

Jedyne, co mogę zrobić, to zaapelować o wyjście z poziomu stereotypu, w którym PiS jest partią antydemokratyczną, na po-

ziom samodzielnej refleksji i zderzenia się z faktami. Np. uchodzimy za partię, która ma ciągoty do inwigilowania.

A nie macie?

W tym temacie daleko nam do Platformy Obywatelskiej. Żaden inny rząd nie korzystał tak ochoczo z dostępu do bielingów telefonicznych obywateli jak PO. Można sprawdzić na liczbach. To, co nam zarzucają, sami stosowali bezwzględnie. A mi naprawdę zależy na wolności.

Wróćmy na koniec do Warszawy. Kiedy pierwszy raz usłyszał Pan o aferze reprivatyzacyjnej?

Nie wiem, czy jeszcze nie w Opolu. Ale – tak samo jak większość ludzi – nie zdawałem sobie wtedy sprawy ze skali problemu. Całość zobaczyłem dopiero w komisji weryfikacyjnej.

Pytam, bo wielu lokalnych działaczy i aktywistów narzeka, że przyszedł Jaki i pozuje na szeryfa, ale na blokadach eksmisji nigdy go nie widzieli.

Wielokrotnie dziękowałem przedstawicielom organizacji społecznych za aktywność. Zawsze mi się wydawało, że ich przekaz był taki: jesteście rządem, to coś z tym zróbcie! No to zrobiłem!

Ustawy reprivatyzacyjnej Pan nie przeforsował.

W tej sprawie nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa.

Jakieś miłe słowo o konkurencie na ostatniej prostej kampanii? Jego ojciec był świetnym muzykiem.

To w stylu dykteryjki Trzaskowskiego, że „ceni Jakiego, bo był w Platformie”.

No dobrze: jest przystojny.

A politycznie?

Ma wiedzę europejskiego biurokraty, czyli takiego śpiącego misia. W sam raz na Brukselę, nie na Warszawę, czyli miasto z charakterem. ©

Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

PATRYK JAKI jest kandydatem Zjednoczonej Prawicy na prezydenta Warszawy, posłem od 2011 r., po wyborach 2015 r. został sekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, a w 2017 r. szefem komisji weryfikacyjnej ds. reprivatyzacji.

Miasto bez dyskusji

MARIUSZ SEPIOŁO

Jedynе kino w Ostrołęce na razie nie zagra „Kleru”. Opozycja w samorządzie zarzuca prezydentowi, że to nie pierwszy raz, gdy chce wychowywać mieszkańców.

NA PARKINGU PRZED OSTROŁECKIM Centrum Kultury stoi kilka autokarów. W jednym można oddać krew w szlachetnym celu. Harcerze z ZHR mają w ten weekend swoje święto. Północno-wschodnia chorągiew ZHR otrzymała sztandar i imię św. Michała Archanioła. Wieczorem na scenie wystąpi Luxtorpeda.

Jeśli ktoś by chciał, może się w tym samym budynku, w kinie Jantar pośmiać na polskiej komedii ze znanym aktorem. Albo zabrać rodzinę na historię o czarnoksiężniku. Jeśli ktoś chciałby przekonać się na własne oczy, czy nowy film Wojciecha Smarzowskiego jest próbą naprawy polskiego Kościoła, będzie musiał wybrać się do Łomży.

Pośmiewisko

Paweł Zakrzewski wystartuje w wyborach z list Koalicji Obywatelskiej, bo złożył go ostatnie 12 lat rządów PiS-u w Ostrołęce.

– Pierwsze głosy w tej sprawie doszły do mnie na początku sierpnia, kiedy mieszkańcy zaczęli się dopytywać o zorganizowanie wspólnego wyjazdu na seans „Kleru” np. do Warszawy. Zanim jeszcze ukazał się repertuar kina Jantar – mówi Zakrzewski. – Ten problem nie jest sztucznie wyolbrzymiany przez media, mieszkańcy naprawdę chcą mieć możliwość wyboru. Dotykają ich zapędy dyktatorskie władz miasta. Prezydent-teolog zapomina, że Pan Bóg dał człowiekowi wolną wolę i umiejętność odróżniania dobra od zła. Narzucanie innym swojego światopoglądu, wprowadzanie zakazów tam, gdzie władzy się coś nie podoba, jest nie do zaakceptowania.

8 sierpnia Zakrzewski opublikował na portalu społecznościowym link do zwiastuna filmu „Kler”. I napisał: „Raczej w Ostrołęce nie zagrają, a szkoda”.

– Nie było to wróżenie z fusów, tylko logiczne rozumowanie – mówi. – Już wcześniej produkcje niepasujące do katolickiej narracji władz Ostrołęki były bojkotowane. Stało się z filmami takimi jak „50 twarzy Greya”, „W imię” czy „Pokłosie”. Głośno natomiast promowano „Smoleńsk”.

Na fanpage’u „Memołka”, który polubiło prawie 13 tys. osób, pojawił się niedawno obrazek przedstawiający prezydenta Ostrołęki jako filmowego „Dyktatora” z filmu Sachy Barona Cohena.

– Kiedy w Jantarze zablokowano „50 twarzy Greya”, zarząd kina ogłosił, że to dystrybutor filmu postawił żądane warunki finansowe. Potem urzędnicy musieli się z tego wycofywać i przeproszać – pamięta Bartosz Truszkowski, ostrołęczanin, od niedawna szef koła Nowoczesnej w Ostrołęce, doktorant z historii prawa administracyjnego na Uniwersytecie w Białymstoku. Też startuje z list Koalicji. Dodaje: – Dziś widzę, że władze również idą w zaparte i wystawiają nasze miasto na ogólnopolskie pośmiewisko.

Nieugięty

Pani Ola wychodzi z zakupami ze sklepu, który mieści się w tym samym budynku co kino Jantar, i spieszy się do domu. Wie, o co zapytam, uśmiecha się serdecznie, chociaż mówi o rzeczach poważnych. – My sobie z mężem i tak obejrzymy – stwierdza. – Tyle że tu nie chodzi o ten konkretny film. Chodzi o zasady. Władze mają nas chyba za głupków. Ale ludzie nie są tacy prości, jak politykom się wydaje. Nie jesteśmy ciemnym ludem. Czujemy się poniżeni.

Starsza pani, która wyszła na spacer z wnuczkami, nawet o „Klerze” nie chce słyszeć. „To jest zgroza” – mówi i uznaje, że dziennikarze i tak napiszą, co będą chcieli. Ale filmu nie widziała.

→ Niechętni prezydentowi Ostrołęki wypominają mu jego przeszłość. Janusz Kotowski skończył studia filozoficzne i teologiczne na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Pracował jako katecheta, m.in. w Społecznym Liceum Ekonomicznym w Ostrołęce, które współtworzył. W 1998 r. wszedł do lokalnej polityki, został radnym, a potem wicemarszałkiem województwa. W 2016 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Od 12 lat rządzi Ostrołęką.

Dziennikarz Krzysztof Chojnowski pracuje 200 m od wejścia do OCK. Lokalną politykę obserwuje od wielu lat. Od 2003 r. współtworzy portal Moja Ostrołęka. Jako pierwszy napisał o braku „Kleru” w repertuarze ostrołęckiego kina. – Prezydent Kotowski jest bardzo dobrym mówcą, zawsze podkreśla wartości – mówi Chojnowski. – Na konwencji PiS Jacek Sasin powiedział o Kotowskim, że to „człowiek idei”. To prawda, ale przede wszystkim to człowiek prostej polityki i rządzenia żelazną ręką. Słynie z tego, że podejmuje decyzje samodzielnie. Chce mieć wpływ na wszystko. Jest nieugięty, narzeka na media i krytykę, nigdy nie zmienia raz podjętej decyzji. Sytuacja z „Klerem” nie jest dla niego powodem do wstydu, to jego osobisty sukces. W jego opinii nie można pozwalać na takie filmy. „Takie”, czyli niepasujące do jego religijnych poglądów.

Chojnowski jako dziennikarz obserwuje sesje rady miasta. Według niego prezydent Kotowski „nienawidzi sprzeciwu”. – Przykładów jest wiele. W 2009 r. wymyślił, że zmieni nazwy ulic, które mają komunistycznych patronów. Jeden z radnych PiS wyłamał się podczas głosowania. Mieszkańcom obiecał, że nie będzie popierał zmiany nazwy ich ulicy. Został wyrzucony z klubu PiS, nie pojawił się na listach prawicy w kolejnych wyborach – opowiada dziennikarz. Sprawdzam: w 2009 r. jeden z radnych PiS swoim odrębnym głosem tak zaskoczył kolegów, że ci zarządzili godzinną przerwę, by radnego przekonać. Bez skutku. W 2011 r. rzeczywiście został z szeregów partii wykluczony.

– Prezydent podczas sesji wypomina radnym, jak głosowali w poprzednich kadencjach. Potrafi przypomnieć, jak dany radny głosował nawet osiem lat temu – twierdzi Krzysztof Chojnowski. – Stale poucza, moim zdaniem nie lubi dyskusji i pytań, akceptuje tylko podporządkowanie.

– Przez 12 lat prezydentury Kotowski wielokrotnie pokazywał, że do końca nie

wyszedł ze swojej wcześniejszej roli i próbuje na siłę umoralniać ludzi – twierdzi Bartosz Truszkowski. – Pokazuje też, że nie chce, żeby miasto było dla wszystkich, dla ludzi o różnych poglądach. Moim zdaniem według niego ludzie myślący inaczej powinni z Ostrołęki wyjechać. Jedyne kino w mieście administrowane jest przez Ostrołęckie Centrum Kultury, które podlega bezpośrednio urzędowi miasta. Dla mnie to oczywiste, że wszelkie polecenia płyną z góry. Zastanawiam się jedynie: czy administracja kina ma jakąś rozpiskę kryteriów, w których może zmieścić się film? Czy może w każdym przypadku urzędnicy dzwonią do ratusza?

Zbitka

Łukasz Kulik jest radnym i jednym z kandydatów na prezydenta Ostrołęki w najbliższych wyborach. Wystartuje z list komitetu Ostrołęka dla Wszystkich. – Myślę, że w całej sprawie najważniejszą rolę odegrała nadgorliwość. Czyja, do końca nie wiadomo – mówi Kulik. – Za repertuar kina odpowiada dyrektor OCK, a nie prezydent miasta, o czym zresztą sam prezydent napisał na swoim profilu na Facebooku. Nie dowiemy się również, czy były w tej sprawie naciski z ratusza, bo gdyby nawet były, to raczej nieoficjalne. Nie zmienia to jednak faktu, że obecny prezydent ma wpływ na działanie tej i innych podległych mu instytucji, i wykorzystuje je zgodnie z własnym przekonaniem.

– Coś takiego jak „autonomia” jest dla nich [środowiska PiS – przyp. red.] abstrakcyjną zbitką liter ze słownika – twierdzi Bartosz Truszkowski. – Każda, nawet najbardziej błaha decyzja musi przejść przez urząd miasta. Może nie na najwyższym szczeblu, wszystkiego „przyklepać” nie musi sam prezydent, ale za to wszystko musi przejść przez lokalną „śmietankę” PiS. Podejrzewam, że i repertuar kina jest po prostu ustalany z urzędem miasta. Na zasadzie: tego filmu puśćcie więcej, a tego w ogóle nie puszczajcie.

Radni powtarzają, że przypadek „Kleru” nie był pierwszy. Pytam więc, kto i co zrobił, by sytuacja się nie powtórzyła? Czy w Ostrołęce radni nie mają narzędzi, by wpływać na decyzje władzy wykonawczej?

Adam Kurpiewski: – Takie pytania słyszę bardzo często. Irytuje mnie to, żyjemy w demokracji, a demokracja to rządy większości. Najlepiej widać to w obecnym Sejmie, gdzie głos opozycji nie ma żad-



nego znaczenia, w Ostrołęce „ćwiczymy” taką arogancję władzy od 12 lat. Osobiście uważam, że każdy powinien mieć możliwość wyboru, a sprawy światopoglądowe czy religijne to prywatna sprawa każdego z nas, ale w radzie miasta mamy 23 radnych, a do opozycji można zaliczyć góra pięcioro. Cała reszta niezależnie od przynależności do klubu czy haseł, z jakimi szła do wyborów, w większości przypadków popiera bezkrytycznie prezydenta. Jedyne, co możemy zdziałać jako opozycja, to wygłaszać oświadczenia czy sprzeciw na sesjach rady miasta, ale żadna uchwała nie zostanie podjęta wbrew ich woli. Więcej zdziałamy, mobilizując mieszkańców w mediach społecznościowych oraz informując niezależne media, które wywierają wpływ na władzę. Moim zdaniem, jeśli ta władza wygra kolejne wybory, doczekamy się dużo więcej przykrych dla mieszkańców decyzji i nie chodzi tylko o repertuar kina, ale np. o sprzedaż alkoholu. Możemy zostać pierwszym „miastem wyznaniowym” w Polsce.

Radnych PiS z Ostrołęki też pytam o sprawę „Kleru”. Nie zdecydowali się na komentarz. Pytałem też polityków niezwiązanych z żadną ze stron centralnego politycznego sporu – cisza.



Piotr Gliński na budowie Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce, październik 2017 r.

łęce odczuwa się zmęczenie obecną ekipą. Słychać to na ulicach, widać na forach internetowych, przebrzmiewa to w lokalnych mediach. Przez 12 lat mogli tu stworzyć Eldorado, rzadko która ekipa ma tyle czasu i swobody. Ale ja efektów nie widzę. Widzę za to życie z dnia na dzień, bez inwestycji, bez planu, bez marzeń.

– Ostrołęka to fajne miasto – dziennikarz Krzysztof Chojnowski trochę ironizuje. – Bez dużego ruchu, bez korków, z zielenią. Krytykowane za architektoniczny miszmasz, markety przypominające obory powstające na osiedlach. Borykające się z tymi samymi problemami, co setki miast w Polsce: wyjazdem młodych ludzi do dużych ośrodków, brakiem kultury na wyższym poziomie. Praktycznie pozbawione turystyki, będące przystankiem przejazdowym na Mazury lub Podlasie. Z mojej perspektywy najbardziej uderzające w rządach obecnych władz ratusza jest jednak to, że nie ma tu miejsca na dyskusję. Można być albo „podporządkowanym”, albo „totalną opozycją”. Prezydent Kotowski bezkompromisowo korzysta z prawa nazywania rzeczy i zjawisk: dla niego wszystko jest czarno-białe.

FILIP BŁĄŻEJOWSKI / GAZETA POLSKA / FORUM

Wojciech Dorobiński, rzecznik prasowy urzędu miasta, mówi mi, że „od początku do końca” brak filmu Smarzowskiego w repertuarze był decyzją kierownictwa kina. Dyrektora OCK Bogdana Piątkowskiego i kierownika kina Jantar Janusza Pasztalenieca pytam więc o to samo: dlaczego nie pojawił się w repertuarze? – Film „Kler” jest przez Ostrołęckie Centrum Kultury traktowany tak samo jak każdy inny tytuł wchodzący na ekrany kin – mówi Bogdan Piątkowski. – Każdego miesiąca pojawia się około 30 nowych filmów, my dajemy radę wyświetlić 15-20. Czy to też jest cenzura? Podkreślam: wybór repertuaru jest zawsze naszą i tylko naszą decyzją.

Co na nią wpłynęło? – dopytuje. Bogdan Piątkowski tego nie wyjaśnia.

Prezydent Janusz Kotowski powiedział „Tygodnikowi Ostrołęckiemu”: „Atak na moją osobę w związku z filmem »Kler« uznaję za przede wszystkim atak polityczny. Nigdy nie ustalałem repertuaru kina. To nie są moje zadania. Prezydent miasta jest od tego, aby funkcjonowało Ostrołęckie Centrum Kultury, żeby starczyło grosza na jego podstawowe zadania, a nigdy od rozwiązań systemowych czy technicznych”.

Dom

Mówią mi: w mieście, w którym ponad głowami ludzi zapadają decyzje o ich sumieniu, żyje się ciężko. Mówią: nie tylko chlebem człowiek żyje. Codziennosc staje się znośna, dzisiaj praca nieraz szuka człowieka. Mówią: byłoby naprawdę dobrze, gdyby nie...

– Brak jakiegoś filmu w kinie może nie obniża drastycznie standardu życia w Ostrołęce, ale kiedy zbierze się do kupy te wszystkie nachalne i propagandowe działania na przestrzeni ostatnich lat, to obraz tego miasta jest smutny – mówi Bartosz Truszkowski. – Ludzie stąd wyjeżdżają, głównie z powodu braku perspektyw na dobre zatrudnienie i takie stanie w miejscu, ale myślę, że wizerunek miasta też ma duże znaczenie.

Truszkowski został. Wrócił po studiach i planuje tu pracować. Angażuje się w politykę, chce zmieniać otoczenie. Po co? – Nie wykluczałem decyzji o wyjeździe, ale zawsze była to dla mnie opcja raczej odległa – tłumaczy. – To jest po prostu mój dom, a o dom trzeba dbać. Nie można się obrazić, że jest źle zarządzany, trzeba wziąć sprawę w swoje ręce. Tak, moim zdaniem Ostrołęka może się zmienić. Choć parę razy już się na optymizmie przejechałem. W Ostro-

Kompleksy

„Łomża bez kompleksów” – taką kampanię prowadzi miejscowa Koalicja Obywatelska. Z Ostrołęki jadę tu 25 minut; przed kinem Millenium ostrymi kolorami mieni się plakat filmu. Przed premierą mieszkańcy Ostrołęki skrzykiwali się na wyjazd. Niektórzy moi rozmówcy uznali, że trochę poczekać, bo dystrybutor ogłosił, że zrobi w mieście specjalny pokaz.

W dniu premiery wszystkie seanse były wyprzedane. Zresztą wystarczy spojrzeć do rozpiski: biletów nie ma na tydzień, półtora do przodu. – Pan oglądał? I jak? Słyszałam, że ostatnia scena bardzo mocna – pani zapalają się oczy. Obok mieszkaniaczkę Łomży rezerwuje cztery bilety, ale na „Kamerdynera”. – Na „Kler” nie ma sensu próbować, za duże obłożenie – mówi. – Obejrzę sobie później, na spokojnie, może w internecie. O Ostrołęce słyszałem – to na pewno zła decyzja. Wczoraj pod kinem stało sporo samochodów z ostrołęcką rejestracją. Ludzie powinni sami wyrobić sobie zdanie.

W dzień premiery w niektórych kinach musiało być po 20 seansów dziennie. W repertuarze ostrołęckiego kina Jantar na październik „Kleru” ciągle nie ma.

© MARIUSZ SEPIÓŁO

ANNA

Dziewit-Meller: Magia liczb



DZIWNE RZECZY DZIEJĄ SIĘ W MIEŚCIE, JESIEŃ – czas Dziadów nadchodzi, lecą do Polski znów te duchy lekkie, pośrednie i ciężkie, Guślarz ma ręce pełne roboty. „Podajcie mi garść kądzieli, / Zapalam ją; wy z pośpiechem, / Skoro płomyk w górę strzeli, / Pędźcie go z lekkim oddechem. / O tak, o tak, dalej, dalej, / Niech się na powietrzu spali. (...) Mówcie, komu czego braknie, / kto z was pragnie, kto z was łaknie”.

Użytkownik Facebooka, pan Sebastian, dostrzegł niedawno interesującą grupkę nieco zbłąkanych, a na pewno zabłąkanych dusz w jednej z dzielnic Warszawy. Tułały się owe dusze w poszukiwaniu urzędu owej dzielnicy, celem – jak mu ponoć rzekli – dopisania się do rejestru wyborców na nadchodzące wielkimi krokami wybory samorządowe.

Pan Sebastian poproszony przez dusze o wskazanie drogi do celu drogę ową wskazał, niemniej nabrał pewnej podejrzliwości, co to za mieszkańcy, którzy nie wiedzą, gdzie mają swój urząd, zwłaszcza że od urzędu owego stali – jak twierdzi – może ze 200 metrów. Mieli oni wszyscy – zdaniem czujnego obywatela – otwarcie przyznawać się do popierania Partya Jakiego.

Zaalarmowany wpisem pana Sebastiana portal Onet.pl sięgnął zatem po statystyki stołecznego Ratusza i wyszło mu, że od początku tego roku do rejestru wyborców dopisało się 9155 osób. Dla porównania w roku poprzednich wyborów samorządowych – pamiętnym 2014 – do rejestru wyborców dopisały się tylko 4354 osoby. Co jeszcze ciekawsze jednak – od początku 2018 r. do 12 sierpnia do urzędów wpłynęło ledwie 365 takich wniosków, natomiast tylko od 13 sierpnia do 9 października w rejestrze pojawiło się 8790 osób. „To zaskakująca dynamika w stosunku do analogicznego okresu przed poprzednimi wyborami samorządowymi. Pojawia się pytanie, czy nie są to zorganizowane działania, mogące mieć wpływ na ostateczny wynik głosowania” – skomentował w Onecie Bartosz Milczarczyk, rzecznik stołecznego Ratusza. Sztab Patryka Jakiego od-

rzekł na to, ustami swego rzecznika Ozdoby, że to „absurdalne insynuacje”, i że nikogo (wbrew temu, co twierdzili przytaczani przez pana Sebastiana Ludzie Szukający Urzędu Dzielnicy) do Warszawy autobusami nie zwożą. A jak jest naprawdę – to się pewnie okaże.

Tymczasem w Ameryce z dopisywaniem się do list wyborców też niewąska historia. Oto bowiem znana z wymownego milczenia w sprawach politycznych amerykańska bogini popkultury, czyli Taylor Swift, na swoim śledzonym przez bagatela 123 miliony ludzi koncie na Instagramie zaapelowała do fanów, by ruszyli tyłki i poszli na zbliżające się wielkimi krokami wybory uzupełniające do obu izb Kongresu. Sama zaś swojego wyraźnego poparcia udzieliła kandydatom Demokratów, w tym byłemu gubernatorowi stanu Tennessee, czyli miejsca gdzie – jak pisze – będzie głosowała 6 listopada.

Dotychczasowe milczenie tej najbardziej popularnej piosenkarki i gwiazdy pop w Ameryce czyniło z niej domniemaną maskotkę wielu grup – w tym także tych ultrapravicowych. Cisza, jaką utrzymywała w sprawach dotyczących polityki, rozstrzygana była przez liczne środowiska na korzyść Donalda Trumpa. Skoro milczy, to wiadomo – milczy wymownie i milczy dla prezydenta. Tymczasem – zdrada, szok i cios. Donald Trump zresztą zareagował dość osobliwie na tę hiobową wieść, rzekł bowiem: „Od teraz o 25 procent mniej lubię jej piosenki”.

A skoro już przy liczbach jesteśmy (całkiem *à propos* obaw pana Sebastiana, przewodnika po Warszawie dla niezaawansowanych) – ów wpis piosenkarki spowodował, że w ciągu zaledwie jednej doby do rejestru wyborców za pośrednictwem strony vote.org dopisało się, bagatela – 65 tysięcy osób. W 24 godziny! Dla porównania – w całym sierpniu 2018 r. do rejestru przystąpiło tą drogą 56 699 nowych wyborców. I to są dopiero osiągi, a nie jakieś tam wycieczki autokarowe do stolicy.

Inicjatywa, by wzywać do rejestrowania się w spisach wyborczych, nie powinna jednak umknąć żadnej ze stron wyborczego wyścigu, zwłaszcza jeśli wizję rozciągane przez pana Sebastiana to coś więcej niż jakieś jesienne strachy na Lachy. Nie mając bowiem – w przeciwieństwie do szanownego nowego kolegi redakcyjnego Rafała Wosia – za grosz przekonania o możliwości budowy cegółowiek z PiS-em, ot choćby „demokratycznego socjalizmu”, o którym tak żarliwie pisał swego czasu, zachęcam was – niczym blondwłosa bogini amerykańskiej muzyki pop i królowa Instagrama – idźcie na te cholerne wybory, a jeśli nie ma was w spisie – o wy, liczne warszawskie słoiki, weki, krauzy i inne osoby – to się weźcie zapisać. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają

KOSZALIN

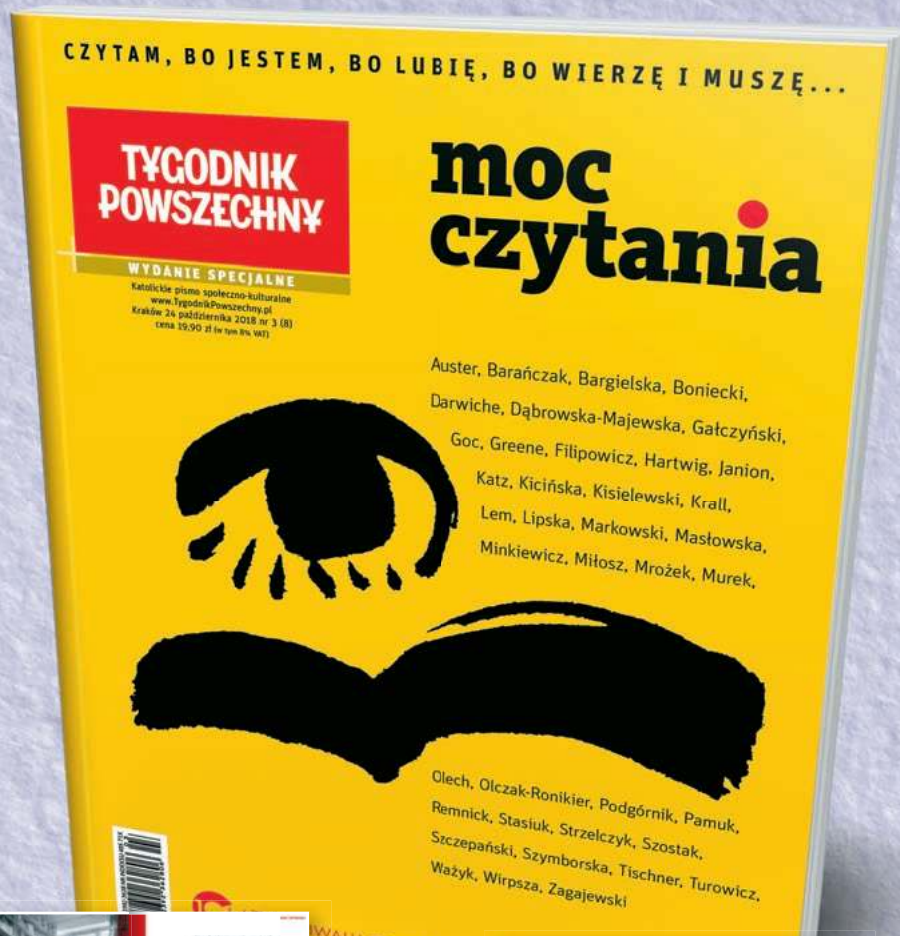
■ **czwartek, 18.10, godz. 18.00**
Spotkanie „Postługa kapelana wojskowego podczas misji zagranicznych”. Gościem będzie ks. ppłk dr Mariusz Śliwiński.
Miejsce: salka przy katedrze (ul. Chrobrego 7).

ŁÓDŹ

■ **czwartek, 25.10, godz. 19.00**
Spotkanie „Emancypantki. Kobiety, które zbudowały Kościół”. Gościem będzie Zuzanna Radzik.
Miejsce: Dom Literatury (ul. Roosevelta 17).

SŁUPSK

■ **środa, 17.10, godz. 17.00**
Spotkanie „Nadstaw drugi policzek”. Gościem będzie ks. prof. Janusz Lemański.
Miejsce: Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3).



Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Maślowska, Miłosz, Mrozek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania” dostępna już od 24 października
w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą

MISTYCZNA PRZYSZŁOŚĆ EUROPY

Kryzys katolicyzmu na Starym Kontynencie jest faktem. Jaka czeka go przyszłość? W cyklu tekstów o Kościele w krajach europejskich próbowaliśmy zdiagnozować sytuację. Oto podsumowanie.

JAREMA PIEKUTOWSKI

ROK 2063, NIEWIELKIE MIASTO W ALPACH. Religia dla większości mieszkańców jest tylko reliktem przeszłości. Pięć gotyckich kościołów – dawniej pięknych, zdobionych, wyposażonych w drogie sprzęty – w ostatnich latach zamieniono na sale konferencyjne, dyskoteki, hale targowe. Czyżby spełniał się czarny sen kościelnych konserwatystów z początku XXI w.? Jednak nie do końca. Szósty, niepozorny kościół pod wezwaniem św. Benedykta tętni życiem. Wśród areligijnych mieszkańców coraz większe zainteresowanie budzi niewielka wspólnota rzymskich katolików. Na początku kilkanaście osób spotykało się w podziemiach kościoła

i czytało regułę św. Benedykta, dziesięć lat po tym, jak zmarł ostatni miejscowy proboszcz. Ksiądz w mieście nadal nie ma – przyjeżdża raz na tydzień odprawić mszę, ale całą parafią zajmują się świeccy na zasadzie „ekonomii współdzielenia” – każdy wnosi swoje zasoby i możliwości. Prowadzą wychowanie religijne dzieci, odprawiają nabożeństwo, zajmują się administracją. Sąsiedzi uważali członków wspólnoty za dziwaków, dopóki nie zauważyli, że członkowie grupy faktycznie żyją swoją duchowością i trzymają się swoich zasad. Niewielka grupka urosła na przestrzeni kilku lat już do tysiąca osób.

Czy tak może wyglądać europejski Kościół przyszłości, jak przedstawia to Rod Dreher, autor książki „Opcja Benedykta. Jak przetrwać czas neopogaństwa”? By na to odpowiedzieć, najpierw trzeba zdiagnozować sytuację. Próbę takiej diagnozy podjął „Tygodnik Powszechny”, przywołując słowa Franciszka wypowiedziane w 2014 r. w Parlamencie Europejskim w Strasburgu. Papież porównał wtedy Europę do „babci, która nie jest już płodna i nie tętni życiem”. I choć Franciszek miał na myśli przede wszystkim kryzys unijskich instytucji, to można zasadnie pytać, czy jego słowa pasują także do sytuacji w europejskim Kościele. Portrety Kościo-

SOFIE DELAUN / IMAGE SOURCE / EAST NEWS





Florencja, maj 2013 r.

łów w wybranych europejskich krajach – we Włoszech, Irlandii, Czechach, Francji i Niemczech (zobacz: powszech.net/koscioly-europy) – wskazują na to, że taka diagnoza w dużej mierze jest trafna. A jednak spojrzenie z lotu ptaka na europejską religijność budzi także nadzieję.

Pogłoski o kryzysie

Od wielu lat, zwłaszcza w kręgach konserwatywnych, mówi się o głębokim kryzysie Kościoła w Europie i na świecie. Kryzys katolicyzmu masowego jest faktem, a jednak nie jest aż tak źle, jak by się wydawało. Przede wszystkim na Europę należy patrzeć jako na część Kościoła świa-

towego. Ani liczba, ani odsetek katolików na świecie w ostatnich latach nie maleje. Dane agencji Fides z 2002 r. wskazywały, że w całej światowej populacji katolicy stanowili 17,2 proc. (i było ich 1,07 mld), a według najnowszych danych (za 2015 r., opublikowanych w 2017 r.) jest ich na świecie 17,7 proc. (1,3 mld). Faktycznie, jedynymi kontynentami, na których następuje w ostatnich latach spadek liczby katolików, są Europa i Ameryka Północna wraz z Południową. Jednak statystyki nie wskazują na znaczący ogólnoswiatowy kryzys i fale ateizmu. Nawet w samej Europie udział katolików w ogólnej liczbie mieszkańców w 2002 r., podobnie

jak w 2015 r., wynosił 39,9 proc. (spada także liczba mieszkańców Starego Kontynentu). Natomiast jeżeli spojrzymy na Kościół światowy jako na całość, to dostrzeżemy, że słabości w jednych miejscach mogą być równoważone rozwojem w innych. Niewykluczone, że Europa stanie się wkrótce terenem misyjnym, jakim dotąd była Afryka czy Azja.

Czy z punktu widzenia całości Kościoła taką sytuację można uznać za złą? Z pewnością prowadzi ona do lokalnych problemów. W Europie zaczyna brakować kapłanów. Edward Augustyn i Tomasz Kycia opowiadają o problemach parafii włoskich, które często nie są obsadzone ➔

→ księżmi, i niemieckich, które coraz częściej są restrukturyzowane, łączone, a proboszczowie objeżdżają kilka filii. Coraz więcej księży w Europie Zachodniej pochodzi spoza Starego Kontynentu (Indie, Nigeria) lub z jego wschodnich rubieży. Może to prowadzić do nieporozumień związanych z różnicami kulturowymi, ale z drugiej strony różnorodność pochodzenia księży może wzbogacać skostniałe nieraz europejskie struktury kościelne o nowe elementy, a może nawet nowego ducha, podobnie jak świeży powiew przyniósł światowemu Kościołowi papież z Argentyny. Może więc powinniśmy pogodzić się z tym, że Europa jest coraz częściej terenem misyjnym, zwłaszcza w świetle historii pierwszych chrześcijan i szybkiego rozwoju Kościoła w początkowych 300 latach jego istnienia. Rozwój ten zawdzięczamy przecież właśnie skutecznym misjom.

Czemu maleje liczba księży?

Według statystyk Fides jedynie w Europie i w Ameryce rośnie liczba katolików przypadających na jednego księdza (choć jest ich i tak znacznie mniej niż w dynamicznie rozwijających się Kościołach Afryki czy Azji). Tych danych nie należy lekceważyć. – Przez pewien czas mówiło się, że choć liczba spada, to poprawia się jakość, że do zakonów idą ludzie bardziej świadomi – mówi o. Piotr Lamprecht, augustianin, duszpasterz, obecnie pracujący w Krakowie, a dawniej w Szkocji i USA. – Niestety tak nie jest. Często do wspólnot zakonnych wchodziły osoby niedojrzałe i nadwrażliwe na zranienia, i rezygnują, kiedy tylko coś nie idzie po ich myśli.

Europę od lat dotyka kryzys kultury chrześcijańskiej oraz jej społecznego umocowania. Mylą się jednak ci, którzy odpowiedzialność za ten stan rzeczy przypisują przede wszystkim zewnętrznym wrogom i zagrożeniom duchowym płynącym z laickiej, postświeceniowej kultury. Warto w tym miejscu przywołać kontekst cytowanej na wstępie wypowiedzi Franciszka w Strasburgu o „niepłodnej babci”. Mówił on o tym, że „rośnie nieufność obywateli do instytucji uznawanych za odległe, zajmujące się ustanawianiem przepisów postrzeganych jako dalekie od wrażliwości poszczególnych narodów, jeśli nie wręcz szkodliwe”. Jako przyczynę „niepłodności” wskazywał zmęczenie, które spowodowane jest tym, że „wielkie ideały, które inspirowały Europę, straciły siłę przycią-

Możliwe, że w niektórych krajach Europy
kryzys Kościoła musi sięgnąć jeszcze głębiej,
by realne było odrodzenie,
wsparte głębokim duchowym głodem.

gania, zostały zastąpione przez biurokratyczne mechanizmy techniczne swoich instytucji”.

Jednym z czynników zniechęcających szczególnie Europejczyków do Kościoła jest właśnie dystans i skostnienie instytucji, która postrzegana jest bardziej jako odległa od ludzi i ich wrażliwości struktura niż żywa wspólnota. Nakłada się na ten problem ogólny kryzys masowych, międzynarodowych instytucji (zwłaszcza tych świeckich, takich jak Unia Europejska). Najmocniej nuta nieufności do instytucji i struktur wybrzmiała w artykule Tomasa Maćkowiaka o kościele w Czechach. Nie należy się dziwić, że gdy zmniejsza się zaufanie do instytucji, pierwszym wskaźnikiem jest coraz rzadsze włączanie się w jej formalne struktury – a tym także (poza wymiarem mistycznym) jest kapłaństwo.

Teolożka i publicystka Zuzanna Radzik również zauważa problem. – Znani mi księża z różnych stron świata coraz częściej czują się niewolnikami Kościoła. Codziennie są w podróży, codziennie śpią w innym łóżku, nie spodziewali się takiego obrotu sprawy.

W obliczu kryzysu należy zadać pytanie, jak powinny dziś funkcjonować parafie. Z pewnością drogą wyjścia jest zwiększenie roli świeckich. – W Niemczech świeckie kobiety i mężczyźni, pracownicy diecezji, są administratorami parafii i prowadzą nabożeństwa. W wielu krajach parafie są łączone w duże organizmy, a świeccy kierują duszpasterstwami, rozdają komunię, prowadzą pogrzeby.

Jednak to nadal jest odpowiedź na brak. Uzupełnia się niedostatek księży, ale wciąż nie ma pozytywnej wizji tego, jak ma wyglądać parafia z dowartościowanymi świeckimi. Współczesne trudności z powołaniami kapłańskimi odsyłają także do historii. – Kościół obecny kształt

teorii o święceniach i roli kapłanów wypracowywał tak naprawdę w II tysiącleciu – mówi Radzik. – Wczesne chrześcijaństwo zna dużo więcej ról osób niekonsekrowanych, wystarczy wspomnieć choćby 16 rozdział Listu do Rzymian wskazujący całą listę świeckich, którzy robią mnóstwo rzeczy w Kościele w Rzymie.

Być może realny jest także większy udział świeckich w posłudze sakramentalnej. Wśród pierwszych chrześcijan biskupa (którego „typ idealny” opisuje św. Paweł w 1 Liście do Tymoteusza: nie-naganny, mąż jednej żony, trzeźwy itp.) wybierała starszyzna, a wspomagali go diakoni. I o ile liczba księży w Europie spada, to rośnie (choć powoli) liczba diakonów stałych, zwłaszcza w Ameryce. Być może należałoby więc kryzys powołaniowy postrzegać nie jako drogę do upadku Kościoła, ale jako sygnał do zmian w formie kapłaństwa, ale nie w jego treści. Zmiana taka musi jednak zostać przeprowadzona roztropnie, tak aby Kościół nie stał się jeszcze jedną organizacją pozarządową, i aby to raczej świeccy mogli przybliżyć się do tajemnicy powszechnego kapłaństwa, dotychczas w dużej mierze zachowanej dla księży.

Stawiany jest postulat udzielania święceń kapłańskich tzw. *viri probati*, „wypróbowanym mężom” – mężczyznom zarówno niezłatym, jak i żonatym o nieposzlakowanej opinii. Dyskusję na ten temat na nowo rozbudził Franciszek, udzielając w 2017 r. wywiadu tygodnikowi „Die Zeit” i w świetle problemów z powołaniami jest ona dziś szczególnie ważna.

Mistyka w przyszłości

Karl Rahner powtarzał: „Chrześcijanin przyszłości będzie mistykiem, albo nie będzie go w ogóle”. Jeżeli coś przyciąga Europejczyków do Boga, to jest to głębokie doświadczenie duchowe. Pisze o tym Anna Garycka, wskazując, że „w Kościele nad Sekwaną liczy się autentyczność przeżycia”; pisze o tym także w kontekście mniejszościowego, czeskiego katolicyzmu Tomasz Maćkowiak. W ciągu ostatnich 20 lat pojawiło się wiele doniesień o lokalnym odradzaniu się życia monastycznego, zakonów kontemplacyjnych, o poszukiwaniu ciszy i medytacji w niestabilnym współczesnym świecie, czego symbolem stał się kilkanaście lat temu sukces filmu Philipa Gröninga „Wielka cisza”. W 2014 r. na łamach „The Telegraph” John Bingham wskazywał na trzykrotne zwiększenie

liczby Brytyjczyków składających śluby zakonne.

Głęboka duchowość wydaje się statystycznie mniej zaciekać w krajach, w których katolicyzm jest jeszcze żywy i obecny w kulturze (przykład opisywanej przez Teresę Stylińską Irlandii), a bardziej np. w silnie zsekularyzowanych Czechach. Wspominane już wcześniej misje pierwszych chrześcijan odnosiły skutek, gdyż prowadzone były przez chrześcijan niesionych mocą własnego, głębokiego doświadczenia na terenach, na których takiego doświadczenia brakowało. Możliwe, że w niektórych krajach Europy kryzys musi sięgnąć jeszcze głębiej, by realnie było odrodzenie. Z pewnością odnowy tej jednak nie spowodują próby instytucjonalnych nacisków, mających nakłaniać do chrześcijaństwa – za przykład może posłużyć tu Polska, gdzie przejawy sojuszu tronu z ołtarzem wcale nie powodują wzrostu religijności, a wprowadzenie religii do szkół nie doprowadziło do wychowania bardziej religijnego pokolenia.

Według omawianego już w „Tygodniku Powszechnym” raportu Pew Research Center pt. „The Age Gap in Religion Around the World” w porównaniu do innych krajów Unii Europejskiej Polska przoduje w niechlubnej (dla Kościoła) statystyce „luki wiekowej”, jeśli chodzi o praktyki religijne – różnica między odsetkiem dorosłych w wieku 40 i więcej lat, uczestniczących w praktykach co tydzień, a odsetkiem praktykujących w młodszej grupie (poniżej 40. roku życia) jest w Polsce większa niż we wszystkich innych krajach UE.

Dane z raportu zdają się potwierdzać tezę, że kryzys praktyk religijnych i kryzys instytucji kościelnych w Europie nie musi oznaczać upadku religijności w ogóle. Badani byli pytali o utożsamianie się z religią, uczestnictwo w praktykach, codzienną modlitwę i przywiązywanie wagi do religii. O ile regularne uczestnictwo w praktykach religijnych faktycznie przechodzi w Europie znaczący kryzys, o tyle nadal istnieje silna potrzeba modlitwy, a wiele osób przywiązuje do religii dużą wagę. W państwach takich jak Grecja, Rumunia, Chorwacja, Portugalia czy Holandia odsetek przywiązujących dużą wagę do religii jest znacząco większy niż odsetek praktykujących co tydzień. W Polsce, Włoszech czy Francji sytuacja jest wręcz odwrotna – tradycyjne praktykowanie pozostaje zwyczajem, ale nieraz nie jest wypełnione treścią.

Niewykluczone, że Europa stanie się wkrótce terenem misyjnym.

Czy z punktu widzenia całości Kościoła taką sytuację można uznać za złą?

Na podstawie danych Pew Research można także wyliczyć wskaźnik luki między odsetkiem osób modlących się codziennie i osób praktykujących. Dowodzi on, że w wielu krajach praktyka modlitwy osobistej jest silniejsza od praktyk zbiorowych, i do krajów tych należą nie tylko zasadniczo silne religijnie Rumunia, Chorwacja czy Grecja, ale również kojarzone z sekularyzacją kraje takie jak Finlandia (tylko 4 proc. mieszkańców uczestniczy co tydzień w praktykach, ale modli się codziennie 18 proc.) czy Holandia (odpowiednio 12 proc. praktykujących i 20 proc. modlących się codziennie). Z odwrotnej strony tabeli znajdziemy Polskę, w której codziennie modli się 29 proc. badanych, a co tydzień w praktykach zbiorowych uczestniczy 42 proc. Co prawda zasadniczo osoby powyżej 40. roku życia we wszystkich badanych krajach modlą się częściej niż młodsza grupa, ale znów największa luka wiekowa wystę-

puje w Polsce, a najmniejsza – w krajach dawno silnie zsekularyzowanych, takich jak Francja, Wielka Brytania, Niemcy czy Belgia.

Co dalej?

Czy zatem Kościół w Europie umiera? Mimo różnych niepokojących objawów odpowiedź na to pytanie musi być przecząca. Owszem, Stary Kontynent nie jest już dziś światowym centrum chrześcijaństwa. Spada liczba powołań kapłańskich i praktykujących regularnie katolików. Należy na nowo zastanowić się nad formułą parafii i rolą świeckich. Kryzys jest szansą na spojrzenie na parafię jako na przestrzeń wspólnej odpowiedzialności. Szansą są także niewielkie wspólnoty, już dziś silnie obecne we Francji, Niemczech czy we Włoszech.

Kryzys jest faktem, ale potrzeba duchowości wśród Europejczyków nadal istnieje. Franciszek stawia ubogich w centrum Kościoła, przywraca ewangeliczną perspektywę. Te działania trzeba wzmocnić dalszym powrotem do źródeł – do mistyki i kontemplacji. Świeckie instytucje nie zaproponują tego Europejczykom. I tak jak 100-letniemu Abrahamowi i 90-letniej Sarze urodził się syn Izaak, tak i europejski Kościół może w przyszłości „wydać potomstwo”.

© JAREMA PIEKUTOWSKI

Autor jest socjologiem, kierownikiem projektów badawczych, członkiem Zespołu Laboratorium „Więzi”.

Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci...

6 października 2018 roku zmarła

ś.†p.

Grażyna Strumiłło-Miłosz

pisarka i tłumaczka

Nabożeństwo żałobne odprawione zostanie w czwartek 18 października 2018 roku o godzinie 13.00 w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach, po czym nastąpi wyprowadzenie Zmarłej do grobu rodzinnego na cmentarzu Powązkowskim.

O czym zawiadamia ze smutkiem

RODZINA

Organizatorem uroczystości pogrzebowej jest Dom Pogrzebowy „Służew”.

Przekopać górę

KS. PIOTR ADAMEK

Chińskie władze porozumiały się z Watykanem w sprawie mianowania biskupów. Co to oznacza dla katolików w Państwie Środka?

80-LETNI STARZEC Z MOTYKĄ I KOSZEM starał się przekopać górę Taihang. Bardzo utrudniała ona kontakty wioski ze światem zewnętrznym. Wyśmiany przez urzędników, przekonanych o niemożliwości tego przedsięwzięcia, Chińczyk bronił się, że choć on sam już tego nie dożyje, to wytrwała praca jego dzieci i wnuków w przyszłości doprowadzi do przekopania góry. Ostatecznie – jak głosi daoistyczna księga „Liezi” z IV wieku p.n.e. – bóstwa, widząc jego pracowitość i wytrwałość, rozdzieliły górę, tak jak chciał tego staruszek, otwierając dla wioski nowe perspektywy.

Czy papież Franciszek jest tym staruszką, a podpisane przez Stolicę Apostolską tymczasowe porozumienie otworzy dla Kościoła w Chinach nowe horyzonty? Jak na razie to tylko pierwszy sztych motyki, pierwszy krok na długiej, wyboistej i niepewnej drodze do pojednania.

Porozumienie

22 września Stolica Apostolska i Chińska Republika Ludowa zawarły tymczasowe porozumienie – pierwsze w historii. W Watykanie ogłoszono także, że Franciszek zdecydował o dopuszczeniu ośmiu nielegalnych (w tym trzech ekskomunikowanych) biskupów do pełnej komunii z Kościołem – jednego z nich pośmiertnie – a także uznał diecezję Chengde (na północ od Pekinu), istniejącą dotychczas tylko w oficjalnym rządowym podziale diecezji i kierowanej przez do niedawna nielegalnego biskupa Guo Jincai.

W przesłaniu do katolików chińskich 26 września Franciszek wyjaśnił sens porozumienia. Wpierw podkreślił swój szacunek do Chińczyków i chińskiej kultury, docenił chińską pracowitość i wytrwałość, która pokonała w przeszłości wiele przeciwności, a także „bolesne doświadczenia należące do duchowego skarbu Kościoła w Chinach”. Podkreślił jednak również potrzebę normalizacji życia wspólnoty, za-

uważając, że życie w podziemiu „nie jest normalną cechą życia Kościoła”. Następnie przedstawił tymczasowe porozumienie jako instrument, który nie jest idealny i sam z siebie nie jest w stanie rozwiązać problemów, ale umożliwia stabilną współpracę Stolicy Apostolskiej i władz chińskich w zapewnieniu Kościołowi chińskiemu dobrych pasterzy. Głównym celem podpisanego porozumienia jest – według papieża – uregulowanie kwestii nominacji biskupów, aby odbudować pełną i widzialną jedność Kościoła i w ten sposób lepiej wspierać i promować głoszenie Ewangelii w Chinach. Franciszek przypomniał też, że porozumienie jest owocem i etapem trwającego od wielu lat i skomplikowanego dialogu z władzami ChRL, zapoczątkowanego przez poprzednich papieży.

Za pierwszą oznakę nadziei, że Kościół w Chinach wszedł na drogę normalizacji, można uznać przyjazd do Watykanu na odbywający się od 3 do 28 października synod o młodzieży dwóch chińskich biskupów: Yang Xiaoting z diecezji Yan'an w prowincji Shaanxi i Guo Jincai – biskupa Chengde. Po raz pierwszy od utworzenia Synodu Biskupów w 1965 r. uczestniczą w nim hierarchowie z Chin. Poprzednie zaproszenia na synody, wysyłane przez papieża w 1998 i 2005 r., były przez władze odrzucane.

Reakcje i komentarze

Podpisanie porozumienia wywołało lawinę komentarzy. Gdy jedni wyrażali zadowolenie i nadzieję, uważając porozumienie za początek nowej drogi ku normalizacji i pojednaniu, inni je krytykowali jako naiwność i kapitulację Watykanu przed chińskim rządem. Wiele komentarzy wyrażało obawy o przyszłość Kościoła w Chinach albo krytykowało brak przejrzystości w tworzeniu porozumienia i niepoinformowanie o jego treści.



ALESSANDRO DI MEO / EPA / PAP

Negujący możliwość porozumienia z komunistycznymi władzami kard. Zen Ze-kun nazwał dokument na konferencji prasowej w Hongkongu zdradą Kościoła podziemnego i prognozował, że rząd chiński w najbliższym czasie wyeliminuje ten Kościół z cichą pomocą Watykanu. Również podziemny kapłan John z diecezji Mindong w chińskiej prowincji Fujian – cytowany przez agencję UCAN – uznał, że porozumienie oznacza faktyczny koniec Kościoła podziemnego i uznanie Kościoła patriotycznego za jedyną prawdziwą. Stwierdził jednak, że nigdy nie wstąpi do Stowarzyszenia Patriotycznego, nawet jeśli musiałby porzucić kapłaństwo. Jeszcze inny kapłan – Peter – z podziemnej wspólnoty w prowincji Shandong nazwał porozumienie sprzedażem Kościoła ateistycznym władzom, a uznanie ekskomunikowanych biskupów – niezrozumiałym błędem papieża.

Krytyka i negatywne reakcje na tymczasowe porozumienie pojawiały się również wśród wiernych Kościoła oficjalnego. Tak np. Francis z oficjalnej parafii w prowincji Hebei stwierdził, że czas podpisania porozumienia jest nieszczęśliwy, gdyż w ostatnich latach wzmacnia się ucisk Kościoła i coraz bardziej ograniczana jest wolność religijna. Z kolei Mary z diecezji Jiangxi jest zadowolona z uznaniem przez papieża



Dwaj chińscy biskupi Yang Xiaoting i Guo Jincai na rozpoczęciu synodu, Watykan, 3 października 2018 r.

znacznie ocenić. Z dostępnych informacji wynika, że porozumienie dotyczy przede wszystkim uznania nominacji biskupów przez papieża, choć nic nie wiadomo o tym, jakie szczegóły procesu wyboru biskupa uzgodniono. Próbę oceny wagi tego uzgodnienia dał prof. Wang Meixiu z Pekinńskiej Akademii Nauk Społecznych. Wskazuje on, że władze chińskie po raz pierwszy w historii oficjalnie zrezygnowały z nietykalnej dotychczas zasady „niezależnego i samorządzącego się” Kościoła w Chinach, uznając prawo papieża do decydowania o nominacjach biskupich. Ta subtelna i wydawałoby się niewielka zmiana oznacza precedens w całej dotychczasowej polityce religijnej ChRL.

Innym faktem, związanym z porozumieniem, jest przyjęcie przez Franciszka nielegalnych biskupów do pełnej komunii z Kościołem. Choć można nie zgadzać się z decyzją papieża albo obawiać się nadużyć w przyszłości, to faktem jest, że po raz pierwszy od 60 lat wszyscy chińscy biskupi i wyświęceni przez nich kapłani są we wspólnocie z papieżem. Władze chińskie wykorzystywały dotychczas nielegalnych biskupów dla swoich celów i wymuszały ich obecność na święceniach biskupich i kapłańskich, co powodowało wiele napięć i podziałów. Obecna sytuacja, w której wszyscy biskupi są legalni, jest wyjątkowa, nawet jeśli nie oznacza oczywiście prawdziwej pełnej jedności w Kościele w Chinach.

Przyszłość 36 biskupów Kościoła podziemnego pozostała jednak niepewna – porozumienie o nich nie wspomina. Mówi się o tym, że Watykan chce w przyszłych rozmowach wynegocjować ich uznanie przez władze, choć to na pewno nie będzie łatwe. Warunkiem nie do przyjęcia byłaby dla Kościoła podziemnego obowiązkowa przynależność do Stowarzyszenia Patriotycznego, ponieważ właśnie ze względu na wierność papieżowi i odmowę wstąpienia do Stowarzyszenia przez dziesięciolecie cierpieli. Ewentualnym wyjściem może być możliwość dobrowolnego członkostwa w Stowarzyszeniu, tak jak jest to zapisane w jego statucie.

Trudno powiedzieć, jak porozumienie wpłynie na pojednanie oficjalnych i pod-

ziemnych wiernych. Na razie przeważają obawy przed represjami ze strony władz i przymusowym wchłonięciem czy zniszczeniem podziemia. Ostatnie posunięcia władz: wzmożone kontrole oraz inwigilacja kościołów i miejsc modlitwy, surowo egzekwowany zakaz katechezy dzieci czy wymuszona sinizacja myśli religijnej nie nastrajają optymistycznie. Nie służą pojednaniu również niektórzy katolicy ze Stowarzyszenia Patriotycznego wyśmiewający po podpisaniu porozumienia podziemnych wiernych, „gdyż sam papież przyznał im rację”.

Podpisanie porozumienia w czasie, gdy sytuacja religijna w Chinach się komplikuje, a represje wzmagają, może wydawać się dziwne, wręcz ryzykowne. Być może jednak Stolica Apostolska obawia się – jak podała w styczniu tego roku Agencja Reutera na podstawie anonimowego źródła w Watykanie – „że za dziesięć lat będzie jeszcze gorzej”. Choć w ostatnich latach przy okazji spotkań watykańsko-chińskich wielokrotnie prorokowano zawarcie w niedalekiej przyszłości stosunków dyplomatycznych Stolicy Apostolskiej i ChRL oraz związane z tym zerwanie relacji z Republiką Chińską na Tajwanie, przy okazji obecnego porozumienia ani słowem o nich nie wspomniano. Najwidoczniej nie były one tematem rozmów albo wymagają jeszcze dopracowania.

Perspektywa

Tymczasowe porozumienie zostało przez wielu w Chinach przyjęte krytycznie i wywołało wiele obaw o przyszłość Kościoła. Nie brakuje jednak głosów wyrażających ostrożną nadzieję. Czas pokaże, czy w porozumieniu zostały zawarte jeszcze inne niepodane do publicznej wiadomości ustalenia, a także czy rzeczywiście stanie się ono fundamentem relacji z władzami ChRL i narzędziem rozwiązywania kolejnych problemów Kościoła w Chinach: przyszłości Kościoła podziemnego, utworzenia wspólnej Chińskiej Konferencji Biskupów, roli Stowarzyszenia Patriotycznego, nowego jednolitego podziału diecezji.

Pewne jest, że podpisanie porozumienia stanowi dopiero początek zmuśnionego procesu „przekopywania góry” nabrzmiałych problemów Kościoła w Chinach. Problemów, które – po ludzku biorąc – wydają się nie do rozwiązania. Ale ostatecznie – tak jak u staruszka z motyką i koszem – wszystko jest w rękach Boga. Może warto więc zacząć kopać. ©

wcześniej ekskomunikowanych prorządowych biskupów, którzy będą pomagać władzom trzymać Kościół „na smyczy”.

Więcej zrozumienia dla porozumienia ma Joseph z podziemnej wspólnoty w prowincji Henan, który widzi w nim fundament umożliwiający władzom chińskim i Stolicy Apostolskiej następne kroki naprzód. Mimo że sam patrzy pesymistycznie na przyszłość Kościoła w Chinach, liczy on, że władze w odpowiedzi na gest papieża stopniowo będą wypuszczać uwiecznionych biskupów i księży i pozwolą im na pracę duszpasterską. Ma też nadzieję, że rząd chiński uzna Kościół podziemny.

Paul – kapłan z oficjalnej parafii w prowincji Guangdong – jest z porozumienia bardzo zadowolony. Wskazuje on na pogłębiające się problemy w Kościele chińskim: w sprawach wiary, moralności, życia kapłanów, i liczy, że dzięki porozumieniu Stolica Apostolska będzie mogła bezpośrednio regulować sprawy wiary i duszpasterstwa. Pozwoli to na niezbędną normalizację życia Kościoła. Konieczność uznania biskupów przez Franciszka sprawi według niego, że będzie się więcej od nich wymagać, że będą lepsi.

Co się wydarzyło

Ponieważ nie jest znana treść tymczasowego porozumienia, trudno je jedno-

Nieposkromione dziecko lasu

BARTOSZ HLEBOWICZ

Nazywana „indiańską oblubienicą Chrystusa”, zgromadziła miliony wyznawców w Ameryce. Zmarła, zadając sobie nieludzkie męki. Sześć lat temu Watykan uznał ją za świętą.

MENSA PRZYKRYTA CZERWONYM KOŁcem, ozdobionym wstążkami i kawałkami jedwabiu, przypominającym od biedry tradycyjne narzuty Indian leśnych. Na ołtarzu dwie ususzone kolby kukurydzy, świętej rośliny Irokezów. Drewniane ściany ozdobione rzezbami i rysunkami świętych. Jedna rzeźba przedstawia św. Franciszka pochylonego nad indiańską dziewczynką. Obok około metrowej figury Ukrzyżowanego stoi tej samej wielkości posąg Indianki. Na ławce wachlarz z piór dzikiego indyka i drewniany pojemnik na szalwę – podczas mszy używa się dymu z tej rośliny do okadzania.

Jestem w sanktuarium św. Katarzyny Tekakwithy, „Lilii Mohawków”, nieopodal miasteczka Fonda w środkowej części stanu Nowy Jork, nad rzeką Mohawk. Świętynię zaaranżowali w 1938 r. franciszkanie na piętrze niegdyś holenderskiej farmy, wybudowanej pod koniec XVIII w. Na parterze jest indiańskie muzeum i sklepik z pamiątkami. Od kaplicy prowadzi ścieżka do kapliczki z kolejną figurą świętej i źródła, w którym miała przyjąć chrzest ponad 300 lat temu. W okolicy mówią, że woda ze źródła uzdrowia.

Archeolodzy uważają, że pierwsza indiańska święta urodziła się w wiosce Mohawków, kilka kilometrów stąd.

Fonda to jedno z trzech głównych miejsc kultu św. Katarzyny Tekakwithy. Po drugiej stronie rzeki jest znacznie większa świątynia w Auriesville, gdzie polskie, ukraińskie i włoskie rodziny urządzały niedzielne pikniki. Trzecie sanktuarium jest w Kahnawake pod Montrealem, gdzie umarła Tekakwitha.

– Ci z nas, którzy chodzą do kościoła, są dumni, że uczyniono ją świętą – mówi Elvera Konwanahktoha Sargent, była szefowa tradycyjnej Freedom School w re-

zerwacie Mohawków w Akwesasne, położonym po obu stronach amerykańsko-kanadyjskiej granicy. Rezerwat Akwesasne został założony w połowie XVIII w. przez jezuitów i indiańskie rodziny, które opuściły wioskę i misję Caughnawaga. W Akwesasne działa Tekakwitha Center, założone, by wspierać ruch na rzecz kanonizowania Katarzyny. – Od lat się o to starali. Moja matka aktywnie udzielała się w tym ruchu. Ja też się cieszyłam, ale tylko dlatego, że Kateri była Indianką. Poszłam inną drogą – wybrałam tradycyjną religię Długiego Domu.

Indianka i jezuita

Nowa Francja. Połowa XVII wieku. W wiosce Mohawków niedaleko dzisiejszego Auriesville rodzi się dziewczynka. Epidemia ospy uśmierca jej rodzinę: młodszego brata, ojca i matkę, która należała do ludu Algonkinów i została porwana przez Mohawków. Matka była katoliczką – przed porwaniem ochrzcił ją jezuita w Trois Rivières, w Quebecu.

Dziewczynce ospa zostawia bruzdy na twarzy, uszkadza też wzrok. Sierotę, która w chwili śmierci rodziny (1660 r.) ma cztery lata, przygarnia rodzina siostry ojca. Dziecko odznacza się pracowitością i stroni od pozostałych mieszkańców wioski. W wieku 11 lat styka się po raz pierwszy z jezuitami, którzy ze zmiennym szczęściem próbują nawrócić Irokezów od jakichś 25 lat.

Kiedy dziewczynka osiąga dojrzałość, jej przybrana rodzina chce zaaranżować małżeństwo, jednakże „głębokie umiłowanie czystości sprawiło, że wszystko, co mogło ją splamić choćby w niewielkim stopniu – nawet zanim poznała ekstatyczną radość, jaką ta cnota potrafi wywołać – budziło w niej przerażenie” – pisał o. Pierre

Cholenec, nauczyciel Indianki i jej pierwszy biograf. Odmowa wyjścia za mąż spowodowała na dziewczynę gniew rodziny.

Według relacji o. Choleneca, w 1675 r. opatrzność skierowała innego jezuitę, o. Jacques’a de Lamberville do chaty, w której mieszkała. Gorliwość Tekakwithy w poznawaniu chrześcijańskiej wiedzy była tak ogromna, że Lamberville, wbrew zwyczajom jezuitów (z obawy przed powrotem do pogaństwa podopiecznych jezuita nieraz wstrzymywały się z chrztem nawet do chwili, kiedy śmierć zaglądała im w oczy), ochrzcił ją już na Wielkanoc następnego roku. Dziewczynka otrzymała imię Katarzyna, na cześć świętej ze Sieny.

Przyjęcie chrześcijaństwa jeszcze bardziej odizolowało ją od rodziny i mieszkańców wioski. Zarzucali jej, tak jak jezuitom, uprawianie czarów. Ponieważ jako chrześcijanka odmawiała pracy w niedziele, tego dnia nie dawano jej jeść. Lamberville poradził Katarzynie, żeby przeniosła się do jezuickiej misji Saint Francis Xavier niedaleko Montrealu, gdzie dzisiaj znajduje się rezerwat Kahnawake. Katarzyna zastaje „wielką religijną gorączkę” w tamtejszej społeczności nawróconych Indian.

Wersja katolicyzmu, której Katarzyna uczy się od nich, pełna jest intensywnej modlitwy, poczucia winy i umartwiania się. Dziewczyna chce naśladować mękę Jezusa. Jezuita informują o klęczeniu na śniegu, samobiczowaniu się, spaniu na łożu z cierni, przykładaniu gorących węgli do stóp, głodowaniu. Bóg, jak relacjonował o. Cholenec, „zesłał jej towarzyszkę: Marie-Therese Tegaiguente”. Stają się nierozłączne, wspólnie odbywając przygody duchowe, biczując się nawzajem i rozmawiając o Bogu. Obie składają śluby czystości. Katarzyna staje się „pierwszą irokeską dziewicą”, poślubioną Chrystusowi. W którymś momencie przyłącza się do nich kilka innych Indianek, tworząc grupę znaną jako Siostry Katharine. Usiłują nawet utworzyć indiański żeński zakon, ale jezuita są temu niechętni.

W 1680 r., tuż przed Wielkanocą, w wieku zaledwie 24 lat Katarzyna umiera, wycieńczona coraz ostrzejszymi torturami, którym się poddawała. Zaraz potem „na jej twarzy zagościła promienna i wspinała piękność” – odnotowali jezuita.

Konstruowanie Kateri

O Kateri wiemy tyle, ile nam przekazali dwaj zakonnicy, Cholenec i Claude



Kanonizacja Katarzyny Tekakwithy, Watykan, 21 października 2012 r.

Chauchetière. Znali ją w ostatnich latach życia, byli świadkami jej duchowego rozwoju i śmierci. Spisane przez nich historie nie są jednak biografiami. To hagiografie, uwypuklające pobożność, próby wiary, które przechodziła zwycięsko, wstrzeźliwość seksualną, utożsamianą z czystością fizyczną i duchową, ascetyzm i samoumartwianie.

„Umarła otoczona nimbem świętości. Nie ustajemy w składaniu podziękowań Panu Bogu za łaski, które – wierzymy – otrzymujemy każdego dnia dzięki jej wstawiennictwu. Do jej grobu ciągną pielgrzymki, a dzicy, biorąc z niej przykład, stają się lepszymi chrześcijanami” – pisał dwa lata po jej śmierci o. Chauchetière. W następnych latach ojcowie odnotowali wiele uzdrowień zarówno wśród Indian, jak i Francuzów, które przypisywano interwencji Katarzyny. Kilkakrotnie ukazała się ojcu Chauchetière, którego poprosiła o namalowanie jej obrazu, co uczynił. Obraz, ukazujący pochyloną Katarzynę z krzyżem w ręku, jest wzorem dla licznych późniejszych przedstawień świętej.

Chorym przykładano do ciała ziemię z grobu Katarzyny albo kawałki jej ubrania, albo krzyż, który nosiła. Ostatnim oficjalnie uznanym cudem, który przesądził o jej kanonizacji, było uleczenie w 2011 r. Jake’a Finkbonnera, 11-letniego indiań-

skiego chłopca z plemienia Lummi ze stanu Waszyngton, z martwiczego zapalenia powiezi, czyli ostrej infekcji tkanki łącznej. Watykan uznał, że stało się to za sprawą Katarzyny Tekakwithy.

Biografie świętej przetłumaczono już na kilkanaście języków. W całej Ameryce powstało kilkaset kręgów wyznawców Kateri. Jednak aż do końca XIX w. Katarzyna Tekakwitha była jakby w tle, a jej świętość, zadeklarowana przez jezuitów, pozostawała nieoficjalna.

Zmieniło się to za sprawą niejakiego Clarence’a Walwortha, pochodzącego – jak Kateri – ze środkowej części stanu Nowy Jork. Waldsworth urodził się w szanowanej prezbiteriańskiej rodzinie, ale pod wpływem idei Ruchu oksfordzkiego zafascynował się katolicyzmem w wersji sprzed reformacji. Zmieniwszy wiarę, został księdzem w parafii w stolicy stanu, Albany. Jak powiadał, Indianie byli dla niego „hobby”. To on odkrył dla Amerykanów Katarzynę Tekakwithę, podążając jej śladami w USA i Kanadzie i zbierając wszelkie dokumenty, które miały posłużyć do starań o beatyfikację Indianki.

Równie intensywnie pracowała jego bratanica, Ellen Hardin Walworth, pisarka i jedna z założycielek organizacji Córkę Amerykańskiej Rewolucji. Historia Tekakwithy zwróciła jej uwagę

ze względu na „koloryt i archeologię”. W 1891 r. napisała książkę „The Life and Times of Kateri Tekakwitha, the Lily of the Mohawks”. To ona wymyśliła imię Kateri, usiłując nadać „Katarzynie” irokeckie brzmienie – jakby nie mogła pogodzić się z podwójną tożsamością swej bohaterki, której hybrydowy charakter oddawały imiona, pod którymi była wcześniej znana: europejska Katarzyna i mohawska Tekakwitha.

Książka Walworth to dzieło romantyczki, traktującej przeszłość jako bezpieczną krainę, którą można kształtować wedle własnych upodobań. XVII wiek to okres, w którym Mohawkowie prowadzą nieustanne walki z innymi plemionami oraz Francuzami, okres, kiedy porywanie i torturowanie jeńców było usankcjonowanym kulturowo obyczajem. Jednak w kreacji autorki, która szuka w tej mitycznej krainie „heroicznych elementów” kolonialnej przeszłości, nie ma agresorów i winnych, jest współlistnienie i współpraca Holendrów, Francuzów, Anglików i Indian.

Rzecz w tym, że jedna z tych grup – tubylczy Amerykanie – znika. Walworth sięga tu po inny, jakże miły białemu intelektualistom mit: znikającego Indianina, który przynależy nie tylko do innego świata (czyli dzikiego lasu), ale i innego czasu, gdzie na człowieka nie czyhają „pułapki cywilizacji”. Takie właśnie chrześcijaństwo odkryła i przyswoiła, zdaniem autorki, Kateri: „czyste i proste. Cały jej żywot był żywotem nieujarzmionej Indianki. Pozostała dzieckiem lasu”.

Kilka lat wcześniej katolicycy biskupi podczas konferencji w Baltimore decydują o wysłaniu do Watykanu prośby o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego. Kościół katolicki, w USA niecieszący się uznaniem dominującej części społeczeństwa, nabiera znaczenia wraz z napływem coraz większych liczb imigrantów z Europy. Pojawia się więc potrzeba usankcjonowania jego rosnącej roli w amerykańskim społeczeństwie. Jak komentuje z przekąsem Allan Greer, największy bodaj znawca Katarzyny Tekakwithy, potrzebny był „niewinny tubylec z odległej kolonialnej przeszłości”. Wybór padł na Katarzynę, choć wiele innych tubylczych kobiet i mężczyzn urzekły nauki misjonarzy, co owocowało żarliwym poświęceniem. Np. żyjąca w tym samym czasie co Tekakwitha urszulanka Marie de l’Incarnation pisała o Geneviève z ludu Nipissing, która przez kilkaset mil

→ dźwigała ciało męża, przemierzając lasy i rzeki, by zapewnić mu chrześcijański pochówek w misji urszulanek, „spragniona wiedzy o świętych tajemnicach”.

Proces beatyfikacyjny Kateri rozpoczyna się w 1932 r. W 1939 r. księża i biskupi, podczas konferencji w Fargo w Dakocie Północnej, postanawiają uznać Kateri Tekakwithę za patronkę swoich rocznych spotkań. Tak powstaje istniejący do dziś ruch modlitewny Kateri Tekakwitha Conference. W 1943 r. Pius XII ogłasza Indiankę sługą bożą, ale dopiero w 1980 r. Jan Paweł II podejmuje decyzję o jej beatyfikacji (tego samego dnia beatyfikuje też m.in. Marie de l'Incarnation). O wiele wcześniej, już w 1930 r., świętymi zostaje sześciu jezuitów działających w Nowej Francji w XVII w., którzy ponieśli męczeńską śmierć z rąk Mohawków. Sześć lat temu, 21 października, Benedykt XVI uznał Katarzynę za świętą.

Ikona

Jak zauważa Greer, gdy w latach 90. zaczynał badania nad Katarzyną Tekakwithą, nie znajdował jej wyznawców wśród Mohawków (a niektórzy uważali ją za zdrajczynię). Głównymi propagatorami jej świętości byli katolicy Indianie z innych grup. Jednak na watykańską kanonizację przyleciało kilkuset Mohawków.

Katarzyna, XVII-wieczna Indianka z tego irokeskiego ludu, została wykreowana przez jezuitów jako dowód skuteczności ich misji ewangelizacyjnej i cywilizacyjnej. W XXI i XXII w. przysłużyła się z kolei – jako wyobrażona „Kateri” – wzmocnieniu tożsamości Kościoła w USA, a także sporej części tubylczej ludności, zostając pierwszą tubylczą świętą. Stała się też patronką ekologów i bohaterką skandalizującej powieści Leonarda Cohena „Piękni przegrani”. Trudno dostrzec jej ludzki wymiar.

Kim była Tekakwitha? Pytam Mohawkę, Toma Portera Sakokwenionkwa, który w 1993 r. pięć mil od Fonda założył niewielką wspólnotę Kanatsiohareke.

– Nikim, zagubioną kobietą – kwituje.

Zdrajczyni swojej rasy, którą uwiodła wiara kolonistów? Raczej okrutnie doświadczone przez los dziewczynka, sierota, outsiderka, która desperacko szukała pocieszenia i sensu życia, i znalazła je wśród podobnych sobie uciekinierów z indiańskich społeczności, realizujących radykalną, średniowieczną wersję chrześcijańskiej pokuty. © BARTOSZ HLEBOWICZ

Świadectwo świętości

PIOTR LITKA

Do księgarń trafiła polska edycja książki-świadectwa Bernarda Briena – świadka cudu, który został uznany w procesie kanonizacyjnym księdza Jerzego Popiełuszki.

BERNARD BRIEN URODZIŁ SIĘ W TYM samym dniu i roku co Jerzy Popiełuszko, 14 września 1947 r. Jednakże nigdy za życia polskiego męczennika nie poznał go ani z nim nie rozmawiał. Święcenia kapłańskie przyjął dopiero w wieku 65 lat. Osiem lat wcześniej przeżył nawrócenie. Jak sam pisze w prologu: „W języku kościelnym jest to nazywane późnym powołaniem”.

Losy nawróconego Bernarda bacznie obserwował biskup Créteil, Michel Santier. 15 kwietnia 2012 r. udzielił mu święceń i wkrótce potem skierował do pracy duszpasterskiej do kilku okolicznych szpitali. Latem 2012 r. Brien odwiedził Polskę. Był w sanktuarium w Częstochowie i za namową przyjaciela odwiedził kościół św. Stanisława Kostki w Warszawie oraz grób Popiełuszki. Po powrocie do Francji zaczął interesować się życiem i okolicznościami śmierci polskiego męczennika. Dużo czytał.

14 września 2012 r. Brien miał udzielić ostatniego namaszczenia śmiertelnie choremu mężczyźnie. Od dwóch tygodni był on pacjentem szpitala Alberta Cheneviera w Créteil. 56-letni François Audelan od blisko 11 lat walczył z nowotworem krwi (była to białaczka szpikowa określana fachowo zespołem mieloproliferacyjnym, w skrócie: MPS). Rodzina chorego była przygotowana na jego śmierć. Zamówiono już nawet trumnę. Brien modlił się w pobliżu łóżka chorego razem z jego żoną. Powierzył jego życie bł. Jerzemu Popiełuszcze. Wspólnie odmówili modlitwę o jego kanonizację.

Następnego dnia ksiądz Brien otrzymał telefon ze szpitala z informacją, że François Audelan jest zdrowy i wraca do domu. Przez kilka miesięcy utrzymywał okoliczności uzdrowienia w tajemnicy. Miał świadomość, że do „uznania cudu potrzebne jest uleczenie samoistne i całkowite – i tak było w tym wypadku

– lecz musi być ono także potwierdzone w czasie, czyli trwale”.

Tak się też stało. Ruszył proces kanonizacyjny: najpierw na poziomie francuskiej diecezji. Rok temu minęło pięć lat od uzdrowienia François Audelana. Do tego czasu nie nastąpił nawrót białaczki, na którą uzdrowiony chorował, ale 1 listopada 2017 r. Audelan zmarł. Prawdopodobnie ta śmierć nie zahamuje procesu kanonizacyjnego – na krótko przed nią badania medyczne nie potwierdziły obecności komórek rakowych w ciele Audelana.

Po pięciu latach od wydarzeń w szpitalu w Créteil watykańska Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych skierowała dokumentację cudu do tzw. konsulty medycznej. To komisja złożona wyłącznie z lekarzy specjalistów. Przeglądają oni dokumentację i orzekają, czy dany przypadek można racjonalnie wyjaśnić. Jeśli nie, dokumentacja trafia do komisji konsultorów-teologów. Później: pod obrady sesji kardynałów i biskupów. W finale: na biurko papieża. To on wyznacza termin kanonizacji błogosławionego w Rzymie. W przypadku ks. Popiełuszki procedura jeszcze zatem musi potrwać.

Ks. Brien od sześciu już lat jest apostołem męczeństwa ks. Popiełuszki. Nie tylko o nim dużo mówi, ale też – z myślą głównie o młodych Francuzach – napisał tę książkę. Dlatego zamieścił w niej obszerny życiorys polskiego kapłana. To fakty dla polskiego czytelnika raczej znane. Ciekawsza jest sama historia nawrócenia Briena i jego zafascynowanie Popiełuszką. ©



Bernard Brien **JERZY POPIEŁUSZKO. PRAWDA PRZECIW TOTALITARYZMOWI**, przeł. Helena Sobieraj, Wydawnictwo WAM, Kraków 2018

SZYMON

Hołownia: Siedemdziesiąt groszy



SZPERAŁEM DO TEKSTU O CZYMŚ INNYM, GDY w wikipediowym artykule o czarnej dziurze przeczytałem zdanie, które zostało ze mną na dobre: z czarnej dziury, po przekroczeniu jej granicy, tzw. horyzontu zdarzeń, „nie można się wydostać, bo wszystkie drogi ucieczki prowadzą z powrotem do środka”.

To chyba dobry opis nieleczzonej depresji. Z pewnością znajdzie się też parę miejsc w znanej nam geograficznej przestrzeni, które dokładnie odpowiadają tej charakterystyce. W tej chwili takim miejscem jest pogrążony w chaosie i głodzie Sudan. Jednym z nich jest też Kiwu Północne, przygraniczna (na styku z Ugandą i Rwandą) prowincja Demokratycznej Republiki Konga, zamieszkała przez ponad 5 mln ludzi, wyniszczona okrutną wojną domową. To jedno z najpiękniejszych przyrodniczo, a zarazem najbardziej wykorzystanych, zaniedbanych, złych miejsc na Ziemi.

Pamiętam dzień, sześć lat temu, gdy pierwszy raz ruszyłem na północ z Gomy, głośniejszej i brudniejszej stolicy regionu, w której stragani sprzedawców trumien i trumienek konkurują o miejsce na szarej, pyłującej ziemi z ulicznymi krawcami, kantorami wymiany pieniędzy, sprzedawcami marchwi i bananów. Tej drogi, w stronę Ugandy, nie da się zapomnieć, i za każdym razem, gdy ją później przemierzałem z siostrami od aniołów, słuchałem niekończących się opowieści o tych, dla których była ostatnią. Ileż ja miałem mocarstwowych planów co do szpitala w Ntamu-gendze, który od tych paru lat wspólnie z siostrami rozwijamy. Kongo nauczyło mnie jednak na dobre, że nie jestem graczem, który przy mojej skali działań może wywrzeć wpływ na ludzkość – co nie znaczy, że powinienem mniej się cieszyć daną mi szansą na uratowanie człowieka.

Ponad rok temu bandyci porwali ojca jednej z naszych siostr, trzymali go w dżungli, w końcu – po długich negocjacjach – wypuścili. Parę miesięcy temu, podczas próby porwania zginął od postrzału Louis, pracujący w naszym szpitalu pielęgniarz. Pogroźki są na porządku dziennym. Policji nie ma, nie wiadomo kto organizuje te porwania – lotne brygady kryminalistów czy może ludzie z naszej wsi, wynajmujący siedzących w pobliskiej dżungli partyzantów.

Wielu już wyjechało. Lekarze bez Granic zwinęli swój szpital, który dla naszego był ratunkiem, gdy potrzebna była pomoc specjalisty. W tej chwili wycofuje się organizacja, od której nasz pediatryczny ośrodek leczenia głodu kupował mleko terapeutyczne i saszetki z odżywczą mieszanką, niezbędne w terapii dzieci. W prowincji zaczęła się epidemia eboli, na razie

trzyma się ok. 250 kilometrów od naszej wioski. Padające ostatnio ulewne deszcze podmywają gruntowe drogi. Władza państwowa *de facto* nie istnieje, zamarła w oczekiwaniu na gromniowe wybory. A siostry alarmują nas, że jeden po drugim umierają im wcześniaki, których u nas nie ma czym uratować.

W dniu, w którym piszę te słowa, przekazaliśmy szpitalowi dwa kupione w Europie tzw. ciepłe gniazdzka – najprostszą wersję inkubatora (inkubatora tam nie postawimy, bo nie ma go do czego podłączyć; w Kiwu Północnym 97 proc. ludności nie ma prądu; nasza instalacja oparta na generatorach spalinowych i fotowoltaice „uciągnie” gniazdzka, inkubatora nie dałaby rady). Na miejscu kupujemy teraz dwa aparaty CPAP, które utrzymując dodatnie ciśnienie w drogach oddechowych pomagają rozwinać się im u urodzonych przedwcześnie dzieci. To jedne z najfajniejszych momentów w naszej pracy, gdy dajemy narzędzia w ręce tych, którzy mają już świadomość, że wiedza i dobre chęci to czasem nie wszystko. W Ntamu-gendze jest już (oblegane) USG, EKG, porządnie wyposażone laboratorium analityczne; dziś nasi lekarze dostali też od nas sprzęt do przeszczepów skóry, które starają się robić, najczęściej u poparzonych w kuchni dzieci. W przekazaniu towarzyszyła nam dwójka darczyńców, uczestników jednego z naszych flagowych zbiórkowych projektów (www.przybijnam5.pl), w którym prosimy o zlecenie stałe na 5 zł tygodniowo. To była nieprawdopodobna radość – patrzeć, jak oni na własne oczy mogą przekonać się, jak te ich 70 groszy dziennie realnie daje szansę człowiekowi, żeby do końca przeżył swoje życie.

70 groszy zaprzęgnięte do pracy dziś jest lepsze niż sny o milionach, za które zmienimy świat jutro. Paradoksalnie, zaprogramowanie i uruchomienie w sobie mechanizmu systematycznego przywracania sprawiedliwości (bo to nie jest miłosierdzie) – to dawanie mniejszych kwot, ale konsekwentnie, na stałe – może być trudniejsze dla nas, wychowanych już w kulturze eventów, spektakularnych zdarzeń, eksploatowanych w mediach wstrząsających sytuacji. Na to jest jedna rada: w bliźnich zobaczyć swoich bliskich – dziecko, którego nie karmi się przecież raz na rok, gdy odłoży się pieniądze; matkę czy dziadka wymagających uważności w codzienności, a nie od wielkiego dzwonu.

Na nasze spotkanie na granicy siostry przyszły dziś z rodziną jednej z pacjentek, paroletniej dziewczynki, która prawdopodobnie cierpi na nowotwór kości twarzy. Zaczęliśmy właśnie jej diagnostykę. W chuście na plecach siedziała czterotygodniowa Maria, siostra tamtej, która, wiedziałem, za chwilę wróci, przekroczy z rodzicami granicę i wniknie w Kongo – kraj, który oni kochają, ale który robi wszystko, by pokazać im, że istnieje chyba tylko po to, by ktoś zły mógł dowieść Stwórcy, iż człowiek jest w stanie schrzanić wszystko: od kultury, przez biznes, po demokrację i religię.

A co, jeśli to ona kiedyś odwróci ten trend? Ratując ją uratujemy wszystkich, których ona kiedyś uratuje. Czasem myślę, że patronem organizacji wspierających dzieci powinien być starzec Symeon, czuwający i czekający, by nie przegapić tego jednego, Jedyne. A nie przegapić znów można tylko w jeden sposób – traktując wszystkich biednych i słabych, jakby byli przychodzącym znów na świat Chrystusem. ©

CZEGO NIE WIEDZĄ NIEMCY

CHRISTOPH VON MARSCHALL, KORESPONDENT DZIENNIKA „TAGESSPIEGEL”:

Polityka zagraniczna Niemiec nie jest tak proeuropejska i odpowiedzialna, jak przywykliśmy wierzyć. Aby to zmienić, Berlin musi nie tylko uważniej słuchać sojuszników, ale też otwarcie rozmawiać o własnych interesach.

GRZEGORZ SZYMANOWSKI: W ciągu ostatniego roku pojechał Pan do Paryża, Warszawy, Brukseli i Waszyngtonu, aby pytać polityków i ekspertów, czego życzą sobie od polityki zagranicznej Niemiec. Książka, którą niedawno Pan opublikował, nosi tytuł „Nie rozumiemy już świata. Niemcy oddalają się od swoich przyjaciół”. Czego nie rozumieją Niemcy?

CHRISTOPH VON MARSCHALL: W przeszłości, jeszcze gdy Niemcy były podzielone, zarówno w kraju, jak i poza naszymi granicami wszyscy zgadzaliśmy się, że nasza historia nakłada na nas pewne ograniczenia w polityce zagranicznej. Dzisiaj nasi partnerzy nie akceptują już sytuacji, gdy używamy historii jako wymówki od działania.

Niemcy tego jeszcze nie zrozumieli. Mamy dzisiaj inną sytuację międzynarodową i to wymaga od nas zmiany postępowania samych siebie. Przede wszystkim musimy uważniej słuchać swoich

partnerów i dopasowywać do tego swoją politykę zagraniczną.

W czym konkretnie ogranicza Niemców własna historia?

Podczas rozmów za granicą słyszę głównie krytykę wobec polityki bezpieczeństwa i strategicznej polityki zagranicznej Berlina. Głównym hasłem jest Bundeswehra, która znajduje się w opłakanym stanie. Przy naszych dzisiejszych wydatkach na obronność, na poziomie 1,2 proc. PKB, mamy armię niewystarczająco zdolną do działania. Musimy wydawać na nią więcej pieniędzy, i po prostu to zrobimy. Musimy też zacząć otwarcie zadawać sobie pytania: jakie są niemieckie interesy, jakie są europejskie interesy i jak bronić ich w zmieniającym się świecie?

Jakie są te główne interesy Berlina w polityce zagranicznej?

Nasz sukces bazuje na liberalnym porządku międzynarodowym, który



*Niemiecki okręt wojenny „Fehrman” na redzie w porcie w Gdyni,
8 października 2018 r.*

MICHAŁ FLUDRA / NURPHOTO / GETTY IMAGES



→ zainicjowali i egzekwowali Amerykanie. Niemcy to kraj rozwiniętych technologii i eksportu. Ale żeby eksportować nasze towary, potrzebujemy np. otwartych szlaków handlowych. Tymczasem to nie Bundesmarine dba o to, żeby statki mogły płynąć wokół przylądka Horn i przez Kanał Sueski, żeby nie były atakowane przez piratów albo żeby Chiny przepuszczały je przez międzynarodowe szlaki morskie na Morzu Południowochińskim. Porządek ustanowiony przez Amerykanów nadal obowiązuje, ale sami musimy więcej do niego wnosić.

Jak przekonać do tego Niemców w erze Donalda Trumpa? Już prawie dwa lata minęły od jego wyboru na prezydenta USA, a wielu Niemców chyba nadal nie wie, czy traktować go jak przyjaciela, czy też jak wroga.

Trzeba rozróżnić między opinią publiczną a rządem. Jasne jest, że mamy w Niemczech wrogi obraz Donalda Trumpa. Są sondaże, w których więcej Niemców uważa go za bardziej niebezpiecznego niż Władimira Putina czy Kim Dzong Una. To błąd, ale wynika z faktu, że mamy bliski i emocjonalny stosunek do USA i bierzemy Amerykanom za złe, gdy wybierają na prezydenta kogoś, kto nam się nie podoba. A to, że Rosjanie wybierają Putina, a Koreańczycy z Północy mają dyktatora, jest nam emocjonalnie obojętne.

Gdyby zapytać niemieckich polityków rządowych, szczególnie za zamkniętymi drzwiami, to słyszał, że USA nadal są naszym najważniejszym partnerem poza Unią Europejską. Wraz z wyborem Trumpa stały się partnerem trudnym, lecz z Ameryką Trumpa nadal łączy nas o wiele więcej interesów niż z Rosją, Chinami lub Iranem.

Niemiecki minister spraw zagranicznych Heiko Maas postulował niedawno budowę nowego „zbalansowanego partnerstwa” z USA. Zgodnie z postulatem Maasa Unia wspólnie z Chinami i Rosją próbuje też obchodzić amerykańskie sankcje wobec Iranu, nałożone na powrót przez Trumpa. Czy to nie oznacza jednak oddalenia Niemców i Europy od USA?

To hasła dla przypodobania się opinii publicznej. Oczywiście musimy stać się bardziej samodzielni w różnych dziedzinach, ale bardziej samodzielni w partnerstwie ze Stanami, a nie przeciwko Stanom

CHRISTOPH VON MARSCHALL:

Podczas rozmów w Warszawie byłem zdziwiony, jak mało strategicznie myśli się u was o przyszłości.

Zjednoczonym. Minister Maas dobrze wie, jak bardzo nadal jesteśmy zależni od sojuszu z USA. Wie również, że Unia nie jest w stanie wygrać konfliktu o sankcje wobec Iranu.

Głosy ekspertów i pojedynczych polityków rządowych, wzywających do większego zaangażowania Berlina w świecie, słyszał regularnie od kilku lat. Ale w sondażach większość Niemców nadal odnosi się z rezerwą do tych postulatów. Skąd ten dysonans?

Wśród elit kulturalnych długo dominowało przekonanie, że jako Niemcy nie mamy swoich interesów, że jesteśmy państwem „postnarodowym”, i że wkrótce państwa narodowe zastąpią Stany Zjednoczone Europy ze wspólną europejską tożsamością. Dzisiaj już tylko niewielu uważa to za realistyczny cel. Ale to wyobrażenie, że nie mamy swoich interesów i nie powinniśmy działać jako państwo narodowe, nadal u nas pokutuje.

Po drugie istnieje u nas olbrzymi strach polityków przed tematami dotyczącymi wojska. Panuje przekonanie, że to ciężki temat z powodów historycznych. Moim zdaniem to nieprawda, a przeciętni obywatele są po prostu niedoinformowani, bo o tym nie rozmawiamy. Myślę, że można ich przekonać do normalnej polityki bezpieczeństwa. Potrzeba tylko trochę politycznej odwagi i szczerości.

A może Niemcy działają racjonalnie, wykorzystując swoją uprzywilejowaną pozycję, w której to inni płacą za ich bezpieczeństwo? Zwycięstwo Trumpa służy teraz jako wymówka, żeby nie zwiększać wydatków na obronność do 2 proc. PKB, do czego w 2014 r. – po rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie – zobowiązały się wszystkie kraje NATO. Podczas kampanii wyborczej w ubiegłym roku

socjaldemokracja – współrządzająca dziś w Berlinie, w tkzw. wielkiej koalicji z chadecją Merkel – wręcz eksponowała w swojej kampanii hasło, aby nie podnosić do 2 proc. wydatków na Bundeswehrę.

To prawda, ale to nie doprowadziło do lepszego wyniku dla SPD w wyborach. Argument o tym, że ze względu na Trumpa nie będziemy zwiększać naszych wydatków na wojsko, to przykład nieszczerości niemieckiej debaty. Przecież nie robiliśmy tego także za Obamę i Clintona. W szczególnej dyskusji pytalibyśmy się, jakie są niemieckie interesy, jaką rolę gra w nich armia i jak powinniśmy ją wyposażać.

Czy to w ogóle możliwe w obecnej sytuacji politycznej? Budowanie rządu po ubiegłorocznych wyborach zajęło pół roku, a obecna koalicja cały czas jest wystawiona na ryzyko rozpadu. Po tej kadencji oczekuje się raczej walki o schedę po kanclerz Merkel, a nie niemieckich inicjatyw międzynarodowych.

Po pierwsze, Niemcy zwiększają teraz wydatki na obronność w szybszym tempie, niż rośnie cały budżet, a więc jest to możliwe. Po drugie, politycy wymieniani jako potencjalni następcy Angeli Merkel opowiadają się za większymi wydatkami na obronę. Ale rzeczywistość, czas walki o następstwo po Merkel będzie czasem słabszego przywództwa Niemiec w Europie.

Pisze Pan w książce, że także w polityce europejskiej obraz własny wielu Niemców – jako wzorowych Europejczyków – jest pełen sprzeczności.

To, że samoocena i ocena innych różnią się od siebie, dotyczy zarówno ludzi, jak też narodów. Rzeczywiście lubimy o sobie myśleć jako o wyjątkowo przestrzegających prawa, szczególnie przyjaznych integracji i tych, którzy zawsze stoją po stronie dobra. Trzeba jednak pamiętać, że Niemcy sami często nie trzymali się europejskich ustaleń i realizowali swoje partykularne interesy, nie przyznając jednocześnie przed samymi sobą, że nie chodzi im o interes europejski.

Na przykład?

Weźmy gazociąg Nord Stream, przy którym Niemcy zawsze zachowywali się tak, jakby chodziło o europejski projekt na rzecz pokoju, w którym nie ma sprzeczności między interesami Europy a interesami

Rosji. Tymczasem powinniśmy przyznać, że wiele państw europejskich widzi to inaczej i postrzega Nord Stream jako jednostronne działanie Niemiec, które zwiększy zależność energetyczną od Rosji.

Inne przykłady: oczywiście mamy swój interes w utrzymaniu kryteriów konwencji w strefie euro, ale na początku sami ich nie przestrzegaliśmy. W polityce migracyjnej Niemcy też nie mogą powiedzieć, że trzymali się europejskich ustaleń, czyli konwencji z Dublina [zgodnie z którą ubiegający się o azyl muszą złożyć wniosek w pierwszym kraju strefy Schengen, w którym się znajdują – przyp. red.]. W 2015 r. Niemcy nie uwzględnili interesów innych państw i nawet się z nimi nie konsultowali, gdy Angela Merkel podjęła samodzielną decyzję o przyjęciu uchodźców. Nie zawsze działamy tak zgodnie z prawem czy tak przyjaźnie integracji, jak sami lubimy o sobie myśleć.

Budowa drugiej nitki gazociągu bałtyckiego, Nord Stream 2, jest szczególnie kontrowersyjna, bo symbolizuje brak solidarności, o której często mówi Berlin. Projekt ten krytykuje Komisja Europejska i także w Niemczech nie brakuje głosów, że to szkodliwa i niepotrzebna inwestycja. Mimo to budowa ruszyła w ostatnich miesiącach. Jak to wytłumaczyć?

To długoletni projekt, który stoi w tradycji niemieckiej polityki wobec Rosji. Ale

widzimy, że nie doprowadził do tego, by Putin zachowywał się mniej agresywnie wobec Ukrainy czy gdziekolwiek indziej. Pytanie też, czy ten projekt ma sens gospodarczy. To cała masa sprzeczności, o których powinniśmy otwarcie rozmawiać, zamiast działać tak jak do tej pory. Osobiście wolałbym, żeby tego projektu nie było, i żebyśmy zamiast Nord Stream 2 zajęli się dywersyfikacją źródeł energii. Wydaje mi się jednak, że budowa jest już na tyle zaawansowana, iż nie uda jej się zatrzymać. Ale może okazać się, że firmy zaangażowane w ten projekt na koniec nie zrobią na nim dobrego biznesu, bo warunki wokół tej inwestycji są nadal niepewne.

Stosunki polsko-niemieckie od kilku lat można uznać za napięte. Ostatnio między Berlinem i Warszawą słychać co prawda przyjaźniejszy ton i gotowość do rozmowy, ale mimo to współpraca wydaje się nie postępować do przodu. Z czego to wynika?

Widzimy, że europejskie próby wprowadzenia Polski na drogę praworządności i demokracji, w ramach procedury artykułu 7. traktatu o Unii Europejskiej, mogą nie doprowadzić do skutku. Polski rząd też to widzi i uznaje, że nie musi w tej sprawie ustępować. Z drugiej strony Polska zrozumiała jednak, że jeśli wywoła zbyt wiele irytacji w Niemczech i w innych krajach Unii, to kwestia podziału unijnych funduszy w nowym budżecie może być rozwiązana nie po jej myśli.

Obie strony pokazały sobie zatem, że są pewnymi kwestiami mocno zirytowane. Pytanie, przed którym stoimy teraz, brzmi, czy lepszy ton jest tylko powierzchowny, czy idzie za nim gotowość do merytorycznego kompromisu. Nie widzę na razie dowodów na taką gotowość ze strony PiS. Mam nadzieję, że one jeszcze się pojawiają. Wydaje mi się, że bez konkretnych zmian Polska nie może liczyć na wiele zrozumienia w kwestiach finansowych.

Podczas wizyty w Berlinie we wrześniu sekretarz stanu w MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk – obok kwestii Nord Stream 2 i sporu o praworządność – wrócił do kwestii reparacji wojennych i statusu Polonii w Niemczech.

Podczas moich rozmów w Warszawie byłem zdziwiony tym, jak mało strategicznie myśli się u was o przyszłości. Na pytanie o pomysły Warszawy na współpracę padała odpowiedź: najpierw poczekamy na niemieckie i europejskie propozycje, a potem je rozpatrzmy. Taka pasywna polityka nie może być w interesie kraju, który chce kształtować europejski rozwój. Skoro Polska słusznie uważa, że jako największy kraj Europy Środkowo-Wschodniej ma zadanie przewodzić państwom regionu, to powinna wychodzić z inicjatywami.

Do tej pory Niemcy ignorowali jednak np. polską inicjatywę Trójmorza.

→

REKLAMA

→ W tej sprawie nauczyliśmy się współpracować. Jednocześnie zaproszono Niemców [na szczyt Trójmorza w Rumunii we wrześniu – przyp. red.], a Niemcy zaproszenie przyjęli. Wcześniej rzeczywiście tak nie było.

Mówi Pan też, że Niemcy zawczasu niewystarczająco dbali o kontakty z PiS.

Tak, ten temat pojawia się w rozmowach z politykami PiS. W książce cytuję wicemarszałka Senatu Adama Bielaną, z którym o tym rozmawiałem. To zaniechanie obu stron. PiS mówi, że Niemcy niewystarczająco interesowali się kontaktami z ich partią, gdy była jeszcze w opozycji, i że chętniej rozmawiali z PO. To prawda, Niemcy mogli zrobić tu więcej. Ale z drugiej strony nie było też tak, żeby PiS starał się o kontakty, a Niemcy ich nie chcieli. Gdy w przeszłości prosiłem o wywiady polityków PiS, nie dostawałem w ogóle odpowiedzi. Obie strony mają sobie coś do zarzucenia. Tę gotowość do rozmowy z tymi, którzy myślą inaczej od nas, trzeba jeszcze poddać próbie. To dotyczy zarówno Niemców, jak i Polaków. ©

Rozmawiał w Berlinie
GRZEGORZ SZYMANOWSKI



ARCHIWUM PRYWATNE

CHRISTOPH VON MARSCHALL (ur. 1959) jest z wykształcenia historykiem i politologiem. Obecnie jest komentatorem i korespondentem dyplomatycznym dziennika „Tagesspiegel”, w którym pracuje od 1991 r. W 2005 r. jego reportaż o Skierbieszowie – wiosce na Zamojszczyźnie, w której podczas niemieckiej okupacji urodził się prezydent Niemiec Horst Köhler, a której polska ludność padła ofiarą akcji kolonizacyjnej i germanizacyjnej – została wyróżniona Polsko-Niemiecką Nagrodą Dziennikarską. W sierpniu br. w Niemczech ukazała się jego najnowsza książka „Wir verstehen die Welt nicht mehr: Deutschlands Entfremdung von seinen Freunden” (Nie rozumiemy już świata. Niemcy oddalają się od swoich przyjaciół).



AMBASADA RP BERN / DOMENA PUBLICZNA

Konsul Konstanty Rokicki (bez parasola, po lewej) w Bernie, lata 30. lub 40. XX wieku.

Bohaterowie z grupy berneńskiej

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL-AWIWU

Nazwiska polskich dyplomatów – Ładosia, Kühla, Rokickiego i Ryniewicza – po ponad 70 latach ujrzały światło dzienne. W przywróceniu ich historii i kontakcie z rodzinami ocalonych Żydów pomógł ambasador RP w Szwajcarii, media i Twitter.

TAKICH HISTORII MOGĄ BYĆ TYSIĄCE. Poukrywane po archiwach, czekają na swoją kolej: na czyjaś ciekawość, splot okoliczności, na dobry moment.

W tym przypadku historia czekała ponad 70 lat. Na jej końcu jest ambasador w Bernie Jakub Kumoch, dziennikarze (polscy i Kanadyjczyk) i archiwa, w których wybudzono ze snu dokumenty i nadano im rozgłos. U jej początku, w roku 1942, są: poseł RP Aleksander Ładoś i jego koledzy, attaché Juliusz Kühn, konsul Konstanty Rokicki i radca Stefan Ryniewicz. A także pochodzący z Polski Żydzi – Chaim Eiss (związany z organizacją Agudat Israel) i działacz syjonistyczny Abraham Silberschein.

Zanim Holocaust ujawni swe pełne oblicze, ambasador Ładoś rozumie już,

do czego zmierzają Niemcy. Wymyśla i organizuje sposób na ewakuację Żydów do Ameryki Łacińskiej. Ma doświadczenie: pierwsze sfalszowane paszporty ambasada RP w Szwajcarii produkuje już na przełomie 1939/1940 dla Polaków zagrożonych sowiecką okupacją. Pomaga mu konsul honorowy Paragwaju, Szwajcar Rudolf Hügli.

„Jak najdalej”

Po konferencji w Wansee w 1942 r. berneńska produkcja latynoskich paszportów (m.in. Paragwaju, Peru, Salwadoru, Hondurasu, Haiti) dla Żydów rusza pełną parą; za swą pracę Polacy nie biorą pieniędzy. Latynoskie paszporty zapewniają Żydom ochronę przed wywózką do obozów zagłady; w 1944 r.

Silberschein raportuje, że dzięki nim wywózki uniknęło ok. 10 tys. ludzi. Zamiast tego ich posiadacze trafiają do obozów dla internowanych w Niemczech i okupowanej Francji. Niemcy liczą na możliwość ich wymiany za własnych obywateli.

Polskie MSZ (na uchodźstwie w Londynie) wie, że placówka w Bernie masowo fałszuje dokumenty. W maju 1943 r. przesyła depezę z poleceniem: „Momenty natury ściśle humanitarnej nakazują nam pójście jak najdalej na rękę w tego rodzaju sprawach”.

Według danych ambasady w Bernie samych paszportów Paragwaju wystawiono ponad 1050. Zdobywaniem ich na czarnym rynku i fałszowaniem zajmował się konsul Rokicki.

Aplikacja z pocztówki

W Izraelu rozmawiam z Shimronem Schiffem z Petah Tikvy, który w dokumentach rodzinnych znalazł paszport wypisany ręką Rokickiego. – Historię rodzinną zacząłem się zajmować niedawno. W archiwum Yad Vashem, pod nazwiskiem pochodzącego z Będzina dziadka Natana-Nachmana Gurfinkiela, znalazłem niezwykłą pocztówkę. Po jednej stronie było zdjęcie dziadka i jakiejś kobiety. Po drugiej pozdrowienia napisane po niemiecku. Najdziwniejszy był opis, który dołączyło archiwum: mówił on, że to aplikacja paszportowa. Byłem przekonany, że to pomyłka – opowiada 37-letni Schiff.

W dokumentach babci Schiff znalazł paragwajski paszport. Rodzina połączyła oba „puzzle”. Shimron zaczął przeszukiwać internet i dowiedział się, że był sposób, by otrzymać paszport kraju, po który aplikowano – przez przesłanie pocztówki lub listu z zakodowaną informacją. Np. hasłem użytym do kodowania słowa „paszport” było imię Dorka: zapisane po hebrajsku, przypomina słowo „darkon”, oznaczające właśnie paszport. To imię pada na pocztówce dziadka. Jeden dokument mógł uratować dwa życia – dlatego obok dziadka widniało zdjęcie obcej kobiety, figurującej w aplikacji jako jego żona.

– Tydzień temu znalazłem na Twitterze wpis izraelskiego dziennikarza, odsyłający do informacji udostępnionych przez polskiego ambasadora w Bernie, Jakuba Kumocha. Opisywał historię do złudzenia przypominającą sprawę dziadka Nachmana. Skontaktowałem się z ambasadorem i dzięki badaniom jego ludzi dowiedzieliśmy się całej prawdy. Sam nie



AMBASADA RP, BERNO / DOMENA PUBLICZNA



Członkowie grupy berneńskiej: attaché Juliusz Kühl i Chaim Eiss z organizacji Agudat Israel.

byłbym w stanie tego zrobić – opowiada Schiff.

Dziadek zmarł 20 lat temu. Shimron nie zdążył go zapytać, czemu nie wykorzystał tego paszportu. Miał go ze sobą w Auschwitz, podczas marszu śmierci, w Buchenwaldzie. Skoro zachował go aż do wyzwolenia i zabrał ze sobą do Izraela, musiał być przekonany, że pewnego dnia uratuje mu życie.

„Miejsce święte”

Po wojnie Rokicki nie wraca do komunistycznej Polski, zostaje w Szwajcarii. Jego historii nie poznaje nikt: nawet on nie zdążył się dowiedzieć, że w 1945 r. Agudat Israel wysłało podziękowanie dla polskiego poselstwa i wymieniło członków grupy berneńskiej. Umiera w zapomnieniu w 1958 r. Zostaje pochowany na cmentarzu w Lucernie, w sekcji dla ubogich.

Po ponad 70 latach jego nazwisko pada wreszcie w artykule dziennikarzy Michała Potockiego i Zbigniewa Parafianowicza, w sierpniu 2017 r. na łamach „Dziennika Gazety Prawnej”. We wtorek 9 października, 60 lat po jego śmierci, prezydent Andrzej Duda odsłania w Lucernie jego nowy pomnik nagrobny. Do Yad Vashem wpływa wniosek o uhonorowanie Rokickiego tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Tak by się pewnie nie stało, gdyby nie inicjatywa Jakuba Kumocha, ambasadora w Bernie. Po raz pierwszy słyszy on o grupie Ładosia jesienią 2016 r., tuż po objęciu

placówki – od konsula honorowego Markusa Blechnera, którego rodzice w ostatniej chwili uniknęli Zagłady. Blechner zapoznaje go z kolejnymi osobami, które znają sprawę.

„Szczególnie utkwiła mi w pamięci rozmowa w święto 3 maja 2017 r. z pewnym panem z Zurychu, profesorem informatyki i głęboko wierzącym Żydem, który powiedział mi, że dla niego moja placówka jest »świętym miejscem« – pisze ambasador Kumoch w mailu do „Tygodnika”. – Opowiedział mi coś, czego nie rozumiałem: o Ładosiu, o przemyśle paszportów, o tym, że jego rodzina tę sprawę pamięta. Trudno wobec takich słów było przejść obojętnie. Wygooglowałem słowa »Ładoś« i »Paraguay«. Znalazłem odtajnioną szwajcarską depezę o spotkaniu ambasadora Ładosia z ministrem spraw zagranicznych Piletem-Golazem z października 1943 r., w której pojawił się dziwny – niezrozumiały dla niewtajemniczonego – szantaż: jeżeli Szwajcaria zachowa się nielojalnie w sprawie paszportów Paragwaju, Polska zrobi wokół sprawy skandal. Zrozumiałem, że »paszporty Paragwaju« i mój wielki poprzednik to nie jest legenda”.

Odkrycia i przyjaźnie

Kumoch kontaktuje się z zaprzyjaźnionymi dziennikarzami i informuje o znalezisku („Bo to do dziennikarzy należą takie rzeczy, a nie do dyplomatów”, dodaje). Prosi kolegów z placówki o kwerendę. ➔



AMBASADA RP BERNO / DOMENA PUBLICZNA

Zdjęcia Żydów, którym polscy dyplomaci z Berna wyrabiali fałszywe latynoskie paszporty.

→ Pyta w Archiwum Federalnym Szwajcarii, w Londyńskim Instytucie Sikorskiego, w Yad Vashem, innych archiwach. Dziwi się, odkrywając, jak szeroka była to akcja. Spotyka się też z nazwiskiem Rokickiego. Zdobywa setki dokumentów w tej sprawie.

Po publikacji pierwszych artykułów prasowych w sierpniu 2017 r. piszą do ambasady ocaleni przez grupę berneńską. Ktoś zauważa, że wszystkie paszporty mają ten sam styl pisma. Ktoś inny znajduje w archiwum dokument z pismem Rokickiego. Ambasada porównuje go z pismem na paszportach – paragwajskich i polskich, których wydawaniem Rokicki też się zajmował. Konsultuje się z naukowcami. Nie ma wątpliwości: to ten sam styl.

Ambasada zaczyna interesować się losami posiadaczy paragwajskich paszportów. Z pomocą archiwów i badaczy zaczyna tworzyć listę ocalonych. W tej chwili ma ich ponad 2 tys.

Jakub Kumoch mówi, że zostanie ona opublikowana dopiero, gdy będzie pewne, iż ryzyko błędów jest małe. W międzyczasie on sam spotyka się z ocalonymi i ich potomkami. Z wieloma się zaprzyjaźnia.

W korespondencji z „Tygodnikiem” Kumoch pisze, że ta historia ma dla niego osobiste znaczenie: „W Bernie było wiele ambasad, w tym należące do krajów okupowanych. Do dziś zadaje sobie pytanie, dlaczego akurat polska ambasada podjęła się ratowania obywateli Holandii, a przecież to holenderscy Żydzi stanowią największą grupę wśród Ocalonych. Nie da się tego wytłumaczyć praktyką dyplomatyczną, gdzie państwa chronią własnych (a nie cudzych) obywateli. Raczej niebywałym humanizmem i miłością bliźniego polskich dyptomatów. Chciałbym być taki jak oni”.

Ciąg dalszy trwa

W historii grupy berneńskiej przykuwa uwagę jej aktualny wydźwięk. Wyłowiona z archiwów, spotkała się z kontekstem w którym polska władza chce rozmawiać o relacjach polsko-żydowskich.

Trafiła w dobre ręce – bo Jakub Kumoch to były dziennikarz, który wiedział, jak za interesować nią polskie i zagraniczne media. Ciekawa i rzetelnie udokumentowana historia, dobrze poprowadzony przez ambasadę przekaz w mediach społecznościowych, wreszcie jej pozytywny charakter

– wszystko to sprawiło, że dzieje grupy berneńskiej wniosły świeży powiew do relacji polsko-żydowskich, nadszarpniętych przez spór wokół ustawy o IPN.

Wkrótce w Jerozolimie odbędzie się uroczyste wręczenie medalu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata Zofii i Stanisławowi Pszkitom – małżeństwu, które podczas niemieckiej okupacji uratowało 8-letniego Waldka Torna. Pszkitowie już nie żyją, lecz Waldek z pomocą detektywa genealogicznego odnalazł po latach ich rodzinę. Nie miały okazji spotkać tych ludzi, a małżeństwo Pszkitów nie otrzymałoby medalu, gdyby nie zaangażowanie Torna i uporczywa praca w archiwach. Instytut Yad Vashem nie szuka bowiem na własną rękę kolejnych Sprawiedliwych – brakuje mu do tego ludzi i środków, bazuje więc na zgłoszeniach. Zarówno tę historię, jak i jej kontekst opisywałam na łamach „Tygodnika” w maju tego roku.

A więc – historii takich jest jeszcze wiele. Można się na nie cieszyć: że tyle odkryć jeszcze przed nami. Pytanie tylko, czy inne będą miały tyle szczęścia, co historia grupy berneńskiej i Pszkitów.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Ostatni kadr

INGA ROGG ZE STAMBUŁU

Zniknięcie saudyjskiego dysydenta staje się politycznym wyzwaniem dla Turcji, Arabii Saudyjskiej i USA. Tureckie media twierdzą, że został zabity przez saudyjskie komando.

WIADOMO, KIEDY OSTATNI RAZ WIDZIANO go żywego: we wtorek 2 października kamera monitorująca otoczenie konsulatu Arabii Saudyjskiej w Stambule nagrała, jak Jamal Khashoggi wchodzi do budynku. Była godzina 13.15. Kamera nie zarejestrowała, by z niego wychodził. Choć władze saudyjskie twierdzą, że szybko opuścił konsulat.

Wiadomo, po co 59-letni dziennikarz tam poszedł: chciał załatwić formalności finalizujące rozwód, by poślubić nową turecką partnerkę. To ona zawiadomiła policję, gdy mijały godziny, a narzeczony nie wracał.

Od ponad roku Khashoggi, obywatel Arabii Saudyjskiej, mieszkał w USA i pisywał dla dziennika „Washington Post” teksty, w których ostro krytykował Arabię Saudyjską. Musiały boleć władze w Rijadzie – jeszcze niedawno Khashoggi, publicysta znany na Bliskim Wschodzie, uchodził za nadworne pióro domu panującego. Zmienił poglądy, gdy rządy objął następca tronu, książę Mohammed bin Salman [patrz „TP” nr 38 – red.]. Zaczął krytykować nowe represje, wojnę w Jemenie i blokadę Kataru. Objęty zakazem publikacji i wystąpień, Khashoggi wyemigrował do USA. Odtąd kursował między Ameryką, Wielką Brytanią i Turcją.

Zabity i poćwiartowany?

Od początku zniknięcia Khashoggi tureckie władze i media – także, a może zwłaszcza te zbliżone do rządu – formułują tezę, że dziennikarz-dysydent został zabity na terenie konsulatu. Arabia Saudyjska równie konsekwentnie temu zaprzecza. Ponieważ Ankara i Rijad nie darzą



Przed konsulem Arabii Saudyjskiej w Stambule, 8 października 2018 r.

się przyjaźnią, można sądzić, że przecieki do tureckich mediów – liczne i obfitujące w szczegóły – nie są przypadkowe. Nie ma dnia, by nie pojawiały się nowe detale o losie Khashoggi oraz o jego domniemanych zabójcach.

Tureckie media twierdzą, że udając się do konsulatu, Khashoggi wpadł w pułapkę zastawioną przez saudyjskie służby. Kilkanaście godzin wcześniej, nocą z poniedziałku na wtorek, do Stambułu miało przybyć 15 Saudyjczyków; tureckie media nazywają ich „komandem zabójców”.

Przylecieli różnymi samolotami w trzech grupach i zakwaterowali się w kilku hotelach w pobliżu konsulatu. Ale choć pokoje zarezerwowali do piątku, wymeldowali się już we wtorek po południu, po czym odlecieli do Rijadu. Zarówno przybывая do Turcji, jak też ją opuszczając przeszli przez specjalną kontrolę paszportową.

Turecka rządowa gazeta „Sabah” ujawniła nazwiska i zdjęcia całej piątnastki. Stacje telewizyjne publikują nagrania z monitoringu na lotnisku imienia Atatürka, spod konsulatu, rezydencji konsula i hoteli.

Także media z USA, zainteresowane sprawą, cytują tureckie źródła, wedle których w saudyjskiej grupie był lekarz, specjalista od medycyny sądowej. „New York Times” spekuluje, że miał zająć się poćwiartowaniem zwłok, aby łatwiej było je usunąć z konsulatu. Skąd taka hipoteza? Bo w bagażu jednego z członków „komanda” miała znajdować się piłka do kosci. I kolejny szczegół: tureckim pracownikom konsulatu powiedziano, by w tamten wtorek nie przychodzili do pracy.

Z monitoringu pochodzi też nagranie, które ujawniła stacja NTV: widać na nim, że dwie godziny po tym, jak Khashoggi wszedł do konsulatu, jego teren opuszcza mercedes transporter z przyciemnionymi szybami, który po przemierzeniu kilkuset metrów wjeżdża na sąsiedni teren rezydencji konsula. Tureccy śledczy sądzą, że Khashoggi był w tym aucie – być może już w kawałkach, rozmieszczonych w podejrzanych czarnych pojemnikach. Wkrótce potem teren konsulatu miało opuścić kolejnych sześć aut, z ową piątnastką.

Co dalej z Ameryką i Arabią?

Rijad to główny sojusznik USA w regionie Zatoki Perskiej – i sprawa Khashoggi może wstrząsnąć tym sojuszem. Sekretarz stanu Mike Pompeo żąda od Arabii Saudyjskiej wyjaśnień. Tymczasem władze Turcji, posługując się zakulisowo mediami, zwiększają presję na Rijad – który w ostatnim czasie występował jako rywal Ankary właściwie we wszystkich konfliktach na Bliskim Wschodzie – i pośrednio także presję na USA.

Pod koniec minionego tygodnia „Washington Post” ujawnił nową sensację: władze tureckie posiadają podobno nagrania audio i wideo dokumentujące to, co działo się z Khashoggim w konsulacie (pozyskane zapewne dzięki podsłuchowi).

Z nagrań ma wynikać, że przed śmiercią dziennikarz był okrutnie torturowany.

© Przeł. WP

Tekst ukończono w piątek 12 października.

INGA ROGG jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung”, specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu.

Brunatna legenda Brazylii

JAN SMOLEŃSKI

Niektórzy nazywają go „latynoskim Trumpem”. Ale powiedzieć, że Jair Bolsonaro – być może przyszły prezydent – jest politykiem radykalnym i skrajnie prawicowym, to jeszcze powiedzieć niewiele.

Gdy Jair Bolsonaro przybył na kampanijny wiec w stanie Roraima, jego zwolennicy witali go już na lotnisku. Podobny entuzjazm ten kandydat na prezydenta Brazylii wzbudza w innych częściach kraju. Popierający go mówią o nim *mito*, co po portugalsku oznacza „legenda”. Gdy go widzą, wpadają w zbiorową euforię. Poparł go nawet słynny piłkarz Ronaldinho.

Jego przeciwnicy z kolei uważają, że jest on „latynoskim Trumpem”. Protesty przeciw niemu także gromadzą tłumy. Podczas jednego z wieców Bolsonaro został nawet pchnięty nożem; wciąż dochodzi do siebie po tym zamachu.

69-letni Bolsonaro – były wojskowy i obecnie federalny kongresmen z Partii Socjalno-Liberalnej – otrzymał właśnie w pierwszej turze brazylijskich wyborów prezydenckich 46 proc. głosów, choć jeszcze latem prognozowano mu kilkanaście procent poparcia. Kolejny kandydat, były burmistrz São Paulo z Partii Pracujących, zdobył niecałe 30 proc. Większość sondaży sugeruje, że w drugiej turze, która ma się odbyć 28 października, Bolsonaro pokona swego centrolewicowego przeciwnika.

Wielbiciel katów

Od początku kariery politycznej „Legenda” budził kontrowersje – głównie swoją nienawistną retoryką. Uchodźców z Haiti, Afryki i Bliskiego Wschodu nazwał „szumowinami ludzkości”, którymi powinna „zająć się” armia. Rdzenne ludy Amazonii określił mianem „pasożytów”, a potomków czarnych niewolników uznaje za „nieodpowiednich do rozmnażania”.

W jednym z wywiadów wspominał, że wolałby, aby jego dziecko zginęło w wypadku, niż żeby okazało się osobą homoseksualną. W innej rozmowie zaznaczał, że nie obawia się tego, bo swoje dzieci „porządnie wychował”. O jednej z deputowa-

nych do brazylijskiego Kongresu powiedział, że „nie zasługuje” na to, żeby zostać przez niego zgwałcona. Później wyjaśnił, że to dlatego, iż jest brzydka. Lista podobnych wypowiedzi jest naprawdę długa.

Bolsonaro ciepło wypowiadał się na temat brazylijskiej junty wojskowej, która rządziła przez 20 lat twardą ręką. Powtarzał, że był to czas porządku i postępu, choć zaznaczył, że błędem dyktatury było to, iż nie wybiła wszystkich „komuchów”.

Podczas głosowania nad usunięciem z urzędu byłej prezydentki Dilmy Rousseff, Bolsonaro dedykował swój głos pamięci pułkownika Carlosa Brilhante Ustry, który w czasach junty odpowiadał za torturowanie pani Rousseff. Ustra – zdaniem Bolsonaro: narodowy bohater – zyskał mroczną sławę opracowaniem wymyślnych tortur. Poza gwałtami i elektrowstrząsami, nagminnie stosowanymi przez latynoskie prawicowe dyktatury, w repertuarze tutejszej junty było m.in. wsadzanie kobietom sznurów do waginy.

Powiedzieć, że Bolsonaro jest politykiem skrajnie prawicowym, to chyba jeszcze mało powiedzieć. Wzywał on również do fizycznej eksterminacji swoich przeciwników politycznych, zwłaszcza członków i sympatyków Partii Pracujących. Tym, co szczególnie martwi jego przeciwników, są nieukrywane odniesienia do możliwego puczu wojskowego. Bolsonaro deklarował, że nie uznaje niekorzystnego dla siebie wyniku wyborów, i że podobnie powinna zrobić brazylijska armia.

Rozchwiany kraj

Bolsonaro konsekwentnie buduje swój wizerunek polityka walczącego przeciw „politycznej poprawności”. Wielu jego zwolenników to osoby o skrajnie prawicowych poglądach: od otwartych neonazistów, przez ultrakonserwatystów (z tęsknotą patrzących na lata junty), aż po brazylijską wersję alt-prawicy.



Błędem byłoby jednak zakładać, że wszyscy jego zwolennicy to sfrustrowani mężczyźni sympatyzujący z prawicową ekstremą. Brazylia boryka się bowiem z trzema poważnymi problemami społecznymi.

Pierwszy to miejska przemoc i brutalna przestępczość, z którymi kraj nie radzi sobie od dawna. W 2015 r. jej ofiarami padło w Brazylii aż 58 tys. ludzi. W 2016 r. było jeszcze gorzej: liczba zabójstw wyniosła ponad 61 tys. (to 168 zabójstw dziennie, siedem na godzinę). Według Biura ds. Narkotyków i Przestępczości ONZ, w 2017 r. liczba zabójstw spadła do 56 tys., ale nadal ich wskaźnik wynosi ok. 30 zabójstw na 100 tys. mieszkańców – gdy według ONZ stan chronicznej przemocy to 10 zabójstw na 100 tys.

Drugim problemem jest kiepska sytuacja gospodarcza. W 2014 r. Brazylia gościła mundial, a w 2016 r. letnią olimpiadę. Wielu odebrało to jako sygnał międzynarodowego uznania dla kraju, co rozbudziło nadzieje w społeczeństwie. Wszystko to działo się na fali ekonomicznego boomu, wynikającego ze światowej koniunktury i zwiększonej konsumpcji wewnętrznej, będącej z kolei skutkiem transferów społecznych, wprowadzonych jeszcze za rządów lewicowego prezydenta Luiza Inácia Luli da Silvy (popularnie zwanego Lulą).

Ale to wszystko skończyło się wraz z recesją, która uderzyła w 2015 r., a z której Brazylia wciąż się z trudem wydobyla. Wzrost gospodarczy wynosi poniżej 2 proc., ale przy ogromnych nierównościach społecznych jego owoce kon-



CRIS FAGA / NURPHOTO / EAST NEWS

Demonstracja przeciwko Jairowi Bolsonaro po pierwszej turze wyborów prezydenckich. São Paulo, 10 października 2018 r.

sumują głównie najbogatsi. Bezrobocie wciąż jest dwucyfrowe.

Miękki puc

Trzeci problem – to endemiczna korupcja, tocząca państwo od polityków najwyższych szczebli po szeregowych urzędników i policjantów. Jej skalę ujawniła wielka operacja „Lava Jato”, czyli „Myjnia”. Z początku była wymierzona w pranie brudnych pieniędzy w małych biznesach, głównie na stacjach benzynowych. Ale w trakcie śledztwa odkryto sieć korupcyjnych powiązań sięgającą aż do dyrektorów państwowej spółki naftowej Petrobras (największej spółki Ameryki Łacińskiej) i wysoko postawionych polityków, w tym członków parlamentu federalnego i ministrów. Prowadzący to śledztwo policjant Newton Ishii i główny sędzia w procesach korupcyjnych Sergio Moro stali się bohaterami narodowymi. W sprzedaży pojawiły się maski karnawałowe z podobizną Ishiiego, a na murach graffiti wychwalające Moro.

Ale tak wysoki wynik Bolsonaro w wyborach prezydenckich zapewne nie byłby możliwy, gdyby nie polityczne wykorzystanie skandali korupcyjnych do osłabienia Partii Pracujących, które część Brazylijczyków nazwało miękkim zamachem stanu. Choć skala korupcji była ogromna, a zamieszani w nią byli politycy od prawa do lewa, to najwyższą cenę zapłaciła była prezydent Dilma Rousseff, którą usunięto z urzędu (jej obrońcy twierdzą, że postawione jej zarzuty wyolbrzymiono na potrzeby polityczne). W proteście przeciw

impeachmentowi na ulice wyszły tysiące ludzi.

Miejsce Dilmy zajął Michel Temer, również zamieszany w korupcję (dodatkowo, jak się okazało, w przeszłości był płatnym informatorem CIA). Poparty teraz przez niepopularnego Temera kandydat Henrique Meirelles zdobył raptem 1,2 proc. głosów.

W efekcie operacji „Myjnia”, w kwietniu 2018 r. do więzienia trafił też poprzednik Dilmy, były prezydent Lula. Oficjalnym powodem 12-letniego wyroku więzienia dla Luli było przyjęcie łapówki w postaci mieszkania – niewielkie przevinienie jak na standardy brazylijskie.

Zanim sąd podtrzymał decyzję, że Lula nie może po raz kolejny ubiegać się o fotel prezydenta, sondaże dawały mu ponad 15-procentową przewagę nad Bolsonaro. Notowania tego drugiego skoczyły, gdy Lula wypadł z wyścigu. Bolsonaro, którego ominęły zarzuty związane z „Myjnią”, mógł się teraz przedstawiać jako jedyne zbawienie dla ogarniętego kryzysem kraju.

Deklaracje i zagrożenia

Kłopot w tym, że recepty proponowane przez Bolsonaro są wręcz prostackie.

Rozwiązaniem problemu przestępczości ma być ułatwiony dostęp do broni palnej. Bolsonaro chce też zwiększyć uprawnienia policji i żandarmerii wojskowej, choć brazylijscy stróże prawa już teraz słyną z brutalności (w 2015 r. zabijali średnio dziewięć osób dziennie). I jego krytycy, i zwolennicy są zgodni, że skutkiem może być jeszcze więcej ofiar.

Jeśli chodzi o gospodarkę, Bolsonaro szczerze przyznaje, że się na tym nie zna, i odsyła do swojego doradcy Paula Guedesa. Ten swoją edukację i doktorat zdobył na Uniwersytecie w Chicago, gdzie nasiąkł liberalnymi ideami Miltona Friedmana. Po powrocie z USA został profesorem ekonomii w Chile, gdzie właśnie eksperymenty ekonomiczne, wprowadzane przez jego kolegów z Chicago (jeszcze pod dyktatorskimi rządami generała Pinocheta), nie wytrzymały konfrontacji z realiami: po latach tłustych wolny rynek zawiódł i państwo musiało przejąć kontrolę nad wieloma gałęziami gospodarki. To doświadczenie chyba nie zraziło Guedesa, skoro jego pomysły na ożywienie nie cięcia wydatków publicznych, prywatyzacja spółek publicznych i obniżki podatków. Nie wróży to dobrze większości Brazylijczyków, którzy są niezamożni i polegają na usługach publicznych dostarczanych przez państwo.

Także deklaracje Bolsonaro w sprawach ochrony środowiska marnie wróżą puszczy amazońskiej.

Z powodu homofobicznej, rasistowskiej i pełnej mizoginii retoryki Bolsonaro często jest porównywany do Trumpa. Ale argentyński historyk faszystów i nazizmu Federico Finchelstein z nowojorskiej New School for Social Research uważa, że prawdziwym źródłem inspiracji „Legendy” jest właśnie faszyzm. W artykule w „Foreign Policy” Finchelstein wylicza, że Bolsonaro nie traktuje swoich politycznych przeciwników jako konkurentów w walce o władzę, lecz wrogów, których należy usunąć. Dalej, w jego opinii to nie demokratyczny proces przesądza o prawomocnym tytule do urzędu; jego wygrana w wyborach ma być dowodem, czy były one uczciwe (w sumie wybory są więc zbędne).

Sam Bolsonaro przekonuje, że zagrożenie dla demokracji w Brazylii w przypadku jego wygranej jest „zerowe”. Ale nie powinno to być pocieszeniem, skoro zarazem uważa, że wojskowy zamach stanu z 1964 r. był w istocie... demokratyczną rewolucją.

Tymczasem według raportu Brazylijskiego Forum ds. Bezpieczeństwa Publicznego, poparcie dla autorytaryzmu w kraju wynosi 53 proc. Nad Brazylią zbierają się brunatne chmury. ©

MOGIŁA DLA JASTRZĘBIA

Przez 60 lat leżał w anonimowym grobie: dowódca powojennych „leśnych braci”. Jego odnalezienie i uroczysty pogrzeb ożywiły dyskusję o antysowieckim ruchu oporu na Litwie.

DOMINIK WILCZEWSKI

BYŁ PAŹDZIERNIK 1956 ROKU. ŚWIAT emocjonował się kryzysem sueskim, a w Związku Sowieckim trwała chruszczowska odwilż. A przynajmniej tak się wydawało zewnętrznym obserwatorom. Tymczasem na biurko szefa KGB generała Iwana Sierowa w jego gabinecie na Łubiance trafił obszerny raport z „poszukiwań i ujęcia byłego dowódcy nacjonalistycznego bandyckiego podziemia Ramanauskasa »Vanagasa«”.

Kilka dni wcześniej w ręce KGB wpadł w Kownie Adolfas Ramanauskas – ostatni z ukrywających się dowódców litewskiej partyzantki antysowieckiej. Wraz z jego aresztowaniem „likwidacja bandyckich dowódców w republice została zakończona” – mógł z zadowoleniem zraportować Kazimieras Laudis, szef KGB w Litewskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej.

O tym, że w chwili aresztowania 38-letni Adolfas zdążył wyszeptać do żony „Kocham cię, Birutė”, raport nie wspominał. Nie było też w nim mowy o 7-letniej Auksutė, która tego dnia po raz ostatni widziała ojca całego i zdrowego. Później zdąży go jeszcze odwiedzić w więzieniu.

„Gdy ogłoszono koniec widzenia, ojciec mnie objął. I nie mógł mnie puścić” – wspominała po latach Auksutė Ramanauskaitė-Skokauskienė. To było ich ostatnie spotkanie. KGB nie informowało o tym, gdzie chowa straconych „nacjonalistycznych bandytów”. Dopiero kilka dni temu, po ponad 60 latach, siwo-

włosa starsza kobieta, otoczona najbliższymi, mogła wreszcie p omodlić się przy grobie ojca. „Moje marzenie się spełniło” – powiedziała.

Rówieśnik niepodległości

Adolfas Ramanauskas pseudonim „Vanagas”, rozstrzelany przez Sowietów w listopadzie 1957 r., został pochowany w sobotę 6 października na cmentarzu Antokolskim w Wilnie.

Ostatnie pożegnanie z legendarnym partyzantem stało się możliwe dzięki specjalistom z Uniwersytetu Wileńskiego oraz z Centrum Badania Ludobójstwa i Oporu Mieszkańców Litwy (odpowiednika polskiego IPN). W czerwcu tego roku ogłosili oni, że szczątki jednej z osób, znalezione w nieoznakowanej zbiorowej mogile w tzw. cmentarzu sierocym na Antokolu, należą właśnie do „Vanagasa”. Leżały tam ponad 60 lat.

Odkrycie wpisało się w obchody stulecia urodzin „Vanagasa”. Rocznicą ta zbiega się też z setnym jubileuszem odzyskania przez Litwę niepodległości. Ramanauskas urodził się bowiem 3 marca 1918 r. – nieco ponad dwa tygodnie po tym, jak 16 lutego w Wilnie Rada Litewska (Taryba) uchwaliła Akt Odrodzenia Państwowości. Był więc rówieśnikiem niepodległej Litwy – i jak wielu młodych z jego pokolenia wraz z końcem II wojny światowej ruszył do walki przeciw okupacji swego kraju przez Związek Sowiecki.

„Walka z sowieckimi siłami okupacyjnymi toczyła się w lasach i na bagnach. Najsilniejszy opór stawiała Litwa. O ile w Estonii i na Łotwie »leśni bracia« tworzyli niewielkie, samodzielne grupy, na Litwie w 1949 r. zdołano ustanowić nawet centralne dowództwo” – pisał w książce „Historia państw bałtyckich” estoński historyk prof. Andres Kasekamp. W latach 1944-53 na Litwie w walkach brało udział 50 tys. mężczyzn i kobiet. Wliczając osoby w różny sposób wspierające partyzantów, cały ruch oporu mógł liczyć nawet ok. 100 tys. ludzi – w kilkumilionowym zaledwie społeczeństwie. Spośród nich zginęło 20 tys. (strona sowiecka straciła 13 tys. ludzi). Skala oporu na Łotwie i w Estonii była dużo mniejsza.

Dziś wokół mitu walki niezłomnych „leśnych braci” budowana jest polityka historyczna Litwy. Ale mit utrudnia dyskusję o ciemnych stronach partyzantki: ofiarach cywilnych i wcześniejszej kolaboracji z Niemcami, której dopuścili się niektórzy z późniejszych partyzantów. Kontrowersje nie ominęły też „Vanagasa”, na którego przed kilkoma laty padło podejrzenie o udział w mordowaniu Żydów w czasie okupacji niemieckiej.

Otwartej i rzeczowej dyskusji nie pomaga też to, że rosyjska machina propagandowa wykorzystuje dziś przypadki litewskiej kolaboracji z nazistami w celu dyskredytowania całego ruchu oporu.



Adolfas Ramanauskas pseudonim „Vanagas” („Jastrząb”), dowódca litewskich partyzantów. Zdjęcie wykonano pod koniec lat 40. lub na początku lat 50. XX wieku.

Między Hitlerem i Stalinem

Ramanauskas przyszedł na świat daleko od Litwy – w New Britain, w amerykańskim stanie Connecticut. Jego rodzice, podobnie jak tysiące innych Litwinów, na początku XX w. wyemigrowali za chlebem za ocean. Jednak w 1921 r. cała rodzina wróciła do ojczyzny.

Wychowywany – jak większość rolników – w patriotycznej atmosf-

rze, Ramanauskas chciał służyć ojczyźnie jako nauczyciel. Ukończył studia pedagogiczne w Poniewieżu. Odbił także szkolenie wojskowe w Kownie. Nie zdążył jednak zostać oficerem armii wolnej Litwy – koniec szkolenia zbiegł się z aneksją kraju przez Związek Sowiecki w 1940 r. (Litwini nazywają to pierwszą okupacją).

Władze sowieckie szybko zaprowadziły nowe porządki, a przeciwników prześla-

dowało NKWD. Kulminacją terroru były masowe wywózki w przeddzień niemieckiego ataku na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 r.

Nic dziwnego, że wielu Litwinów upatrywało we wkroczeniu wojsk niemieckich szansę na odzyskanie niepodległości. 22 czerwca w miastach i miasteczkach Litwy wybuchło antysowieckie powstanie. Cieniem na niepodległościowym zryw Litwinów położyły się wtedy pogromy Żydów, do jakich doszło po wkroczeniu Niemców. Szczególnie krwawy był pogrom kowieński – według niemieckich źródeł zginęło w nim ponad 3,5 tys. Żydów.

Hitler nie potraktował poważnie wolnościowych aspiracji Litwinów. Mimo to wielu z nich poszło na daleko idącą współpracę z okupantem. Powstała litewska cywilna administracja i pomocnicze formacje policyjne. Uczestniczyły w wyłapywaniu Żydów, zamykały ich w gettach, rekwirowały mienie i wreszcie – uczestniczyły w mordach. W latach 1941-44 zginęło 95 proc. spośród niemal 210 tys. litewskich Żydów. Większość nie w gettach czy obozach zagłady, lecz w masowych egzekucjach w pobliżu miejsc zamieszkania, prowadzonych głównie jesienią 1941 r.

„Vanagas”, czyli „Jastrząb”

Okres okupacji niemieckiej Adolfas Ramanauskas spędził jako nauczyciel w szkole w Olicie. Uczestniczył co prawda w powstaniu czerwcowym w 1941 r., ale nie brał udziału w poważniejszych starciach z Armią Czerwoną. Ponownie chwycił za broń, gdy Sowieci wrócili na Litwę. Przyjął pseudonim „Vanagas” – czyli „Jastrząb”. Dowodził oddziałami partyzantskimi w okolicach Olity i Mereczy. Stopniowo zdobywał coraz silniejszą pozycję na terenie historycznej krainy Dzūkii: dowodził batalionem, a następnie okręgiem, a w 1948 r. został dowódcą Obszaru Południowego „Niemen”.

W walce z okupantem partyzanci wykorzystywali znajomość terenu, trudnego do opanowania, pełnego ogromnych puszczy i bagien. Mogli też liczyć na wsparcie ludności. Przeciwno nim Sowieci rzucili do walki zgrupowania NKWD i NKGB, a także tzw. bataliony niszczycielskie (*istriebitielnyje bataliony*), rekrutowane z lokalnych kolaborantów. „Stribai” – jak nazywali ich Litwini – siali popłoch, terroryzując mieszkańców wsi. Ale partyzantkę zwalczano także bardziej wyrafinowanymi metodami: sowieckie służby →

→ specjalne stworzyły rozbudowaną sieć agentury, do której wciągano także schwytanych i zmuszonych do współpracy byłych partyzantów.

Tymczasem, choć litewski ruch oporu był najlepiej zorganizowany ze wszystkich krajów bałtyckich, to przez parę lat nie udawało się powołać scentralizowanego dowództwa. Wreszcie w lutym 1949 r. w okolicach Szawli doszło do spotkania dowódców okręgów, wśród nich „Jastrzębia”. Powołano Ruch Walki o Wolność Litwy (LLKS). Symbolicznie – bo 16 lutego, w święto niepodległości. Polityczne kierownictwo organizacji objął Jonas Žemaitis ps. „Vytautas”, a jego zastępcą został właśnie „Jastrząb”, który potem był też – w wieku niewiele ponad 30 lat – głównodowodzącym partyzanckich sił zbrojnych.

Strzał w twarz

Nie jednak mieli szans. Za sprawą kolejnych masowych wywózek Litwinów w głąb Związku Sowieckiego pod koniec lat 40. i szybkiej kolektywizacji wsi ruch partyzancki został pozbawiony bazy społecznej. Ludność czuła się coraz bardziej zastraszona. Swoją pracę prowadziła też agentura, niszcząc oddziały „leśnych braci” od wewnątrz.

W 1952 r. Ramanauskas postanowił się wycofać. Przez parę lat ukrywał się w różnych miejscowościach na południu Litwy. W międzyczasie Sowietom udało się schwycić „Vytautasa” – przewieziono go do Moskwy, gdzie długo próbowano go zmusić do współpracy. Žemaitis nie wydał swoich towarzyszy, w 1954 r. został rozstrzelany.

Podobny los spotkał Ramanauskasa. W październiku 1956 r. został wraz z żoną Birutė pojmany w Kownie. W operacji jego ujęcia uczestniczyło kilkudziesięciu zwerbowanych agentów. Trafił do wileńskiego więzienia KGB (dziś mieści się w nim Muzeum Okupacji i Walki o Wolność).

Został poddany wręcz nieludzkim torturom. „Ramanauskas nie posiadał informacji, które kagebiści musieli z niego za wszelką cenę wydobyć. Tortury nie miały żadnego pragmatycznego uzasadnienia. Chodziło wyłącznie o zadanie schwytanemu możliwie największych cierpień (...), o zemstę na owianym legendą, nieuchwytnym partyzanckim dowódcy” – pisze w swojej pracy „Leśni bracia” prof. Rafał Wnuk, badacz podziemia niepodległościowego w Europie Wschodniej.



Adolfas, jego żona Birutė i córka Auksutė. Zdjęcie wykonane w 1954 r., na dwa lata przed tym, jak żyjąca w ukryciu rodzina Ramanauskasów została aresztowana przez sowiecką KGB.

25 października 1957 r. Sąd Najwyższy Litewskiej Republiki skazał Ramanauskasa na śmierć. Wyrok wykonano 29 listopada w Wilnie – jak ustaliły badania, strzał został oddany nie w tył głowy (jak zwykle zabijali NKWD i KGB), lecz prosto w twarz. Zwłoki wrzucono do bezimennego grobu.

Żona „Vanagasa”, Birutė, została skazana na 8 lat więzienia. Dożyła odzyskania niepodległości przez Litwę, zmarła w 1996 r. Córka Auksutė przez wiele lat musiała żyć ze stygmatem „dziecka bandyty”. W wolnej już Litwie zaangażowała się w politykę, zasiadała w Sejmie z ramienia centroprawicowego Związku Ojczyzny.

Miejsce w pamięci

W czasach Związku Sowieckiego o partyzantach nie mówiono publicznie inaczej jak o „bandytach”, „burżuazyjnych nacjonalistach” i „faszystowskich kolaborantach”. Nieco inne światło na członków ruchu oporu rzucił głośny film „Nikt nie chciał umierać” z 1966 r., w reżyserii Vytautasa Žalakevičiusa. Zrealizowany w konwencji westernu obraz toczony na

odległej wsi „wojny po wojnie” do dziś uchodzi – mimo ukłonów w stronę komunistycznej ideologii – za arcydzieło litewskiej kinematografii czasów sowieckich. W filmie nie pojawiają się jednak Rosjanie – walkę z partyzantami ukazano w nim jako bratobójcze starcie między Litwinami.

Dopiero po odzyskaniu przez Litwę niepodległości uczestnicy ruchu oporu mogli znaleźć miejsce w narodowej pamięci. Jak zauważa prof. Rafał Wnuk, „walka zbrojna z reżimem sowieckim z lat 1944–1953 odgrywa rolę mitu fundacyjnego państwa”. Przewodniczącego LLKS Jonasa Žemaitisa uznano pośmiertnie za osobę pełniącą funkcję prezydenta Republiki Litewskiej, a deklarację Ruchu z 1949 r. (zapowiadającą przywrócenie demokratycznej konstytucji z 1922 r., wolne wybory do parlamentu i szereg reform społecznych, równość wobec prawa itp.) włączono do oficjalnego porządku prawnego państwa.

Dziś zbrojny ruch oporu postrzegany jest jako część dłuższego procesu zmagania o wolność Litwinów, którzy – gdy walka z bronią okazała się nieskuteczna – sięgnęli po metody *non-violence*.

– W tym sensie „bałtycki łańcuch” [żywy łańcuch w 1989 r., w rocznicę paktu Hitler-Stalin, który połączył Wilno, Rygę i Tallinn – red.] i ruch niepodległościowy, który rozpoczął się po pierestrojce, mogą być postrzegane jako kontynuacja i kulminacja walki o wolność rozpoczętej w okresie powojennym – tłumaczy mi prof. Saulius Sužiedėlis, litewski historyk wykładający na amerykańskim Millersville University, zajmujący się dziejami Litwy w okresie okupacji.

„Jestem Vanagasem”

„Oficjalna, państwowa narracja dotycząca powojennego podziemia koncentruje się na heroizmie i cierpieniu jego uczestników i nie dotyka tematów drażliwych czy stawiających konspiratorów w niekorzystnym świetle” – konstatuje Rafał Wnuk.

I rzeczywiście, publiczne omawianie przypadków, nawet udokumentowanych, udziału partyzantów w zbrodniach na cywilach czy ich wcześniejszego udziału w formacjach kolaboracyjnych zawsze wywołuje emocje, a autorów takich tekstów naraża na nieprzyjemności czy ostracyzm.

Doświadczył tego również historyk Mindaugas Pocius, który niemal 10 lat temu opublikował pracę poświęconą zwalczaniu przez partyzantów kolaboracji z władzą sowiecką. Z jego ustaleń wynikało, że w ramach tych działań nieraz cierpiała ludność cywilna. Doliczył się on aż 9 tys. ofiar cywilnych, w tym ok. 300 dzieci. Organizacje kombatanatów i ofiar represji zarzuciły Pociusowi, że oczernia bohaterów, a doniesienie na niego trafiło do prokuratury. Choć ta nie dopatrzyła się w pracy historyka znamion przestępstwa, cała sprawa miała efekt mrozący: do dziś badacze podchodzą do tematu z dużą ostrożnością.

Wiadomo też, że niektórzy uczestnicy ruchu oporu mieli za sobą epizod służby w kolaboracyjnej policji lub administracji za okupacji niemieckiej. Jedni „tylko” wydawali zarządzenia o rekwirowaniu żydowskiego majątku, inni konwojowali Żydów na rozstrzelanie, niektórzy uczestniczyli w egzekucjach.

Prof. Sužiedėlis wskazuje na przykład Jonasa Noreiki, naczelnika gminy w Szawalach, który wydał zarządzenie o zamknię-

ciu miejscowych Żydów w getcie. Noreika później zwrócił się przeciw Niemcom, trafił nawet do obozu koncentracyjnego Stutthof. Po wojnie konspirował przeciw Sowietaom i w 1947 r. został rozstrzelany.

Oskarżenia dosięgły też „Jastrzębia”: w 2009 r. organizacja skupiająca litewskich Żydów w Izraelu ogłosiła, że uczestniczył w mordach na ludności żydowskiej. Jednak zdaniem historyków z Centrum Badania Ruchu Oporu i Ludobójstwa nie ma na to żadnych dowodów. Strona organizacji, na której Ramanauskas został nazwany „okrutnym masowym mordercą”, zniknęła potem z internetu.

Z kolei w 2017 r. pisarka Rūta Vanagaitė (autorka głośnej książki „Nasi” o udziale Litwinów w Zagładzie) zasugerowała, że Ramanauskas mógł współpracować z sowieckimi służbami. Okazało się, że jej zarzuty wynikały z pobieżnej (delikatnie ujmując) lektury akt sprawy Ramanauskasa. Przez Litwę przetoczyła się fala oburzenia, a autorka musiała wycofać się z oskarżeń. Wielu Litwinów, zwłaszcza młodzież, zareagowało wtedy, dodając do swoich zdjęć profilowych na Facebooku hasło „Aš esu Vanagas” („Jestem Vanagasem”).

Wróciły za to zarzuty o udział Ramanauskasa w Holokauście, tym razem sformułowane przez izraelskiego historyka Efrima Zuroffa. Jego oskarżeń nie poparła jednak ani Litewska Wspólnota Żydów (która stwierdziła, że nie ma dowodów obciążających legendarnego partyzanta), ani ambasador Izraela w Wilnie Amir Maimon.

Antidotum na propagandę

Tłem dla tych dyskusji jest – nadal niezaakończony – spór o to, czy Litwini rozliczyli się z udziałem w Zagładzie. Choć jeszcze w 1995 r. ówczesny prezydent Algirdas Brazauskas przeproszał za to z trybuny Knesetu, to dziś nie brak głosów, że za gloryfikowaniem bojowników o wolność i za litewską martyrologią kryje się próba umniejszenia własnych win. Tablica ku czci Noreiki, która wisi na budynku Biblioteki im. Wróblewskich, gdzie tenże przez pewien czas pracował, nie wspomina o jego roli w prześladowaniu Żydów. Litewska Wspólnota Żydów od dawna domaga się jej usunięcia, co budzi z kolei protesty środowisk nacjonalistycznych.

Okazji, aby atakować tu Litwinów, nie marnuje Rosja. Gdy w 2017 r. na stronach NATO zamieszczono krótki dokument o bałtyckich „leśnych braciach”, rosyjskie MSZ zareagowało oburzeniem, że Sojusz promuje „wspólników faszystów”. Także teraz rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa tuż przed pogrzebem „Vanagasa” wydała oświadczenie, w którym partyzantów nazywa „unurzany w krwi”, a Ramanauskasa – mordercą ludności cywilnej. Medal ma jednak dwie strony: na Litwie ludziom dążącym do ujawnienia historycznej prawdy, nawet tym o czyśtych intencjach, łatwo przypiąć łatkę „agenta Kremla”.

Czy z kultem żołnierzy podziemia można pogodzić szczere spojrzenie na ciemne strony własnej historii? Zdaniem Sauliusa Sužiedėlisa nikt, kto uczestniczył w zbrodniach, nie powinien być w jakikolwiek sposób honorowany. – Byłoby jednak dużym błędem, gdyby badać biografię każdego członka antysowieckiego ruchu oporu tak, jak gdyby wszyscy oni byli winni – uważa historyk. Tak czynią jego zdaniem samozwańczy rosyjscy „badacze”, których celem jest dyskredytacja całego niepodległościowego podziemia.

– Najlepszym antidotum na rosyjską propagandę jest prawda, nawet wtedy, gdy ujawnia niewygodne fakty – konstatuje historyk.

Na wileńskim Antokolu

Żegnany przez prezydent Dalię Grybauskaitę, wileńskiego arcybiskupa Gintarasa Grušasa, premiera, ministrów i tysiące Litwinów „Jastrząb” spoczął na Antokolu – w panteonie przywódców państwa.

W tym samym miejscu pochowany jest prezydent Brazauskas – zarazem ostatni sekretarz Komunistycznej Partii Litwy. Miejsce wiecznego spoczynku pogodziło ludzi, którzy w życiu obrali tak różne drogi. I jest to chyba najbardziej wyrazistym symbolem skomplikowanych dziejów Litwy w minionym stuleciu.

© DOMINIK WILCZEWSKI

Autor jest redaktorem portalu przegladbaaltycki.pl, zajmuje się stosunkami polsko-litewskimi.

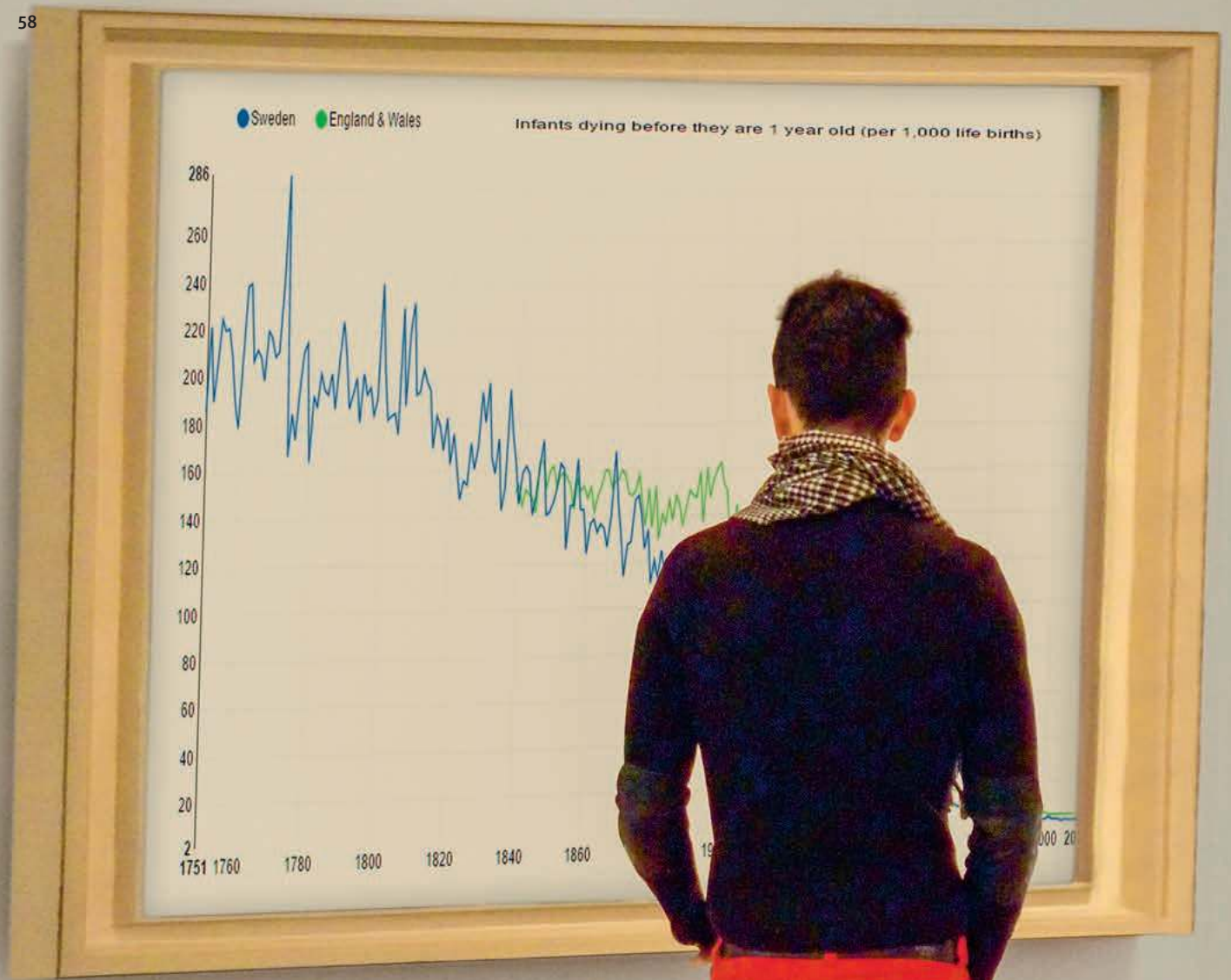
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



LEKCJE Z NIEWIEDZY

Szarlatani są mistrzami w diagnozowaniu ułomności prawdziwych lekarzy.
W końcu to na nich właśnie żerują.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

JUSTYNA SOCHA, LIDERKA POLSKIEGO Ruchu antyszczepionkowego (ukrywającego się pod sympatyczną nazwą „Stop NOP”), przedstawiała z sejmowej mównicy obywatelski projekt zmiany ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi. Nowa ustawa znosiłaby przymus szczepień ochronnych.

Autorzy odwołują się m.in. do zapisów kodeksu etyki lekarskiej i konstytucji, podkreślając, że zabiegi medyczne wymagają w świetle polskiego prawa dobrowolnej zgody, a ograniczenie wolności możliwe jest jedynie w sytuacji zagrożenia dla bezpieczeństwa i porządku publicznego. Faktem, którego nikt nie podważa, jest również występowanie niepożądanych odczynów poszczepiennych, od których stowarzyszenie Sochy wzięło swą nazwę. Podawanie szczepionek, zwłaszcza najmłodszym pacjentom, powinno być obwarowane szczególnymi zabezpieczeniami dotyczącymi oceny ryzyka oraz uzupełnione sprawnym systemem raportowania niepożądanych skutków ubocznych. To wszystko prawda i niewątpliwie jest tu wiele do zrobienia.

Wystarczy jednak chwila uważnej lektury, by w projekcie prezentowanym przez Sochę między racjonalnymi argumentami odnaleźć fałszywe twierdzenia i spiskowe wizje oparte nie na faktach, lecz na lęku. W uzasadnieniu przeczytamy m.in., że „w charakterystykach szczepionek odnotowano także inne możliwe negatywne rezultaty prowadzenia szczepień, takie jak: (...) autyzm, stwardnienie rozsiane i wiele innych”. Otóż ba-

dania jednoznacznie potwierdziły, że nie istnieje związek między szczepieniami a rozwojem tych chorób. Podobnie jak nie istnieje spisek, o którym z sejmowej mównicy opowiada właśnie Socha. „Wielu polskich lekarzy za zadawanie pytań i publiczne informowanie o swoich obserwacjach stanęło przed sądami lekarskimi lub było przesłuchiwanym”. Nikogo się w Polsce (ani, o ile mi wiadomo, nigdzie indziej na świecie) nie szykanuje za informowanie o odczynach poszczepiennych, zgłaszanie wątpliwości czy prowadzenie i publikowanie badań na temat szkodliwości szczepionek.

Bo prawda jest taka, że szczepionki nie są w stu procentach bezpieczne. Nic nie jest. Jeżeli ktoś składa obietnicę całkowitej eliminacji ryzyka – kłamie. Żądanie szczepionek „całkowicie bezpiecznych” to, w gruncie rzeczy, postawa antyszczepionkowa, niezależnie od tego, jak chciałoby się przedstawiać sami zainteresowani.

Obietnica czegoś „za darmo” – zysku bez ryzyka, energii bez paliwa, pieniędzy bez inwestycji – to właśnie jeden z tropów, po jakich już od czasów pierwszych projektów *perpetuum mobile* możemy rozpoznać pseudonaukę. Ale jest ich znacznie więcej! Pseudonauka roztacza przed nami przerażającą wizję przyszłości, by potem manipulować naszymi lękami. Podważa system zaufania, na którym opiera się nowoczesne społeczeństwo.

Szarlatani potrafią jednak słuchać uważnie, są wrażliwi na cierpienie, rozumieją znaczenie emocji, które nauka często zaniedbuje. Oto kilka lekcji, które możemy wyciągnąć z pseudonauki.

Stare, dobre czasy

Kierunek, w którym płynie czas, ma znaczenie. To pierwsza i najważniejsza lekcja z pseudonauki. I nie chodzi tu wcale o wehikuł czasu, lecz o kwestię fundamentalną. „Dziś przyszłość jest bardzo podejrzana, wszyscy się jej boją – tłumaczył Andrzej Leder w ostatnim numerze „Więzi”. – W związku z tym siłę zyskują symbole umocowane w przeszłości”. Zygmunt Bauman napisał o tym ostatnią książkę. W „Retrotopii” czytamy: „Wahało nastrojów społecznych wychyliło się w dokładnie przeciwną stronę: od zainwestowania nadziei na poprawę warunków bytowych w niepewną i aż nazbyt wyraźną wątpliwą przyszłość, ku ponowionej inwestycji w ledwie pamiętaną przeszłość, cenioną za domniemaną stabilność, a więc i za wrażenie, że można jej ufać”. Trudno o lepszą definicję pseudonauki!

Nowoczesna nauka była zawsze przedsięwzięciem nieco utopijnym. Wszelkie niedostatki teraźniejszości, karygodne błędy, których nie brakowało i nie brakuje, nadużycia i jednostkowe upadki nauka rekompensowała obietnicą lepszej przyszłości. Obietnicą, której – co bardzo ważne – dotrzymywała!

Nawet zakładając, że kiedykolwiek byłoby mnie stać, nie kupiłbym sobie obrazu Rembrandta, Kandinskiego, ani nawet mojego ukochanego Ingres’a. Jeżeli kiedyś będę miał gabinet, powieszę sobie nad biurkiem wydrukowany w wielkim formacie i oprawiony w ramy wykres przedstawiający spadającą śmiertelność dzieci. Dwieście lat temu w niezłe rozwiniętej Szwecji (dla której dysponujemy →

→ wiarygodnymi danymi) piątych urodzin nie dożywało 30-40 proc. dzieci. Podobnie było jeszcze pół wieku temu w miejscach takich jak np. Sierra Leone. Dziś dla krajów najbardziej rozwiniętych krzywa śmiertelności zbliża się do zera. Dziesięciu procent nie przekracza nawet w najgorszych punktach globu.

Ten widok – piękniejszy niż dzieła najwybitniejszych mistrzów pędzla – zawdzięczamy właśnie nauce. Poprawie warunków bytowych, higieny, rozwojowi medycyny i – oczywiście – powszechnemu programowi szczepień. Niestety, dostrzec to można dopiero na wykresie. Na ulicy nie zdajemy sobie sprawy, ile mijamy dzieci, które nie zachorowały na polio albo nie umarły na odrę. Nigdy nie poznamy nazwisk ludzi, którzy wprowadzili nowe procedury w ruchu lotniczym, medycynie czy warunkach technicznych dopuszczania pojazdów do ruchu. Nie dowiemy się o ich bohaterstwie, bo katastrofy, którym zapobiegli, nigdy się nie wydarzyły. Odczuwamy za to negatywne skutki nowych regulacji: zwiększoną biurokrację, odczyny poszczepienne, wyższe koszty produkcji. I dlatego właśnie szlag mnie trafia, kiedy słyszę, jak lekarze muszą się tłumaczyć z bycia członkami światowego spisku. Albo gdy padają oskarżenia, że nauka zniszczyła nasze życie, bo kiedyś to żyło się wspaniale.

Utraciliśmy wiarę, że będzie coraz lepiej. Kulturę i politykę przesiąka pesymizm. Nowoczesne społeczeństwo wyrzekło się przyszłości. Utopia kojarzy nam się z postępem. Na horyzoncie widzimy bunt maszyn, globalną epidemię albo cyberdyktaturę.

W takim środowisku doskonale czują się pseudonaukowcy. To nie przypadek, że pseudonauka, która niegdyś przodowała właśnie w roztaczaniu fantastycznych wizji przyszłości, dziś czerpie swą siłę raczej z nostalgii, obiecując powrót „starych dobrych czasów”. Zobaczymy tylko, z jaką lubością pseudomedycni szarlatani i twórcy „cudownych diet” odmieniają przez wszystkie przypadki słowo „natura”. Otóż „w naturze” śmiertelność dzieci wynosi 50 procent. Nawet zakładając, że powrót jest możliwy – czy naprawdę chcemy wsiąść do tego wehikułu czasu?

Co najgorsze, wobec rzeczywistych zagrożeńających się w przyszłości, które nauka rozpoznaje poprawnie, pseudonauka nagle porzuca apokaliptyczny ton. Doskonale przykładem są zmiany kli-

Nigdy nie poznamy
nazwisk ludzi,
którzy wprowadzili
nowe procedury w ruchu
lotniczym albo medycynie.
Nie dowiemy się o ich
bohaterstwie, ponieważ
**katastrofy,
którym zapobiegli,
nigdy się nie wydarzyły.**

matyczne i węglowa retrotopia, którą jako rozwiązanie proponują nam niektórzy politycy i hochsztaplerzy. „Wszystko będzie dobrze, to tylko lewicowi naukowcy chcą wyciągnąć pieniądze na »zielone« technologie. A przecież nie ma nic zdrowszego niż nasz polski węgiel. Tyle lat palił się nim w piecach, hutach i fabrykach, i wszystko było super. I nagle im nasz węgiel śmierdzi? Spisek! Oszustwo! Szantaz moralny!”.

Dlatego pierwszym krokiem do pokonania pseudonauki jest powrót do przyszłości. Obietnica zawrócenia biegu czasu, łącząca populistów i pseudonaukę, jest obietnicą bez pokrycia.

Bryczką do znachora?

Po latach całkiem udanych rządów nadzieja abdykowała. Puste miejsce na tronie masowej wyobraźni momentalnie zajął lęk. Ten uzurpator jest wielkim sojusznikiem pseudonauki. Łączy ją to z politycznym populizmem. „Dzisiaj wzywa się państwo do wyeliminowania wszelkiego ryzyka. Jest to obietnica, której nie jest w stanie ono dotrzymać” – pisał Emmanuel Macron w „Rewolucji”. Pseudonauka składa nam tę samą obietnicę i jest ona równie bałamutna, co ta padająca z ust polityków. Nauka nigdy nie żąda i nie obiecuje pełni bezpieczeństwa. Zamiast tego proponuje podejście oparte na obliczaniu ryzyka.

Nikt nie twierdzi, że szczepionki są całkowicie bezpieczne. Nic nie jest. Można się pośliznąć na mydle albo przeciąć sobie tętnicę stroną tygodnika. Podejście naukowe polega na porównaniu ryzyka, ja-

kie (w skali populacji) niesie ze sobą szczepienie, z tym, jakie przyniosłaby choroba. Wymaga to uwzględnienia mnóstwa zmiennych – szansa zachorowania i wystąpienia powikłań, populacyjnej dynamiki epidemii itd.

Problem polega na tym, że nie jesteśmy zbyt dobrzy w szacowaniu ryzyka. Szeroki wachlarz mechanizmów kulturowych i psychologicznych sprawia, że przeceńniamy jedno zagrożenie, ignorując inne. Np. bardziej boimy się skutków działania niż zaniechania. Nauka często pada właśnie ofiarą tego paradoksu.

„Postrzeganie ryzyka jest zwiększone, gdy stanowi ono wynik celowego ludzkiego działania, a nie losowego, naturalnego zdarzenia, a także wówczas, gdy potencjalne negatywne skutki są dojmujące, a korzyść związana z działaniem niejasna” – pisali redaktorzy „New England Journal of Medicine” w artykule „The Risk of Vaccination – The Importance of »Negative« Studies”, komentując psychologiczną przewagę ruchu antyszczepionkowego i znaczenie badań wykazujących brak związku między szczepieniami a stwardnieniem rozsianym.

Oczywiście marzenie o tym, żeby rachunek prawdopodobieństwa i analiza ryzyka znalazły godziwe miejsce w szkolnym programie nauczania, pozostaje tylko pięknym snem. Trzeba się z tym postulatem ustawić w kolejce za kilkunastoma innymi kluczowymi zmianami w systemie edukacji. Tym, co na pewno możemy zrobić, jest szkolenie naukowców w komunikacji ryzyka i osvajanie ich z pułapkami związanymi ze społecznym postrzeganiem nauki. To jedno z tych miejsc, gdzie humaniści i badacze z zakresu nauk społecznych powinni ściśle współpracować z kolegami z wydziałów ścisłych i przyrodniczych. Cóż z tego, że wynajdziemy nowe szczepionki, terapie na raka i latające samochody, jeżeli ludzie wiedzeni lękiem będą woleli pojechać bryczką do znachora?

Przychodzi pacjent do labiryntu

Fundamentalną potrzebą człowieka jest potrzeba sensu, potrzeba życia w świecie zrozumiałym. Kiedy spojrzymy na naukę pod tym kątem, okaże się, że te same mechanizmy, które leżą u źródła jej spektakularnych sukcesów w ciągu ostatnich dwóch stuleci, przyczyniają się teraz do triumfu pseudonauki. Chodzi

przede wszystkim o specjalizację. Wraz z jej postępem poszczególne dziedziny nauki oddaliły się od siebie, tworząc archipelag rozproszonych wysp, połączonych coraz węższymi mostami. Specjalistka od niesporczaków nie bardzo wie, czym się zajmuje jej kolega od palm, nie wspominając już o fizyku jądrowym. Historyk gospodarki XIX w. coraz mniej ma do powiedzenia mediewistce specjalizującej się w historii Kościoła. Poszczególne dziedziny mają swoje konferencje i swoje „papery” we własnych prestiżowych „journalach”.

O ile z wewnątrz akademii to rozbitcie dzielnicowe ma jeszcze jakiś sens – wszystkich łączy tam pewien etos, często jedno miejsce pracy albo chociaż podobieństwo struktur awansowych – o tyle dla kogoś spoza uniwersyteckiego świata nauka znika rozproszona w dziesiątkach odrębnych przedsięwzięć. A przecież potrzeba całościowego spojrzenia, dostrzegania połączeń i jedności jest nierozdzielnie związana z potrzebą sensu. Praca mitu jest zawsze pracą totalizującą, poszukującą uniwersalnych zasad rządzących kosmosem i ludzkim życiem. Z tego punktu widzenia nauka utraciła swą mitologię i jeżeli chce przetrwać obecny kryzys – musi ją odbudować. Bo nie chodzi tu o ciekawskie spojrzenia zapuszczane za mury uniwersytetu, ale o kluczowe doświadczenia naszej codzienności – doświadczenie konsumenta kosmetyków, kierowcy samochodu czy pacjenta poszukującego pomocy w cierpieniu.

Spójrzmy na doświadczenie choroby nie przez pryzmat podręcznika historii medycyny, lecz oczyma pacjenta, który najpierw spędza godziny w obskurnej poczekalni, a potem lekarz przyjmuje go przez pięć minut w gabinecie oblepionym po sam sufit reklamami leków. Cóż z tego, że otrzymał niezbędną pomoc? Że lekarz jest wybitnym specjalistą, który nie ma czasu na pogawędkę, a fakt zapisywania zaleceń na karteczce z logo koncernu farmaceutycznego w żaden sposób nie wpływa na jego profesjonalizm?

Każdego dnia tysiące pacjentów wychodzą z takich spotkań zrażeni do ochrony zdrowia, medycyny, nawet do całej nauki. Polskiemu pacjentowi towarzyszy zagubienie, które pogłębia jeszcze cierpienie. Polska choroba to nie droga ku zdrowiu, lecz pozbawiony sensu labirynt.

Pseudonauka doskonale tę potrzebę rozpoznaje, proponując prostą ścieżkę:

„Mamy dla ciebie czas. Leczymy całego pacjenta, a nie wątrobę albo nerki, osobno. Działamy przeciw wielkim koncernom, więc jesteśmy po twojej stronie!”.

Pajęcza sieć zaufania

Pseudonauka jest demokratyczna. Propонуje świat, w którym każdy może wypowiedzieć się na dowolny temat, a głos laika waży tyle samo, co głos eksperta. Tym samym okazuje się znacznie lepiej dostosowana do współczesnej rzeczywistości internetowej, w której dominuje komunikacja symetryczna – prowadzona równocześnie przez wielu równoprawnych nadawców. Nauka tymczasem opierała się zawsze i opiera na elitaryzmie. W jej świecie nie każdy może zabierać głos na równych prawach. Nie ma nauki bez szacunku dla ekspertów. I bez zaufania.

Bo choć rzadko zdajemy sobie z tego sprawę, nauka opiera się na skomplikowanej sieci zaufania właśnie. Składają się na nią prestiże poszczególnych instytucji, wiarygodność nadawanych przez nie tytułów i uprawnień, wymogi opierania się na faktach, dowodach i eksperymentach przedstawianych w sposób transparentny i powtarzalny. Poszczególne elementy nauki, oglądane z zewnątrz (nawet i z perspektywy dyskutowanej ostatnio szeroko reformy), wydają się czasem dziwnym ceremoniałem. Ale tytuły i stopnie, procesy recenzyjne, cytowania i punktacje mają sens tylko o tyle, o ile podtrzymują pajęczą sieć zaufania, z której czerpie swą moc każde twierdzenie wypowiedziane „w imię nauki”. Bo choć zdarzają się co roku tysiące słabych badań, nieobiektywnych recenzji i niezaskuszonych awansów, to siła nauki nie opiera się na nieskazitelności poszczególnych naukowców ani nawet uniwersytetów. Opiera się na systemie zaufania uzewnętrznionym i wpisany w sieć instytucji.

Pseudonauka w ten system uderza. Propонуje spiskową wizję świata, w ramach której nauka posługuje się zмовą. A my lubimy wierzyć w spiski. Czyż nie przyjemnie przyłączyć się do rebelii walczącej z potężnym, złowrogim imperium?

Niech będą nam wzorem pradawni Lechici!

Większość moich kolegów zajmujących się zawodowo tym zjawiskiem najchętniej pseudonaukowe książki, broszury, czasopisma i – przede wszystkim – strony internetowe zamknęłoby, spaliło, a pogorzeli-

ska zaożało. Ja stoję na stanowisku dokładnie przeciwnym. Rozmawiajmy o pseudonauce, poznawajmy ją, włączajmy do programu szkolnego.

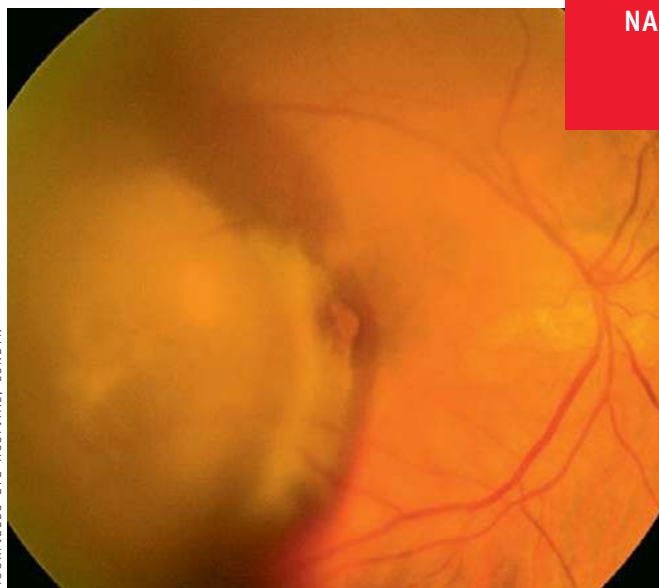
Fantazje o liczącym tysiące lat Imperium Lechitów powinny wejść do szkolnego programu historii, by uczniowie dostrzegli, do czego prowadzi brak krytyki źródeł i narodowa megalomania. Żeby lepiej zrozumieli, jak kuriozalnym błędem jest projektowanie XX-wiecznego wyobrażenia o państwach narodowych na odległą przeszłość (do czego obecny program szkolny raczej zachęca niż zniechęca).

Każdy student medycyny, a także doświadczony lekarz po specjalizacji powinien czytać o ukrytych terapiach wielkimi dawkami witaminy C i strukturyzatorach wody po 1999 zł. Nie dlatego, żeby zabiegi te mogły komukolwiek (poza sprzedającym) pomóc, ale dlatego, że jest to „wiedza”, z którą do drzwi ich gabinetów pukać będą pacjenci. A także dlatego, by dostrzec w krzywym zwierciadle pseudonauki rzeczywiste problemy ochrony zdrowia – osamotnienie pacjenta, niezrozumiałe diagnozy, kolejki, brak czasu i niezaspokojoną potrzebę bycia wysłuchanym. Szarlatani są mistrzami w diagnozowaniu ułomności prawdziwych lekarzy. W końcu na nich właśnie żerują.

Na fizyce należałoby rozwiązywać zadania dotyczące *perpetuum mobile*, płańskiej Ziemi albo rozważać argumenty polityków podważających wpływ człowieka na zmiany klimatyczne. Na chemii warto by zgłębić zasadę rzekomego działania owych strukturyzatorów wody, a na biologii – porozmawiać o obrosłym w mity glutenie, cudownych dietach albo o GMO – także od strony błędów i nieuzasadnionych obaw powielanych przez wiele organizacji ekologicznych. Nic bowiem nie przynosi większej satysfakcji i lepszej nauki niż samodzielne znalezienie błędu w argumentacji, która na pierwszy rzut oka wydawała się sensowna.

Oglądana uważnie pseudonauka przynosi mnóstwo nauki, a nawet – nauczki. Triumf, jaki przeżywają obecnie pseudonaukowe teorie w przestrzeni publicznej, nie jest przypadkiem. Jeżeli imperium nauki zamierza kontratakować – pierwszym niezbędnym krokiem powinno być poznanie języka wroga i surowa ocena własnych słabości. Najlepiej dokonana oczyma przeciwnika.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Siatkówka przed operacją...



...i po operacji z implantem

ZAŁATAĆ ŻÓŁTĄ PLAMKĘ

Nowe terapie z wykorzystaniem komórek macierzystych są szansą dla milionów pacjentów zapadających rocznie na AMD – ciężką chorobę oczu.

PIOTR WASYLZYK

DWA LATA TEMU 84-LETNI DOUGLAS Waters z Croydon w południowym Londynie nie był w stanie przeczytać nawet bardzo dużych liter przez szkło powiększające. Dziś, dzięki eksperymentalnej terapii AMD, w zwyczajnych okularach czyta gazetę.

Choroba

Światło dostające się do oka przez źrenicę pada na siatkówkę, którą tworzy wiele warstw wyspecjalizowanych komórek wyściełających wnętrze oka. W światłoczułej warstwie pręcików i czopków światło jest absorbowane i generowane są impulsy elektryczne, przekazywane przez nerw wzrokowy do ośrodków korowych w tylnej części mózgu, które z morza sygnałów krok po kroku konstruują to, co widzimy. Pod warstwą fotoreceptorów znajduje się tzw. nabłonek barwnikowy siatkówki, oddzielony błoną Brucha od

naczyniówki – systemu naczyń i komór wypełnionych krwią, która odżywia komórki siatkówki.

Zwyrodnienie plamki żółtej związane z wiekiem (ang. Age-related Macular Degeneration, AMD) jest poważną chorobą oczu, dotykającą ok. 5 proc. populacji powyżej 60. roku życia. Przewiduje się, że do 2020 r. na AMD zachoruje 196 mln ludzi na świecie – już teraz jest to najczęstsza przyczyna utraty wzroku wśród osób po pięćdziesiątce w krajach rozwiniętych. Ściśle rzecz biorąc, choroba ta zwykle nie prowadzi do całkowitej ślepoty, ale upośledza obszar plamki żółtej – rejon siatkówki, gdzie znajduje się największe zagęszczenie fotoreceptorów, umożliwiające najlepszą rozdzielczość widzenia. To ten obszar wykorzystujemy, gdy na czymś skupiamy wzrok, czytamy albo rozpoznajemy czyjąś twarz.

Bezradność

Nie są znane ani przyczyny zwyrodnienia (nie wiadomo np., dlaczego dotyka ono jedynie obszar plamki żółtej), ani skuteczne metody jego leczenia. W odmianie „mokrej”, w której dochodzi do niekontrolowanego wzrostu naczyń krwionośnych, pewne efekty lecznicze daje regularne podawanie leków do gałki ocznej. Przy 6 mln zastrzyków rocznie w skali świata staje się to wyzwaniem dla służby zdrowia, nawet w bogatych krajach. W przypadku odmiany „suchej” degeneracji ulegają kluczowe warstwy siatkówki: nabłonek barwnikowy, fotoreceptory i naczynia włosowate. Ta odmiana AMD stanowi zdecydowaną większość przypadków i nie są w tej chwili dostępne żadne strategie jej leczenia.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat próbowano różnymi sposobami przywrócić widzenie w obszarze plamki żółtej u pacjen-

tów z AMD, m.in. przy pomocy trudnych zabiegów, w których odkleja się siatkówkę i obraca ją tak, by w obszarze plamki znalazły się zdrowe komórki, albo wykonując przeszczepy komórek z innych, peryferyjnych obszarów siatkówki. Niektóre z tych zabiegów dały obiecujące rezultaty, ale ze względu na złożoność procedury żaden z nich nie daje nadziei na zastosowanie w skali dziesiątek czy setek tysięcy pacjentów.

Ich szansą mogą być aktualnie będące w eksperymentalnej fazie terapie wykorzystujące tzw. komórki macierzyste.

Nadzieja

Komórki macierzyste mają unikalne właściwości, pozwalające im różnicować się w wyspecjalizowane komórki organizmu. Mogą być źródłem prawie dowolnych komórek – mięśni, nerwów czy komórek wątroby – jeśli tylko potrafimy odpowiednio ukierunkować ich rozwój. Zarodki składają się m.in. właśnie z takich komórek. Odpowiednio pokierowane, w procesach, o których ciągle niewiele wiemy, przekształcają się one w poszczególne tkanki i narządy. W mniejszych ilościach komórki macierzyste występują także w dorosłym organizmie, jednak z reguły nie są aż tak plastyczne (nie są to tzw. pluripotencjalne komórki macierzyste).

W ciągu ostatnich kilku dekad naukowcy opanowali metody hodowli różnych komórek na bazie komórek macierzystych pochodzących zarówno z zarodków, jak i pobranych od dorosłych osobników. Te ostatnie – ze względu na kontrowersje etyczne wokół wykorzystywania zarodków – próbuje się tak przeprogramowywać, by stały się równie plastyczne, jak (pluripotencjalne) komórki zarodkowe.

Obecnie kilka grup badawczych na świecie prowadzi zaawansowane eksperymenty, w tym w fazie klinicznej, z udziałem pacjentów, w których przy pomocy komórek macierzystych próbuje się odbudować zdege-

nerowane w wyniku AMD warstwy siatkówki.

Wyniki

Jedną z takich grup, kierowaną przez prof. Petera Coffeya i prof. Lyndona Da Cruza, opublikowała w marcu tego roku w czasopiśmie „Nature Biotechnology” wyniki pierwszej próby klinicznej, przeprowadzonej na dwóch pacjentów w Moorfields Eye Hospital w Londynie – jednym z nich był wspomniany Douglas Waters. Na bazie linii komórkowej SHEF-1 (nazwa pochodzi od University of Sheffield) na podłożu z cieniutkiej perforowanej folii z plastiku (takiego samego, z którego wytwarzane są butelki do napojów) wyhodowano warstwę komórek nabłonka barwnikowego siatkówki. Tak przygotowaną łatę o wymiarach 3 na 6 mm wprowadzono między warstwy siatkówki podczas operacji trwającej niecałe dwie godziny. Z początku dwa eksperymentalne zabiegi miały na celu przede wszystkim stwierdzenie, czy terapia taka jest bezpieczna, jednak ich wyniki przerosły najsmielsze oczekiwania lekarzy, biologów i inżynierów zaangażowanych w rozpoczęty ponad dziesięć lat temu „London Project to Cure Blindness”. Po roku od zabiegu pacjenci, którzy wcześniej z trudem rozpoznawali przedmioty wielkości książki, byli w stanie czytać z prędkością 50 i 80 słów na minutę.

Choć do pierwszych operacji wybrano pacjentów z mokrą formą AMD, nie widać fundamentalnych powodów, dla których terapia z użyciem pokrytego komórkami nabłonka implantu nie mogłaby działać w przypadku formy suchej. W najbliższych miesiącach naukowcy z Londynu zamierzają przeprowadzić kolejne zabiegi. Jeśli ich prognozy się sprawdzą, za około pięć lat terapia powinna być dopuszczona do powszechnego stosowania i ma szansę stać się rutynowym, tanim zabiegiem, jak dziś leczenie zaćmy przez wstawienie polimerowej soczewki. ©

Terapie medyczne i dylematy naukowca

O nowej metodzie leczenia AMD, jej historii i przyszłości, mówi jej współtwórca, prof. Lyndon Da Cruz.

PIOTR WASYLCHYK: Od narodzin Waszej idei implantu siatkówki do pierwszej operacji minęło około 10 lat, kolejne trzy zajęła weryfikacja rezultatów i publikacja wyników. Czy pamięta Pan jeszcze, jak rozpoczął się ten projekt?

PROF. LYNDON DA CRUZ: Około 2000 r. pracowałem nad kilkoma nowatorskimi technikami operacyjnymi: przemieszczaniem siatkówki w obszarze plamki żółtej i przeszczepami nabłonka barwnikowego.

Chociaż wiele z tych operacji zakończyło się sukcesem i pacjenci odzyskiwali wzrok na tyle, by czytać i prowadzić samochód, od początku miałem świadomość, że takie podejście nie będzie nigdy możliwe do zastosowania w skali dziesiątek tysięcy pacjentów dotkniętych AMD.

Mniej więcej w tym samym czasie Peter Coffey przyglądał się nowym źródłom komórek siatkówki. Kiedy koło 2003 r. Pete przeniósł się do Instytutu oftalmologii, zdał mi sprawę, że możemy połączyć nasze prace – tak zaczął się projekt, który trwa do dziś.

Wykorzystanie zarodkowych komórek macierzystych jest etycznie kontrowersyjne. Jak podchodzi do tych dyskusji lekarz, naukowiec, praktyk? ➔

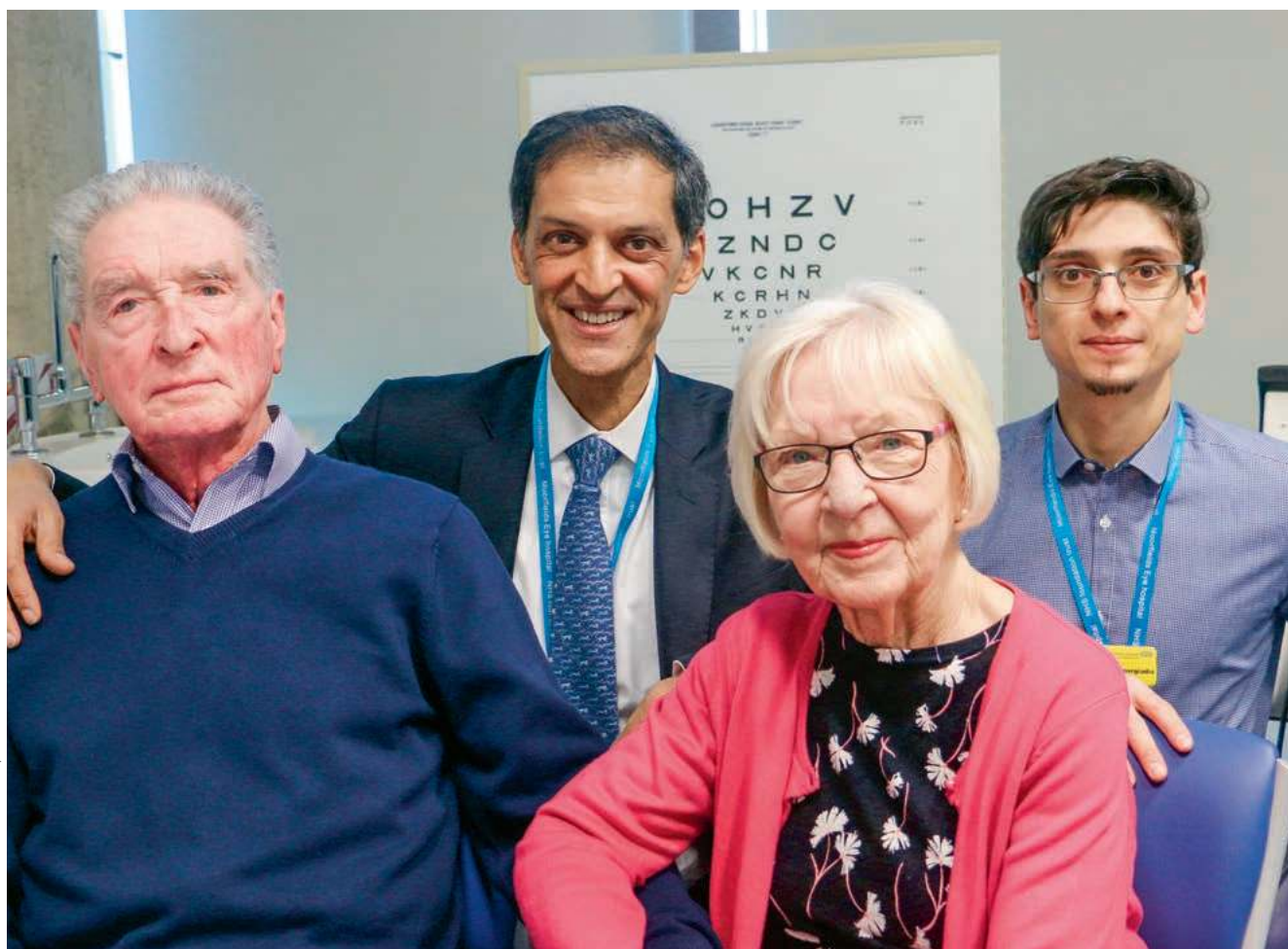
Prawo:

W WIELKIEJ BRYTANII użycie ludzkich zarodkowych komórek macierzystych jest uregulowane szczegółowymi przepisami i ograniczone do kilku obszarów: badań nad leczeniem niepłodności, badań nad przyczynami chorób wrodzonych, badań nad

przyczynami poronień, badań nad rozwojem nowych, bardziej skutecznych metod antykoncepcji, badań nad uszkodzeniami genów i chromosomów, badań nad rozwojem zarodków oraz badań nad przyczynami i sposobami leczenia poważnych chorób. Obecnie UK Stem Cell Bank przechowuje 23 linie ludzkich komórek

macierzystych, zdeponowanych przez grupy badawcze z kilku brytyjskich uniwersytetów i firmę Pfizer, i udostępnia je do badań po spełnieniu rygorystycznych wymagań.

W POLSCE nie ma szczegółowych przepisów regulujących użycie ludzkich zarodkowych komórek macierzystych.



Douglas Waters, jeden z pacjentów, u których dokonano wszczepienia implantu do siatkówki oraz (od lewej) prof. Lyndon Da Cruz – kierownik projektu, żona Douglasa – Freda Waters i Odysseas Georgiadis – okulista w Moorfields Eye Hospital.

⇒ Mam świadomość tych kontrowersji, szczególnie że sam pochodzę z rodziny praktykujących katolików.

Nie sądzę, abym do końca rozwiązał wszystkie problemy związane z wykorzystywaniem komórek embrionalnych, i wiem, że dla wielu ludzi pozostaje to źródłem poważnych pytań i wątpliwości. Źródłem komórek do badań, które prowadzę, jest jeden zarodek pochodzący z zapłodnienia pozaustrojowego, który w przeciwnym razie zostałby zniszczony, podobnie jak tysiące innych każdego roku w Wielkiej Brytanii i innych krajach europejskich.

Pojedyncza linia komórek uzyskana w ten sposób może być użyta do wytworzenia tysięcy implantów leczących najczęstszą przyczynę utraty wzroku w krajach rozwiniętych.

Czekam na moment, kiedy będziemy mieli do dyspozycji komórki, które dają te same możliwości, ale pochodzą z innych źródeł.

Na razie używamy dostępnych i dopuszczonych prawnie zasobów, które mogą bezpośrednio pomóc wielu ludziom – uważam, że istnieje ogromna potrzeba rozwijania tego typu terapii.

Nad czym teraz pracuje Pana zespół?

Obecnie dysponujemy jedynie niewielką ilością danych, będziemy więc kontynuować przeszczepy u kolejnych pacjentów, by zebrać więcej informacji. Chcielibyśmy też rozwinąć naszą metodę, by mogła być stosowana w schorzeniach, które wymagają przeszczepienia naczyńówki, a także neuronalnych elementów siatkówki. W związku z tym musimy opracować techniki przeszczepiania bardziej złożonych implantów, które obejmują kilka z tych elementów. Zwiększy to złożoność zabiegów i wymaga dalszej współpracy biologów, inżynierów i chirurgów.

Co czeka okulistykę w najbliższej przyszłości? Czy są już na horyzon-

cie technologie, które zwiastują nowe typy terapii?

Poza przeszczepami na bazie komórek macierzystych na etapie pierwszych badań na ludziach są również terapie genowe – mam nadzieję, że będą powszechne za kilkanaście lat. Wierzę, że pojawiają się też zupełnie nowe pomysły, których nawet nie potrafimy sobie jeszcze wyobrazić. ©

Rozmawiał w Londynie PIOTR WASYL CZYK

Dziękuję za konsultację naukową dr Dorocie Kaczmarek i dr. Radosławowi Kaczmarekowi z Kliniki Okulistyki Uniwersytetu Medycznego i Ośrodka Okulistyki Klinicznej Spektrum we Wrocławiu.

PIOTR WASYL CZYK jest adiunktem na Wydziale Fizyki UW i Research Associate na University College London, gdzie pracuje m.in. nad robotami wspomagającymi zabiegi okulistyczne.

ANDRZEJ

Stasiuk:

Światło października



MGLI SIĘ OD ŚWITU I NIE WIADOMO, JAKA będzie pogoda. Taka szarosrebrzysta niejasność panuje. No ale jak się tyle jesieni już przeżyło, to można dostrzec, że ta szarosrebrzystość to jednak słoneczny blask.

Jakoś tak się rozprzestrzenia we mgle, że widać go z każdej strony, a nie tylko na wschodzie. Jakby się rozpuszczał, rozcieńczał i tworzył świetlistą zawiesinę. A potem, koło ósmej, jasny cień niknie, podnosi się i oto wstaje chwała październikowej pory. Złoto, ogień i szmaragd pod błękitnym nieboskłonem. Mareszka płonie najciemniej, bo tam najpierw dotarły przymrozki. Ale niżej buki jeszcze się żółcą i brzozy obwieszone złocistym bilonem i tylko modrzewie jeszcze zielone, bo ich czas nadejdzie dopiero w listopadzie.

Jak to jest, że świat przed coroczną śmiercią robi się najpiękniejszy? Na pociechę? Czy z nadmiaru, który może trwać? Jakby miał pewność, że nigdy się nie wyczerpie i zawsze będzie zmartwychwstał. W odróżnieniu od nas. Więc może jednak na pociechę? Na otarcie łez to wszystko się dzieje. Światło października nie ma sobie równych, i te czarne gęste cienie. Ta wyrazistość, jak w ostatnim widzeniu, gdy czujemy spazm pożegnania.

Dzkie gęsi słyhać było gdzieś nad Uhercem. Odleciały na południe. Słyhać ich klangor wiosną i jesienią każdego roku. Czasem na niebie pojawia się klucz albo dwa. Ta nieuchronność zawsze sprowadza pewność, że sprawy mają właściwy bieg. Że świat nie wypadł z kolein i nawet my, jeśli jesteśmy jeszcze w stanie usłyszeć i zobaczyć klucz na niebie, mamy w nim swoje miejsce.

Bo czasem wyobrażam sobie, że jesteśmy tego świata częścią, że nie jesteśmy osieroceni, że nie zerwaliśmy ostatnich więzów, że nie skazaliśmy się na całkowitą samotność. Ale można powiedzieć, że to jest trudne wyobrażenie. A może byliśmy samotni od początku? Tylko dlaczego akurat my?

Nie wszyscy wierzą w grzech pierworodny. Na mongolskim stepie znajdowałem ludzkie czaszki – pamiątki po jeszcze nie tak dawnych pochówkach. Wynosiło się zwłoki z dala od siedzib, by dzikie zwierzęta, pory roku i pogoda zajęły się nimi i pomogły wrócić na właściwe miejsce. Albo te zdjęcia, na których buddyjscy mnisi oddzielają mięso od szkieletu i rzucają skrawki w powietrze, a sępy chwytają je w locie. Ale nawet buddyjscy mnisi mieli na rękach lateksowe rękawiczki i używali chirurgicznych skalpeli. Nie wiem tylko, co z kośćmi. Miele się i rozrzuca na wiatr? Niewykluczone.

No i w końcu wyszło na dobre. Rosa srebrzy się na żdźbłach, lśni na pajęczynach. Jest już chłodno i dzień się skrócił, więc w wielu miejscach pozostanie do wieczora. Przemoczony rudy kot wraca z polowania. Owce poszły w górę zbocza i gdy stają w długim cieniu drzew, są prawie niewidoczne. Tylko jesiony nie zdążyły żółknąć. Zawsze doczekawały pierwszego mocnego przymrozka o świcie, w nieruchomym powietrzu słyhać było szelest opadających liści. Ale teraz umierają jeden po drugim i stają nagie czasem już w połowie lata. Wszędzie, w całych górach. Leśnicy mówią, że na razie nikt jeszcze nie wynalazł lekarstwa na chorobę atakującą korzenie. Niewykluczone, że znikną z krajobrazu, a w ich miejsce pojawi się jakieś nowe, nieznane tutaj drzewo.

Zaczyna się zmierzch. Owce same schodzą z pastwiska. Wpuszczam je do obejścia. Kładą się w swoim ulubionym miejscu na niewielkim wzniesieniu pod sosną. W padającym z okna świetle ich źrenice lśnią zielonkawo. Mareszka dopala się i zaraz zamieni się w stos stygnących węgli. Już teraz jest prawie czarna, a i na łąki szybko opada ciemność. Widzę jeszcze jasny zad sarny. Zwierzę idzie niespiesznie w górę zbocza, w stronę, skąd przed chwilą przyszło owcze stadko. Za chwilę wszystko zniknie. Nadejdzie bezksiężycowa noc i zgasi ogień października. Trzeba będzie je sobie wyobrażać. Tak jak wędrując zmęczeni w mroźnej ciemności wyobrażamy sobie, że w końcu dotrzemy do domu. Amen, Drodzy Państwo. Amen.

©

REKLAMA



eufonie

I Międzynarodowy
Festiwal Muzyki Europy
Środkowo-Wschodniej
23.11–1.12.2018
Warszawa

Dvořák	Bartók
Moniuszko — Pärt	Enescu
Szymanowski	Górecki
Penderecki	Kulenty

bilety.eufonie.pl

MATKA ODCHODZI

MAREK BIEŃCZYK, PISARZ:

Lecieliśmy samolotem i zdarzyły się silne turbulencje.
Ludzie panikowali, a matka siedziała zadowolona.
Spojrzała na mnie i spytała: „A co? Boisz się umrzeć?”.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jakie masz pierwsze wspomnienie z matką?

MAREK BIEŃCZYK: Przypuszczam, pewności nie mam, że to była matka, w każdym razie kobieta, która sprząta. Mogę mieć nie więcej niż półtora roku, do pokoju wpada słońce i czuję uderzenie światła.

To jest przyjemne?

Tak, coś jak głęboki oddech. Uderzenie światła w twarz. I radośnie lśniąca podłoga obok, bo ktoś ją zmywa. Chyba też pies wylegujący się w cieple... To nie jest wspomnienie, a raczej pierwszy obraz; obraz, objaw czy objawienie.

Objaw?

Pierwszy objaw życia, nad którym wyobraźnia zacznie pracować. I pewnie pracuje do dzisiaj. Natomiast przed twoim pytaniem nigdy się nie zastanawiałem, jakie jest pierwsze wspomnienie z matką. Wspomnienia to nie moja specjalność.

Bo?

Bo nie lubię. Literatura wspomnieniowa mnie nie pociąga. Jeśli w „Kontenerze” pojawiają się jakieś fragmenty scen z przeszłości, to nie w celu wspomnieniowym. Książka raczej pcha się do przodu, niż idzie do tyłu.

Opisanie wspomnień jest drogą do pamiętnikarstwa?

To też. Wspomnienia są, że tak powiem, mało skuteczne literacko. Mogą być bardzo interesujące jako takie, lecz trzeba ogromnej pracy, aby przerobić je w ciekawą formę literacką. No, ale też nie lubię, a zwłaszcza nie umiem wspominać.

Wspominanie jest niemęskie?

Nie, nie o to chodzi. Powiedzmy, że nie lubię nostalgii. Jej mniej lub bardziej gorzkiej słodyczy. Słodycz w literaturze raczej słabo działa, to wiadomo, trzeba Prousta, by smakowała, ale też nie lubię w literaturze goryczy, w żadnej postaci. Mam pewnie rodzaj nerwicy antywspomnieniowej, bo wspominać to wyrażać – chcąc nie chcąc – zgodę na upływ czasu, szukać na siłę piękna, patrzeć na istnienie elegijnie, a z tym są kłopoty. Gdy ludzie nie mogą zasnąć, fajnymi wspomnieniami próbują zapełnić sobie głowę; nie umiem tego robić. A w tej książce dodatkowo wiąże się to z tym, że matka miała wewnętrzny szlaban na wspomnienia. Przy ojcu by się dało jakoś wspominać, ścielił wspomnienia jak łóżko po nocy.

Dlaczego nie chciała opowiadać o przeszłości?

Swoje przeżyła, pokolenie wojenne, wiadomo. Oczywiście, naciskałem, chciałem wiedzieć... Każdy chce wiedzieć.

I nic? Naprawdę kompletnie nic?
Trochę, po łebkach. Niewiele.

A zdjęcia matki z dzieciństwa uruchamiały Twoją wyobraźnię?

Zdjęć nie było; jedno jedyne, ale w dużej grupie. Konsekwentna nieobecność przeszłości. Sam zresztą nie robię nigdy zdjęć. Archiwalne fotografie są fantastycznym terenem do obserwacji, świetnie to pokazuje Wojtek Nowicki, ale też robią miazgę z przyszłości, która już czeka za rogiem na ich bohaterów, więc nadmiernie tego braku zdjęć nie żałuję.

Aż przytupuję z niecierpliwości, żeby ten antyprzyszłościowy i niefotograficzny wymiar książki podkreślić i rzucić przy okazji, że „Kontener” to książka jakby o matce i nie o matce. Nie da się powiedzieć oczywiście, że przeszłość tu nie ma znaczenia, bo ma ogromne, lecz żadnego w niej zasklepienia. Kilka dni temu przejeżdżałem przez południe Polski, tam, gdzie przed wojną jeszcze był jej dom, →

MAREK BIEŃCZYK jest pisarzem, historykiem literatury, tłumaczem z języka francuskiego. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”. Pracuje jako historyk literatury w Instytucie Badań Literackich PAN. W 2012 r. otrzymał Nagrodę Literacką Nike za „Książkę twarzy”. Opublikował także m.in. „Szybko i szybko – eseje o pośpiechu w kulturze”, „Melancholię”. Na początku października ukazała się w Wielkiej Literze jego nowa książka „Kontener”.



→ który od dłuższego czasu nie należy do rodziny. W jednym skrzydle zrobili sushi bar, w drugim – gabinet piękności. Wstąpiłem do baru, zjadłem futomaki, że tak powiem „na swoim”, a panie z gabinetu obok wychodziły piękniejsze. I pomyślałem, że matce by się to spodobało.

A Tobie?

Bardzo. Przeróbka w stronę tego, że coś się toczy, a nie zawraca.

Powiedziałeś, że to jest książka o matce i nie o matce. Ja bym dodała, że to jest książka o matce uniwersalnej, matce nas wszystkich.

No tak. Nawet nie umiałem napisać ani powiedzieć: mama. Tylko: matka. Książka miała być w dużej mierze o uniwersaliach. Składa się właściwie z kilku podksiążek, z kilku połączonych, lecz odrębnych tematów. Kiedy mówisz o matce uniwersalnej czy o uniwersalnej matce i ojcu, to wiem od ludzi, którzy są już po lekturze, że zupełnie inaczej czytają ją ci z doświadczeniem odejścia bliskich, a inaczej ci, którzy przez to nie przeszli.

Mało danych ujawniasz o matce, jest enigmatyczną bohaterką.

Nawet nie wiemy, jak ma na imię i jak wygląda...

Była czystą elipsą, widziało się tylko cząstkę, a reszta była do domyślania się albo wyobrażania. Elipsa też jest ważną dla mnie figurą pisarską, by się tak wyrazić. W jakiejś mierze może to być spadkiem po tej podstawowej figurze egzystencji matki, tym kosmicznym niedomówieniu, ale też spadkiem po różnych lekturach. Albo też sposobem własnego przeżywania, który projektuję trochę na innych, może trochę dostrzyłem matce ten jej styl zachowania i niemówienia.

Co jest jeszcze spadkiem?

Bardzo lękała się o swoich. Ten jej lęk chyba przejąłem i teraz przenoszę na obecnych bliskich.

Z jednej strony matka miała w sobie ten lęk, z drugiej – jakoś specjalnie nie bała się śmierci. Poniżej przeciętnej, rzekłbym. Pamiętam, jak kiedyś lecieliśmy samolotem i zdarzyły się silne turbulencje. Ludzie wbijali dłonie w fotele tak mocno, że było widać białe kostki... A matka siedziała zadowolona. Spojrzała na mnie, ironicznie uśmiechnęła się i spytała: „A co? Boisz się umrzeć?”.

„Kontener” jest opisem sytuacji umierania

i wyobrażeń, które rodzą się w głowie świadka.

Jest też zaproszeniem do dzielenia się własnymi doznaniem z tym doświadczeniem.

W pewnym sensie była człowiekiem wyzwolonym...

Miała przekonanie, że tak wszystko toczyło się w jej życiu, że może lepiej było się nie narodzić. Takie pokolenie. Coś tam jej chodziło po głowie czasem, że niekoniecznie życie, w jej przypadku, było darem. Oczywiście jak każdy, jednak śmierci musiała się choć trochę obawiać. Ale bardziej animalnie niż po ludzku, jeśli można to rozróżniać.

A Ty?

Myślę, że najbardziej boimy się bólu tych, którzy będą musieli przeżyć naszą śmierć. Gdy sobie to wyobrażam, ten przyszły ból wykracza wręcz poza jednostkowe istnienie i staje się bólem świata. Chodzi o to, że nie tylko X czy Y będzie cierpieć, ale że ten ból w przypadku X czy Y byłby tak szczególny, tak silny, tak bezbronny, tak bez żadnego zabezpieczenia, że odczuwam go jako kres świata, świata w ogóle: dla takiego bólu nie ma tu miejsca. Boli mnie zawczasu niewinność tego bólu. Ból zawsze jest jakoś niewinny, ale w tych konkretnych przypadkach byłby w mym przewidywanym odczuciu niewinny podwójnie, i to jest nie do wytrzymania. Nie wiem, jak to powiedzieć, niewinny jak drzewo, jak kwiat.

„Kontener” to też opowieść o pisaniu wobec śmierci bliskich.

Bo też to jest tekst o literaturze. Od biedy można go tylko tak czytać. No i z drugiej strony ta książka jest opisem sytuacji umierania i wyobrażeń, które rodzą się w głowie świadka, ale też jest zaproszeniem do dzielenia się własnymi dozna-

niami związanymi z tym doświadczeniem, tworzeniem imaginariusium tych, co towarzyszą umieraniu.

Encyklopedii umierania?

W tę stronę. Encyklopedii, zbioru, kontenera. Wspólnego magazynu. Bo tu nie ma dziennika żałobnego. To poza wszystkim innym rodzaj ekspedycji w imaginariusium, próba egzystencjalnego rozpoznania języka czy figur dyskursu żałobnego.

„Kontener” jest intymny, ale nie intymistyczny. Konstrukcja, wielowątkowość, powtórzenia, autoironie, są tu symptomy, powiedzmy, literackie. Dosłowne doświadczenie bycia przy umieraniu bliskiego człowieka staje się początkiem opowieści o literaturze i naszej wyobraźni. Kiedy mówię o wymiarze futurystycznym tej książki, to wynika on i z tego, że nie bez zdziwienia zobaczyłem, iż zaczyna się wytworzać pole wyobrażeń, których nie przewidywałem.

Np. widzisz matkę w totemie, w głowie czuwającej sowy.

Pojawia się i matka magiczna, i matka kosmiczna, i matka zwierzę, i jeszcze inaczej; figury na pewno odległe od skojarzeń żałobnych. Trochę mnie to dziwiło na początku, że przybiera postaci obce i że ta obcość jest dla mnie fascynująca.

Jeszcze matka ze snów.

Po raz pierwszy, nie licząc jednego wyjątku, wykorzystałem fragmenty snów. Ogólnie obca jest mi w literaturze oniryczność różnej maści, na przykład słabo przylegam do literatury surrealistycznej. Dadaistycznej prędzej, ale nie surrealistycznej. Nie pociąga mnie też freudowska interpretacja snów; zresztą mocno naciągana w przypadku jego pacjentów, tak żeby mu się zgadzało. Jednak tutaj zrozumiałem, że sny dla obcowania z odeszłymi są ważniejsze od wspomnień. Tylko w snach się prawdziwie z nimi obcuje; to są sny z małą dawką oniryczności, właściwie niewymagające interpretacji, bo tworzą sytuacje czyste i przejrzyste. Bezsłowne spotkanie oddechów choćby; nie wiem, czy bez snów o oddechach by to tak wyglądało, albo czy w ogóle książka by wystartowała.

Przejmowanie oddechu po zmarłym.

Tak, to był ważny sen, rozrósł się na całą książkę, oddech jest jej najważniejszym motywem, od Faulknera przez Canetiego, Celana i Bernharda po Barańczaka.

Ale z kolei bez Faulknera i jego opowiadania to też mogło nie wystartować lub potoczyć się inaczej.

Wszystko zaczyna się od zdania o jętkach. I też nie wiem, czy gdybym tej sceny realnie nie doznał, to bym to pisał. Była – albo: ona również była – założycielska.

„Matka nie żyła od sześciu miesięcy, kiedy przyleciały efemerydy” – to zdanie tworzy refren książki. Efemerydy, czyli jętki, to owady, które w postaci larwalnej potrafią żyć w wodzie nawet kilka lat, a już przekształcone w dorosłego osobnika mają tylko jeden cel – złożyć jaja. Żyją burzliwie, lecz krótko, zaledwie kilka dni, a czasami tylko jeden – od świtu do zmroku.

To był niezwykle wieczór, kiedy te jętki przyleciały. Coś w powietrzu, rodzaj czystości czy przezroczystości, kiedy myśli wyzwalają się spod codziennego wiru. Chwila wprost metafizyczna, trudno to mniej gromko określić. Rok prawie ją w sobie nosiłem, zanim ją opisałem. Uzmysłowiła mi, że cały „Kontener” będzie opowieścią o tańcu z nieobecnością, tak jak my wtedy na brzegu rzeki tańczyliśmy niejako z jętkami.

Ale ciekawi mnie, dlaczego właśnie jętki rozpały Twoją wyobraźnię.

Oczywiście jętki, jako byty skrajnie krótkotrwałe, pasowały wyjątkowo. Wielu, Kochanowski choćby, uczyniło z nich poetycki symbol naszej kondycji. Ale nawet nie o to w tym spotkaniu z nimi nad brzegiem rzeki chodziło; ten ogrom wirującej materii porywał, wprawiał w drżenie, był przerażający i piękny zarazem. To trochę nieestosowne, ale teraz to mi się kojarzy, przy zachowaniu wszelkich proporcji, ze słynną sceną z „Wojny i pokoju”, gdy ranny Bołkoński gapi się w niebo i doznaje metafizycznego wstrząsu. To doznanie pełne emocji, lecz zarazem poznawcze; nie ma w tym sprzeczności.

A oddech? Pisziesz nie tylko o nikłym oddechu umierających, ale też o żywych, którzy nie potrafią dobrze oddychać.

Gdy zaczęły się pierwsze protesty związane z Trybunałem Konstytucyjnym pod Sejmem, wystąpiła profesor psycholog i powiedziała do zgromadzonych: „Oddychajcie głęboko, nie dajcie sobie odebrać oddechu, bo to się natychmiast

Słuchasz czyjegoś oddechu:
przerwa, szmer, przerwa,
szmer, niewidzialne
poruszenie.

**Można kontemplować
czyjś oddech.**

Osoby, którą kochamy,
przede wszystkim.

przerzuca na ciało”. Ludzie reagują somatycznymi zaburzeniami na zakłócenia ich wewnętrznego porządku. Po wyborze Trumpa czytałem o podobnych reakcjach.

Ja zawsze źle oddychałem, dusiłem się, gdy miałem półtora roku, w ostatniej chwili mnie uratowano. Jako dziecko budziłem się często z poczuciem, że się duszę – ciało pamiętało i pamięta to dzisiaj, stąd pewne uwrażliwienie na kwestię oddechu.

Mam za sobą doświadczenie rodzenia i towarzyszenia w umieraniu bliskiego mi człowieka. Patrzyłam na pierwszy oddech moich dzieci – łapczywie silny, niebywale żywotny. I patrzyłam też na ten ostatni oddech ojca – do wewnątrz, niknący. Obrazy nie do zapomnienia.

Szmer w powietrzu, jakie to jest kruche, nieznaczące. Słuchasz czyjegoś oddechu, przerwa, szmer, przerwa, szmer, minimalne, niewidzialne poruszenie. Myślę, że można kontemplować czyjś oddech. Nie tylko swój, jak to czynią jogini, lecz kogoś obok. Osoby, którą kochamy, przede wszystkim, ale chyba nie tylko; taka kontemplacja jest bardzo szczególnym, bardzo głębinowym doświadczeniem. I wtedy każda nieregularna postać tego oddechu, u osoby chorej czy odchodzącej, jak opowiadasz, wywołuje w nas wstrząs.

Canetti ze wsłuchiwania się w oddech drugich uczynił wręcz moralny imperatyw; pisał o tym między pierwszą a drugą wojną światową, czyli między pierwszym i drugim w dziejach użyciem gazu w celach morderczych.

A Sándor Márai w „Dzienniku” opisuje zdarzenie, że na ulicy spotyka znajomego, któremu właśnie umarł ojciec. Ten znajomy jest oczywiście pograżony w smutku, a jednocześnie w jego głosie słychać nutę wyzwolenia.

Pewnie takie poczucie wyzwolenia przychodzi zawsze, ale nie dlatego, że stajesz się nagle wolna, tylko dlatego, że coś się diametralnie zmienia. Wyzwolenie to fałszywe słowo na tę zmianę.

Ale może pytasz mnie teraz, czy śmierć wyzwala pisanie? To poniekąd oczywiste, zwykliśmy sądzić, że duża część literatury, na tym polega jej przedziwny paradoks, i to literatury niekoniecznie wprost żałobnej jak treny, powstaje po czyjejś śmierci; że czeka się niejako na czyjąś śmierć, by zacząć o życiu pisać, że literatura potrzebuje śmierci. Proust, Roland Barthes: w ich przypadku to oczekiwanie było silne; Barthes projektował wielkie dzieło, chciał pójść śladem Prousta. Miałem to w głowie, pamiętałem o tym. Teraz myślę raczej, że taka autoprojekcja jest mityczna i trochę trzeba ją zdemistyfikować. To nie śmierć matki sprawi, jak spodziewał się Barthes, że powstanie wielkie, czy nawet nie tak wielkie, dzieło. Wstrząs coś kreuje, lecz nie przeceniałbym jego siły kreacyjnej.

Choć oczywiście całe nasze życie po stracie zaczyna się inaczej profilować.

Jak?

To tak jak po długiej morskiej podróży: schodzisz na ląd i musisz zacząć się inaczej poruszać. Dwa dni po śmierci matki zadzwonił Piotr Mucharski z prośbą o tekst i ja go szybko napisałem; żyłem więc „normalnie”. Tyle że, jak by to ująć, bardziej intensywnie, czy skrajnie intensywnie – a o skrajności nigdy nie da się powiedzieć, czy jest bólem, czy rozkoszą. Jakby też bardziej zmysłowo, głębiej czegoś – materii życia – dotykając, a nie ślizgając się po powierzchni. Istnienie zostało niejako oczyszczone do kości.

Albert Camus pisał o absurdalnym poczuciu prostoty w relacji syna z matką; rozumiem to jako „filozoficzny” skrót prowadzący do istoty rzeczy, bez, mówiąc nieco żartem, Heideggera. Wszystko staje się widoczne jak na dłoni – inni ludzie, niebo, ruch, świat. Szachownica jest wtedy na moment oczyszczona, można od nowa stawiać pionki. Ale życie toczy się dalej i wszystko zaczyna się zaciemniać na powrót, znowu widzisz i czujesz we mgle. Tyle że przez tamtą chwilę masz ➔

→ poczucie albo złudzenie, że aczkolwiek wszystkie twoje demony zostały, to jednak odradzasz się wobec własnego sposobu myślenia. Nie to, że widzisz „świat jasno w zachwyceniu”, ale że dostępujesz własnej wyrazistości na jego wyrazistszym tle. Dlatego nawet nie odczuwam tej książki jako melancholijnej, i nie bardzo miałem ochotę ją kończyć, tylko pisać dalej, wrzucać do kontenera dalsze słowa, do końca.

W kontenerze, o którym piszesz, jest kupa przybywających i śmierzdzących śmieci. Ta ich niepotrzebność i rozkład przywodzą na myśl nieznosną przemijalność życia.

Kontener też jest jednak przechowalnią, to może ważniejsze. Trochę tak, trochę tak. W żalobnym otoczeniu jest tu sporo witalności. W opowiadaniu Faulknera „Czerwone liście” jest postać Murzyna, niewolnika, który zbiegł. Nigdy nie mogłem zrozumieć, odkąd to czytałem, dlaczego, kiedy on daje się ukąsić żmii podczas ucieczki, mówi: „to dlatego, że ja chcę żyć”. Teraz nieco lepiej to pojmuję; dajesz się ukąsić dlatego, że tak bardzo chcesz żyć.

A w tej wielości, którą oferuje życie, co jest dla Ciebie najistotniejsze?

Dotyk drugiej osoby, spotkanie dłońmi. Ciepło.

Czyli bliskość poznania.

Bliskość pozaintelektualna, instynktowna, instynktowe schronienie, port. Można zapewne sobie wyobrazić coś bardziej intensywnego, mocniejsze przeżycia czy rozkoszniejsze doznania, ale gdybym miał mówić o głębi chwili, o tym, co najgłębsze, to chyba to, ten obraz złączonych dłoni bym przywołał. ©

Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Zabawmy się na śmierć

ANITA PIOTROWSKA

„Climax” jest przede wszystkim czysto filmową jazdą. Przeżyciem ekstremalnym, bliskim halucynacyjnego koszmaru, wymykającym się werbalnemu opisowi.

GASPAR NOÉ w „NIEODWRACALNYM” (2002) opowiadał historię gwałtu i zemsty, ale przedstawiał chronologię zdarzeń i z sadystyczną dosłownością unaoczniał je przed kamerą. W filmie „Wkraczając w pustkę” (2009) przyjmował perspektywę martwego bohatera, wlatywał wysoko ponad nocne Tokio, przenikał ściany i cudze umysły, a nawet obserwował „od środka” akt zapłodnienia. W „Love” (2015) wykorzystywał technologię 3D, by prowokacyjnym gestem zamazać granice między melodramatem a pornografią. Mało który współczesny reżyser tak świetnie czuje kinetykę filmowego obrazu i potrafi oddać psychodeliczną naturę tego medium. Bo Noé, rocznik 1963, w młodości nie tylko studiował filozofię, ale i eksperymentował z halucynogennymi substancjami. W najnowszym filmie „Climax” częstuje nimi także widza, wkrapiając mu LSD wprost do oczu. Kto odmówi, zobaczy jedynie infernalną wydmuszkę skąpaną w brudnym świetle przechodzącym w upiorny stroboskopowy efekt.

Aphex Twin, Giorgio Moroder, Daft Punk... – skoro zamiast klasycznej czołówki wyświetlona zostaje playlista z gwiazdami sceny techno lat 90., wiadomo już, że muzyka zagra tu jedną z ról pierwszoplanowych. Jeśli film otwiera „robocze” nagranie z castingu, a następnie w jednym długim ujęciu oglądamy choreograficzne popisy czy raczej pojedynki młodych ludzi, wydaje się, że jesteśmy w samym środku młodzieżowego filmu tanecznego. Albo w czymś na kształt „Czyż nie dobija się koni” w wersji elektro. Dynamika ciał, unoszące się nad czerwonym parkietem hormony i feromony, do tego różne odcienie skóry, języki i seksualne tożsamości tworzą też zrazu metaforyczną utopię, w której wspólny taniec potrafi pogodzić ze sobą wszystko.

Ale kiedy przez nieustannie pulsujący rytm zaczynają przebijać strzępy rozmów

– akcja toczy się na zamkniętej imprezie z okazji rozpoczęcia tanecznego tournée – to, co tak pięknie skanalizowane zostało w gibkich, rytmicznych ruchach, zaczyna stopniowo się uwalniać. Pod wpływem doprawionej twardym narkotykiem domowej sangrii czasoprzestrzeń ulega zakrzywieniu, a klimat zabawy zaczyna radykalnie się psuć. I wiadomo już, że tytułowy *climax* będzie miał niewiele wspólnego z wyzwalającym orgazmem.

Szczytowanie u Noégo dotyczy doświadczenia granicznego w jego najciemniejszej postaci. Francuskiego reżysera od lat fascynuje chaos jako stan pierwotny, który od społecznego ładu oddziela zaledwie cienkie przepierzenie. W ten sam roztańczony sposób filmuje więc stopniowe wypadanie z rytmu: ktoś dostaje mdłości, ktoś inny publicznie oddaje mocz, puszcza seksualne hamulce, narasta agresja i autoagresja, trwają poszukiwania kozła ofiarnego... Kiedy Noé wciąga w tę orgię również obecne na sali dziecko, efekt robi się coraz bardziej klaustrofobiczny. Bo z tego pandemium nie ma ucieczki – jakby gospodyni wieczoru w narkotykowym widzie pogubiła wszystkie klucze.

Sam Noé tylko udaje, że i on swój klucz gdzieś zawieruszył. Element improwizacji na planie (w filmie prócz utalentowanych amatorów występują uznani tancerze i aktorzy, jak choćby Sofia Boutella w roli choreografki Selvy) podporządkowany został bardzo trzeźwej konstrukcji, która przy wszystkich znamionach twórczego bałaganu zmierza do prostego przesłania: jakże łatwo i jakże banalnie jest zabawić się na śmierć. Już na samym początku reżyser zaznacza, że „Climax” oparty został na autentycznych zdarzeniach z 1996 r., jakby miało to wystrzyżać perswazyjną siłę filmu. Łatwo bowiem dopatrzeć się w nim moralnej paniki czy krytyki pod adresem ówczesnej Francji, pozornie libe-

Co wtorek o godz. 14.30

RADIO KRAKÓW

na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze
„Tygodnika”.

Śłuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Zakopane – 100,0 FM

Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ W TV [20 – 26 X]

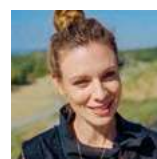
1. Fale



Dramat, reż. Grzegorz Zariczny, Polska 2016, TVP Kultura, 21 X, 20.20

Tytuł filmu odsyła wprost do nowohuckiego salonu fryzjerskiego, w którym nastoletnie bohaterki odbywają praktyki. Ale jest także metaforą życia, które nie daje się ułożyć zgodnie z marzeniami. O 22.20 przypomniany zostanie dokument „Love, love” (2015) Zaricznego, w którym pojawiają się odtwórczynie głównych ról.

2. Pod powierzchnią



Serial, reż. Borys Lankosz, Polska 2018, TVN, odc. 1, 21 X, 21.30

Reżyser „Rewersu” i „Ziarna prawdy” w nowym ośmioodcinkowym serialu obyczajowym przygląda się czwórce bohaterów, którzy nawet w bliskich relacjach skrywają przed sobą mroczne tajemnice. Występują Magdalena Boczerska, Bartłomiej Topa, Łukasz Simlat i Maria Kowalska.

3. Nielegalni



Serial, reż. Leszek Dawid, Jan P. Matuszyński, Polska 2018, odc. 1, Canal+, 21 X, 21.30, Canal+ 1, 21 X, 22.30, Canal+ Seriale, 22 X, 22.00, odc. 2. Canal+, 21 X, 22.25, Canal+ 1, 21 X, 23.25, Canal+ Seriale, 22 X, 0.55

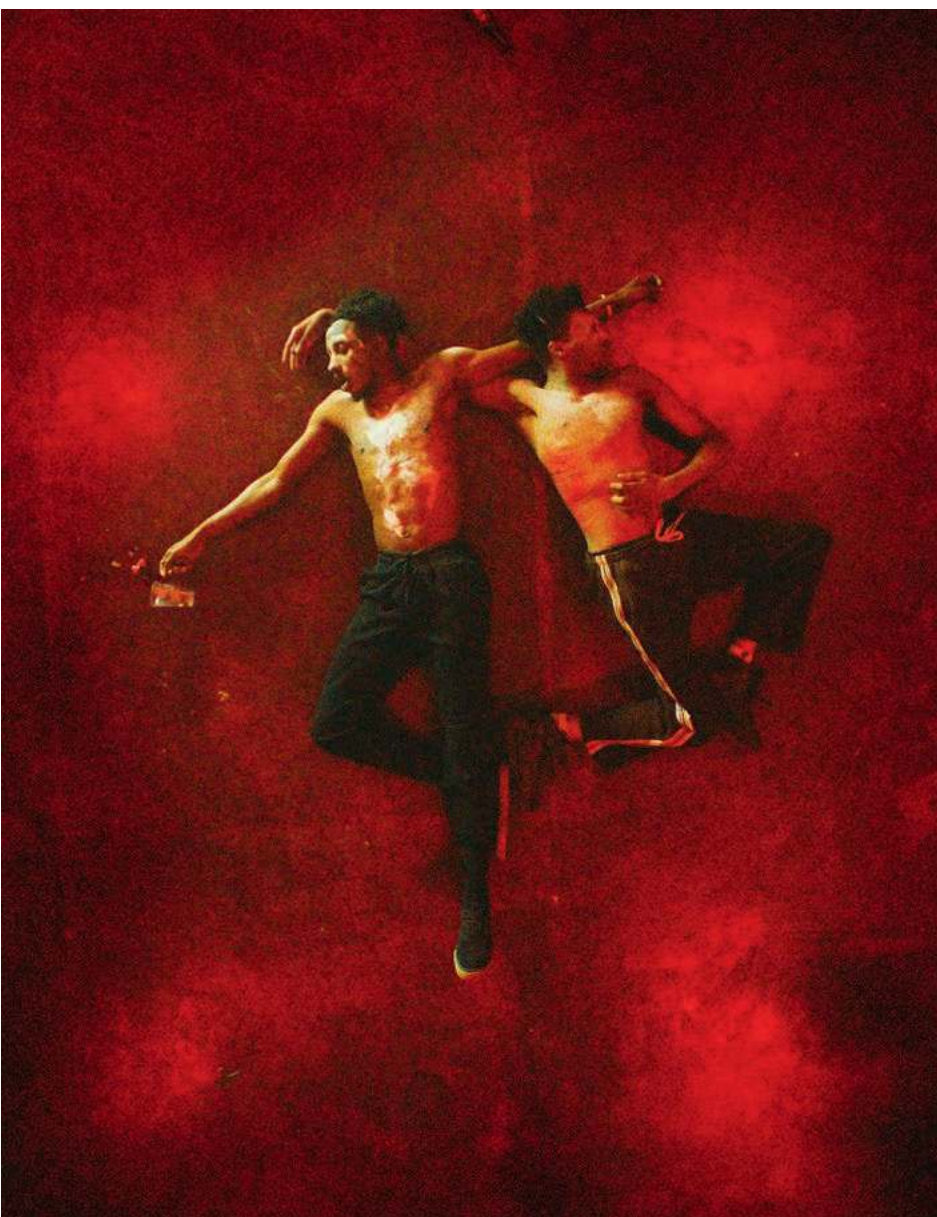
Międzynarodowy handel bronią, planowany zamach terrorystyczny i praca elitarnej komórki polskiego wywiadu są tematem serialu sensacyjnego, w którym zobaczymy m.in. Andrzeja Seweryna i Agnieszkę Grochowską. Za reżyserię odpowiadają twórcy „Jesteś Bogiem” i „Ostatniej rodziny”.

4. John McEnroe – mistrz doskonałości



Dokumentalny, reż. Julien Faraut, Francja 2018, Canal+ Discovery, 23 X, 14.00

Wbrew tytułowi nie jest to kolejny film o znanym tenisście. Analizując pojedynek z Ivanem Lendlem w ramach turnieju Rolanda Garrosa z 1984 r., dokument staje się błyskotliwym esejem na temat filozofii sportu i jego związków z mediami wizualnymi. Rolę narratora pełni francuski aktor Mathieu Amalric.



GUTK FLM

Kadr z filmu „Climax”

ralnej i równościowej. „Climax” broni się jednak przed oczywistościami swoją brawurową „choreograficzną” formą – dryfująca bez ustanku kamera zdaje się tu żyć osobnym życiem, prowadzona przez zapętloną muzykę. Przystają razić nawet inkrustujące motta i pseudointelektualne śródtytuły typu „śmierć jest niezwykle doświadczeniem” czy „życie jest zbiorową niemożnością”. Stają się chcąc nie chcąc komentarzem ironicznym.

Bo jeśli nawet film Noé mógłby posłużyć komuś jako potępienie dekadencji panującej u schyłku minionego stulecia czy antynarkotykowy manifest, okazuje się on przede wszystkim fascynującą, czysto filmową jazdą. Przypomina, czym może być kino w samej swojej isto-

cie – przeżyciem ekstremalnym, bliskim halucynacyjnego koszmaru, wymykającym się werbalnemu opisowi. Lepiej więc darować sobie wielopiętrowe analizy i po prostu wypić ten łyk „doprawionej” sangrii, ze wszystkimi konsekwencjami. Noé stworzył film, który wymaga od widza całkowitego zanurzenia zmysłów. W przeciwnym razie pocujemy się niczym spóźniali goście na ekstatycznej, acz dogorywającej już imprezie – butelki puste, przekąski zdekomponowane, toaleta zapchana – pozostaje tylko dojmujące pytanie: co ja tu właściwie robię? ©

CLIMAX – reż. Gaspar Noé. Prod. Francja 2018. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 19 października.



Rybacy na rzece Kongo. Lukutu, Demokratyczna Republika Konga, marzec 2015 r.

Ten obcy

MAYA JASANOFF, HISTORYCZKA:

Marynarze od wieków zaludniają swoją teraźniejszość, snując i słuchając opowieści. Na każdym kolejnym statku Conrad chłoniął więc historie o przeżyciach i nadziejach innych ludzi.

TOMASZ TARGAŃSKI: Bardzo rzadko, szczególnie w przypadku pisarza żyjącego przed stu laty, można powiedzieć, że jego twórczość umożliwia zrozumienie rzeczywistości XXI w. Josephowi Conradowi jednak się udało. W jaki sposób?

MAYA JASANOFF: Żeby to pojąć, musimy przestać traktować otaczającą nas rzeczywistość, jakby była czymś nowym, zupełnie wyjątkowym. Błędnie zakładamy, że zmiany, których jesteśmy dzisiaj świadkami, nie miały precedensu. Twórczość Conrada zadaje temu kłam. Kształt dzisiejszego świata jest rozwinięciem procesów, które on dostrzegał i opisywał przed stu laty.

Co konkretnie widział?

Wielkie przyspieszenie, czyli narodziny globalizacji. Zarówno ludzie, jak i informacje zaczęły podróżować z nieznaną wcześniej prędkością. Światowe rynki stały się systemem naczyń połączonych. Obok tych, którzy na globalizacji korzystali, było wielu przeciwników zmian. Technologia pozbawiała pracy całe grupy społeczne, nierówności rosły, stanowiąc pożywkę dla populizmu. Pozycja Wielkiej Brytanii, jako dominującego mocarstwa, zaczęła się chwiać, a na horyzoncie pojawili się nowi rywale. Europa żyła w strachu przed zamachami. W Londynie rościło się od różnej maści terrorystów, w tym m.in. Rosjan, co zainspirowało Conrada

do napisania „Tajnego agenta”. Brzmi znajomo?

Pani książka ma tytuł „Joseph Conrad i narodziny globalnego świata”.

W którym miejscu najwyraźniej dostrzegła Pani jego aktualność?

Choćby w kwestii rozwoju nowych technologii i ich wpływu na życie ludzi. Jako zawodowy marynarz Conrad śledził ów proces ze zdwojoną uwagą. Widział, jak wielkie żaglowce ustępują miejsca nowocześniejszym jednostkom o napędzie parowym, co dla wielu ludzi morza, często mistrzów w swoim fachu, oznaczało deklasację. W ciągu kilku dekad ich praca stała się zbędna. Nie da się czytać o tym i nie myśleć o rozgrywającej się na naszych oczach debacie o plusach i minusach cyfrowej rewolucji. W czasach Conrada, zupełnie jak dzisiaj, było wiele niepewności, dyskutowano o wpływie tych zmian na moralność i tradycyjne wartości.

Czy Conrad obserwował tę rewolucję z niepokojem?

Bez wątpienia, choć uważał ją za nieuchronną. Conrad uchodzi za konserwatystę, a jego wizja morskiego świata jest nostalgiczna. Zamieszkują go ludzie

oddani swojemu fachowi i zdolni do poświęceń na rzecz wspólnoty. Wydaje mi się, że wpływ, jaki technologia wywierała na normy społeczne, niszcząc jedne i ustanawiając w ich miejsce inne, bardzo Conrad niepokoił.

Duża część jego życia to morze, a Pani, całkiem dosłownie, poszła w jego ślady.

Do pewnego stopnia tak. Jak wiadomo, uprawianie historii w sposób tradycyjny polega na zanurzeniu się w dokumenty z badanej epoki. Analiza źródeł to główne narzędzie w moim zawodzie, ale w tym wypadku miałam wrażenie, że poza zapisanymi na papierze słowami powinnam odwiedzić miejsca, które Conrad opisywał. Chciałam zanurzyć się w tę samą przestrzeń. Historycy – chyba że zajmują się dziejami najnowszych – nie mogą osobiście „poznać” swoich źródeł. Aktorów już nie ma, ale pozostała sceneria. Poczulałam potrzebę zobaczenia fragmentów tego, co zostało. Ta myśl zaprowadziła mnie na pokład wielkiego kontenerowca, którym w ciągu miesiąca pokonałam trasę z Europy do Chin.

Innym razem popłynęłam w górę rzeki Kongo, odtwarzając podróż Conrada z „Jądra ciemności”. Obie wyprawy niezwykle mocno zapadły mi w pamięć. Atmosfera bycia na morzu, swoiste dla marynarzy środowisko, są czymś niepowtarzalnym. Dzięki nim mogłam spojrzeć na przestrzeń oraz czas w inny niż dotąd sposob.

W jakim sensie?

Marynarze przez wiele tygodni oglądają ten sam krajobraz. Z czasem pojawia się uczucie zawieszenia między powierzchnią wody a niebem. Znika świadomość wszelkiej wertykalności, świat wydaje się coraz bardziej płaski, niemal dwuwymiarowy. Jest tylko niebo i woda. Wpatrując się w horyzont, człowiek zaczyna też zwracać uwagę na rzeczy, które dotąd mu umykały, choćby na to, że niebo nie jest po prostu niebieskie, ma najróżniejsze odcienie. Inna sprawa to poczucie bycia częścią całej, ale bardzo specyficznej społeczności, której rytm życia w niczym nie przypomina tego na lądzie. Rutyna kładzenia się spać, kiedy jest ciemno, i wstawania, kiedy wstaje słońce, nie ma tu zastoso-

Conrad pływał przez ponad 20 lat.

Czy ów morski tryb życia pozostawił ślad na jego twórczości?

Zdecydowanie. Jego piśmiennictwo charakteryzuje się niezwykle oryginalnym stylem: szkatułkowa konstrukcja opowieści, wielość narratorów, niechronologiczny układ zdarzeń. Dopiero kiedy wsiadłam na statek i spędziłam na nim ponad miesiąc, w pełni zrozumiałam, że conradowski styl nierozdzielnie wiąże się z morzem. Marynarze od wieków zaludniają swoją teraźniejszość, snując opowieści. Na każdym kolejnym statku Conrad chłonał więc historie o przeżyciach i nadziejach innych ludzi. Te pozornie rozproszone, posciete opowiadania wędrowały z ust do ust, z portu do portu. „Lord Jim” jest właśnie rezultatem tych doświadczeń. Jest narracją skomponowaną wedle czasu marynarskiego. Marlow tka i przecina swoją opowieść: czasem jest głównym aktorem, czasem redaktorem klejącym historię z relacji innych osób, a czasem interpretatorem.

„Jądro ciemności”, najbardziej znana książka Conrada, już dawno przekroczyła granice literatury. Jest zjawiskiem kulturowym, interpretowanym na wszelkie możliwe sposoby. Czy czuła Pani, że musi powiedzieć o niej coś nowego?

Rzeczywiście, debata wokół tej książki zdaje się mieć niewyczerpany potencjał. Słynna krytyka Chinuy Achebego spowodowała, że dziś „Jądro ciemności” w przeważającej mierze uchodzi za książkę rasistowską. Conrad nigdzie nie wspominał, że jej akcja dzieje się w Afryce, co wskazuje, że chciał stworzyć pewnego rodzaju uniwersalną opowieść o wyzysku i naderżniętych rodzinach zła. Ta książka jest w istocie opowieścią o Europie i Europejczykach. W niesłychanie trafny sposób uchwyciła ona coś ze sposobu, w jaki władza oddziaływała na rasy i kontynenty. Z drugiej strony, rzeczywistość „Jądra ciemności” jest niezwykle namacalna, przesycona szczegółami. Właśnie chęć odnalezienia tych szczegółów oraz nadzieja, że zobacze coś, co przeniesie mnie w czasy Conrada, popchnęła mnie do podróży w górę rzeki, z Kinszasz do Kisangani.

Na pokładzie barki przepłynęła Pani niemal 1700 kilometrów. Dostrzegła Pani więcej analogii czy rozbieżności?

Trudno powiedzieć, czego było więcej. Dla większości Kongijczyków promy →

DEBATY KLUBÓW TYGODNIKA POWSZECHNEGO

CYKL „WARTOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKIE
W SPOŁECZEŃSTWIE OBYWATELSKIM”



DEBATA JĘZYK WSPÓŁCZESNEGO KOŚCIOŁA

Goście debaty:

prof. Aldona Skudrzykowa
dr Ewa Bobrowska
ks. prof. Wiesław Przyczyna
ks. Mirosław Jadłosz

Prowadzenie debaty:

dr hab. Jacek Warchala

Poniedziałek

22 października, godz. 17.00

Bielsko-Biała

Aula LO Towarzystwa
Szkołnego im. M. Reja

(ul. Frycza Modrzewskiego 12)



KlubTygodnika.pl



→ i barki wciąż są najpopularniejszym środkiem transportu. Łajby wielkości portowego holownika ciągną flotyllę barek w dół rzeki. Łodzie nie różnią się znowu tak bardzo od tych z czasów Conrada. Kapitan na mojej barce nawigował, kierując się wzrokiem i doświadczeniem. Jego jedynym narzędziem była książka zawierająca rysunki rzeki z lotu ptaka, każda strona przedstawiała dziesięciokilometrowy odcinek z zaznaczonymi mieliznami. Na dziobie stało dwóch ludzi, którzy z tyczkami w dłoniach oceniali głębokość wody.

Podobieństw było więc dużo, z drugiej strony nie dostrzegłam nawet śladu atmosfery grozy, jaką przepełnione jest „Jądro ciemności”. Nie miałam poczucia, że wokół statku zaciska się mroczna puszca. Co więcej, raz po raz podpływali do nas mieszkańcy okolicznych wsi, aby sprzedać nam coś do jedzenia. Wtedy uświadomiłam sobie, że w czasie, kiedy żeglował tędy Conrad, podobne interakcje musiały być codziennością, ale w książce nie ma po nich śladu.

Dlaczego?

Sądzę, że Conrad w możliwie najpełniejszy sposób chciał oddać wrażenie izolacji i zagrożenia. Udało mu się to osiągnąć poprzez usunięcie tych chwil, kiedy Europejczycy spotykali się z tubylcami. W rzeczywistości te interakcje były częste i nie zawsze kończyły się przelewem krwi.

Parokrotnie w ciągu swojego życia Conrad przechodził przemianę: był szlachcicem, który zmienił się w marynarza, urodził się jako Polak, ale umierał jako wierny obywatel Imperium Brytyjskiego. W jaki sposób radził sobie z kwestią tożsamości?

W przypadku Conrada kryzys tożsamości był czymś, z czym musiał radzić sobie od najmłodszych lat. Fakt, że jest Polakiem, katolikiem i szlachcicem miał stanowić o jego „ja”, a jednocześnie odróżniać go od innych: Rosjan, Żydów i ukraińskich chłopów. Jego tożsamość była więc od samego początku oparta na kontrastach.

Druga ważna rzecz to perspektywa outsidera – naturalna dla kogoś, kto wszędzie był obcy: dla Imperium Rosyjskiego zawsze był Polakiem, w Wielkiej Brytanii wciąż taktowano go jako imigranta, rodacy również mieli mu za złe, że nie pisał po polsku ani o Polsce. Odróżniał się nawet będąc na morzu, jako że reprezentował wyższą niż większość marynarzy



DAVID ELMES / KBF

MAYA JASANOFF:

Conrad konsekwentnie wywyższał wspólnotę kosztem ślepego indywidualizmu, który nie zważa na tradycję i prowadzi do atomizacji.

klasę społeczną. To wszystko pozwala nam zrozumieć, dlaczego jego książki pełne są bohaterów wyalienowanych ze społeczności. Z pewnością był jednym z tych ludzi, którzy są w stanie pomieścić w sobie nie jedną, ale całe spektrum różnych tożsamości.

A jakie były jego poglądy na kierunek zmian społecznych w globalizującym się świecie?

Conrad był pisarzem bardzo niepolitycznym, a jego twórczość nie mogła stanowić pożywki ani dla imperialistów, ani dla socjalistów. W stosunku do zmian technologicznych pozostawał nieufny, głównie dlatego, że w jego fachu, czyli marynarce handlowej, postęp oznaczał zagładę ukochanych żaglowców. Wraz z nimi zniknęła bliska mu „wspólnota marynarzy” zakorzeniona w wyznawanych przez nich wartościach.

Wydaje mi się, że właśnie waga, jaką przywiązywał do wspólnoty, obawa o jej przetrwanie, zawierają w sobie przesłanie Conrada jako komentatora kondycji społecznej. Zarówno w swoich książkach, jak i prywatnych wypowiedziach konsekwentnie wywyższał wspólnotę kosztem ślepego indywidualizmu, który nie zważa na tradycję i prowadzi do atomizacji. Podając w wątpliwość zachodni ideał indywi-

dualnej wolności, Conrad nakazuje współczesnym zastanowić się nad kierunkiem zmian. Jego powieści są wyrazem rozmyślań nad tym, jak zachować się w świecie, gdzie stare normy moralne odchodzą do lamusa, a nowe jeszcze nie powstały.

Wydaje się, że Conrad był też jednym z pierwszych pisarzy, który zakwestionował wyniesione przez Zachód na piedestał idee „cywilizacji” i „postępu”.

Tak. Wszystko, co pisał, miało skłonić ludzi do zatrzymania się na moment i refleksji nad kosztami postępu i nowym światem, który tworzył się na ich oczach. Myślę, że właśnie to czyni go tak ważnym pisarzem – literatura powinna przecież zmuszać do myślenia. Z tego samego powodu uważam, że zapotrzebowanie na Conrada będzie coraz większe.

Spór o to, czy logika nieustannego wzrostu doprowadzi środowisko naturalne, w tym nas samych, na skraj przepaści, to dopiero początek. XXI wiek, w szczególności rozwój sztucznej inteligencji, zmusi nas do szukania odpowiedzi na pytanie: „Co sprawia, że jesteśmy ludźmi?”. Kogo będziemy stawiać za wzór? Bohaterów technologicznej rewolucji, jak Bill Gates czy Elon Musk? Czy tych, którzy podają kierunek zmian w wątpliwość, określanych dziś mianem „wsteczniaków” lub „neoluddystów”?

Conrad oczywiście nie odpowie nam na te pytania, ale dzięki jego książkom wiemy, że można mieć wątpliwości, nie będąc wrogiem postępu, a na wszelkie nowe zjawiska należy patrzeć krytycznie. Poza tym jego krytyka postępu odnosiła się w dużej mierze do hipokryzji Zachodu, który pod płaszczykiem cywilizacji bogacił się kosztem innych, a ten problem niestety jest aktualny bardziej niż kiedykolwiek. Dlatego uważam, że jest jednym z nas – obywatelem globalnego świata. ©

Rozmawiał TOMASZ TARGAŃSKI

MAYA JASANOFF jest profesorem historii na Uniwersytecie Harvarda, zajmuje się dziejami Imperium Brytyjskiego. W 2017 r. zdobyła prestiżową nagrodę literacką Windham-Campbell w dziedzinie literatury faktu. Jej najnowsza książka „Joseph Conrad i narodziny globalnego świata” ukaże się 31 października nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Będzie gościem tegorocznego Festiwalu im. Josepha Conrada, którego współorganizatorem jest Fundacja Tygodnika Powszechnego.



„TP” 38 / 2018

Patrzcie, jak oni się nienawidzą

Obawiam się, że list pasterski o „cichym zabójcy demokracji”, który napisałby ks. Adam Boniecki, gdyby był konferencją Episkopatu, nigdy nie powstanie. Czy rzeczywiście większość biskupów w Polsce uważa, że demokracja jest najlepszym ustrojem? Przez wieki Kościół radził sobie z ustrojami autokratycznymi. Sam stworzył państwo hierarchiczne, dlatego niszczenie demokracji poprzez

likwidację trójpodziału władzy nie jest dla części biskupów większym problemem. Przeciwnie: pogłębia się symbioza tronu i ołtarza. Widać to w kazaniach, które są agitacją polityczną, czego sam byłem świadkiem (i to na Jasnej Górze); w wydarzeniach publicznych, takich jak wręczanie pierścienia prezesowi TVP, która jest faktycznie telewizją partyjną, czy zapraszanie prezydenta RP, który w swoim wystąpieniu w czasie mszy atakuje przeciwników politycznych. Dla wielu przedstawicieli Kościoła najważniejszy jest zakaz aborcji, a także pewność, że nie będzie żadnych zmian społecznych, takich jak małżeństwa jedнопłciowe czy gender. Tylko jaką cenę należy za to zapłacić? Otóż tą ceną jest milczenie wobec pogardy okazywanej ludziom myślącym inaczej. Złe słowa mające zdyskredytować przeciwników

wygaszają ludzie deklarujący się jako katolicy, uczestniczący we mszach, przystępujący do komunii. Szczególnie było to widoczne 10. dnia każdego miesiąca, kiedy to po mszy, na spotkaniu traktowanym jako religijne, bo była tam modlitwa, następowało przemówienie, podczas którego padały słowa o gorszym sortcie, elementach animalnych, zdrajcach itd. Może warto popatrzeć z dystansu na proces przebiegający w katolickim ponoć społeczeństwie od momentu walki o krzyż i kościół w Mogile, przez walkę o krzyż na Krakowskim Przedmieściu, aż po dzień dzisiejszy? Pomocne byłoby też spojrzenie na pierwsze wieki, kiedy to chrześcijaństwo rozwijało się bez pomocy państwa, a właściwie wbrew niemu, o chrześcijanach zaś mówiono: Patrzcie, jak oni się miłują”. Zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy biskupi mają takie

poglądy, jak te opisane powyżej. Na pewno są i tacy, którzy uważają, że – wzorem Jezusa – należy trzymać się od polityki jak najdalej, że przestrzeganie zasad religijnych powinno wynikać z wiary, że w chrześcijaństwie nie mamy narodowości, tylko bliźnich, których należy miłować itd. Ale oni głosu też nie zabiorą – w obawie, że zostaną posądzeni o rozbijanie Episkopatu, dla którego stwarzanie pozoru jedności jest priorytetowe.

JANUSZ JANICZEK

Autorzy wydrukowanych na łamach „Tygodnika” listów otrzymają kubki z rysunkiem Macieja Sieńczyka.



REKLAMA

DONBAS

REŻYSERIA
SIERGIEJ ŁOŹNICA



UN CERTAIN REGARD
FESTIVAL DE CANNES
NAJLEPSZY REŻYSER

UKRAIŃSKI KANDYDAT
DO OSCARA®

„Arcydzieło, chociaż musiałem zamykać oczy”

MARIUSZ SZCZYGIEL



W KINACH OD 19 PAŹDZIERNIKA

PRODUKOWAŁ: MAJA DE. PRODUKOWAŁ: ARTHOUSE TRAFFIC, IBA PRODUCTION, GRANET FILM, WILD AT ART, DIGITAL CURE
SCENARIUSZ: SIERGIEJ ŁOŹNICA, OLEG MUTU RSC. REŻYSERIA: SIERGIEJ ŁOŹNICA. GŁÓWNE RÓLE: KIRILL SHUVALOV, VLADIMIR GOLOVINITSKY, MARIA CHOUSTOVA, DOROTA ROQUEPŁO, TAMARA FRID, DANIELUS KOKANAUSKIS
MONTAŻ: SIERGIEJ ŁOŹNICA, MARIA CHOUSTOVA. MONTAŻ: DENIS IVANOV, JACQUES BIDOU, MARIANNE DUMOULIN, CRISTIAN NICOLSCU, OANA IANCU, MARC VAN WARMEDEAM, PETER WARNIER, HEINO DECKERT
MUSYKA: [logos]

JAN

Klata: Wszystko dobre, co się dobrze kończy



OSZUKANO CIĘ. ZAPŁACIŁEŚ ZA POŻĄDANY TOWAR w internecie, a rzekomy „sprzedawca” wziął pieniądze i zniknął bez wieści. Ostał się jeno numer telefonu do cwaniaka, ale co z tego? Szukaj wiatru w polu, naiwniaku. Bezsilnie pielęgnuj swą bezradność w ostępach cyfrowego świata. Nie będziesz przecież kopał się z koniem. Niech ryczy z bólu ranny łoś, niech ranny daniel z bólu łka...

No właśnie – a może by tak zrealizować w XXI wieku szekspirowską tragedię zemsty? Zemsta nie tyle za ojca, co za konsolę do gier – co to, solennie z góry opłacona przelewem, rozwiła się niczym duch starego Hamleta na blankach Elsynoru? Angielski grafik komputerowy, niejaki Edd Joseph, przez ogromną część 24-letniego życia nie lubił sztuk Szekspira. Ale, jak się okazało, polubił. Zwłaszcza te dłuższe, jak przyznaje, bardzo docenił. Taki, dajmy na to, Hamlet: 22 600 angielskich wyrazów, czyli 1143 esemesy do oszusta. Kopiuju-wklej. Za darmo, w promocyjnej taryfie. Ale nie zaczęło się od Hamleta, na pierwszy ogień poszedł „Makbet”. Króciutki,

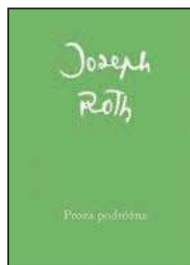
w 600 esemesach na dobry początek. Las Birnamski poszedł do firmy-krzaka.

Zadziało od razu, przestępca oddzwonił i zareagował stemiem bluzgów, więc szekspirowski neofita od razu szedł za ciosem: Cymbelin (847 wiadomości) oraz reszta – przeciętnie 792 esemesy na sztukę. Zło dobrem zwyciężaj. Chamstwo – ponadczasową poezją. Niech się cwaniaczek ukulturalni, odchami, przepaszam: zresocjalizuje. 29 305 esemesów dramatycznych dzieł Barda z pewnością zadziało pozytywnie, przystawiło lustro, spowodowało *katharsis* – z pewnością *katharsis* baterii telefonu oszusta.

Że też nie wpadłem na tak genialne rozwiązanie, gdy zostałem podobnie oszukany. Nie chodziło o konsolę, tylko o deskorolkę dla córki. Pod choinkę zresztą. To znaczy: deskorolka miała się znaleźć pod choinką, nie córka – córka już pod choinką się pojawiła, kilkanaście lat wcześniej, jako urodzona w grudniu, dostarczona nawet przed czasem. Więc gdy zostałem gładko oszukany, wtedy, w grudniu po południu, w zamian za ową opłaconą deskorolkę, z terminem dostawy na św. Dygdy, co go nie ma nigdy, powinienem być oszustowi o fikcyjnym krakowskim adresie i jakimś komórkowym telefonie wysłać... „W poszukiwaniu straconego czasu”, dajmy na to. Wszystkie tomy, szczerze, czym chata bogata, niech się rozsmakuje, niech sobie possie magdalenkę. Najpierw w oryginalne, a później tłumaczenia. Na deser Knausgård. Ale nie miałem do tego ani głowy, ani wyobraźni. Nie jestem grafikiem komputerowym.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. W 861 esemesach. ©

Lektor: Człowiek w hotelu



■ Joseph Roth
PROZA PODRÓŻNA
Wybór i przekład
Małgorzata Łukasiewicz.
Wstęp Ewa Lipska. Austeria,
Kraków – Budapeszt –
Syrakuzy 2018, ss. 190

PODRÓŻ? ALE CÓŻ TO ZA podróż, skoro uwięziony przez chorobę narrator siedzi w fotelu przy oknie? „Świat zniknął w tyle jak dworzec, z którego hali coraz śpieszniej uwozi mnie pociąg”, tyle że zamiast migających za szybą krajobrazów jest widok z okna na „dziwny, wesoły i kolorowy świat” plakatów

i one właśnie okazują się tematem głównym. To w pierwszym ze szkiców (rok 1920); w drugim przedmiotem kontemplacji są okna prze-ciwległego domu, „objawienia cudzego życia i śmierci, stare plotkary”. Zajrzyjmy teraz na koniec: jest marzec roku 1939, nasz bohater od wielu miesięcy spędza czas w tej samej

narożnej tawernie jakiegoś miasta. I dochodzi do wniosku, że „cokolwiek ważnego wydarza się w dowolnym punkcie szerokiego świata, nie wydarza się inaczej niż u jednego rogu ulic w jednym mieście”. A w środku tomu tekst ironicznie zatytułowany „»Romantyzm« podróży”, który zaczyna się zdaniem: „Radość, jaką można odczuwać przed podróżą, zawsze jest mniejsza od irytacji, jaką podróż ostatecznie powoduje”.

Autor „Marsza Radetzky’ego” naprawdę wiele podróżywał, był dziennikarzem-obieży-światem, potem wygnańcem i tułaczem. Jak pisze Ewa Lipska: „Mieszkał i pracował w hotelach, które kochał i na które cierpiał”. Niedawno ukazały się u nas jego „Listy z Polski”, niedługo wydzie „Podróż do Rosji”. „Proza podróżna” to jednak tytuł pa-

radoksalny. Owszem, pojawia się w niej Cejlon (zwany dziś Sri Lanką), ale chodzi tylko o przedsięwzięcie typowe dla tamtych czasów, „hinduską wioskę”, czyli etnograficzną wystawę w paryskim Jardin d’Acclimatation z udziałem żywych ludzi – hinduskich fakirów czy syngaleskich rzemieślników... Nie poje-dziemy więc daleko, raczej zatrzymamy się na dłużej w hotelu, gdzie hall wyłożony czerwonym dywanem staje się namiastką domu, a obok łoży piętrzą się kufry z nalepkami z Wenecji, Meranu, Buenos Aires czy San Francisco... Piękna, poetycka książka wspaniale przełożona przez Małgorzatę Łukasiewicz, pokazuje, jak płynna jest granica między Rothem-dziennikarzem i Rothem-prozaikiem. To już dziewiętnasty (!) tom „Dzieł zebranych” Rotha po polsku. ©®

40 LAT TEMU KARDYNAŁ KAROL WOJTYŁA ZOSTAŁ WYBRANY PAPIEŻEM

Dał nam siłę

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

HISTORIA

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Kraków 16 października 2018 nr 1 cena 12,90 zł (w tym 8% VAT)

JUŻ W SPRZEDAŻY!
Premiera nowego tytułu
„Tygodnik Powszechny
Historia”
„Dał nam siłę”
– na 40. rocznicę wyboru
Karola Wojtyły na papieża

„Tygodnik Powszechny
Historia”
– w dobrych punktach z prasą
i salonach prasowych.

- Po 33 dniach pontyfikatu umiera Jan Paweł I. Kardynałowie, ponownie zebrani na konklawe, wybierają na papieża metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. Jak do tego doszło i jak zareagował świat?
- Akt pokuty za grzechy Kościoła, nowe otwarcie w dialogu z innymi religiami, wyczerpanie na biedę, pielgrzymki, próba budowy nowego feminizmu: 27 lat tego pontyfikatu papieża nieodwracalnie zmienia Kościół
- Już za życia mówiono o nim „Jan Paweł Wielki”. Co ze spuścizny papieża przetrwało do dziś?

Wśród autorów:

**ks. Adam Boniecki, abp Grzegorz Ryś,
Marek Zając, Katarzyna Wiśniewska,
Anna Turowiczowa, Agnieszka Sabor,
Józefa Hennelowa, Józef Majewski,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk**

„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

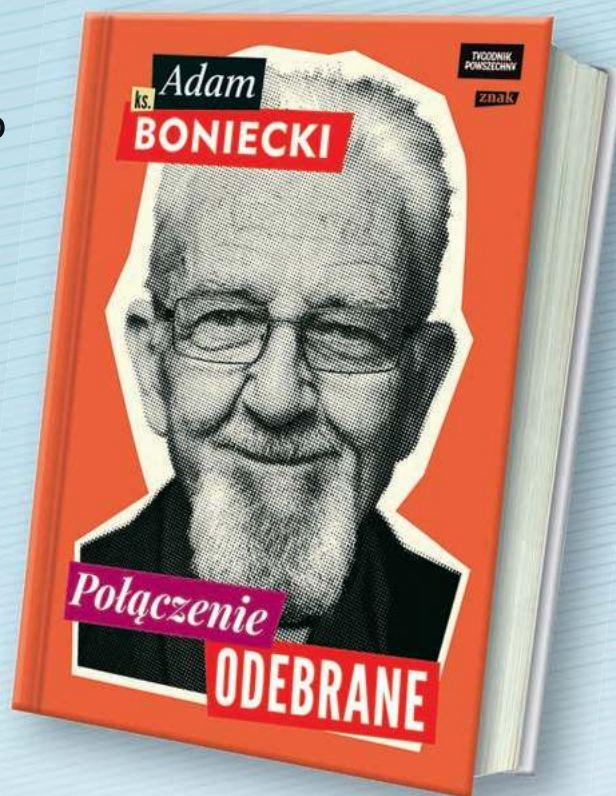
Książka ks. Adama Bonieckiego
„Połączenie odebrane”[■]

W PREZENCIE

– dla każdego, kto wykupi
do 30 listopada 2018
DOWOLNĄ[■] prenumeratę
„Tygodnika Powszechnego”!

■ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

■ Aby skorzystać z oferty, należy do 30 listopada 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.



ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł [■]	

Oferta POKOLENIA 3³

Niższa cena za roczną prenumeratę ekonomiczną
dla osób, które w dniu zakupu są w wieku
poniżej 25 albo powyżej 65 lat.

(Uwaga! zastrzegamy sobie prawo do weryfikacji prawa do ulgi.)

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PAWEŁ

Bravo:

Zakochani do garów!



PÓŁKI Z KSIĄŻKAMI TO SIEDLIŚKO SIŁ NIECZY-
stych. I nie chodzi mi tylko o to, że każdy
tom jest zamkniętym światem, z którego
po otwarciu, jak na dawnej czołówce przy-
gód Bolka i Lolka, wyskakują kowboje, sa-
moloty, groźne zwierzęta. Albo, czego już

w kreskówce dla niewinnych dzieci (były takie) nie pokazano – pary skotłowane w namiętnej obłapce, cyniczni bankierzy rzucający monetę upodłonej córce stróża czy ludzie bez wido-
ków idący brudną ulicą w stronę najbliższego mostu.

Nie, chodzi o półki, bibliotekę jako całość: samoistny byt pul-
sujący własnym rytmem podejmuje z człowiekiem grę, w któ-
rej podział ról na kotka i myszkę jest z góry ustalony. Znać to
zjawisko: ni stąd, ni z owąd, człapiąc z wieczorną herbatą do
łóżka albo biegnąc w spóźnieniu przedpokojem do wyjścia,
nagle widzimy książkę, której wcześniej nie zauważaliśmy.
Jakby oświetlona specjalnym światłem, wypchnięta przez ży-
jącą bibliotekę na pierwszy plan woła: weź mnie natychmiast.
Po czym się okazuje, że jej treść czekała dokładnie na ten dzień,
żeby wnikać w nas z siłą, której jeszcze wczoraj by nie
miała.

Czasem to zdarzenia zewnętrzne skłaniają, by
nagle sięgnąć po książkę. Na przykład nagrody,
na przykład Nike dla „Rzeczy, których nie wy-
rzuciłem”. Z pierwszej lektury został mi w pa-
mąci delikatnie gorzki ton rozważań Marcina
Wichy nad materialnymi śladami życia matki,
ale rok temu byłem zbyt zajęty uwalnianiem
się od nadmiaru przedmiotów budujących celę
mojej egzystencji, żeby docenić smaki, jakich
w tej książce pełno. Przypadkiem otworzyłem
ją na rozdziałiku o książkach kucharskich i gro-
madzonych skwapliwie wycinkach z przepisami.
Nie byle jakich, bo z legendarnego czasopisma „Ty
i Ja”. Autorska sygnatura „Maria Lemnis i Henryk Vi-
try”, jak słusznie przypuszcza Wicha, to pseudonim – ale
nie pary, lecz jednego człowieka, muzykologa Tadeusza
Żakieja. Nie znam napisanej przezeń biografii Schuberta,
choć obiecuję sobie to nadrobić. Miłość nieszczęśliwa z cyklu
o pięknej młynarce to była dla mnie kluczowa szkoła nasto-
letnich uczuć, a żywot kompozytora, z tego co mniej więcej
wiem, daleko od sentymentalnej czystości odbiega.

Powinienem też przeczytać choćby z szacunku, bo Żakiej
w pewnym sensie mnie ukształtował. Jego „Książka ku-
charska dla samotnych i zakochanych” to jedna z pierwszych
książek, którą samodzielnie przeczytałem. Nie umiem odtwo-
rzyć powodów, dla których tamto przedwcześnie oswojone
z literami pachole wzięło do ręki akurat tę książeczkę, może
skusiły mnie krótkie rozdziały i nieliczne wesołe rysunki. Ale
dzięki reminiscencji, jaką odpalił mi Wicha, pamiętam zado-

wolenie, że słowa składały się w oswojony obraz mojego co-
dziennego świata: jajka, chleb i masło, patelnia, nóż i proź. Omijały mnie sensory subtelnych obserwacji obyczajowych, ja-
kich jest tam mnóstwo, za to niepokój i niezrozumienie budziło
jedno: samotni i zakochani? Co to w ogóle za ludzie? Dlaczego
mają gotować w specjalny sposób?

Wiele lat później, kartkując egzemplarz, pojąłem założenie
wyłuszczone przez autora we wstępie. Opisował proste, szyb-
kie, tanie rzeczy, bo dla siebie samego nie warto specjalnie pich-
cić, a zakochani, no cóż, szkoda im czasu na luzowanie kaczk. Pojąłem założenie rozumem, ale dziś oświeciło mnie, że całą
resztą duszy stanowczo je odrzucam, znając, co to zakochanie
i samotność. Otóż nie, panie Lemnis-Vitry! Właśnie wtedy goto-
wanie jest priorytetem. Kiedym sam, to kuchenna staranność,
wysiłek i podążanie za zachciankami są najprostszym, dostęp-
nym od ręki i za parę złotych sposobem otoczenia siebie siłą
i akceptacją. Dowodem na pełne istnienie. Kiedym zakochany,
to kuchenna staranność, wysiłek i pożądanie same dyktują naj-
prostszą formę ofiarowania siebie w intencji bycia razem. Są do-
wodem chęci, by podzielić z kimś istnienie.

Nieważne, na co konkretnie pozwalają budżet, zdolności i wa-
runki. Liczy się troska. Kiedy wbijam jajka w gęsty sos papry-
kowy, żeby szakszuka powoli doszła, zanim usłyszę zaspane
kroki z łazienki, albo kiedy wracając do pustego domu kombi-
nuję, co by tu poskładać na wieczorny makaron zjedzony w to-
warzystwie książki, troska prowadzi we właściwe rewiry. I li-
czy się czas. Którego i tak będzie za mało, więc tym bardziej
odejdźmy dobrze najedzeni. ©P



*Jeśli coś mi się w kuchni zupełnie nie kojarzy
z zakochaniem, to wszystkie, pożałuj Boże, afrodyzjaki i kiczowaty anturaz
walentynkowych kolacji. Ale jeśli
tradycja każe wierzyć, że lubczyk
wzniesia w ludziach chęć miłowania,
to ja chętnie go zastosuuję, szalenie
bowiem lubię jego zapach. Nie wiem, jak
z miłowaniem, ale chęć jedzenia na pewno
wzmaga – stąd niestety bywa nadużywany
w upodłonej postaci jako składnik przyprawy
maggi. Lubczyk jest kuzynem selera i bardzo pasuje
do dobrej zupy, którą można zacząć sezon wieczornych
rozgrzewek. Siekamy **cebulę**, dusimy na **oliwie** na
małym ogniu kilka minut. Wrzucamy pokrojone
w małą kostkę dużego **selera** i dwa sypkie **ziemniaki**,
zwiększamy ogień, podsmażamy minutę mieszając,
solimy, zalewamy ok. litrem **wywaru warzywnego**
(od biedy może być posolona woda), dodajemy **łodygę**
lubczyku, gotujemy pod przykryciem ok. kwadransa,
trochę studzimy i miksujemy. W zimie trudno o świeży
lubczyk, ale możecie popytać na straganach – można
dostać jego suszony korzeń, bardzo aromatyczny, w takim
wypadku dodajemy go ok. 0,5 cm, a przed miksowaniem
wyjmujemy. Można doprawić odrobiną niebieskiego sera na
wydaniu. Dla rzadkich amatorów słodko-słonnych potraw jest
arcyciekawy wariant, w którym nie dajemy lubczyku, za to po
ugotowaniu wkrajamy 2 obrane **gruszek** i razem miksujemy.
Solimy wtedy dopiero gotowy krem, żeby złapać delikatną
równowagę ze słodyczą.*

SZESNASTU UCZCIWYCH WOJOWNIKÓW

Gotowa do gry szachownica rzeczywiście przypomina pole bitwy – przed bitwą.

Cisza, spokój, wojskowy porządek.
I tylko konie niespokojnie przytupują,
przeczuwając zbliżającą się rzeź.

ŁUKASZ ŁAMŻA

SZACHY WYWODZĄ SIĘ PONOĆ Z INDYJSKIEJ GRY MILITARNEJ *Szaturanga*, której nazwa oznacza w sanskrycie dosłownie „cztery jednostki wojskowe” – piechoty, kawalerii, słoni bojowych i rydwanów. Do dziś arcymistrzowie nazywają bierki swoimi szesnastoma wojownikami, którzy „szarżują”, „atakują”, „poświęcają się”, a w końcu „giną”. *Shah mat* to po persku „Król umarł” – ten sam oznaczający śmierć rdzeń, nawiasem mówiąc, odnajdziemy w słowie „matador”.

Że szachy są miniaturową wersją wojny, twierdził choćby August Młodszy, książę Brunshwiku-Lüneburga, który w 1616 r. napisał traktat „Szachy, czyli gra królów”. Zalecał w nim, aby przyszli władcy grali w królewską grę, która nauczy ich dyscypliny, myślenia strategicznego i sprytu.

Jeśli szachy są wojną, to jednak wojną specyficzną, bo uczciwą. Szachownica nie ma ukrytych przegródek, a sprytny gracz, który zechce w trakcie rozgrywki triumfalnie ujawnić dodatkową jednostkę kawalerii, chowającą się w okolicznym lesie, spotka się tylko z grobową ciszą. Matematyk powie, że szachy to „gra z pełną informacją”, w przeciwieństwie np. do pokera.

Grze towarzyszy więc wspaniałe poczucie jawności – siedząc przy szachownicy, bierzesz udział w walce, o której mogli tylko marzyć starożytni apologety *bellum iustum* i średniowieczni rycerze honoru. „Szachy nie są grą dla dyktatorów” – mówił Garri Kasparow w 2016 r. „Po pierwsze, są przejrzyste. Wszystkie informacje są w stu procentach dostępne, tak więc wiesz doskonale, co masz ty i co ma twój przeciwnik. Nie wiesz, o czym myśli, ale jest jawne, jakie ma do dyspozycji zasoby”.

16 uczciwych wojowników. Po drugiej stronie, w doskonałej symetrii, 16 uczciwych wojowników w przeciwnych barwach. Gdy ogląda się mecze zawodowców, często można ich przyłapać, jak przed rozpoczęciem partii ostrożnie poprawiają swoje figury tak, aby stały po wojskowemu równo, pośrodku pól, frontem do przeciwnika. Trudno wręcz wyobrazić sobie gotową do gry szachownicę, na której konie odwrócone są bokiem, flirtując z gońcami. Cóż za absurd, coś za niesubordynacja! Przecież za chwilę ma się tu rozegrać piękna walka pomiędzy szlachetnymi przeciwnikami – i doprawdy wszystko jedno, czy są oni biali czy czarni, starzy czy nowi, z drewna czy z plastiku.

Szachy to jednak coś więcej niż wojna. „Tylko głupcy grają w szachy po prostu po to, żeby wygrać” – strofuje nas arcymistrz Yasser Seirawan z kart „Play Winning Chess”. „Zawsze możesz znaleźć sobie przeciwnika słabszego od siebie i mieć pewność, że zwyciężysz. Jaki jednak by to miało sens? (...) Ja gram w szachy, ponieważ pozwala mi to na wzięcie udziału w bezpiecznej fizycznie, ale wycieńczającej psychicznie walce. Złożone strategie i subtelne formy obrony wynoszą mnie jednak ponad dreszcz współzawodnictwa, ku sferze procesów twórczych, ku sztuce”. To nie są tylko jakieś postmodernistyczne fanaberie. Hiszpan Luis Ramírez de Lucena, wydając w 1497 r. jeden z najstarszych zachowanych europejskich podręczników szachowych, zatytułował go „Repetición de amores y arte de ajedrez”, gdzie *ajedrez* to po hiszpańsku „szachy”, a słów *amores* i *arte* tłumaczyć nie trzeba.

Wojownicy-artysty stoją na miejscach. Taniec można rozpocząć.

Norweski arcymistrz Magnus Carlsen gra symultanke z duńskimi politykami, Haga, 2 lutego 2016 r.

Uprzejme otwarcie...

Pierwszy ruch ma oczywiście biały, co w jednej chwili łamie piękną symetrię szachownicy – i tak pozostanie już do końca. Spośród 323 tysięcy gier pomiędzy mistrzami szachowymi, zapisanych w bazie danych strony ChessTree (www.chess-tree.net), białe wygrały w 34 proc. przypadków, a czarne tylko w 25 proc. Jest to więc gra zasadniczo nierównowagowa. Nie da się też jej toczyć w nieskończoność. Szachy mają swój początek i prowadzą do nieuchronnego końca. Gracze są więc jak dwaj koziołkujący w dół po wzgórzu, szczepieni ze sobą zapaśnicy: ostatecznie tak czy inaczej stoczą się razem na samo dno. Pytanie brzmi tylko, czy któryś z nich będzie wtedy górą, czy też obaj wylądują na plecach, ciężko dysząc – co odpowiada za pozostałe 41 proc. przypadków.

Początkowa faza gry – „otwarcie” czy też, jak wolą niektórzy, „debiut” – ma w praktyce charakter wysoce zrytualizowany, jak ceremonia *dohyō-iri* przed walką sumo albo kurtuazyjna inspekcja pistoletów przed pojedynkiem džentelmenów. Figury spokojnie rozstawiają się na planszy, a wymiany, na tym etapie gry najczęściej pionków, są zaplanowane, robione na zimno.

Teoria otwarć jest niewyobrażalnie wręcz złożoną dziedziną wiedzy. W zasadzie nie da się wykonać żadnych sensownych ruchów w pierwszej fazie gry, które nie byłyby już dawno poznane, opisane, nazwane i przetestowane przez pokolenia teoretyków i arcymistrzów. Mogłoby się wydawać, że krępuje to ruchy i wprowadza do gry element zdeterminowania. I tak, i nie. Przeżujmy może trochę matematyki; szachy i matematyka bardzo się zresztą lubią, co nie dziwi, wszak obie to dziedziny czystej intelektualnej twórczości w świecie symboli i abstrakcji.

Pierwszy ruch białego może dokonać się na równo 20 sposobów, podobnie następujący po nim ruch czarnego. Pierwsza wymiana ruchów to już więc $20 \times 20 = 400$ różnych możliwości. Od tego momentu matematyka nieco się komplikuje, jednak liczba możliwych kombinacji dla pierwszej fazy gry została dawno obliczona. 3 ruchy (biały-czarny-biały) mogą odbyć się na 8902 sposoby. 4 ruchy (biały-czarny-biały-czarny): 197 281. 6 ruchów: 119 milionów. 8 ruchów: 85 miliardów. 10 ruchów to już 69 bilionów możliwości.

Matematyk Claude Shannon w 1950 r. jako pierwszy opisał w literaturze naukowej problem stworzenia komputera szachowego. „Doskonały program szachowy” zdefiniował jako taki, który zna wszystkie możliwe sposoby, na jakie może się potoczyć gra, z których wybiera następnie najlepszy. Oszacował następnie liczbę możliwych partii szachów – na 10^{120} , czyli jedynek ze 120 zerami – po czym spokojnie stwierdził, że stworzenie doskonałego programu szachowego nie jest i nigdy nie będzie możliwe. Alan Turing rok później opisał pierwszy rzeczywisty algorytm szachowy i rozegrał, posługując się kartką papieru i długopisem w miejsce komputera, pierwszą w historii partię szachów „człowiek kontra komputer” (człowiek, którym był jego kolega Alick Glennie, wygrał). Powtórzył też opinię Shannona, do dziś niepodważoną. Tempo, w jakim rośnie liczba możliwości w szachach, jest po prostu astronomiczne – wszechświata szachów nie da się więc ogarnąć, ujrzyć go w całości jak rozwinięty dywan. Można oczywiście mniej czy bardziej sprawnie się po nim poruszać, jednak dostępny nam fizyczny wszechświat jest za mały, żeby pomieścić w sobie wszechświat szachów, nawet gdybyśmy jedną konfigurację bierek zmieścili na jednym atomie.

→ W rzeczywistych partiach nie występują jednak wszystkie możliwe ruchy, można by odpowiedzieć: tylko te w miarę sensowne. Czy w czymkolwiek to pomoże? Nic z tego. Nawet jeśli zawężymy się do „rozsądnych” ruchów, drzewo szachowych możliwości szybko przeradza się w nieogarniony gąszcz. Teoria otwarć ma choć trochę pomóc w poruszaniu się po nim.

Ot, wyjście w pierwszym ruchu pionkiem z kolumny E o dwa pola do przodu, co w tzw. notacji algebraicznej zapisalibyśmy „*e4*”. Jest to ruch, którym rozpoczyna się 44 proc. partii w grze na wysokim poziomie. Istnieje kilka standardowych odpowiedzi na niego. Ruch czarnego o dwa pola do przodu pionkiem z kolumny C (czyli „*c5*”) to obrona sycylijska. Ten sam pionek wysunięty tylko o jedno pole naprzód (czyli „*c6*”) to obrona Caro-Kanne. Ruch czarnego o jedno pole do przodu pionkiem z kolumny E (czyli „*e6*”) to obrona francuska. I tak dalej.

Książki otwarć opisują tysiące tego typu standardowych, nazywanych sekwencji. Można w nich natrafić na wariant Czigorina obrony francuskiej, grę wiedeńską i grę szkocką, system anty-Marshallowski, a także rozliczne wersje wariantu Najdorfa obrony sycylijskiej. Oczywiście gracz, który postanowi tego akurat dnia nie grać Najdorfa, może w ostatniej chwili wybrać wariant smoczy; jeśli świerzbi go ręka, aby zagrać „*g6*” nieco wcześniej, określimy to jako „przyspieszonego smoka”, jeśli zaś zrobi to już w drugim ruchu, będzie to „hiperprzyspieszony smok” (Hyper-Accelerated Dragon). Serio.

Teoria otwarć szachowych jest dziś tak rozbudowana, że powstają już książki nie tyle o samym wariacie Najdorfa (który w encyklopedii „*Modern Chess Openings*” określono jako „*rolls-royce’a* pośród otwarć”), lecz o określonych jego odnogach. Dla profesjonalnego gracza pierwszych kilkanaście ruchów z graczem, który też „wchodzi w Najdorfa”, to w zasadzie rutyna. W praktyce jest tak, że w toku rozwoju kariery gracze wybierają sobie linię, która im odpowiada, i poznają ją bardzo dobrze – a przed spotkaniem ze znaczącym przeciwnikiem sprawdza się w internecie, jakie jest jego z kolei ulubione otwarcie.

Niektórzy zawodowi gracze narzekają czasem, że młodzi szachiści przypominają dziś raczej chodzące encyklopedie niż artystycznych mistrzów strategii. Mówił tak choćby jeden z największych geniuszy w dziejach tej gry, Bobby Fischer, przez długie dekady obrażony na szachy właśnie za ich rzekome skostnienie. Zaproponował nawet swoją wersję szachów, „*Fischerandom*”, w której figury w pierwszym i ostatnim rzędzie ustawia się – losując przed grą – na jeden z 960 sposobów, co uniemożli-

wia wykucie na pamięć otwarć. Nie dajmy się jednak zwieść i pobawmy się jeszcze chwilę liczbami.

Baza ChessTree zawiera zapis 323 tys. rozgrywek pomiędzy bardzo dobrymi graczami. Zrobmy tak, że na każdym kolejnym kroku, od pierwszego ruchu, będziemy wybierać zawsze to posunięcie, które wybierano najczęściej. Spośród 20 możliwych pierwszych ruchów 44 proc. graczy robi ruch pionkiem na *e4*. W odpowiedzi na to 45 proc. graczy czarnych idzie w obronę sycylijską. 82 proc. białych rusza się na to koniem na *f3*, potem 43 proc. czarnych pionkiem na *d6*... i tak dalej. Po 10 takich ruchach, co ciekawe, osiągamy właśnie słynny wariant Najdorfa.

Nuda? No to teraz haczyk. Spośród 323 tys. gier przebieg taki miało 15 397 rozgrywek, czyli niecałe 5 proc. Inaczej mówiąc, 95 proc. wszystkich gier nie prowadzi do Najdorfa. Co więcej, ChessTree usłusznie podaje, że spośród wszystkich 15 tys. gier, które doszły do Najdorfa, białe wygrały w 35 proc. przypadków, a czarne w 30 proc. Ten pierwszy kurtuazyjny taniec o niczym tak naprawdę jeszcze nie przesądził.

Gdybyśmy poszli dalej i wykonali kolejne 10 ruchów, zawsze robiąc to, co robiono dotychczas najczęściej, rozegralibyśmy otwarcie (liczące sobie łącznie 20 ruchów, czyli każdy z graczy ruszył się dotychczas dziesięć-krotnie), które wydarzyło się dotychczas – w zgromadzonej przez ChessTree bazie danych – zaledwie 54 razy. Rzut oka na uzyskaną na tej drodze szachownicę pokaże zaś, że mamy do czynienia z grą w stadium załazkowym. Gracze stracili na razie po jednym pionku i żadna figura nie stoi po drugiej stronie symbolicznej granicy oddzielającej połówkę „moją” od „przeciwnika”. W praktyce oznacza to więc, że po ok. 30 ruchach gracze wkraczają na dziewicze terytorium, po którym nikt jeszcze przed nimi nie stąpał. A ile wynosi średnia liczba ruchów w grze profesjonalnej? 79.

...smętna końcówka...

Znanym i dobrze opisanym terytorium jest również gra końcowa, która zaczyna się z grubsza wtedy, kiedy na szachownicy przerzedza się i dochodzi do właściwego polowania na króla. Po stuleciach badań znane są już perspektywy każdej praktycznej możliwej konfiguracji końcowej. Jeden zawodnik ma wieżę i króla, a drugi tylko króla? To szkolny przykład, który – jeśli pierwszy gracz nie popełni głupiego błędu – zawsze doprowadzi do mata. A co, jeśli jeden ma gońca, konia i króla, a drugi tylko króla? Proszę bardzo – mat w najwyżej 33 ruchach (jeśli zawodnik z przewagą wie, co robi).

Proces rozpracowywania rozmaitych wariantów gry końcowej przyspieszył wraz z pojawieniem się komputera. Bywa

Szachy a sprawa polska

SZACHY NIE SĄ UZNAWANE W POLSCE

ZA NARODOWY SPORT – przynajmniej na razie. Tymczasem takiego pokolenia szachistów jak obecnie nie mieliśmy od lat. Na rozegranej właśnie w gruzińskim Batumi Olimpiadzie Szachowej nasi reprezentanci, przed zawodami klasyfikowani na 11. miejscu, uplasowali się tuż za podium. Zwycięstwo w ostatnim meczu dałoby im

złoto, niestety z silnymi Indiami „tylko” zremisowali. Był to najlepszy występ Polaków na Olimpiadzie Szachowej od zakończenia II wojny światowej. Pozostał niedosyt, ponieważ w turnieju pokonaliśmy reprezentacje USA i Rosji, które ostatecznie sięgnęły po srebro i brąz. Szansę na rewanż będziemy mieć za dwa lata w Chanty-Mansyjsku na Syberii.

Jeśli do popularyzacji szachów w naszym kraju potrzeba indywidualnego bohatera, to naturalnym kandydatem na niego

jest 20-letni Jan Krzysztof Duda. Na razie klasyfikowany na 22. miejscu na świecie, przed sobą ma tylko jednego młodszego (o rok) zawodnika. W Batumi Duda, lider naszej reprezentacji, zremisował z kilkoma szachistami ze ścisłej czołówki, m.in. z Amerykaninem Fabiano Caruaną, który w listopadzie zagra o indywidualne mistrzostwo świata (z Norwegiem Magnusem Carlsenem). Za kilka lat przed taką samą szansą może stać Duda.

bowiem tak, że perspektywy zwycięstwa danym zestawem figur zależą również od ich położenia na szachownicy. Tu z odsieczą przychodzi surowa moc obliczeniowa, która pozwala na sprawdzenie wszystkich możliwych układów, powiedzmy, zestawu: dwie wieże i pionek kontra wieża i koń. W 2005 r. opracowano już wszystkie możliwe końcówki z sześcioma figurami na planszy, a w sierpniu 2012 r. ogłoszono sprawdzenie wszystkich końcówek z siedmioma figurami. Zawodowcy śledzili oczywiście te badania z zapartym tchem.

W praktyce jest tak, że gra końcowa pomiędzy profesjonalistami w zasadzie dziś nie występuje. Zwycięskie partie arcymistrzów bardzo rzadko kończą się matem. Niemal zawsze jest to rezygnacja przeciwnika w sytuacji, gdy teoria szachowa mówi, że gra jest już przegrana. Sprawdziłem – spośród ostatnich stu zwycięskich gier obecnego mistrza świata, 27-letniego Norwega Magnusa Carlsena, tylko jedna zakończyła się matem. W pozostałych 99 przypadkach jego rywale rezygnowali, gdy gra została *de facto* rozstrzygnięta. Oznacza to też, że podana wyżej średnia długość gry zawodowej, 79 ruchów, dotyczy gry „bez końcówek” – gdyby zmusić wszystkich graczy do dociągnięcia wszystkich partii do końca, liczba ta pewnie urosłaby jeszcze o 10-20 ruchów.

No dobrze, po cóż więc grać w szachy – można by zapytać – z tymi jej uprzejmymi początkami i smętnym finiszem? Dla tego, co pośrodku, oczywiście!

...i tajemniczy środek

Jest charakterystyczne, że o grze środkowej (*middlegame*) pisze się wielokrotnie razy mniej książek niż o otwarciach i końcówkach, za to są one wielokrotnie bardziej poetyckie, mgliste lub hermetyczne. Zapytani o grę środkową arcymistrzowie opisują zwykle elementy taktyki szachowej, takie jak „widły” – układ, w którym jedna figura atakuje jednocześnie dwie czy nawet trzy figury przeciwnika – albo „związania” lub, ładniej, „szpile” – które występują wtedy, gdy unieruchamia się daną figurę przeciwnika, ponieważ jej ruch odsłoniłby schowaną za nią, cenniejszą figurę, najlepiej króla.

To jednak tak naprawdę wciąż bardzo niski poziom analizy. To trochę tak, jak gdybyśmy zapytali zapalonego czytelnika, dlaczego kocha literaturę, lub doskonałego prozaika, jak napisać wspaniałą powieść, i w odpowiedzi dowiedzielibyśmy się, że ważną rolę w prozie odgrywa dialog, to jest taka sytuacja, że po myślniku piszesz to, co mówi jedna osoba, a niżej... No tak, jasne, prawda. Ale nie o to chodzi...

Tu wkracza poezja. Arcymistrz Jurij Awerbach w swojej książce „Chess Middlegames: Essential Knowledge” po kilku najzupełniej trzeźwych rozdziałach poświęconych taktyce i strategii krótkoterminowej, po rozlicznych przykładach wiდეł i szpilek, kombinacji i poświęceń, nagle, niespodziewanie wpada w filozoficzną nutę. Zacytujmy dłuższy fragment.

„Dla kogoś, kto nic nie wie o szachach, te małe figurki to nic więcej, jak tylko drewniane lub plastikowe zabawki. Trudno mu uwierzyć, że mogą wieść tak skomplikowane, pełne niebez-

Pierwszy ruch można wykonać na 20 sposobów.

Odpowiedź przeciwnika
daje łącznie 400
możliwości.
Po 8 ruchach jest to już
85 miliardów różnych
ustawień figur.

pieczeństw życie. Ludzka myśl i wyobraźnia potrafią jednak natchnąć te figurki inspiracją, a wtedy, zupełnie jak prawdziwi aktorzy, są one w stanie dać nam wspaniałe przedstawienie. Może być to tragedia, dramat, a nawet komedia. Najbardziej niezwykle jest to, że osoba poruszająca figurami i każdy, kto się temu przygląda, staje się bezpośrednim uczestnikiem tego przedstawienia. Nie wie, jaki będzie jego koniec, przeżywa więc ekscytację, zaskoczenie, zachwyt, frustrację i rozpacz, ponieważ te na pozór bezduszne figurki są zdolne, jak się okazuje, poruszyć najbardziej czułą i głęboką warstwę duszy ludzkiej. I to w tym momencie gra w szachy przemienia się w dzieło sztuki, które nie tylko raduje umysł, ale też ogrzewa serce.

Pośród wszystkich zaś uczuć towarzyszących zmaganiu na szachownicy najsilniejszym i najbardziej doniosłym jest poczucie piękna – piękna idei, piękna myśli ludzkiej. Piękno to działa z niezwykłą intensywnością na naszą wyobraźnię. Nie powinniśmy się więc dziwić entuzjastycznym okłaskom, jakimi widzowie reagują na spektakularną, dogłębnie przemyślaną kombinację.

Zrozumiałe jest też, dlaczego na większości konkursów szachowych wręcz się specjalne nagrody za perełki (*brilliances*), najpiękniejsze zaś gry i kombinacje publikuje się w czasopiśmie i książkach”.

A chcecie wiedzieć, jaka to partia wywołała tak wielki zachwyt Awerbacha, że podał ją jako pierwszy przykład pięknej gry? Mowa o partii Zukertort-Blackburne z 1883 r. Podaje jej przebieg w standardowym zapisie algebraicznym, który dla szachisty stanowi samą esencję tej gry. Jeżeli więc istnieją piękno i dramat szachów, to kryją się one gdzieś w poniższym akapicie.

1 c4 e6 2 e3 Nf6 3 Nf3 b6 4 Be2 Bb7 5 O-O d5 6 d4 Bd6 7 Nc3 O-O 8 b3 Nbd7 9 Bb2 Qe7 10 Nb5 Ne4 11 Nxd6 cxd6 12 Nd2 Ndf6 13 f3 Nxd2 14 Qxd2 dxc4 15 Bxc4 d5 16 Bd3 Rfc8 17 Rae1 Rc7 18 e4 Rac8 19 e5 Ne8 20 f4 g6 21 Re3 f5! 22 exf6 Nxf6 23 f5 Ne4 24 Bxe4 dxe4 25 fxg6! Rc2 26 gxh7+ Kh8 27 d5+ e5 28 Qb4!! R8c5 29 Rf8+! Kxh7 30 Qxe4+ Kg7 31 Bxe5+! Kxf8 32 Bg7+!! Kg8 33 Qxe7 Czarne się poddają.

Zwróćcie uwagę na emocjonalny komentarz Awerbacha. Wykrzyknik to „dobry ruch” – standardowy zapis w notacji szachowej. Dwa wykrzykniki to „ruch zachwycający” – tak silny wyraz emocji zdarza się komentatorom względnie rzadko – tutaj dwukrotnie w jednej partii, co jest szachowym odpowiednikiem orgazmu wielokrotnego. Trzech wykrzykników oczywiście się nie stosuje. To przecież szachy, na Boga.

©© ŁUKASZ ŁAMŻA



ŁUKASZ KWIATEK opowie o szachach w audycji
Grzegorza Chlasty w środę 17 października o godzinie
7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać

także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM

| Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

STANISŁAW

Mancewicz:

Straszliwy pisk biedy



ZAWSZE PRZYCHODZI TEN MOMENT, W KTÓRYM beneficjenci władzy zaczynają przemysliwać, co z nimi będzie, gdy ich patroni przegrają wybory. Są to stany głęboko lękowe, bowiem wyobrażenia najpiękniej pracuje w głowach tych, którzy mają coś do stracenia. W pierwszej – to oczywiste – kolejności przemysliwają oni przyszłe koleje swego losu. Projektując straszliwe prześladowania, nędzę, areszty wydobywcze, przesłuchania i nieuchronną utratę posady, o dotacjach rządowych nie wspominając. Posiadanie władzy w Polsce jest zawsze podszyte straszliwym strachem przed jej utratą. Przenieść to należy do sfery bardziej ogólnej, a mianowicie do powszechnej chyba niezdolności odczuwania niezmałonej przyjemności. Stąd, jak mniemamy, większość tutejszych problemów. „Stara bida” jest rytualną odpowiedzią na pytanie „jak leci?”. Choćby leciało najlepiej, jak się da, bida zawsze popiskuje. Poza sferą biedy prywatnej mamy do czynienia z odruchami o charakterze obywatelskim i etosowym. Oto ludzie władzy projektują tragiczny los ojczyzny pod rządami konkurentów, bowiem jest ona – to jasne – szczęśliwa tylko wtedy, gdy rządzą nią tzw. nasi.

Miodowy czas, czyli umiarkowane zadowolenie z dzierżenia władzy, trwa w Polsce stosunkowo krótko. Nadwrażliwcy zaczynają snuć straszliwe wizje po pół roku, najtwardsi po trzech latach. Stan grozy się udziela i przenika ku nizinom, idzie tu o tych, którzy nie rządzą, ale władzę wspierają, słowem i czynem. Ponieważ ten czas właśnie nadszedł, czujemy się zobowiązani do sporządzenia ściąg. Oczywiście będzie to spis z kulawej

natury, to znaczy z najstraszniejszych snów, plotek i przewidywań ludzi pracujących choćby w publicystyce. Ludzie z minimalnie nawet rozwiniętymi zdolnościami narracyjnymi korzystają teraz z tego daru i – trudno to nazwać inaczej – znęcają się nad rzeszami tych, którzy za PiS-u choćby polizali, nie mówiąc o tych, co się nachapali. Wnijdźmy zatem do owej jamy, świecąc sobie talentem i wrodzonym sadyzmem.

Oto rzecz to oczywista, że w sferze gospodarczej odrzucenie od wszelkich beneficjów, gdy wahadło się odchyli, będzie czynione z niespotykaną pasją. Na zasadzie: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Jest to uprawiana w Polsce zasada od dawna. Złudzenie, że ci, co nadejdą, okażą się miękcy, to ułuda. Słowem: metody PiS to pikuś wobec zawziętości, którą planują sobie ich następcy. Jeżeli dziś ze smakiem używa się słowa „rzeźnia”, mówiąc o działaniach ludzi Gospodarka, to zaiste nie mamy pojęcia o możliwościach przemysłu mięsnego. Nasze wyobrażenia w tej materii to dziś weganizm. Prawo ustanowione przez PiS będzie oczywiście utrzymane, ale będzie dotyczyć wyłącznie jego zwolenników i będzie to prawo – tak to nazwijmy – niezbywalne. Kolejne pokolenia schlebających dzisiejszemu reżymowi będą dziedziczyć przywilej stawania przed sądami ludowymi i formowanymi ściśle partyjnie, na wieki wieków. Choćby stawały największe na świecie figury Tuska, na Giewoncie nawet, ze złota czy czekolady, to nie będzie zlituj.

Sfera obyczajowa to insza sprawa – gorsza. Obowiązkowe związki jedнопłciowe dla pisowców to będzie norma, pisowiec czy pisówka – *wsjo rawno*, każde będzie musiało mieć: on partnera, ona partnerkę. Stąd rodziny pisowskie będą liczyły minimum cztery dorosłe osoby, plus oczywiście dzieci, objęte surowym programem Pięćset Minus. Dla tych ostatnich obowiązkowa, od piątego roku życia, nauka na pamięć piosek z „Kleru 3”. Dla wszystkich pisowców sadzenie puszczy we wszystkie weekendy – oczywiście obowiązkowe, reedukacyjne oglądanie telewizji publicznej, która zmieni nazwę na Tel Awizja. Co jeszcze? Zakaz handlu ziemią – to jasne, nakaz handlu w niedzielę, zakaz posiadania walut, dzinsy polskie, sklepy bez kapitału zagranicznego. To na razie tyle. Dla poczucia smaku.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 43/2018

**DODATEK
SPECJALNY**

**XVIII MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA
„ROLA KOŚCIOŁA
KATOLICKIEGO W PROCESIE
INTEGRACJI EUROPEJSKIEJ”**

KRAKÓW, 5–6 PAŹDZIERNIKA 2018

Europa patrzy za horyzont



Cała naprzód, babciu Europo!

KATARZYNA TRACZ

Europa jawi się dziś jak dobrotliwa staruszka, do której rozwrzeszczane dzieci przybiegają po cukierki, nie zważając na jej rady i utyskiwania, na pełne dezaprobaty skinienia głową, że „tak zachowywać się nie wolno”.

Taki obraz wyłonił się z dyskusji podczas XVIII Międzynarodowej Konferencji pt. „Rola Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej”, która odbyła się w dniach 5-6 października w Międzynarodowym Centrum Kultury przy krakowskim Rynku Głównym. Podczas tegorocznych obrad uczestnicy wskazywali na perspektywy rozwoju Unii Europejskiej.

Kasa się zgadza

Tematem przewodnim pierwszej z dyskusji była wspólna waluta jako społeczne, polityczne i gospodarcze spoiwo Unii Europejskiej. Uczestnicy nie mieli wątpliwości, że euro na wszystkich tych płaszczyznach stanowi dowód na sukces projektu integracyjnego. „Euro to śmiały eksperyment” – zaznaczał Janusz Lewandowski, eurodeputowany i były komisarz ds. budżetu i programowania finansowego. „Unię walutową traktowano jako nieodwracalną decyzję integracyjną, choć nie brakowało w tym pragmatycznego podejścia. Chciano stworzyć zdrowy pieniądź, jak najmniej zależny od polityki” – kontynuował Lewandowski.

Tymczasem doświadczenia kryzysu finansowego nauczyły członków UE, że uczynienie ze strefy euro realnej strefy gospodarczego bezpieczeństwa wymagać będzie śmiałych decyzji politycznych. Mówił o tym Kai Wynands, szef gabinetu komisarza UE ds. euro i dialogu społecznego Valdisa Dombrovskisa, przyznając, że istnieje potrzeba utworzenia europejskiego funduszu walutowego (na wzór Międzynarodowego Funduszu Walutowego) i prewencji rozlewania się sytuacji kryzysowych poprzez wspieranie krajów członkowskich popadających w kłopoty finansowe. „Nie ryzykujemy Europy

dwóch prędkości” – ostrzegał Wynands. Żaden z uczestników dyskusji nie oponował wobec stworzenia wspólnej polityki fiskalnej. To pokazuje, że pogłębianie integracji przez zwiększanie współzależności ekonomicznej staje się faktem, a z faktami nikt już nie odważa się polemizować.

Fakty zaś można analizować i tego podczas dyskusji nie zabrakło. Do merytorycznej rozmowy na temat wspólnej waluty wzywał Janusz Jankowiak, główny ekonomista Polskiej Rady Biznesu. Janusz Lewandowski wskazywał, że euro stanowi nieformalny instrument wymiany w Kosowie, Czarnogórze czy w brytyjskich bazach wojskowych na Cyprze. „Zakopane też jest już w strefie euro” – żartował eurodeputowany i pełnomocnik słowackiego rządu ds. wprowadzenia euro dr Ivan Štefanec wspominając, jak podczas wyjazdu w polskie Tatry płacił europejską walutą. Jednocześnie dr Štefanec za pomocą twardych danych odczarowywał stereotypy dotyczące wprowadzenia euro na Słowacji.

Mamo, do czego służy paszport?

Dlaczego mała miejscowość słynąca z winnic użyczyła nazwy polityczno-społecznemu eksperymentowi i dała początek temu, że na ogromnym obszarze Europy można zapomnieć o istnieniu paszportów i przejść granicznych? Bo tam, w Schengen, gdzie w 1985 r. podpisano stosowną umowę, na rzece Mozeli graniczą ze sobą jej sygnatariusze: państwa Beneluksu oraz Francja i Niemcy. Tą ciekawostką Jacques Santer, były przewodniczący Komisji Europejskiej, rozpoczął dyskusję o strefie Schengen jako społecznym, politycznym i ekonomicznym spoiwie Unii Europejskiej.

Prowadząca Katarzyna Pisarska, dyrektor Europejskiej Akademii Dyploma-

cji, zaznaczyła, że Schengen to nie tylko kwestia techniczna, to polityka sukcesu. Poparły ją w tym twierdzeniu pozostałe członkinie dyskusji. „Brexite i odtwarzanie granic to uderzenie w samo serce integracji europejskiej! Musimy bronić podstawowych wartości, które nas jednoczą” – upominała Żeljana Zovko, posłanka do Parlamentu Europejskiego z Chorwacji. „Liczymy, że Chorwacji uda się dołączyć do strefy Schengen i przyjąć wspólną walutę w 2019 r. To dla nas kwestia bezpieczeństwa” – dodała eurodeputowana. Maria Mikołajewna Jonowa, wiceprzewodnicząca Komitetu ds. Integracji Europejskiej w Radzie Najwyższej Ukrainy, podziękowała w imieniu swoich rodaków za obdarzenie Ukrainy zaufaniem i przyznanie jej obywatelom możliwości wjazdu na terytorium UE w ramach ruchu bezwizowego. „To dla nas wielki zaszczyt” – mówiła.

Żeljana Zovko podzieliła się ze zgomadnymi obserwacją z krajów Afryki. „W państwach upadłych, np. w Zimbabwie, ważną przyczyną migracji jest wszechobecna korupcja. Ludzie uciekają tam, gdzie jest bezpiecznie i gdzie istnieją sprawnie funkcjonujące instytucje. Migranci ekonomiczni to ludzie, którzy chcą żyć w porządku” – mówiła Zovko.

Kryzys uchodźczy zszedł na dalszy plan. Bo i sytuacja przestała się jawić jako kryzysowa w swojej masowości, udało się przedsięwziąć środki zaradcze, o których mówił podczas swojego wystąpienia drugiego dnia konferencji Donald Tusk, przewodniczący Rady Europejskiej.

Rządy prawa jak Duch Święty

Trzeci rozdział tegorocznej dyskusji dotyczył praworządności jako gwarancji silnej

Europejczycy w budowie

Ostatnia z konferencyjnych debat toczyła się pod hasłem „Narodowość a tożsamość w Europie”. Wprowadzając do dyskusji, dr Jan Olbrycht zauważył, że coraz częściej politycy to, co krajowe, populistycznie przeciwstawiają temu, co europejskie, czyniąc z tak skonstruowanej antytezy narzędzie walki politycznej. Modelując rozmowę dr hab. Sławomir Sowiński, wykładowca w Instytucie Politologii UKSW, postawił tezę, że piętrowa tożsamość – narodowa i europejska – jest dziś problemem i wyzwaniem. W toku dyskusji okazało się jednak, że tożsamość europejska nie zaprzęta głów obywateli krajów członkowskich, bo doświadczają jej na co dzień: podróżując, korzystając z programów wymian studenckich, utrzymując kontakty z przyjaciółmi z innych krajów. Dał tego przykład bp Theodorus Cornelis Maria Hoogenboom, przewodniczący komisji COMECE ds. prawnych, biskup pomocniczy archidiecezji utrechtckiej, opowiadając o swojej pracy duszpasterskiej z holenderską młodzieżą.

Europejska tożsamość rozumiana jako praktykowanie wolności nadal mocno motywuje do podejmowania reformatorskich wysiłków kraje aspirujące do wstąpienia do UE, np. Gruzję. Swoim doświadczeniem z pracy w tym kraju dzielił się z uczestnikami konferencji dr Thomas Schrapel, dyrektor biura Fundacji Konrada Adenauera w Południowym Kaukazie.

O polskiej tożsamości uczestnicy konferencji mówili w tonie smutnej refleksji, zaniepokojeni podziałem w polskim społeczeństwie, zwłaszcza w przededniu świętowania setnej rocznicy odzyskania niepodległości. Najmocniej wybrzmiał głos biskupa pomocniczego archidiecezji warszawskiej Piotra Jareckiego: „To nasz problem, że nie potrafimy ubogacać się naszą innością, nie potrafimy dialogować”. Do pojednania wzywali i politycy, i duchowni. Ks. Adam Boniecki w homilii podczas mszy św. dla uczestników konferencji przypominał o potrzebie miłosierdzia. Na ile te apele pozostaną tylko pobożnym życzeniem? Z odpowiedzi musimy czekać do przyszłorocznej konferencji. ©



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Cała Polska śpiewa „Ode do radości”, Rynek Główny, Kraków, marzec 2018 r.

Unii Europejskiej. „Dla państw Europy Środkowo-Wschodniej prawa były oczywistością, do której trzeba dążyć, by móc wstąpić do Rady Europy i Unii Europejskiej” – wprowadziła do dyskusji Hanna Suchocka, honorowa przewodnicząca Komisji Weneckiej. Dziś te podstawowe, zdawałoby się, pojęcia nie są już oczywiste i nienegocjowalne. „Znaleźliśmy się w potrzebie dodefiniowania państwa prawa” – mówiła Suchocka. Uczestnicy dyskusji byli zgodni, że owo dodefiniowanie – zwłaszcza na Węgrzech i w Polsce – przyjmuje postać redefiniowania. Problem definicji lapidarnie ujęła prowadząca dyskusję Urszula Gacek, była ambasador i stały przedstawiciel RP przy Radzie Europy, członek rady Instytutu Studiów Strategicznych w Krakowie. „Rządy prawa (*rule of law*) są jak Duch Święty – jako pojęcie są najtrudniejsze do zdefiniowania i wyjaśnienia” – spuentowała Gacek. A przecież rozumiemy je intuicyjnie.

„Praworządność to nie tylko instytucje, chodzi w niej o kulturę” – wskazywał prof. Zoltán Fleck z Uniwersytetu Loránd Eötvösa w Budapeszcie. „Państwa postkomunistyczne cofają się na demokratycznej ścieżce. Nie dochodzi do przewrotów, ale stopniowego rozmontowywania systemu praworządności” – tłumaczył Fleck.

Jak zaś zauważył dr hab. Włodzimierz Wróbel, wykładowca na Wydziale Prawa

i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz sędzia Izby Karnej Sądu Najwyższego, praworządność to element konsensusu społecznego. „Zadaniem sędziego jest wprowadzanie pokoju społecznego. Moi studenci tego nie rozumieją. Pokój nie jest atrakcyjny. To konflikt jest sexy. Kompromis przestał być wartością – na tym polega dzisiejszy kryzys” – wyjaśniał Wróbel.

W toku dyskusji wszyscy jej uczestnicy zgodnie podkreślali, że największym zaniebdaniem, ale i wyzwaniem na przyszłość jest edukacja obywatelska i nauczanie akceptacji oraz szacunku dla zasad praworządności.

Z kolei mocno i stanowczo wagę niezależności sądów, niezawisłości sędziów oraz rolę sędziowskich stowarzyszeń podkreślała Nuria Díaz Abad, była prezes Europejskiej Sieci Rad Sądowniczych i członek Hiszpańskiej Naczelnej Rady Sądowniczej. A prof. Hanna Suchocka zreferowała zebrany, jak wyglądało kształtowanie się Krajowej Rady Sądownictwa. „Po 1989 r. trwały dyskusje wokół powołania KRS. Wiadomo było, że tego typu instytucji nie mają kraje z rozwiniętą kulturą prawną” – mówiła. I kontynuowała: „W Polsce brakowało standardów zakończonych w starych demokracjach, dlatego zdecydowano się na stworzenie KRS w takim kształcie, by większość w niej mieli sędziowie. Miało to zapobiec, by władza wykonawcza nie zyskała dominacji nad władzą sądowniczą”.

WSPÓŁPRACA

PATRONAT MEDIALNY

Europa – nasze zadanie

**Fragmenty wystąpienia Donalda Tuska
na konferencji „Perspektywy rozwoju Unii Europejskiej”,
Kraków, 6 października 2018 r.**

To, czy Europa przetrwa, nie powinno być tylko kwestią naszej prognozy czy intuicji. Powinniśmy to oceniać i myśleć o tym w kategoriach zadania, a nie przewidywania.

Europa – wspólnotą polityczną

Bez Europy politycznie zjednoczonej – w dalszej przyszłości w ogóle jej nie będzie. To nie jest kwestia jakiegoś pomysłu czy ideologicznego projektu. To jest klasyczne, szekspirowskie „być albo nie być” dla całego kontynentu. W tym także dla naszego kraju. I dlatego proponowałbym myśleć o Unii Europejskiej jako o wspólnocie i organizacji politycznej też w kategoriach zadania. Polska, podobnie jak inne kraje, powinna wziąć na siebie także część odpowiedzialności za trwałość tej wspólnoty. Za to, czym jest Europa jako całość, a nie czym jest Europa jako sposób załatwiania własnych, indywidualnych, narodowych interesów.

Europa – wspólne terytorium

Wielu polityków, obserwatorów, ale także – jak sądzę – bardzo wielu obywateli i w Polsce, i w Europie uznało nielegalną migrację za coś, co rujnuje poczucie ładu i bezpieczeństwa, co być może jest nieuchronne, coś, co wymaga zmiany modelu politycznego w Europie, włącznie z jakimiś tęsknotami za nowym autorytaryzmem: bo tylko silny wódz w scentralizowanym państwie może zatrzymać tę falę. Dlatego ważne było, aby pokazać, że jest nie tylko konieczne, ale i możliwe opanować problem cywilizowanymi metodami. Chciałbym, żeby to bardzo wyraźnie wybrzmiało, bo liczby są ważniejsze niż deklaracje. My w roku 2018 będziemy mieli mniej przekroczeń granic przez nielegalnych imigrantów niż w latach przed kryzysem migracyjnym. Liczba przekroczeń nielegalnych imigrantów na wszystkich granicach europejskich (...) w porównaniu z rokiem 2017 w 2018 spadnie

o 90 proc. Nie o 9 proc., tylko o 90 proc. To znaczy – można sobie poradzić. Nie w konflikcie z sąsiadami, ale we współpracy, w tym z północną Afryką.

Europa jako norma

To sprawa dzisiaj dla Polaków najtrudniejsza. Przystępowaliśmy do Unii Europejskiej z przekonaniem, że to jest także świat standardów politycznych, pewnych zasad, bez których nie ma Europy w sensie politycznym. (...) ten zestaw wartości i zasad z całą pewnością nie jest dany raz na zawsze. Tak naprawdę jest czymś wyjątkowo kruchym i unikatowym. (...)

Są tacy, co uznają, że model liberalnej demokracji się wyczerpał, że czeka nas – tak jak mój węgierski przyjaciel to niedawno zapowiedział w czasie swojego słynnego wystąpienia w Rumunii do Węgrodów, do mniejszości węgierskiej w Rumunii – czeka nas nowa era. Era, w której nie będzie liberalnej demokracji, a zastąpi ją chrześcijańska demokracja. Tak jakby chrześcijańska demokracja była antynomią rządów prawa, praw człowieka i obywatela, wolności słowa czy wolności jednostki.

Europa to nie samotna wyspa

Jeden problem jest niekoniecznie w naszych rękach – sposób zachowania się największych partnerów czy oponentów Unii Europejskiej na świecie. Mamy na zewnątrz Europy potęgę, o której nikt nie ma wątpliwości, że będzie potęgą dominującą pod każdym względem w perspektywie już nie dekad, tylko w perspektywie lat. To są Chiny. Mamy Indie, wydaje się: kraj bardzo egzotyczny i odległy od naszych problemów, ale to są dwa miliardy ludzi, też coraz lepiej zorganizowanych. Mamy Afrykę – żywioł, który demograficznie stanie się także wyzwaniem dla całego świata, w pierwszym rzędzie dla Europy. Niekoniecznie żywioł przyjazny, mówię tu oczy-

wiście o tych politycznych zakrętach, na których znalazło się wiele państw afrykańskich z radykalnym islamem jako wzorem. To będzie problem narastający. Tam na szczęście nie odnajduję nuty antyeuropejskości formułowanej jako doktryna polityczna. Mamy Turcję – partnera trudnego, niezbędnego, ale pewnie ryzyka związane z nową polityką prezydenta Erdoğan są coraz widoczniejsze. Mamy poważne powody, aby trzymać rękę na pulsie.

Mamy Stany Zjednoczone – nigdy za mojego życia problem dla Europy, wręcz przeciwnie. Jestem obsesyjnie przywiązany do idei transatlantyckiej. (...) [Ale] Ameryka dzisiaj odpływa od Europy i to jest intencjonalne. (...) Donald Trump w sposób przemyślany – to sprawia wrażenie czasami chaosu – chce zmienić relacje między Ameryką i Europą. I chce właściwie ustanowić je na dość archaicznej zasadzie, że Ameryka ma partnerów na całym świecie – każdy ma mniej więcej ten sam status. Że Ameryka nie ma przyjaciół, ma tylko interesy.

Ale prawdziwym problemem oczywiście nie jest Ameryka, która odpływa. Problemem jest ten, kto coraz bliżej podpływa. I podmywa to, co się w Europie da podmyć. To jest oczywiście Rosja. (...) nie mam żadnych wątpliwości co do jednego: Rosja ma najbardziej skonkretyzowane interesy związane z Unią Europejską, i są to interesy w dużej mierze negatywne. Jeśli ktoś uznaje za swój główny czy jeden z głównych priorytetów politycznych osłabienie integracji europejskiej, dezintegrację Europy, to jest to na pewno Rosja.

© Opracowała KATARZYNA TRACZ



DONALD TUSK
– Przewodniczący Rady Europejskiej,
były Premier RP.

Gdzie duch, gdzie litera

HANNA SUCHOCKA:

W toku integracji zasady ogólne były przyjmowane jako zasady tzw. cywilizowanego świata i nikomu nie przyszło do głowy, że możliwe będzie ich łamanie przez członków Unii Europejskiej.

KATARZYNA TRACZ: Jak Unia Europejska – jako dobrowolne zrzeszenie państw – może egzekwować od swoich członków przestrzeganie zasad, do których wypełniania sami się zobowiązali?

HANNA SUCHOCKA: Zawsze podkreślam, że nie tylko Unia Europejska, ale i każda inna organizacja międzynarodowa ma prawo egzekwować realizację tych zasad, które stanowią o jej istocie. Należy zaznaczyć, że przed przystąpieniem do jakiegokolwiek organizacji potencjalny członek najpierw zapoznaje się z katalogiem bliskich jej wartości i tym, w jaki sposób zostały one przełożone na spisane zasady, wedle których organizacja funkcjonuje, oraz na strukturę organizacyjną. Na tej podstawie decyduje, czy chce do niej przystąpić. Oczywiście, że w tej analizie bierze się pod uwagę, jaki margines wolności daje przynależność do takiej organizacji, by nie wyzbyć się swoich specyficznych odrębności. Zatem gdy pytamy, czego Unia Europejska może wymagać od swoich członków, to trzeba powiedzieć, że respektowania zasad, które stanowią jej szkielet.

Za jakie naruszenia Unia mogłaby decydować o nałożeniu kary?

Za naruszenia podstawowych zasad, będących swoistymi aksjomatami, w oparciu o które zbudowano tę wspólnotę, które wypracowano w toku jej funkcjonowania, a których nieprzestrzeganie grozi zaważeniem całej struktury. Wśród tych kluczowych filarów należy wymienić zasadę podziału i równowagi władzy, której immanentnym elementem jest zasada niezawisłości sądownictwa, jego oddzielenia od władzy wykonawczej. Można zatem powiedzieć, że w przypadku UE są to te zasady, które mają chronić społeczeństwo przed autorytarnymi zakusami władzy.

Tymczasem dochodzi do sytuacji, gdy na Węgrzech mocą ustawy ogranicza się działalność organizacji pozarządowych i penalizuje pomoc uchodźcom...

W ten sposób dochodzi do daleko idącej ingerencji w wolność wyboru jednostki, w wolność zrzeszania się.

A Unia Europejska na to nie reaguje.

Unia Europejska reaguje, jednak stopniuje dostępne jej demokratyczne rozwiązania, dając państwom pierwszeństwo do podjęcia odpowiednich działań. Można jednak odnieść wrażenie, że niekiedy zachowania państw członkowskich to swoiste testowanie, jak daleko można się w naginaniu czy łamaniu tych zasad posunąć. Istotne jest tutaj nie tylko reagowanie ze strony UE, ale także działania wewnętrzne. Warto zauważyć, że w przypadku Węgier rządzący wycofali się z pewnych radykalnych planów legislacyjnych, widząc wyraźny sprzeciw społeczeństwa. Rządy muszą czuć ograniczenia pochodzące od wewnątrz, od społeczeństwa. Ze strony organizacji międzynarodowej, czy to będzie Rada Europy, czy Unia Europejska, kierowane są do państw uwagi, upomnienia wskazujące, że dane rozwiązania nie mieszczą się w katalogu wspólnie wyznaczanych wartości należących do wspólnego prawnego dziedzictwa europejskiego.

Ale to oznacza, że relacja oparta jest na zaufaniu.

Relacje między państwami członkowskimi a Wspólnotą opierają się na zaufaniu, a nie na groźbie sankcji. Zaufanie jest podstawą tworzenia organizacji. Sankcje w relacjach międzynarodowych to jest ostateczność, swego rodzaju groźba, która w założeniu nie powinna być nigdy wykorzystana. Państwa natomiast w ramach działania we Wspólnocie powinny poszukiwać, w przypadku negatywnej oceny, takich rozwiązań, które doprowadzą do

znalezienia rozwiązań odpowiadających standardom europejskim i tym samym pozwolą uniknąć sankcji.

Mamy w UE dotkliwe kary za nieimplementowanie dyrektyw, czyli za wykroczenie przeciwko zobowiązaniu do harmonizowania porządków prawnych. Zdaje się jednak, że to przewinienia znacznie mniejszej wagi niż naruszanie zasad rządów prawa.

Różnica polega na tym, że w dyrektywach mamy wyraźnie wyeksplikowane normy, procedury implementacji także szczegółowo regulowane. Są to często swoiste normy techniczne. Czym innym natomiast są wartości i oparte na nich zasady stanowiące fundament Unii. Były one przyjmowane jako zasady tzw. cywilizowanego świata i nikomu nie przyszło do głowy, że możliwe będzie ich łamanie przez członków Unii Europejskiej. Polska chciała wstąpić do Wspólnoty właśnie ze względu na deklarowany przez nią szacunek dla tych zasad opartych na europejskich wartościach.

Pojawiają się jednak pomysły uzależnienia wsparcia z unijnego budżetu od przestrzegania zasad praworządności.

Unia próbuje poszukiwać rozwiązań bardziej radykalnych i adekwatnych do zupełnie nowej sytuacji, w jakiej się znalazła.

Sądzi Pani, że takie rozwiązania są możliwe do wdrożenia? Politycznie do zaakceptowania?

To niezwykle trudna decyzja. Byłby to brzemienny w skutki krok w kształtowaniu wzajemnych relacji w UE. ©



ADAM WALANUS

PROF. HANNA SUCHOCKA
– Honorowa
Przewodnicząca Komisji
Weneckiej,
była Premier RP.

Fakty, nie mity

JANUSZ JANKOWIAK:

Przygotowania do wstąpienia do strefy euro mają sens tylko wtedy, gdy wiemy, że poza wszystkimi kryteriami natury merytorycznej i formalnej będziemy także w stanie wypełnić kryterium legislacyjne.

KATARZYNA TRACZ: W jaki sposób należy mówić o euro i wprowadzeniu wspólnej waluty w Polsce?

JANUSZ JANKOWIAK: Merytorycznie. Przede wszystkim – unikać stereotypów.

Które z mitów są najbardziej szkodliwe?

Mit drożyzny, który najmocniej ukształtował poglądy na temat wspólnej waluty. Ponadto mit utraty suwerenności. Ten opiera się na demagogicznych argumentach. Z mitem drożyzny można rozprawić się poprzez wskazanie doświadczeń krajów, które przyjęły euro, i przez wyniki prowadzonych badań. Opracowano już mechanizmy stabilizacyjne przeciwdziałające wzrostowi cen.

Jakie to mechanizmy?

Regulacje prawne, egzekwowane przez stosowne służby państwowe, które zabraniają producentom i sprzedawcom zaokrąglania cen w górę. W niektórych krajach tworzyły się spontanicznie społeczne komitety, które sprawdzały, czy ceny w sklepach są zaokrąglane w górę w nieuzasadniony sposób, i dzieliły się tymi informacjami w internecie.

Kontrola społeczna zadziałała?

Okazała się bardzo skuteczna. Ale nie można zapominać, że w walce z mitami główną rolę powinna odgrywać instytucja, która wprowadza w kraju wspólną walutę, czyli rząd. Jeśli zapadnie polityczna decyzja o wejściu do strefy euro, to rząd powinien przy użyciu wszelkich dostępnych środków prowadzić rzeczową kampanię informacyjną. Drugą siłą, która ma przemożny wpływ na formowanie opinii publicznej, zwłaszcza w takim kraju jak Polska, jest Kościół.

Pokażmy zatem, jakie są najistotniejsze argumenty za jego przyjęciem?

Pozostanie poza strefą euro powoduje spadek bezpieczeństwa o charakterze geopolitycznym i ekonomicznym. Po doświadczeniach kryzysu finansowego strefa euro będzie dysponowała instrumentami obrony przed niebezpieczeństwami o charakterze politycznym, gdyż w nowym budżecie przeznaczone są znaczne środki na ochronę zewnętrznych granic, ale przede wszystkim ekonomicznym, dzięki wypracowaniu mechanizmów solidarnościowych do ochrony przed szokami zewnętrznymi, czyli kryzysami. Tego rodzaju rzeczowa argumentacja powinna przebić się mocniej do świadomości społecznej niż twierdzenia o pozornych korzyściach związanych z możliwością swobodnego kształtowania kursu walutowego czy stóp procentowych.

A gdyby miał Pan zagrać adwokata diabła i wskazać największe zagrożenia stojące przed polską gospodarką wkraczającą do strefy euro?

Analiza, której dokonujemy, polega na zestawieniu korzyści i kosztów. Dostępne dane pozwalają na stwierdzenie, że korzyści przewyższają koszty. Ryzyko jednak istnieje. Jest związane głównie z tym, w jakiej fazie cyklu koniunkturalnego przyjmuje się wspólną walutę. Idealnym momentem jest faza wzrostu, jaki obserwujemy w ostatnim czasie.

W fazie spowolnienia trudno byłoby nawet spełnić wymogi wejścia.

Wtedy byłoby trudno wypełnić formalne kryteria – nominalnej i realnej konwergencji. Zatem trzeba starannie wybrać moment i dokonać szeregu merytorycznych decyzji dotyczących np. wysokości kursu czy parytetów przejścia na euro. Proces wchodzenia do strefy euro jest długi i żmudny, ale obecnie solidnie zbadany i opisany, zebrano wiele doświadczeń, w tym wśród krajów naszego regionu.

Jakie kroki Polska powinna podejmować, by jak najlepiej przygotować się do wejścia do strefy euro?

Nie można zapominać o kluczowej kwestii. Przygotowania do wstąpienia do strefy euro mają sens tylko wtedy, gdy poza wszystkimi kryteriami natury merytorycznej i formalnej będziemy także w stanie wypełnić kryterium legislacyjne.

Czyli zmienić zapisy konstytucji?

Bez spełnienia tego warunku przyjęcie euro jest prawnie niemożliwe i nie byłoby sensu ponosić wyrzeczeń i kosztów natury gospodarczej.

Co jest obecnie największym zagrożeniem dla strefy euro?

Musi ona wypracować mechanizm, który pozwoli na transferowanie środków finansowych do krajów dotkniętych kryzysem tak, by nie wywoływało to napięć politycznych. Taka namiastka wspólnej polityki fiskalnej, odwołująca się do zasady solidarności, powinna być zbudowana na mechanizmach w pełni rynkowych.

Czyli największym wyzwaniem jest wypracowanie woli politycznej?

O ile głębsza integracja polityczna, prowadząca do powstania organizmu konfederacyjnego, nie jest możliwa, to trzeba skupić się na stworzeniu puli środków finansowych do transferów fiskalnych.

Czyli integracja tylnymi drzwiami?

Integracja, która nie będzie się wiązała z dalszym delegowaniem kompetencji na szczebel unijny. ©



JANUSZ JANKOWIAK
– Główny
Ekonomista Polskiej
Rady Biznesu.

Euro – słowacki sukces

ADAM WALANUS x4



DR IVAN ŠTEFANEC, poseł do Parlamentu Europejskiego, pełnomocnik słowackiego rządu ds. wprowadzenia euro

Od podjęcia politycznej decyzji o wprowadzeniu na Słowacji europejskiej waluty do momentu, gdy w 2009 r. trafiła ona do portfeli Słowaków, upłynęło sześć lat. Od czasu wstąpienia do strefy euro gospodarka szybko się rozwija, wzrost gospodarczy przewyższa wzrost osiągnięty przez Polskę, a inflacja jest na najniższym w regionie poziomie. Wbrew temu, co mówi się w Polsce, ceny nie wzrosły. Choć euro to dla Słowaków symbol uczestnictwa w europejskiej wspólnocie, to korzyści nie są tylko symboliczne, ale i całkiem wymierne. Przede wszystkim to oszczędności wynikające z braku kosztów związanych z wymianą waluty. Ponadto dzięki euro koszt obsługi zadłużenia zagranicznego jest niższy. Warto zauważyć, że Polska za obsługę swojego długu płaci trzy razy więcej. Trzy razy niższe niż w Polsce mamy też na Słowacji oprocentowanie kredytów hipotecznych. Kredyty hipoteczne w euro sprawiają, że Słowacy ponoszą mniejsze ryzyko walutowe związane z ich spłatą, a dla kraju wspólna waluta oznacza stabilność sytuacji monetarnej. ©

Schengen – Ukraina w przedśionku raj



MARIA MIKOŁAJIWNIA JONOWA, wiceprzewodnicząca Komitetu ds. Integracji Europejskiej w Radzie Najwyższej Ukrainy

Dla Ukrainy strefa Schengen to motywacja do zmian. Od 1 lipca 2017 r. Unia Europejska wprowadziła ruch bezwizowy dla Ukraińców, po raz pierwszy obywatele mojego kraju odczuli, na czym polegają jej zalety. Możliwość swobodnego poruszania się po Europie daje Ukraińcom szansę na odejście od modelu wpajanej przez lata sowieckiej mentalności, pozwala na realne odczuwanie wolności. Warto podkreślić, że ok. 80 proc. Ukraińców oczekuje, iż potencjalne członkostwo w Unii Europejskiej zapewni im prawa i korzyści inne niż finansowe – to nadzwyczajne podejście.

Jednocześnie setki tysięcy utalentowanych Ukraińców wyjeżdżają do Polski w poszukiwaniu lepszego życia. Ukraińcy przybywający do Polski to w zdecydowanej większości migranci. Potrzebujemy ich w kraju, ale politykom trudno jest poszukiwać odpowiedzialnych rozwiązań i tworzyć ramy dla stabilnych instytucji, których rozwój zachęci naszych obywateli do powrotu. Mamy na Ukrainie bardzo aktywne społeczeństwo obywatelskie, patrzące uważnie rządzącym na ręce, ale potrzebujemy też młodych, zdolnych i otwartych ludzi, którzy garnęliby się do sprawowania władzy. ©

Praworządność – nie tylko przepisy



PROF. ZOLTÁN FLECK, dyrektor Centrum Teorii Państwa i Społeczeństwa, Uniwersytet Loránd Eötvösa w Budapeszcie

Na Węgrzech odziedziczyliśmy postsowiecką kulturę, która nadal występuje w instytucjach państwowych. Prowadziłem na przykład badania wśród sędziów. Wielu z nich trudno zaakceptować, że wymiar sprawiedliwości to nie tylko technika wydawania wyroków, ale i stojąca za nią moralność i system wartości. Tymczasem – przeciwnie niż to się czyni w krajach o ugruntowanych rządach prawa, takich jak Wielka Brytania, Niemcy czy USA – my nie uczymy obywateli akceptacji i szacunku dla zasad praworządności. W dodatku zasada trójpodziału władzy jest naruszana przez obecnie rządzących. Prezesi sądów wybierani przez parlament większością 2/3 głosów mają szerokie kompetencje, a wpływ rady sędziowskiej jest niewielki. W mediach często pojawiają się ataki na sędziów. To sprawia, że sędziowie, którzy powinni być w swoich działaniach niezawisli, obawiają się retorsji ze strony władzy. To bardzo niebezpieczne, bo sędziowie nie mogą znać strachu. ©

Tożsamość – jedność w wielości



BP DR PIOTR JARECKI, biskup pomocniczy Archidiecezji Warszawskiej

Ostatni król z dynastii Jagiellonów powiedział do poddanych „Nie chcę być królem waszych sumień, jeno stróżem waszych praw”. Gdy dziś rozważamy ideę tożsamości jagiellońskiej, to musimy otwarcie przyznać, że mamy w Polsce problem z *rule of law*. Potrzebujemy trójpodziału władzy. Jako duchowny mogę jedynie żałować, że Kościół – choć ma na ten temat wypracowane stanowisko – nie mówi o tym głośno. Doktryna społeczna Kościoła nie jest włączana do ewangelizacji, a to oznacza, że w tej nauce nie jesteśmy w pełni wierni Chrystusowi. Ale jagiellońskie dziedzictwo to także współistnienie i dopełnianie się w różnorodności. Bardziej cenimy sobie wygodną przynależność do grupy niż indywidualne poszukiwanie prawdy. To niestety problem mentalności, która zmienia się długo, całe pokolenia. ©

GOŚCIE FESTIWALU 2018:

ELISABETH ÅSBRINK
MAGDALENA BARBARUK
THOMAS REINERTSEN BERG
AGATA BIELIK-ROBSON
EDWARD BROOKE-HITCHING
MACIEJ GDULA
CHRIS KEULEMANS
WILLEMJN LAMP

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**MAGAZYN
CONRAD 03**

„TP” 43/2018

ŁUKASZ MUSIAŁ
TOMASZ PINDEL
KRISTINA SABALIAUSKAITĖ
ROMA SENDYKA
MAŁGORZATA SZPAKOWSKA
STEFFEN THIEMANN

CONRAD 2018



CONRAD FESTIVAL

Festiwal Conrada 22 – 28 października 2018



GRZEGORZ JANKOWICZ

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu zastanowimy się nad mechanizmami, które decydują o tym, że jednostki łączą się w mniej lub bardziej trwałe wspólnoty. Jakie impulsy wzmagają potrzebę tworzenia grup społecznych? Z jakiego źródła przychodzą? W jaki sposób działają? Na czym polega ich skuteczność? Nasze hasło – POP – wyprowadziliśmy ze słowa populizm, którego etymologiczny sens (protoitałskie *poplos* oznaczało „armię”, a łaciński rzeczownik *populus* to „lud”) naprowadza na trop procesu, w wyniku którego jednostki zamieszkujące dane miejsce zaczynają ze sobą współdziałać, by uporać się z przychodzącym z zewnątrz zagrożeniem. Wygląda na to, że wspólnota od początku jest odpowiedzią na bodźce, które skłaniają do szukania aliansów.

Jaką rolę w tym kontekście odgrywa literatura? Przede wszystkim może być źródłem bądź nośnikiem takiego impulsu, a zarazem – i to jest z naszego punktu widzenia najważniejsze – narzędziem pozwalającym zweryfikować charakter wspólnotowej więzi. Weźmy dla przykładu sytuację, w której władza zarządza społeczeństwem za pomocą populistycznych gestów, np. wskazując daną grupę (mniejszość) jako źródło zagrożenia. Impuls ten wywołuje napięcie, które przekształca społeczeństwo w – to określenie Petera Sloterdijka – kolektyw stresu. Więzy łączące jednostki w obrębie owego kolektywu są bardzo silne, powstają bowiem jako efekt podsycanego nieustannie niepokoju. Nie chodzi o to, że literatura może nas wyprowadzić na zewnątrz takiej wspólnoty i wyzwolić z siatek generującego stres mechanizmu politycznego. Nie chodzi też o to, że z natury jest orędowniczką postaw indywidualistycznych. Literatura – jako najpojemniejsza forma komunikacji – ukazuje złożoność procesów, które prowadzą zarówno do powstania, jak i rozpadu społeczności, pozwala nam zrozumieć przyczyny i konsekwencje tych procesów, a ponadto daje wgląd w rachunki (emocjonalne, ekonomiczne i polityczne), które tak jednostkom, jak wspólnotom przychodzi zapłacić za bycie razem lub osobno.

Mam świadomość, z jak wielką odpowiedzialnością w obliczu powyższych rozważań wiąże się zaproszenie Państwa do udziału w Festiwalu Conrada. Czynię to jednak z przekonaniem i nadzieją, że czytelnica wspólnota, którą zawiążemy między 22 a 28 października, ufundowana zostanie przede wszystkim na współdzielonej przez nas pasji do literatury.

© GRZEGORZ JANKOWICZ

DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



04

MACIEJ GDULA
Ukryci, słabi i pokiereszowani


08

OLIWIA FRYC
Najczulszy z punktów


12

ERDMUT WIZISLA
Brecht, Benjamin i szyb windy


16

KRZYSZTOF ŻWIRSKI
Sylwa obojga narodów


19

WILLEMIJN LAMP
Zagubieni w tłumaczeniu


20

CHRIS KEULEMANS
Niczego się nie traci


22

MAGDALENA BARBARUK
Kartowanie

Redakcja Michał Sowiński

Okładka Marek Zalejski

// foto Hulton Archive / Getty Images

Skład Artur Strzelecki

Fotoedycja Grażyna Makara



CONRAD FESTIVAL

Organizatorzy:



Kraków


KRAKÓW
UNESCO CITY
OF LITERATURE


kbf


FUNDACJA
PROMOCJI
PRACY

Zespół Festiwalu Conrada:

Dyrektor artystyczny – Michał Paweł Markowski

Dyrektor programowy – Grzegorz Jankowicz

Menedżer Festiwalu – Urszula Chwalba (uchwalba@biurofestiwalowe.pl)

www.conradfestival.com

Dofinansowano ze środków

Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA

TYGODNIK
POWSZECHNY

zawsze
razem




Ukryci, słabi i pokiereszowani

MACIEJ GDULA

Polskie elity od wieków wyznają zasadę, że lepiej się nie wychylać. Do tego lubią przedstawiać się jako wyjątkowo słabe, niedorozwinięte, kielkujące zaledwie, bo tak łatwiej legitymizować swoją pozycję.



PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Polska Wystawa Gospodarcza, Warszawa 2018 r.

Mateusz Morawiecki należy do bogatych polityków. Na podstawie oświadczenia majątkowego ustalić można, że posiada przynajmniej 8,5 miliona złotych. To jednak nie wszystko. Dziennikarze „Newsweeka” na początku 2018 r. odkryli, że premier wchodząc do polityki podzielił majątek między siebie i żonę, której w ten sposób przypadły lokale we Wrocławiu oraz ekskluzywny dom na warszawskim Mokotowie. Nie piszę tego, żeby pastwić się nad Morawieckim i wykazywać jego hipokryzję. Postąpił bowiem dokładnie w zgodzie z panującymi w Polsce regułami funkcjonowania elit. Lepiej nie ujawniać się z majątkiem. Ludzie może zniosą kilka milionów, ale gdy pokaże się majątek powyżej dziesięciu, to kto wie, co się może zdarzyć?

Niezależnie od ideowej proveniencji polskie elity są zaskakująco zgodne w sposobie legitymizowania swojej pozycji. Jest kilka strategii, które wypracowywano dosłownie przez wieki.

Pierwsza: lepiej się nie wychylać i udawać, że „my na górze” niewiele różnimy się od średniaków. Druga: przedstawiać siebie samych jako wyjątkowo słabych, niedorozwiniętych, kielkujących zaledwie. Trzecia: jeśli już trzeba się wychylić, to jedynie po to, aby chwalić się bliznami zdobytymi w walce z uzurpatorami lub potężnymi wrogami.

Przyjrzyjmy się tym strategiom po kolei.

Ukryci

Korzeni ukrywania się elit szukać należy już w I Rzeczypospolitej, gdy wyłonił się system, w którym główną rolę odgrywał liczny stan szlachecki. Jego przedstawiciele posiadali szerokie przywileje i prawa, z których najważniejszym była możliwość wyboru króla w wolnej elekcji. Była to gwarancja zachowania wolności stanu szlacheckiego, a jednocześnie mechanizm ograniczający zdolność króla do centralizacji władzy. Stan szlachecki miał o sobie jak najlepsze mniemanie – uważał się za wspaniałych synów ojczyzny, do tego ludzi wolnych i pełnych cnót. To uzasadniało ich uprzywilejowaną pozycję wobec chłopów, którzy zmuszeni byli do wykonywania na rzecz szlachty nieodpłatnej pracy przypominającej niewolnictwo.

Ta podwójna opozycja – z jednej strony wobec króla, z drugiej wobec chłopów – dawała wrażenie, że na stan szlachecki składają się ludzie równi sobie. Wszak każdy miał prawo do udziału w wolnej elekcji i noszenia broni, a zdecydowana większość posiadała majątki ziemskie. Z czasem jednak ideologia równości zaczęła służyć grupie uprzywilejowanej, którą była magnateria. Bo przecież prawdziwymi władcami Rzeczypospolitej byli właśnie magnaci: kontrolowali olbrzymie majątki, tworzyli rozległe układy klientelistyczne, budowali stronnictwa, czym wpływali na wybór monarchy, a nawet prowadzili własną politykę zagraniczną.

Poczucie zagrożenia ze strony władzy centralnej i wyższości wobec chłopów, wzmocnione dodatkowo przez ambicje i etos drobnej szlachty, wystarczały realnie rządzącej oligarchii do zabezpieczenia swoich politycznych i ekonomicznych wpływów. A wszystko to działo się niejako w ukryciu, bez oficjalnego obnoszenia się posiadaną władzą i bez wmontowywania jej w mechanizmy ustrojowe. Uprzywilejowaną pozycję można było ukryć za hasłami o równości i złotej wolności szlacheckiej.

Mogłoby się wydawać, że tego typu strategii ukrywania się elit, maskujących swoją pozycję przez odgrywanie „średniości”, to dawne dzieje. Nic bardziej mylnego. Choć społeczno-ekonomiczny kontekst zmienił się znacząco, strategia ta wciąż stanowi chleb powszedni naszej społecznej rzeczywistości. Jedyna różnica polega na tym, że dziś klasa wyższa nie ukrywa się już za drobną szlachtą, tylko za klasą średnią.

Klasa ta jest w Polsce najbardziej dynamicznie rozwijającym się sektorem struktury społecznej. Od lat 70. przybywa nauczycieli, urzędników, specjalistów i ludzi operujących w swej pracy symbolami. Dziś to mniej więcej 1/3 wszystkich pracujących. Nie ma wątpliwości co do kulturowej hegemonii klasy średniej. Przeciętny bohater dzisiejszych seriali i reklam wywodzi się właśnie z niej: w szkole pilnie się uczy, potem idzie na studia, wysłała swoje CV do wymarzonego pracodawcy i bierze kredyt na mieszkanie. Po pracy chce się rozerwać i odreagować. Jeśli założy rodzinę, to raczej dopiero, gdy „umocni swą pozycję na rynku pracy”, a jeśli będzie miał dziecko (raczej jedno →

→ niż dwójkę), to będzie inwestował w jego przyszłość, starając się zapewnić mu jak najlepszą edukację.

Elity nie kwestionują tej hegemonii. Wręcz przeciwnie – starają się wpisać w porządek narzucany przez klasę średnią. Gdy wraz z zespołem realizowaliśmy badania dotyczące teatru, uderzające było, że wielcy przedsiębiorcy, z którymi rozmawialiśmy, bronili teatrów rozrywkowych. Deklarowali, że sami też po pracy lubią się odprężyć i że od ludzi nie należy oczekiwać ciągłego wysiłku. Jednak w odróżnieniu od prawdziwych przedstawicieli klasy średniej chadzali przede wszystkim do drogich teatrów prywatnych i do opery.

Tego rodzaju „średnioklasowy” sznyt obecny był także w kampanii wyborczej Bronisława Komorowskiego. Gdy podczas spaceru wyborczego podszedł do niego chłopak w zielonej koszulce i zadał kłopotliwe pytania o to, jak jego siostra, która zarabia 2 tysiące i nie ma mieszkania, ma sobie poradzić w życiu, ówczesny prezydent odpowiedział – zgodnie z regułami obowiązującymi klasę średnią – że powinna zmienić pracę (na lepszą) i wziąć kredyt. A potem w wyborczych reklamówkach dzieci prezydenta Komorowskiego musiały przekonywać, że są normalnymi ludźmi i też mają kredyty.

Jednak po kampanii okazało się, że przynajmniej jedna z córek prezydenta kupiła mieszkanie za gotówkę, którą otrzymała od rodziców. Ta rewelacja wywołała swego rodzaju skandal, co tłumaczy przynajmniej część powodów niechęci klasy średniej wobec elit. Niechęci, która zaowocowała zwrotem w stronę Prawa i Sprawiedliwości. Kupowanie dzieciom mieszkań i uwalnianie ich od jarzma kredytu jest zwyczajną praktyką polskiej klasy wyższej. Nie mówi się jednak o tym. Oficjalnie wszyscy mamy kredyty i mierzymy się z tymi samymi problemami. A jeśli konkurujemy, to według tych samych zasad. Klasa średnia coraz częściej dostrzega, że elity nie grają już na tym samym boisku. Mieszkania dziedziczą bądź kupują za gotówkę, posiadają domy za granicą i w polskich kurortach, studiują na najlepszych światowych uczelniach, a na wakacje wyjeżdżają cztery razy w roku.

Coraz trudniej to ukryć, choć wciąż pomocna okazuje się druga strategia, stosowana równolegle z maskowaniem.

Słabi

Polega na demonstrowaniu słabości i również ma długą tradycję. Jej geneza jest oczywiście polityczna, ale zasadniczą rolę odegrał tu ekonomiczny niedo rozwój Polski.

Od XVI wieku Polska była systematycznie powiązana z rozwijającym się systemem kapitalistycznym, ale związki te nie zaowocowały upodobnieniem się polskiej gospodarki do angielskiego czy holenderskiego wzorca. Relacje z kapitalistycznym centrum opierały się przede

■ Elity nie kwestionują hegemonii klasy średniej. Wręcz przeciwnie – starają się wpisać w porządek przez nią narzucany, ukrywając tym samym swoją pozycję.

wszystkim na produkcji i dostarczaniu żywności dla rozwiniętych rynków na Zachodzie. Towar mógł być tani, bo wytwarzano go dzięki nieopłacanej pracy chłopów. Dzięki temu szlachta budowała swój dobrobyt, a magnaci fortuny. Elity z jednej strony uczestniczyły w nowoczesnej, międzynarodowej wymianie handlowej, z drugiej dalej funkcjonowały w ramach tradycyjnych, feudalnych stosunków społecznych.

Kontrast między lokalnymi i zachodnimi elitami państw kapitalistycznych stawał się coraz bardziej widoczny, bo Polska, ze względu na specyficzne miejsce w międzynarodowym podziale pracy, nie nadążała za zmianami. Polskie elity, choć w polskich warunkach uprzywilejowane, zaczęły odstawać od elit zachodnich.

Owocowało to różnymi projektami modernizacyjnymi, w których elity chciały odgrywać przewodnią rolę, domagając się przy tym pomocy i poświęcenia ze strony wspólnoty narodowej. Jednocześnie ich uprzywilejowana pozycja była umniejszana przez porównanie się z innymi krajami, posiadającymi „prawdziwe bogactwo”.

Strategia ta, polegająca na demonstrowaniu słabości, do dziś ma się świetnie. Popularnym sposobem jej realizacji jest choćby mówienie, że II wojna światowa i PRL całkowicie zniszczyły polskie elity. Jeśli istnieją jacyś bogaci ludzie, to jest ich garstka, do tego dopiero walczą o swoją pozycję. Elit ekonomicznych właściwie nie ma i musimy pokolenia czekać, aby osiągnąć poziom Wielkiej Brytanii czy Niemiec. Na razie mamy zaledwie delikatne kiełkujące roślinki, o które wszyscy musimy dbać. Trzeba im zapewnić bezpieczne warunki rozwoju i odpowiednio korzystać regulacje. No i oczywiście szczerzy i radosny doping.

Nieważne, że sześciu największych polskich przedsiębiorców znajduje się na elitarnej liście 2 tysięcy globalnych przedsiębiorców, z których każdy kontroluje przynajmniej 2 miliardy dola-

rów. Nieważne, że duże polskie fortuny budowane są de facto od lat 70., kiedy to PRL przyzwolił na funkcjonowanie firm polonijnych oraz dopuścił zatrudnianie siły roboczej przez prywatnych przedsiębiorców (do 1976 r. można było zatrudniać tylko członków własnej rodziny). To już 40 lat bogacenia się! Nieważne, że obecnie na czele dużych firm stoją często nie ich twórcy, ale dzieci, których główną zasługą było urodzenie się w odpowiedniej rodzinie.

Udawanie słabości pozwala polskim przedsiębiorcom uchylać się przed społecznymi oczekiwaniami. Wymaganie czegoś od słabych byłoby przecież nie fair, podobnie jak kopanie leżącego. Symulowanie, że nie jest się w stanie wspierać społecznych inicjatyw, tworzyć lepszych warunków pracy, płacić większych podatków czy inwestować w rozwój i innowacje, to na pewno dogodna strategia, pozwalająca na szybką akumulację. Istnieje jednak druga

CO SIĘ DZIEJE Z ELITAMI

w społeczeństwach zarządzanych przez populistów? W jaki sposób przemiany kulturowe i polityczne ostatnich lat wpłynęły na pozycję i funkcję elit w Polsce, Europie i na świecie? Czy elity stanęły na wysokości zadania i odpowiedziały na nowe wyzwania? Czy społeczeństwo potrzebuje dziś elit, by się rozwijać? Jeśli tak, to jak odnowić komunikacyjny pakt pomiędzy ludźmi należącymi do różnych klas społecznych? Jeśli zaś nie, to kto może zająć miejsce elit, kto powinien wcielić się w rolę przewodnika, wskazującego społeczeństwu kierunek? Na te pytania podczas festiwalowego spotkania spróbują odpowiedzieć Agata Bielik-Robson, Maciej Gdula, Michał Paweł Markowski i Małgorzata Szpakowska.

strona medalu. Gdy z za słabości wychyla się bogactwo, ludzie zaczynają czuć się oszukani. Padają wtedy pytania o to, skąd wziął się ten majątek i czy w ogóle dałoby się zarobić go uczciwie. Na razie partia rządząca nie zalicza przedsiębiorców do wrogich elit, ale kto wie, jak sytuacja będzie się rozwijać. Dobrze pamiętam kampanię z 2007 r., w której przedmiotem krytyki byli przedsiębiorcy mający niejasne powiązania z politykami. Istnieje zatem przetarta, choć na razie jeszcze nieuczęszczana droga do rozliczeń.

Pokiereshowani

Trzecia strategia legitymizowania pozycji elit opiera się na wychwalaniu historycznych zasług w walce z obcymi lub uzurpatorskimi elitami.

Na dobrą sprawę całą Polską historię, począwszy od końca XVIII wieku, można przedstawić jako opowieść, w której grupy uprzywilejowane są zmarginalizowane lub dopiero mają się stać prawdziwymi elitami. Rozbiory rozpoczynają ponad stuletni okres dominacji obcych sił nad polskimi elitami. W tym czasie uprawomocniają się one poprzez walkę o zachowanie polskości w wojnach napoleońskich i kolejnych powstaniach, a porażki i represje czynią je ofiarami obcej dominacji. Mimo że zachowują w państwach zaborczych, zwłaszcza w Austrii i Rosji, rozliczne przywileje i wpływy. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. elity uzasadniały swoją pozycję wcześniejszą walką o Polskę, co czyniło je jednocześnie ofiarami i bohaterami. Po II wojnie światowej władze wywodzące się z PZPR, przynajmniej do lat 70., także odwoływały się do bohaterstwa walki o Polskę, posiłkując się przy tym ludowym, czyli nieelitarnym pochodzeniem najważniejszych osób w państwie. Choćby Władysław Gomułka, pierwszy sekretarz PZPR w latach 1956-70, który często podkreślał swoje robotnicze korzenie.

Po roku 1989 nowe elity wywodzące się z Solidarności swoją pozycję także uprawomocniały w znacznym stopniu powołując się na walkę z uzurpatorską elitą PRL-u. Różnice w obozie postsolidarnościowym dotyczyły nie tego, czy ma się moralną wyższość wobec dawnych wrogów, tylko tego, czy polega ona na prawie do wybaczenia, czy raczej na prawie do rozliczeń. Ciekawe, że dzisiejsza elita PiS-u także przedstawia swoją polityczną drogę jako kontynuację walki z PRL-em, która trwała także po 1989 r., gdy przeciwnikiem była III RP i cały układ postkomunistyczny. Jest to oczywiście śmieszne, bo ciężko porównywać opresyjność PRL-u i III RP, ale sięganie do języka blizn jest najbardziej rozpoznawalnym politycznym kodem, uzasadniającym roszczenie do objęcia i sprawowania władzy.

Kłopot polega na tym, że używanie tego kodu ma swoje bardzo poważne konsekwencje. Czyni bowiem każdą próbę rozporządzenia dyskusji o przywilejach i nierównościach czymś głęboko niestosownym. Ludziom u władzy, podobnie jak tym wpływowym, nie stawia się wymagań, bo są już wystarczająco zasłużeni dla ojczyzny. Uniemożliwia to racjonalizację stosunków władzy i stwarza podglebie dla nadużyć, ponieważ elity działają z pozycji moralnej wyższości i słuszności. Do tego wiele wprowadzanych dziś zmian, które niszczą fundament politycznego porządku, pokazuje się jako kontynuację dawnej walki. Z kolei rozdział

■ Całą historię Polski, począwszy od końca XVIII wieku, można streścić jako opowieść, w której elity przedstawiają się jako zmarginalizowane przez obcych albo wciąż ledwie rozwinięte.

przywilejów przedstawiany jest jako coś samooczywistego, bo wynikającego z historycznych zasług. Z drugiej strony ciężko nie mieć wrażenia, że walka z PiS-em buduje zastępy przyszłych zasługowych.

Co robić?

Ujawnienie pozycji elit wydaje mi się dziś podstawowym warunkiem jakiejkolwiek sensownej zmiany społecznej w kwestii nierówności, gospodarki czy polityki. Dotychczasowe strategie maskowania i zwożenia wciąż działają świetnie dla samych elit, ale już niekoniecznie dla Polski.

Dzięki nim wciąż nie chcemy w pełni dostrzec istniejących różnic społecznych,

bo wolimy ukrywać je za fałszywymi obrazami jedności. Napiecia, jakie rodzą nierówności, uniemożliwiają racjonalizację stosunków klasowych i budowanie poczucia sprawiedliwości. Zamiast tego doświadczamy na zmianę okresów, w których różnice podlegają eufemizacji, a po nich rozliczeń odbywających się w atmosferze moralnego skandalu. W ten sposób nie da się ustanowić rozsądnych oczekiwań wobec elit ani tym bardziej ich egzekwować. Strategia „na blizny” prowadzi do wyniszczających konfliktów o uznanie, które ostatecznie demoralizują władzę.

Elity, wyjdźcie z szafy! Dopiero coming out zaczyna prawdziwe życie. ©

MACIEJ GDULA (ur. 1971) jest socjologiem i publicystą. Wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, członek Krytyki Politycznej i Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego.



ALBERT ZAWADA / AG

MAŁGORZATA SZPAKOWSKA

(ur. 1940) jest krytyczką literacką, historyczką idei i kultury. W czasie PRL-u działaczka opozycji, była redaktorka miesięcznika „Dialog”. Przez lata pracowała w Instytucie Kultury Polskiej na UW.



GRAŻYNA MAKARA

AGATA BIELIK-ROBSON

(ur. 1966) jest filozofką i publicystką. Pracuje na Wydziale Teologii Uniwersytetu w Nottingham, gdzie zajmuje się myślą żydowską, oraz w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN.



ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

(ur. 1962) jest dyrektorem artystycznym Festiwalu Conrada, krytykiem literackim, eseistą, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Szef Katedry Języka i Literatury Polskiej na Uniwersytecie Illinois w Chicago.

Najczulszy z punktów

OLIWIA FRYC

**„Czuły punkt” Åsbrink tłumaczy nam,
dlaczego więzienny eksperyment teatralny
w Tidaholm zakończył się katastrofą.**

**Jak zawsze w reportażach szwedzkiej dziennikarki kluczowe
pytanie dotyczy odpowiedzialności – zarówno działających,
jak i tych, którzy się beczynnie przyglądają.**

Książka „Czuły punkt. Teatr, naziści i zbrodnia” Elisabeth Åsbrink (2014; tłum. Irena Kowadełko-Przedmojska) to nie tylko pogłębiona refleksja nad funkcjonowaniem systemu penitencjarnego w Szwecji czy próba odpowiedzi na pytanie, co powinniśmy zrobić, aby wychodzący z więzienia nie był tym samym człowiekiem, który do niego trafił. To przede wszystkim opowieść o nienawiści dumnych członków społeczeństwa do ludzi z marginesu, ale też nazistów do Żydów czy po prostu jednego człowieka do drugiego. I podobnie jak w poprzednich książkach szwedzkiej reporterki („1947” oraz „W Lesie Wiedeńskim wciąż szumią drzewa”), również tu punktem wyjścia dla opowieści jest historia rodzinna: bolesna i intymna.

Teatr, naziści i zbrodnia

15 marca 1998 r. Zakład karny Tidaholm o zastrzonym rygorze na południu Szwecji. To tutaj spotykają się trzech bohaterowie reportażu. Carl, przywódca wojskowego gangu odpowiedzialnego za dziesięć napadów na banki i zamach bombowy. Tony, mający na sumieniu kradzieże, włamania – skazany ostatecznie za planowanie zabójstwa na zlecenie. Oraz Mats, odsiadujący wyrok za rozbój. Wyroki to kolejno: 14, 6 i 5 lat. Przez system penitencjarny zakwalifikowani do tzw. kategorii „siedem trzy”, czyli więźniów szczególnie zdolnych do ucieczki, z ryzykiem recydywy, podlegających

szczególnym działaniom prewencyjnym. Taki sam tytuł nosić będzie sztuka teatralna, którą napiszą wspólnie z jednym z najważniejszych współczesnych szwedzkich dramaturgów, Larsem Norénem. Wystawia ją ponad 20 razy na deskach Riksteatern.

Noréna do pracy z więźniami motywuje to samo, co wielu innych pisarzy – ciekawość i chęć poznania przedstawicieli obcej mu części społeczeństwa. Jego sztuki teatralne opowiadają o ludziach na marginesie lub wręcz poza nim, istniejących w świadomości społecznej, lecz poza dyskursem: o bezdomnych, chorych umysłowo czy narkomanach. O dzieciach dorastających w rozbitych rodzinach dotkniętych przemocą, patologią, przestępczością. O więźniach. Cel, który mu przyświeca, jest od lat ten sam – pokazać Szwecji jej skrywane oblicze. Do Tidaholmu na listowne zaproszenie Carla reżyser przyjeżdża wspólnie z producentką jego sztuk, Isą Stenberg. Po jednym spotkaniu z osadzonymi oboje bez wahania decydują się na rozpoczęcie prac nad dramatem. Norén już wie, że trafił na żyłę złota – nowych rozmówców, którzy chętnie podzielą się swoimi doświadczeniami i historią. Isa jest pełna współczucia dla młodych ludzi, jej misja to leczenie ich dusz. Władze okręgu więziennego liczą na resocjalizacyjny sukces, a więźniowie na uniknięcie fizycznej pracy przy taśmie. Każdego motywuje co innego, działają jednak zgodnie.

ROBERTO RICCIUTI / GETTY IMAGES

W głowie Noréna rodzi się pomysł napisania sztuki, którą więźniowie mogliby odegrać w ramach kółka teatralnego: rozmowy trzech osadzonych i odwołującego ich pisarza, Johna. Więźniowie zawiązują więc z reżyserem umowę – mężczyźni opowiadają mu o sobie, ten zaś składa rozproszone historie w spójną opowieść. On decyduje o literackiej warstwie sztuki, za to oni podejmują ostateczną decyzję, co trafi do tekstu dramatu. „7:3” ma być próbą wyjaśnienia, dlaczego trzech mężczyzn znalazło się za kratami.

Twórcy nie wiedzą jednak, że w tym samym czasie Tony koresponduje z nie-



jakim Jackiem Arklövem, skazanym za zbrodnie przeciwko ludzkości. Z ich listów wyczytać można fascynację wojną i śmiercią. Są tam też plany założenia nazistowskiej bojówki. Tony od pięciu lat jest członkiem Riksfrenten, szwedzkiego ruchu faszystowskiego. Jego przyjaciel, Mats, w pełni podziela jego nienawiść do Żydów, muzułmanów, homoseksualistów i szwedzkiego wymiaru sprawiedliwości. Wszyscy jednak wierzą w sukces projektu, dlatego ignorują oczywiste fakty. „Kim bylibyśmy, gdybyśmy nie mieli w sobie współczucia dla zagubionych dusz?” – zdają się mówić twórcy projektu.

Tymczasem pierwotnie przyjęte reguły zostają poluzowane: sztuka zostaje włączona do repertuaru teatru publicznego, a zamiast zawodowych aktorów role odegrają sami więźniowie. Rozpoczynają się codzienne, kilkugodzinne próby poza murami zakładu, a każda zainteresowana strona zaczyna inwestować w projekt coraz więcej energii. Musi się udać.

Co poszło źle?

W „Czułym punkcie” – podobnie jak w pozostałych książkach – Åsbrink stawia pytanie o granice. Kiedy ta cienka i łatwo negocjowalna linia została przekroczona? Kiedy twórcy tekstu, inicjatorzy ↪

ELISABETH ÅSBRINK (ur. 1965) jest szwedzką pisarką, dziennikarką i dramatopisarką. W 2011 r. za książkę „W Lesie Wiedeńskim wciąż szumią drzewa”, w której przez pryzmat historii najbardziej znanej dziś szwedzkiej firmy meblowej pokazuje bolesne i skomplikowane dzieje swojej ojczyzny flirtującej z nazizmem, otrzymała Nagrodę im. Kapuścińskiego. W Polsce ukazały się także dwie inne jej książki: „Czuły punkt. Teatr, naziści i zbrodnia” (2014), a także „1947” (2017) – reportaż historyczny, pokazujący Europę i świat w przełomowym dla całego powojennego porządku roku.

→ przedsięwzięcia i nadzorcy zapomnieli o ostrożności i różnicy między więźniem a człowiekiem wolnym? Czy w momencie, gdy osadzeni zaczęli codziennie opuszczać mury więzienia i udawać się na próby do teatru? Gdy Isa Stenberg zaprzyjaźniła się z dwoma najbardziej niebezpiecznymi przestępcami w Szwecji? Gdy nikt nie wpadł na to, by skontrolować korespondencję więźniów? Albo chociaż ich zachowania na przepustkach? Gdy wyszło na jaw, że Tony i Mats są zagorzałymi neonazistami, a mimo to do sztuki postanowiono dołączyć scenę dziewiątą – jawną manifestację ich poglądów? A może gdy okazało się, że wszyscy – Norén, Stenberg, zarząd opieki penitencjarnej, dyrekcja teatru – utracili kontrolę nad więźniami, którzy przejęli faktyczną kontrolę nad realizacją projektu? W końcu jedno ich tupnięcie nogą mogło przekreślić miesiące ciężkiej pracy wielu osób.

W wyróżnionym Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego reportażu „W Lesie Wiedeńskim wciąż szumią drzewa” Åsbrink przypomina losy założyciela firmy IKEA, wracając tym samym do niechlubnego romansu Szwecji z nazizmem – czarnej karty w historii narodu postrzeganego jako wzór demokratycznych i równościowych cnót. „Ingvar Kamprad nikogo nie zamordował, ale przyjaźnił się z mordercami; to modelowy przykład, jak Szwedzi uwikłani byli w nazizm” – mówiła Åsbrink w jednym z wywiadów. Taką samą postawę przyjęli twórcy spektaklu. John, *porte-parole* Noréna, w dziewiątej scenie nie podejmuje dialogu z neonazistowskimi teoriami głoszonymi dumnie przez Tony’ego i Matsa. Bezradnie milczy. Norén będzie później tłumaczył, że nie mógł włączyć polemiki do scenariusza, ponieważ Tony i Mats nigdy by się na to nie zgodzili.

To właśnie brak reakcji ze strony Johna zostanie odebrany przez krytyków jako gest najbardziej niedopuszczalny. Na scenie pokazano ludzką twarz więźniów, ich tragiczne życiorysy, trudne dzieciństwo i okrutną, brutalną twarz antysemityzmu, która była bez wątpienia reakcją na systemowe odrzucenie i wieloletnią pogardę wyłączającą ich ze społeczności. Ale antysemityzm był też gwarancją uznania w ideologicznej wspólnocie, która stała się ważniejsza niż cokolwiek innego. Zdanie z deklaracji programowej, przyświecające pracy nad sztuką, brzmiało: „zadaniem teatru jest również próba wzbu-

■ Åsbrink snuje swą opowieść głosem pewnym i mocnym. Czasem jednak na tej gładkiej powierzchni reporterskiego rozliczenia z historią znajdujemy pęknięcia, przez które przebija intymny ból.

dzenia w widzach empatii, bo bez niej pozostaje tylko obojętność i brutalna siła”. Współczucie, litość i bezapelacyjne wzruszenie publiczności zderzyło się jednak z nienawiścią zawartą w dziewiątej scenie.

Jako projekt artystyczny „7:3” bez wątpienia odniosło sukces. Jako projekt resocjalizacyjny okazało się jednak spektakularną katastrofą. Po ostatnim zaplanowanym spektaklu Tony, z pomocą Arklöva oraz drugiego mężczyzny, napadli na bank, a następnie zamordowali dwóch policjantów, którzy ruszyli za nimi w pościg. Kiedy Åsbrink spytała po latach Carla, czy to oklaski na scenie doprowadziły do tej tragedii, odpowiedział: „Nie, nie oklaski. Nienawiść publiczności”.

Czuły punkt

U Åsbrink wszystko ostatecznie rozbija się o jedną kwestię – o głos, spoiwo jej książki. Głos, który zabieramy w debacie publicznej i od którego się wstrzymujemy. Głos, który dajemy ofiarom i sprawcom.

KAŻDA WSPÓLNOTA posiada jakąś czarną kartę w swojej historii. Pytanie, w jaki sposób się do niej odnosi – czy próbuje ją ukryć, przekonując, że nie ma na swoim koncie żadnych przewin, czy też odważnie konfrontuje się z przeszłością, by wyciągnąć wnioski na przyszłość i uniknąć błędów. O trudnej przeszłości, którą niebezpiecznie jest zapominać, rozmawiać będą Elisabeth Åsbrink i Maciej Zaremba Bielawski.

O to, co, gdzie, kiedy i w jaki sposób mówimy, a także co właściwie komunikujemy, gdy wybieramy milczenie. „Głos nie może jednak pozostać pojedynczy” – zdaje się mówić reporterka. Musi nieustannie wchodzić w dialog z innymi, być odpowiedzialny.

W eksperymencie teatralnym zabrakło przede wszystkim rozmowy – konfrontacji poglądów, próby dialogu traktowanej jako narzędzie edukacji i zmiany. Zabrało również odpowiedzialności ze strony twórców spektaklu – uległa ona rozmowcy w obliczu partykularnych celów. Swoje dołożyła także pycha i naiwność, a także przerośnięta ambicja. Dialog światopoglądowy między Tonym, Matsem i Larsem Norénem nie odbył się ani na scenie, ani poza nią. Zamiast tego widzowie zostali poinformowani o „silnych więzach”, które powstały między mężczyznami w trakcie prób. Podczas fali krytyki, która spadła na Noréna po premierze, jeden głos wybrzmiał w szczególności – dziennikarki Anity Goldman, która spytała dobitnie: „Co daje panu moralne prawo, aby nie być Żydem w spotkaniu z nazistami? Jakim prawem bierze pan udział w posiłku, z którego ja, z powodu mojego pochodzenia, jestem wykluczona?”. No właśnie – jakim prawem?

Dialog i odpowiedzialność, o których wspominała reporterka, wymagają ciższy. Tylko wtedy można usłyszeć głosy dziesiątek osób powiązanych z projektem. A książka Åsbrink pozwala im wybrzmieć. Autorka „Czułego punktu” usuwa się na bok, aby cień rzucany przez jej sylwetkę – postawę, historię, przeszłość czy światopogląd – nie zakłócił obrazu. Ta skrzętna, sucha, faktograficzna wręcz relacja, na którą składają się setki rozmaitych źródeł, to walka o maksimum obiektywizmu w obliczu spraw, które od dekad są przedmiotem publicystycznych walk. A przecież to w obliczu faktów jesteśmy ze sobą najbardziej szczerzy.

Niegojąca się rana

Åsbrink snuje więc swą opowieść głosem pewnym, mocnym; jej zdania są proste i dobitne, konkretne jak w dziennikarskiej depeшы. I tylko czasami na tej gładkiej powierzchni reporterskiego rozliczenia z historią znajdujemy pęknięcia, rysy, szczeliny, przez które przesącza się pełna bólu poezja – rozpaczliwa i wzruszająca, choć i tak powściągnięta dziennikarskim rygorem konkretności oraz zwięzłości. Te krótkie

przerywniki to bodaj najbardziej osobiste fragmenty, w których możemy odnaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Åsbrink w ogóle pisze. To momenty, w których możemy zobaczyć tę niegójącą się ranę – resztki dawnego bólu i cierpienia oraz odziedziczony po przodkach strach. Choćby po Györgym Fenyő, niepoznanym nigdy dziadku, który uwięziony w obozie koncentracyjnym pisał w liście do żony: „Byłaś lepszą połową mojego życia”. Albo po ojcu, który jeszcze jako chłopiec pytał matkę, co oznaczają rzucone pod jego adresem słowa „parszywy Żyd”. Do tego dochodzi żal po pytaniach bez odpowiedzi – kim byli ci, którzy odeszli? I poczucie wyobcowania, które rodzice przekazali jej wraz z niewygodnym sekretem, szepcząc do ucha: „Im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej”.

Autobiograficzne fragmenty w reportażach Elisabeth Åsbrink to nie tylko historia cenionej dziennikarki i pisarki, producentki telewizyjnej, dramatopisarki, laureatki wielu nagród. To także opowieść o nazistowskiej przemocy, o przeszłości, o której niewielu chce pamiętać, ale także hołd złożony ojcu uciekającemu w czasie wojny z Budapesztu, aby ratunku szukać w Szwecji. Powstaje w ten sposób prywatna historia traumy, wyczuwalna w każdej jej książce. Jej obecność jest jednak niezwykle subtelna – to zawsze zaledwie jeden z wielu głosów w polifonicznej kompozycji.

Dlatego Åsbrink opowiada historię Tony’ego i Matsa, dwóch szwedzkich neo-

■ Przesłanie książki podsumowują jej ostatnie słowa, cytaty z Yehudy Bauera, który do dekalogu dodałby jeszcze trzy przykazania: „Nie będziesz przestępcą. Nie będziesz ofiarą. Nie będziesz stał z boku”.

nazistów, nie tylko z perspektywy chłodnego obserwatora, lecz także ofiary ich nienawiści. Rozmawia z Carlem, terrorystą i członkiem bojówki, która napadła na pocztę, kiedy Åsbrink stała w kolejce do okienka. Zdaje się, że powtarza wtedy za swym ojcem: „Niech ci nigdy nie będzie żal samej siebie”. Świat toczy się dalej, a my wraz z nim. Odrobina prywatności pośród oceanu konkretności – to jedyne, na co pozwala ta ascetyczna relacja. Nie mogę powstrzymać zachwytu nad tym gestem powściągliwości, w którym znajduję i elegancję, i dumę.

Każda zbrodnia zostawia po sobie ranę. Taką, która na zawsze będzie już czułym

punktem, bolączką serca lub sumienia, od której nie ma ucieczki. To odłamek przeszłości, który wciąż w nas tkwi. To moment, w którym przeszłość i teraźniejszość splatają się w jednym uścisku, zawiązując dziejowy supeł. Czuły punkt to trauma – czyli z greckiego „rana” – która cofa nas w przeszłość, tak jak robi to Åsbrink.

Sztuką jest się jej nie poddać. Chyba najlepiej obrazuje to samo zakończenie książki: „Historyk Yehuda Bauer powiedział kiedyś: »Pochodzę z narodu, który dał światu dziesięcioro przykazań. Sądzę, że nadszedł czas, by dodać jeszcze trzy: Nie będziesz przestępcą. Nie będziesz ofiarą. Nie będziesz stał z boku«”. Co należy więc robić? Wchodzić w nieustanny dialog z ideologiami, ludźmi i samym sobą. Zdobyć się na litość dla skrzywdzonego, ale nie usprawiedliwiać zła. Być odpowiedzialnym za swoje czyny. Nie ranić drugiego człowieka. Nie zastygać w spirali bólu i żalu, lecz raczej przekuć je w coś, co może stanowić wartość, nieść nadzieję. Nie odwracać wzroku od dysfunkcji, cierpienia, odrzucenia. Za Anitą Goldberg pamiętać, że zło – podobnie jak dobro – jest wyborem. ©

OLIWIA FRYC (ur. 1992) studiowała filologię polską i historię sztuki na uniwersytetach Warszawskim i Jagiellońskim. O sztuce pisała m.in. dla „K MAG Magazynu”, „Art & Business”, „Aktivist”, „Kultury Liberalnej” i „Enter the Room”. Pracuje w dziale literackim Krakowskiego Biura Festiwalowego.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



NOWY CYKL „LEKCJI CZYTANIA” A.D. 2018/19

Zapraszamy na „Lekcje...”, które odbędą się podczas Festiwalu Conrada w dniach 22-28 października w Krakowie.
Poprowadzą je: Magdalena Barbaruk, Jacek Leociak, Michał Paweł Markowski, Michał Olszewski, Małgorzata Szpakowska oraz Marcin Wicha.

Rezerwacje: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na [f](https://www.facebook.com/LekcjeCzytania) / LekcjeCzytania



Najnowszy cykl „Lekcji czytania” odbywa się mimo kolejnej odmowy finansowego wsparcia ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną, zapraszamy do kontaktu z Fundacją: fundacja@tygodnik.com.pl

Brecht, Benjamin i szyb windy

ERDMUT WIZISLA

W 1933 r. Benjamin i Brecht spotkali się w Paryżu i postanowili napisać kryminał. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale wiele lat później niemiecki grafik i performer na podstawie ich notatek stworzył powieść graficzną, która właśnie ukazuję się po polsku.

Nikt chyba nie będzie twierdził, że w swoim pisarstwie Walter Benjamin i Bertolt Brecht powstrzymywali się przed przekraczaniem granic. Ich twórczość literacka obejmuje imponujące spektrum tematów, sposobów wypowiedzi i gatunków. Powieść kryminalna wśród nich jednak nie występuje, zresztą mało kto by się jej spodziewał. W rzeczywistości próbę napisania takowej podjęli obaj pisarze w pierwszym roku na emigracji, jesienią 1933 r. w Paryżu, i to wspólnie. Już ponad 25 lat temu Lorenz Jäger odkrył, że fragmentaryczne zapiski poświęcone powieści kryminalnej, przedrukowane w ostatnim, VII tomie „Pism zebranych” Benjamina, korespondują z materiałami zamieszczonymi w XVII tomie berlińsko-frankfurckiego wydania „Dzieł” Brechta. Obydwie publikacje ukazały się w 1989 r. i jest do prawdy czymś kuriozalnym, iż wydawcy redagowali je, nie dostrzegając istnienia komplementarnych przekazów. Dopiero niemiecki grafik i performer Steffen Thiemann przedstawił tę historię w drzeworytach, dając współczesnemu czytelnikowi możliwość potraktowania, przetestowania i posmakowania małego zarciku wielkich pisarzy w formie powieści graficznej.

Kryminały i cygara

Jak w ogóle doszło do tego przedsięwzięcia? Słabość do historii detektywistycznych mieli obaj. „Spis przeczytanych utworów” Benjamina jest nimi naszpikowany. Gershom Scholem relacjonował, że już na studiach Benjamin „bardzo lubił czytać kryminały, zwłaszcza ukazujące się w stuttgarckiej serii tłumaczenia

klasycznych powieści amerykańskich i francuskich, na przykład A.K. Greena, Émile’a Gaboriau („Monsieur Lecoq”), a w okresie monachijskim książki Maurice’a Leblanca o Arsënie Lupinie, dżentelmenie-włamywaczu. Potem zaczytywał się Szwedem Hellerem, a w latach 30. sięgał po książki Georges’a Simenona, które gorąco polecał mi w listach”. Zgodnie z objaśnieniami Lorenza Jägera Benjamin czytał powieści kryminalne „jako historyk XIX wieku”, tymczasem Brecht interesował się tym gatunkiem jako autor, „który eksperymentuje z formami literackimi, wirtuozersko się nimi bawiąc”.

W oczach Brechta powieści kryminalne – oraz cygara – były „środkami produkcji”. W bibliotece, którą po sobie pozostawił, zachowało się niemal 300 kryminałów, w większości zaczytane tanie wydania kieszonkowe, wśród nich klasyczne pozycje Raymonda Chandlera, Agathy Christie, Arthura Conana Doyle’a, Erle’a Stanleya Gardnera, Edgara Wallace’a i wspomnianego już Georges’a Simenona. Wiemy, że stanowiły one jedynie ułamek tego, co czytał Brecht, wymieniał się bowiem książkami z innymi pasjonatami i spieniężał je w dużych ilościach. Zarówno Benjamin, jak i Brecht niejednokrotnie zastanawiali się nad możliwościami, które niesie ze sobą ten gatunek literacki. Było zatem logiczne, że chcieli poczynić krok od konsumpcji do produkcji, tym samym podążyli za mottem Brechta: „Powróćmy do powieści kryminalnych!”.

Już w czerwcu 1931 r. na spotkaniu brechtowskiego kręgu w Le Lavandou, w którym uczestniczył również Benjamin, „poruszono najrozmaitsze kwestie”,

między innymi „pomysł na dramat kryminalny”. Dramat taki napisał w następnym roku Benjamin wraz z zaprzyjaźnionym pisarzem Wilhelmem Speyerem. Powieścią zajął się później, zrazu na własną rękę. W maju 1933 r. przebywał na Ibizie, skąd donosił przyjaciółce Gretel Karplus, późniejszej żonie Theodora W. Adorno, że spośród pomysłów, którymi się zajmuje, „wart wzmianki jest w najlepszym razie projekt powieści kryminalnej”. Miał ją jednak napisać tylko wówczas, gdy „można będzie przypuszczać, że musi się ona udać. Na razie myślę o niej ze sporymi zastrzeżeniami, i nie mogę zrobić nic innego, jak tylko zapisywać na karteluskach sceny, motywy, różne chwytły, ażeby później zastanowić się jeszcze nad nimi”. W spuściznie Benjamina znajduje się koperta z lapidarnym napisem „Powieść kryminalna”, do której treści pasuje zawarty w liście opis.

O krótkiej fazie właściwej współpracy wiemy niewiele. W innym liście do Gretel Karplus, datowanym na 8 listopada 1933 r. i wysłanym z Paryża, można przeczytać: „Rozmawiam z Bertholdem [kryptonim Brechta – E.W.] o teorii powieści kryminalnej i być może rozważania te zaowocują kiedyś literackim eksperymentem”. Z pewnością początki pracy tkwią w zainteresowaniu tego typu materiałem, które podzielił obaj pisarze, oraz chęci stworzenia zeń czegoś razem. Możliwe, że całe zamierzenie dawało też widoki na jakieś zyski; jest →

Kadr z powieści graficznej „Morderstwo w szybce windy” Waltera Benjamina i Bertolta Brechta, ilustracje Steffen Thiemann



DEN ERSTEN TAG SEINES AUFENTHALTS
HAT HERR SEIFERT BENUTZT, UM BEI
DER „MONTANA-GESELLSCHAFT“ IN



DER ÜBBLICHEN WEISE VORZUSPRECHEN.
WIE GEWÖHNLICH LIEGT DER GESCHÄFTS-
BERICHT NOCH NICHT AUS.



HERR SEIFERT STELLT DER VERWAL-
TUNG SCHWIERIGKEITEN IN AUSSICHT,
KEHRT ABER, NACHDEM ER DIE TÜR



HINTER SICH GESCHLOSSEN HAT,
NOCH EINMAL ZURÜCK, UM SEINE
ADRESSE ZU HINTERLASSEN.



DIE „MONTANA-GESELLSCHAFT“
SETZT SICH MIT DER DRUCKEREI IN
VERBINDUNG, DER SIE IHREN GE-



SCHÄFTSBERICHT IN AUFTRAG
GEGEBEN HAT, UND SUCHT AUF DIESE
DIE SCHULD ABZUWÄLZEN.

→ nawet mowa o serii powieści kryminalnych. Tymczasem po wyjeździe Brechta, tuż przed Bożym Narodzeniem 1933 r., zdało się, że było już po sprawie. W liście do Brechta Benjamin wspominał jeszcze o niepomyślnym „spotkaniu, które miałem z Kasperem w sprawie powieści kryminalnej”, a na początku 1934 r. Margarete Steffin pytała o nią. Jednak później trop się urywa. W kolejnym półroczu Brecht nie widział się z Benjaminem, nie zaistniał więc istotny warunek dalszej współpracy. Brecht i Steffin zaś pochłaniała praca nad „Operą za trzy grosze”, która – także będąc historią o szantażu – usunęła powieść kryminalną na dalszy plan.

Seria faktów

Przekazy archiwalne z pewnością nie dają odpowiedzi na wszystkie pytania, które nasuwają się w związku z tym eksperymentalnym przedsięwzięciem. W spuściźnie Brechta znajduje się 18 kartek typoskryptów poświęconych odnośnej tematyce. Zawierają swego rodzaju exposé, fabułę opowieści opatrzoną nagłówkiem „Seria faktów”, próbny rozdział, jak również notatki dotyczące scen i motywów. Sam Brecht napisał na maszynie wyłącznie notatki, pozostałe teksty – Margarete Steffin, która była obecna przy rozmowach jesienią i z pewnością brała czynny udział w rozwijaniu historii. Korekty na sporządzonych przez nią maszynopisach własnoręcznie naniósł Brecht, co było jak najbardziej typowym trybem ich pracy. Przypuszczalnie jesienią 1933 r. koperta listu Benjamin z Ibizy została wzbogacona o zapiski, które powstały na podstawie rozmów z Brechtem i Margarete Steffin bądź też służyły im do przygotowań. Spośród łącznie sześciu odręcznie zapisanych kartek dwie wykazują styczność z materiałem, który przechowywał Brecht. Jedna zawiera podział akcji na dziesięć rozdziałów. Ich kolejność Benjamin okraślił rysunkiem chudej postaci stojącej przed otworem, najwyraźniej szybem windy; ma się wrażenie, że upadku postaci nie sposób już powstrzymać. A może, jak zanotował Benjamin, „obrazek [przedstawia] zamordowanego, a w głębi widać kasę pancerną”? Na innej kartce zostały odnotowane przemyślenia dotyczące akcji utworu. W spuściźnie obu autorów istnieją zapiski, które są odrębnymi bytami i, jak się zdaje, nie mają związku z tym, co zostało ujęte w fabule.

WALTERA BENJAMINA I BERTOLTA BRECHTA łączyła wyjątkowa przyjaźń. Mimo różnic w podejściu do kwestii literackich, filozoficznych i politycznych, wzajemnie się inspirowali, stawiając przed sobą wyzwania, które każdego z osobna zmuszały do pokonywania ograniczeń własnej myśli. Ślady tych zmagania można odnaleźć w wielu ich tekstach, które zostały opatrzone skrupulatnymi komentarzami przez badaczy. Co ciekawe, fascynowały ich również gatunki popularne. O tym, do czego filozofowi lub poecie może się przydać pop i jaki użytek może z niego zrobić, dyskutować będą Łukasz Musiał, Tomasz Pindel, Roma Sendyka i Steffen Thiemann.

Oprócz tego **23 PAŹDZIERNIKA** zapraszamy do Pawilonu Wyspiańskiego w Krakowie na wernisaż wystawy „Morderstwo w szybie windy”, która czynna będzie do 23 listopada.

Przekrój obydwu zbiorów – będący najprawdopodobniej pokłosiem wspólnych rozmów – stanowi spisany przez Steffin tekst „Seria faktów”, który Steffen Thiemann w całości wziął za podstawę dla swojego komiksu, jak również zanotowana przez Benjamin kolejność rozdziałów. Fabuła „Serii faktów” jest nieco zagmatwana, sprawia wrażenie wydumanej i nie jest wolna od elementów nakładających się i odbiegających od siebie. W exposé można przeczytać, że „postać scalającą serię powieściową jest sędzia Lexer”. Jednak w obrębie fabuły Lexer, który jest emerytem i udziela się jako detektyw, odgrywa rolę poboczną. Głównym bohaterem jest niegdysiejszy akwizytor Karl Seifert, który szantażuje spółki akcyjne. Kolejność rozdziałów u Benjamin otwiera śmierć szantażysty Seiferta. „Seria faktów” się nią kończy. Parę pomysłów ciągle jeszcze czeka na ich włączenie do fabuły, z innymi Brecht i Benjamin być może musieli się pożegnać. Wszystko jest otwarte, twórcy umożliwiają jedynie wgląd w swoją praktykę pisarską.

Próżno szukać wśród dokumentów tytułu dla projektu. Co prawda, określenie „Seria faktów” zamieszczono jako nagłówek nad fabułą, ale może ono być wskazówką, iż zamierzano stworzyć całą serię powieści, albo tylko opisywać następstwo zdarzeń. Tytuł „Morderstwo w szybie windy” pochodzi od Lorenza Jägera i został z wdzięcznością przejęty, choć jego sens dałoby się podważyć pod każdym względem. Nie sposób doszukać się tu morderstwa; chodzi co najwyżej o zabójstwo, którego sekretarka Herta Müller dokonała na szantażyście Karlu Seifercie. W przeglądzie rozdziałów Benjamin wspomina o „wypadku w szybie windy”. Ale czy można wyobrazić sobie czytelnika, który sięgnąłby po tak zatytułowaną książkę? Podobnie jest z „Morderstwem przed szybą windy”, które precyzyjnie opisywałoby miejsce popełnienia przestępstwa, zdaje się jednak na zbyt sztuczne. Za przyjęciem propozycji Lorenza Jägera przemawiało wreszcie nawiązanie do klasycznych tytułów, takich jak powieści Agathy Christie. Tego typu nieostrość jest też poniekąd na miejscu: Benjamin i Brecht udali się wszak na łowy w nie swoim rewirze, tylko pozornie pisali powieść kryminalną albo – innymi słowy – poważali się na coś nowego, co mogło do nich przystawać, ale niekoniecznie musiało się... powieść.



Walter Benjamin i Bertolt Brecht
MORDERSTWO W SZYBIE WINDY
grafika Steffen Thiemann, przeł.
Artur Kozuch

Kryminal à rebours

Lektura zachowanych fragmentów pozwala wysnuć wniosek, że autorzy opracowali materiał pod kątem krytyki społecznej. Takie podejście nie może w przypadku Benjamina i Brechta zaskakiwać. Kryminalny przypadek jest potraktowany à rebours. Winna nie jest morderczyni, winę ponosi zamordowany. Sędzia Lexer podaje w wątpliwość cały system wymiaru sprawiedliwości. Zamierza „ujawnić rzeczywiste społeczne przyczyny danego przestępstwa”, jak czytamy w exposé. Bardziej zgubne od niegodziwości sprawcy jawiło się Lexerowi w wielu wypadkach środowisko społeczne, które generuje takie zachowania. Dokonane przez Benjamina omówienie Brechtowskiej „Opery za trzy grosze” (1935) czyta się jako uzupełniające utrwalenie zasadniczego stanowiska: „Mieszczański porządek prawny i zbrodnia – według prawideł powieści kryminalnej stanowią one przeciwieństwa. Zabieg Brechta polega na tym, że zachowuje on wysoce rozwinięte techniki powieści kryminalnej, ale wyłącza rządzące nią reguły. Stosunek mieszczańskiego porządku prawnego i zbrodni przedstawiony jest w tej powieści kryminalnej odpowiednio. Ta druga okazuje się szczególnym przypadkiem wyzysku, sankcjonowanym przez ten pierwszy”.

Steffen Thiemann, autor słuchowisk, performer i grafik, poświęcił więcej czasu na realizację projektu aniżeli autorzy na jego wymyślenie. Wyraziste czarno-białe drzeworyty mogłyby pochodzić z epoki i kreują atmosferę, której nie sposób się oprzeć. Thiemann uwypukla sceniczny, biurokratyczny i komiczny charakter całego przedsięwzięcia, przy czym udaje mu się wydobyć jego głębszy sens. Pomysł, by

MATEUSZ SKWARCZEK / AG



TOMASZ PINDEL

– jest iberystą, tłumaczem literatury hiszpańskojęzycznej i literaturoznawcą. Były wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim i pracownik Instytutu Książki.

UI



ROMA SENDYKA

– jest teoretyczką literatury, pracuje w Katedrze Antropologii i Badań Kulturowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadzi Ośrodek Badań nad Kulturami Pamięci.

KBF



ŁUKASZ MUSIAŁ

– jest germanistą, tłumaczem i eseistą. Pracownik Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

KBF



STEFFEN THIEMANN

– jest niemieckim pisarzem, grafikiem, performerem i prezydentem radiowym. Mieszka w Berlinie i Uckermarku.

do tekstu Brechta „Seria faktów” włączyć w charakterze przypisów notatki Benjamina, jest ironicznym odzwierciedleniem sposobu ich pracy oraz relacji, w której Benjamin pełnił rolę komentatora. Jest on zarazem subtelną grą z tekstem i hiper-tekstem. Rytownik wszędzie powplatał finezyjne detale: szkic postaci autorstwa Benjamina, motyw szachów, ulicę jednokierunkową, plakat do filmu „M jak morderca” (litera jest zarazem inicjałem miejsca zbrodni), Anioła Historii oraz konterfektu pisarzy, którzy błakają się po własnej opowieści. Należy się przyglądać i odkrywać. Z ręką na sercu, czy tym fragmentom mogło przydarzyć się coś lepszego?

Zapewne czysty przypadek sprawił, że tuż za ścianą pokoju przy paryskiej Rue Dombasle, ostatniego, w którym mieszkał Benjamin, przechodził szyb windy. Dla wyczulonego na dźwięki pisarza była to, jak pisała Gretel Adorno, „istna tortura”.

© Tłumaczenie ARTUR KOZUCH

Powyższy tekst pochodzi z publikacji „Morderstwo w szybce windy – seria faktów Waltera Benjamina i Bertolta Brechta”, która ukazała się z okazji wystawy „Benjamin und Brecht. Denken in Extremen” w Akademie der Künste w Berlinie w okresie 26 października 2017 – 28 stycznia 2018 r. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Partnerem polskiej edycji tej publikacji, która ukazała się nakładem wydawnictwa Lokator, są Dom Norymberski w Krakowie i Konsulat Honorowy Luksemburga.

ERDMUT WIZISLA (ur. 1958) jest niemieckim literaturoznawcą, ekspertem w twórczości Waltera Benjamina i Bertolta Brechta. Był dyrektorem archiwum obu autorów, wykłada na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie.

REKLAMA

Kiedy poznacie dramatyczne losy dzieci księży, okaże się, że to nie kolejny reportaż o strachu i hipokryzji, ale książka o Polsce i Kościele i o stosunku Polski i Kościoła do kobiet. Nowa, bardzo inspirująca perspektywa.

Agnieszka Holland



Autorka reportażowego bestsellera „Zakonnice odchodzą po cichu” powraca z nową książką

Od 25 października w księgarniach

WYDAWNICTWO | krytyka polityczna

patronat/matronat



CzytamRecenzuje.pl



**KRISTINA
SABALIAUSKAITĖ**

(ur. 1974) jest litewską pisarką i historyczką sztuki. Od 2002 r. mieszka w Londynie. Autorka bestsellerowej tetralogii „Silva rerum” (2008–2014), wielopokoleniowej sagi o szlacheckiej rodzinie Narwojszów, w której z wielką pieczołowitością odmalowała czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów XVII i XVIII wieku na Litwie. Seria wzbudziła na Litwie liczne kontrowersje, ale też przyczyniła się do ożywionej debaty o litewskiej przeszłości i tożsamości. W 2008 r. autorka została laureatką literackiej nagrody im. Jurgi Ivanauskaitė, w 2016 r. była nominowana do Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus”.

DAVID LEVENSON / GETTY IMAGES

Sylwa obojga narodów

KRZYSZTOF ŻWIRSKI

Powieści Sabaliauskaitė to zdecydowanie więcej niż tylko kolejny rozdział w dyskusji o wspólnej polsko-litewskiej historii. Intencją autorki było przypomnienie o naszym wspólnym wielokulturowym dziedzictwie.

Szeroki i wielobarwny strumień opowieści, przepływający przez kolejne tomy tetralogii historycznej Kristiny Sabaliauskaitė „Silva rerum”, zagwarantował autorce zasłużoną popularność i sprawił, że porównanie do prozy Sienkiewicza nie wydaje się wielkim nadużyciem. Jednak gołym okiem widać, że w pisarstwie litewskiej autorki chodzi nie tylko o przygodową rozrywkę. O ile w XIX wieku Sienkiewiczowska opowieść o przeszłości miała przede wszystkim krzepić serca, o tyle dziś, w zupełności innych warunkach geopolitycznych, ta sama przeszłość również służy czemu innemu. Przywoływana z pietyzmem i wielką dbałością o szczegóły historia nowożytnej Europy Środkowej może być w XXI wieku cenną lekcją szacunku i pamięci o wspólnej przeszłości – szczególnie dla powojennych, monokulturowych społeczeństw. Dla Polaków tym ciekawszą, że pochodzącą od naszych sąsiadów.

Ciągłość dziejów

„Zmarli nie tylko śpią i mają sny, ale w dodatku wierzą się podczas spania” – mówi Urszula Narwojsz na początku pierwszego tomu sagi Sabaliauskaitė. Słowa te mogłyby posłużyć za motto dla całej serii. Składające się na nią tomy zainspirowane są gatunkiem sarmackiej sylwy (dosłowne tłumaczenie łacińskiej frazy *silva rerum* to „las rzeczy”), czyli popularnej książki rodowej, do której przez wiele dekad i pokoleń trafiały różnorodne stylistycznie, najczęściej nieoficjalne i nieprzeznaczone do publikowania zapiski.

Sabaliauskaitė zręcznie wykorzystuje tę konwencję i opowiada o przeszłości nie z perspektywy władców i prowadzonych przez nich wojen, ale prywatnego życia umiarkowanego zamożnej szlacheckiej rodziny Narwojszów. W tle oczywiście dzieje się wielka historia lat 1659–1795 (tom I: rosyjsko-kozacki najazd na Wilno i towarzysząca mu zaraza; tom II: Wojna Północna i epidemia dżumy z 1710 r.; tom III: wielkie pożary Wilna z lat 1748–1749; tom IV: spóźnione oświecenie i rozbiory Rzeczypospolitej). Kilka tygodni temu do księgarni trafił drugi tom polskiego przekładu tetralogii w tłumaczeniu Izabeli Korybut-Daszkiewicz.

Długie, wielokrotnie złożone zdania, z których składają się rozbudowane opisy, dobrze łączą się z humorem, ironią i zaskakującymi pointami, a nieoczekiwane potoczne i dosadne fragmenty

z powodzeniem rekompensują brak dialogów i względnie powolną narrację. Intensywność tej prozy polega bowiem na czymś innym – kolejne części cyklu koncentrują się na odchodzeniu starych i pojawianiu się nowych pokoleń, często skonfliktowanych ze sobą. W ten sposób rodzi się opowieść znacząco odbiegająca od doświadczeń dzisiejszego czytelnika. U Sabaliauskaitė ważniejsza od pojedynczych losów jest ciągłość dziejów kultury i przekaz międzypokoleniowy, które uległy bezpowrotnemu zerwaniu wraz z nadejściem gilotyny nowoczesności.

Autorka, z wykształcenia historyczka sztuki, pracowała nad swoją tetralogią 18 lat, czym bije na głowę nawet Olgę Tokarczuk i jej „Księgi Jakubowe”. Podobieństwa z głośną powieścią polskiej laureatki Nagrody Bookera sięgają głębiej, gdyż oba dzieła to świetne przykłady rewizji pamięci historycznej, zawłaszczanej dotąd przez patriarchalne wyobrażenia o władzy i podboju. Kolejne tomy litewskiej autorki nie bez kozery zaczynają się tam, gdzie autorzy tradycji walterscottowskiej raczej zakończyliby fabułę: w chwili, gdy trzeba zacząć odbudowę kraju po kolejnym pustoszącym najeździe (w pierwszym tomie – kozackim, w drugim – szwedzkim). Fenomen Wilna regularnie powstającego z kolan po kolejnych ciosach z pewnością interesuje autorkę bardziej niż chwała czyjegokolwiek oręża. Choć naturalistyczne opisy wszechobecnej śmierci (zgodne zresztą z duchem epoki) pojawiają się często – na przykład w pierwszym tomie, kiedy Urszula Narwojsz raz za razem grzebie swoje przedwcześnie zmarłe dzieci – to jednak powieściowy cykl opowiada przede wszystkim o życiu, narodzinach i odbudowie.

Kontrowersje

Ciekawa jest recepcja cyklu Sabaliauskaitė na Litwie. Pierwszy tom ukazał się w 2008 r. i można śmiało powiedzieć, że dokonał rewolucji na litewskiej scenie literackiej. Jako propozycja z obszaru mało popularnego gatunku powieści historycznej, poruszająca jeszcze mniej popularną i przez wiele lat marginalizowaną tematykę okresu Wielkiego Księstwa Litewskiego i unii z Koroną, powieść zainspirowała zaskakująco szeroką debatę o przeszłości i pamięci. Niewolne od przywar, ale pokazane z wyraźną sympatią postaci historyczne „Silvy rerum”, nierozpoznawane wcześniej jako litewskie, zastąpiły

w szerokiej świadomości obrazy spolonizowanej szlachty, która przepiła kraj. Popularność książki zachęciła nawet władze Wilna do utworzenia tras turystycznych śladami bohaterów książki.

Istotna dla sukcesu mogła być peryferyjna pozycja samej autorki – od lat zamieszkałej w Londynie i udzielającej się publicznie wyłącznie naukowo, nienależącej do lokalnego życia literackiego. Niezależność i niewykłanianie zapewniły Sabaliauskaitė większą wiarygodność, ale także swobodę zajęcia się mało modnym tematem, powiązanym bezpośrednio z jej zainteresowaniami naukowymi. Wszystko to zaowocowało ważnym głosem w debacie na temat dotychczasowej polityki tożsamościowej Litwy, która zarówno w opinii autorki, jak i wielu litewskich intelektualistów, kontynuuje stare, sowieckie wzorce charakterystyczne dla całego regionu.

Po upadku Związku Radzieckiego tłumaczone przez dekady nacjonalizmy wybuchły ze zdwojoną siłą – tak w Polsce, jak i na Litwie. Widowskim przykładem tych dawnych sporów mogą być choćby przepychanki o to, jak zapisywać nie litewskie nazwiska. Warto dodać, że Sabaliauskaitė była jedną z inicjatorek listu przeszło 30 litewskich intelektualistów do prezydenta kraju, Dali Grybauskaitė, nawołującego do zmiany dyskryminujących przepisów.

Między polskim i litewskim

Czytelnik polskiego przekładu tego nie zauważy, ale „Silva rerum” napisana jest niezwykle oryginalnym językiem, który na Litwie wywołał niemałe kontrowersje. Sabaliauskaitė, która płynnie włada polszczyzną (posiada polskie korzenie, a jej nazwisko można przetłumaczyć jako Sobolewska), zdecydowała się na użycie oryginalnego słownictwa z epoki, wprowadzając tym samym do tekstu liczne polonizmy. Na Litwie istnieje ustawa, która ogranicza możliwość używania słów pochodzenia obcego w tekście, a twórcy łamiący te zasady narażają się na ryzyko mandatów ze strony Państwowej Inspekcji Języka. Formuła stylizacji historycznej okazała się furtką, dzięki której udało się ominąć rygorystyczną politykę językową.

Rozczarują się jednak srodze ci, którzy liczą, że z tego powodu książka ma polonifilski charakter. Ustami bohaterów cyklu niejednokrotnie przemycana jest ostra krytyka I Rzeczypospolitej. „Ileż można ➔

→ było się zreć na warszawskich sejmach, skakać sobie do oczu, przekupywać posłów, nuncjuszy, dyplomatów i kandydatów, i siebie nawzajem przed każdą elekcją – zastanawiają się litewscy konfederaci, marzący o secesji Wielkiego Księstwa od Korony pod wodzą Sasa. Do tego co chwila pokazywana jest nędza i bezsilność chłopskiej, czyli przede wszystkim litewskojęzycznej ludności.

Powieść można zresztą czytać jako drobniaczko opowiedziane dzieje kultury Rzeczypospolitej w epoce długiego, ale nieubłagane nadciągającego schyłku. Tę gęstniejącą atmosferę dobrze ilustruje scena, gdy Anna Katarzyna Narwojsz, bohaterka drugiego tomu, odwiedza dwór w Milkontach i odkrywa ze wstrętem „obmierzły, bezwstydnego bohoma z Wenerą i Marsem”. Rozkazuje powieszenie w jego miejscu obrazu Maryi w koronie z kwiatów. Wszystko dzieje się w sypialni jej własnych dziadków, Jana Macieja i Elżbiety, dla których podobizny nagich antycznych bóstw były naturalnym elementem wystroju pokoju. Postępujący upadek świetności dworu, jak to zwykle bywa, idzie w parze z zaostreniem norm obyczajowych.

Zapomniane dziedzictwo

Powieści Kristiny Sabaliauskaitė to jednak zdecydowanie więcej niż tylko kolejny rozdział w dyskusji o wspólnej polsko-litewskiej historii. Autorka wielokrotnie podkreślała w wywiadach, że jej intencją było przypomnienie wielokulturowego dziedzictwa tej części Europy, której tradycyjną stolicą jest Wilno. Miasto, którego nazwa, jak zauważył kiedyś Tomas Venclova, w każdym języku ma inny rodzaj gramatyczny: po litewsku „ten” Vilnius – niczym ojciec, w jidysz „ta” Vilne – jak matka, a po polsku „to” Wilno – czyli dziecko. Dlatego warto dostrzec w postaciach Delamarsa – francuskiego ludwisarza i wielkiego amatora ślimaków – czy też Aarona Gordona – żydowskiego lekarza – nie tyle powieściowe ozdoby, co raczej pełnoprawne, a może nawet kluczowe postaci. Bo to przecież oni budują panoramę tego minionego świata, o którym mieszkańcy naszego regionu często zapominają bądź pamiętać nie chcą.

Tetralogia Sabaliauskaitė to opowieść pamięci całej Mitteleuropie, co słusznie zauważył Leonidas Donskis, zmarły przed dwoma laty znakomity litewski intelektualista, filozof, eurodeputowany i gość Fe-

■ Sukces powieści
Sabaliauskaitė dowodzi, że literatura działa lepiej na pamięć zbiorową niż dekadę siermiężnej polityki historycznej.

stiwalu Conrada. Milan Kundera nazwał kiedyś Pragę „miastem bez pamięci” i pewnie miał to samo na myśli co Ričardas Gavelis, litewski prozaik, gdy w swoich powieściach („Vilnius Poker”, „Vilnius Jazz”) portretował Wilno jako miasto-widmo. Wszędzie, gdzie tyrania historii zniszczyła lub przemieściła całe społeczności i pozostawiła nowym mieszkańcom wyłącznie puste mury, odbywa się podobny proces. Zaczyna się od długoletniej niepamięci, która ustępuje powolnemu i mozolnemu przywracaniu śladów życia dawnych społeczności.

Zdają sobie z tego doskonale sprawę gdańszczanie czytający Güntera Grassa, a także mieszkańcy słowackich Koszyc, przeglądający się w dziennikach Sándora Máraięgo, czy młodzi lwowianie, którzy zdecydowali się nazwać powstające właśnie w dawnej zajezdni tramwajowej centrum kulturalno-coworkingowe imieniem Stanisława Lema.

Paradoksem jest – mówi dalej Donskis – że Anglia i Francja, czyli w epoce baroku monokulturowe państwa ze centralizowaną władzą, dziś są otwartymi i postępowymi społeczeństwami zjednoczonej Europy, a kraje naszego regionu, w tym te słynące niegdyś ze złotej wolności i niespotykanego gdzie indziej poziomu pluralizmu

LITERATURA POZWALA WZNIEŚĆ SIĘ

ponad partykularne interesy i zrozumieć, że międzynarodowe spory napędzane są zwyczajnym egoizmem, zabarwionym nacjonalistycznie. Relacje Polski i Litwy, które nigdy nie były łatwe, są tego najlepszym przykładem. Podczas Festiwalu będzie okazja, aby porozmawiać z Kristiną Sabaliauskaitė o trudnej i skomplikowanej pamięci Rzeczypospolitej szlacheckiej w Polsce i na Litwie, a także wspólnym, lecz nieco zapomnianym dziedzictwie otwartości i tolerancji.

w debacie publicznej (choć ograniczonego oczywiście do jednego stanu), są coraz częściej kojarzone z atawistycznym nacjonalizmem i narastającym resentymentem. Sukces Sabaliauskaitė dowodzi jednak, że nadziei na ratunek można szukać w literaturze, która działa lepiej na pamięć zbiorową niż dekadę siermiężnej polityki historycznej.

Nasi pisarze

Żyjemy w czasach wzmożonej fascynacji przeszłością, która jednak zazwyczaj wprowadza się wyłącznie do prząsnych rekonstrukcji historycznych. Lektura litewskiej sagi otwiera nowe możliwości dla kanalizowania tych potrzeb. Co więcej, dzięki niej można na nowo przemyśleć historię polsko-litewskich relacji, bo wciąż wiele jej momentów kładzie się cieniem na teraźniejszości. Jednak najbardziej niezwykle w tej tetralogii jest to, że doczekaliśmy się powieści, która – choć napisana w obcym języku – wpasowuje się idealnie pomiędzy najróżniejsze polskie teksty – zarówno te kanoniczne, jak i współczesne. Bo przecież od dworu Narwojszów w Milkontach do Soplicowa nie jest daleko, a bohaterowie „Warunku” Eustachego Ryłskiego spokojnie mogliby zahaczyć o niego w czasie swojej dezercji z wyprawy Napoleona na Moskwę (i spotkać tam kolejnych potomków Jana Macieja Narwojsza).

A wszystko dlatego, że mamy tu do czynienia z literaturą, która wznosi się ponad partykularne podziały i opowiada o fundamentalnych doświadczeniach kulturowych, zrozumiałych dla wszystkich mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej. W wywiadzie dla popularnego litewskiego portalu 15min Sabaliauskaitė powiedziała kiedyś, że należałoby uznać za część szeroko rozumianej literatury litewskiej także te teksty, które wiążą się z Litwą, ale powstały w innych językach – choćby „Dolinę Issy” Czesława Miłosza, „Obietnicę poranka” Romaina Gary’ego czy pisane w jidysz powieści Chaima Grade. To świetny pomysł, bo nie tylko zrywa z niepotrzebnie ograniczającą nas perspektywą narodową, ale również pozwala włączyć do „naszych” autorów tak świetną pisarkę jak Kristina Sabaliauskaitė. ©

KRZYSZTOF ŻWIRSKI (ur. 1988) jest doktorantem w Katedrze Porównawczych Studiów Cywilizacji UJ, a także pracownikiem Krakowskiego Biura Festiwalowego.

Zagubieni w tłumaczeniu

WILLEMIJN LAMP

Czy jeśli nie dzielimy tej samej przeszłości, a na co dzień zmagamy się z innymi problemami, to jesteśmy skazani na wieczne nieporozumienie i przerzucanie się stereotypami?

W 2016 r., podczas ceremonii otwarcia międzynarodowego festiwalu literackiego Read My World – edycji poświęconej literaturze z Polski i Ukrainy – wydarzyło się coś niezwykłego. Jako organizatorka imprezy co roku proszę zagranicznych gości, aby przedstawili się w formie, która im najlepiej pasuje: mogą przeczytać wiersz, wygłosić oświadczenie, zaśpiewać piosenkę – cokolwiek, co uznają za odpowiednie do wyrażenia siebie. Mogą mówić zarówno w swoim rodzimym języku, jak i po angielsku. Tłumaczenie wyświetlane jest za ich plecami. Zależy mi, aby przedstawili się sami, bo w przeciwnym razie mogłyby pojawić się słowa, z którymi nie będą się czuli komfortowo. Prezenterzy oczywiście zawsze przy takich okazjach starają się, jak mogą, nikogo nie urazić, ale łatwo o puste frazy, które nijak nie oddają artystycznej tożsamości gości. Innymi słowy – chodzi o to, aby unikać nieporozumień i błędów w tłumaczeniu.

W 2016 r. poprosiłam także czarnoskórą poetkę z Amsterdamu, znaną z prostego, a jednocześnie bardzo poetyckiego stylu, aby napisała wiersz otwierający Festiwal. Wcześniej jednak zapytałam ją, czy była kiedykolwiek w Polsce, na Ukrainie albo w ogóle we wschodniej Europie. Powiedziała, że owszem, dwukrotnie była w Polsce – pierwszy raz jeszcze jako nastolatka, drugi już jako osoba dorosła. Po czym dodała, że jest wielką miłośniczką twórczości Wisławy Szymborskiej, bo jej poezja przez lata była dla niej źródłem inspiracji i otuchy. Poprosiłam więc, aby przygotowała wystąpienie. Miała wolną rękę, ważne było tylko, aby pojawił się wątek związany z tamtą częścią Europy. Zależało mi też, żeby tekst był osobisty – żadnych eksperckich tonów ani akademickich dywa-



KBF

WILLEMIJN LAMP (ur. 1977) jest holenderską krytyczką literacką i teatralną. Założycielka i dyrektorka amsterdamskiego festiwalu Read My World. Wcześniej kuratorka festiwalu Writers Unlimited. Doradca miasta Utrecht w kwestiach kultury. Koordynatorka programu Amsterdam World Book Capital (2008/2009). Współpracuje z Dutch Theatre Festival oraz z Holland Festival.

■ Jako organizator festiwalu literackiego chcę budować platformę do rozbrajania międzykulturowych napięć. Alternatywą są oddzielające nas od siebie bańki ignorancji.

gacji. Chciałam, żeby zdała się wyłącznie na swoją poetycką wnikliwość i intuicję.

Co zatem poszło nie tak? Otóż nawet teraz, gdy to piszę, a minęły dwa lata od tamtego wieczoru, wciąż przechodzą mnie dreszcze. Poetka, którą poprosiłam o otwierający wiersz, była w Polsce dwa razy. Za każdym razem podróż odbywała się zimą. Tak więc owszem, było wtedy chłodno i zimowo, stąd w wierszu pojawiły się fragmenty opisujące piękno kryształowych płatków śniegu. Wspomniała także o obchodach upamiętniających wydarzenia Nocy Kryształowej, w których wzięła udział w Krakowie, i o tym, jak silne wrażenie to na niej wywarło. Mówiła również o zniewalającym zapachu świeżo upieczonego chleba, dochodzącym z małej piekarni, w której spotkała się z ciepłym przyjęciem, mimo że wcześniej obawiała się niechęci z powodu koloru skóry. Mimo że na wstępie mówiła o wizytowanym mieście z rezerwą, to pod koniec przyznała, że jej początkowe obawy miały się nijak do tego, czego doświadczyła na miejscu. A doświadczyła przede wszystkim ciepłego przyjęcia w miejscach, w których się tego kompletnie nie spodziewała, dzięki czemu mogła skonfrontować się z własnymi uprzedzeniami i skłonnością do bycia outsiderem. To była historia z głębi serca, do tego opowiedziana poetyckim językiem i z użyciem obrazów, które mimo upływu lat tkwiły dalej w jej pamięci.

Oczywiście przeczytałam ten tekst z wczasu i uznałam, że jest szczery, osobisty i poetycki – odczytałam go jako spojrzenie z zewnątrz, impresję gościa w obcym miejscu, który z perspektywy czasu analizuje dobre i złe doświadczenia swojej podróży. Nie zwróciłam jednak należytej uwagi na jeden drażliwy punkt – frazę „Noc Kryształowa” z wszystkimi jej hi- ➔

→ starymi konotacjami. Oczywiście w Holandii doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, co wydarzyło się podczas Nocy Kryształowej, niemniej naprawdę nie widziałam nic złego w użyciu samej frazy w tym konkretnym wierszu, w tej osobistej refleksji na temat wizyty w innym kraju. Jednakże moja naiwność – a może ignorancja albo wręcz niewrażliwość? – szybko została ukarana. Jedną z polskich pisarek weszła na scenę i zamiast przedstawić się, zażądała od czarnoskórej poetki przeprosin za to, w jaki sposób właśnie przedstawiła Polskę. Jej zdaniem posłużyła się wyłącznie negatywnymi stereotypami, które jej ojczyznę przedstawiają jako rasistowski kraj wiecznej zimy. „I to odniesienie do Nocy Kryształowej? Co to do cholery było? Czy tak się wita w Holandii zagranicznych pisarzy? Zaprasza się czarnoskórą poetkę, żeby wymienić wszystkie istniejące stereotypy na temat Polski? Cóż za brak wrażliwości i szacunku dla wszystkich autorów, którzy właśnie tu przyjechali!”. Gdy zamilkła, na widowni zaległa cisza. Nikt nie wiedział, czy należy jej się aplauz, czy może natychmiast powinno się wziąć w obronę czarnoskórą poetkę. Jednak zaraz po tym wybuchu wygłosiła wcześniej przygotowane przemówienie i opuściła scenę, co widownia przyjęła ciepłym aplauzem. Jej żarliwe przemówienie i pełna konfuzji cisza, która po niej nastąpiła, trwały

FESTIWALE LITERACKIE są miejscem spotkania, podczas którego ludzie posługujący się różnymi językami i funkcjonujący na co dzień w różnych kulturach dzielą się ze sobą indywidualnymi i zbiorowymi doświadczeniami. Żeby uczynić je zrozumiałymi, muszą podjąć pracę tłumaczenia. Nie chodzi przy tym jedynie o przekład pewnej opowieści na inny język, np. angielski, ale także o znalezienie płaszczyzny porozumienia w chwili, w której stykają się ze sobą różne kultury. O tym, co zostaje utracone podczas takiej wymiany, i jak działać, by tych strat było jak najmniej, rozmawiać na Festiwalu Conrada będą Willemijn Lamp i Chris Keulemans.

łącznie może minutę, ale dla mnie była to wieczność.

„Co się właściwie przed chwilą stało?” – pomyślałam wtedy. Być może chodziło o zwykły błąd w przekładzie? A może przeoczyłam zawołaną w wierszu obelgę? Źle odczytałam wiersz? Albo jego autorkę? A może to polska autorka coś źle zinterpretowała? Czy poetka zbyt dużo mówiła o swojej początkowej niechęci do Polski, przez co wzmocniła istniejące stereotypy? Czy raczej z powodzeniem zdekonstruowała wszystkie uprzedzenia, o których wcześniej mówiła, tyle że polska pisarka nie dostrzegła tego w porę, bo fraza „Noc Kryształowa” zdążyła już zatruć wszystko?

W tym wydarzeniu można dostrzec wiele różnych warstw i wątków, ale wszystkie prowadzą do kluczowych dla przekładu pytań: jakie są konsekwencje używania słów, które w zależności od kontekstu mogą dotyczyć zupełnie innych wartości? Czy jeśli nie dzielimy tej samej przeszłości, a na co dzień zmagamy się z innymi problemami, to jesteśmy skazani na wieczne nieporozumienie i przerzucanie się stereotypami? Jeśli nawet pisarze – współtwórcy naszej kultury i zbiorowej pamięci – tak łatwo potrafią wpaść w pułapkę błędnej interpretacji albo nieświadomie umocnić negatywne stereotypy, to do wspólnego zrozumienia i szacunku mamy jeszcze daleką drogę.

Ale to jest właśnie nasz cel. Jako organizator festiwalu literackiego Read My World za wszelką cenę chcę budować platformę, dzięki której możemy sobie radzić z tego typu napięciami, gdyż alternatywą jest utknięcie w oddzielających nas od siebie bańkach ignorancji.

Na szczęście mieliśmy jeszcze trzy dni Festiwalu, żeby przedyskutować tamtą sytuację. Wszyscy zaangażowani w debatę, łącznie ze mną, byli w stanie rozmawiać ze sobą, nie próbując udowodnić, kto miał rację, a kto nie. Zamiast tego stawialiśmy sobie szczerze pytania, lokalizując bolesne źródło nieporozumienia. Koniec końców przygotowujące o dreszcze doświadczenie otwierającego Festiwal wieczoru okazało się ćwiczeniem z ponadkulturowej szczerości. Czy było bolesne? Owszem, ale w ten sposób otrzymbaliśmy ważną lekcję. Bezcenną wręcz w tych trudnych czasach.

© Tłumaczenie MICHAŁ SOWIŃSKI

Niczego się nie traci

CHRIS KEULEMANS

Niezliczona jest liczba wydarzeń literackich zrujnowanych przez to, co zgubiło się w translacji. Czasem jednak zdarzają się translatorskie spektakle, po których zostaje czysta poezja.

Sinan Antoon, irański pisarz, wyemigrował do USA w 1991 r., zaraz po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej. Jego najnowsza powieść „Ave Maria” znalazła się w finale International Prize for Arabic Fiction. Od lat pisze, wykłada, tłumaczy i żyje w kraju, który w 2003 r. najechał jego ojczyznę, zamieniając tamtejszą rzeczywistość w trwający do dziś chaos.

Gdy funkcjonuje się jednocześnie w dwóch zwalczających się językach, można oszaleć – co dopiero, gdy próbuje się między nimi przekładać. Jednak Antoon dawno temu zdecydował się pozostać optymistą. Ostatnio w Brukseli, podczas imprezy upamiętniającej legendarnego palestyńskiego poetę Mahmuda Darwisza, zapytano go, co tracimy, gdy tłumaczymy poezję na inny język. Antoon zamilkł na dłuższą chwilę. Publiczność spo-



JITSE SCHOLS / KBF

dziewała się zapewne lamentu nad pięknymi metaforami, aluzjami historycznymi i obrazami smutku, których nie da się przekazać anglojęzycznemu czytelnikowi. Jednak Antoon tylko się uśmiechnął i powiedział: „Nic. Niczego się nie traci. Można za to zyskać. Poezja jest tym, co zostaje po przekładzie”.

Nie każdy jest jednak takim optymistą. A z pewnością nie ludzie, którzy organizują i biorą udział w wydarzeniach literackich. Sam należę do tej grupy, Państwo zapewne również. Dlatego nie muszę tu przytaczać tych wszystkich wspaniałych zapowiadających się spotkań z pisarzami, w których coś poszło nie tak – choćby dlatego, że wrażliwa japońska pisarka okazała się nudziarą gładzącą wyłącznie o sobie. Albo dlatego, że rozpędzony kataloński powieściopisarz tak bardzo podniecił się opowiadaną przez siebie historią, że kompletnie zapomniał o tłumaczu. Albo dlatego, że przerośnięte ego poety z RPA uniemożliwiło dojście do głosu innym uczestnikom debaty. Albo dlatego, że studentka odpowiedzialna za obsługę projektora była tak zdenerwowana, że puściła slajdy z tłumaczeniem od tyłu. Albo dlatego, że znany amerykański krytyk był zbyt zmęczony po podróży samolotem, żeby zapamiętać, z kim występuje na scenie. Albo dlatego, że prowadzący spotkanie bardziej interesował się sobą niż swoimi gośćmi. Albo dlatego, że publiczność poczuła się urażona ignorancją i brakiem wyczucia zagranicznego wykładowcy. Albo dlatego, że rosyjski celebryta odmówił występu w języku angielskim, mimo że władza nim tak dobrze, że nieustannie poprawiał każde niedociągnięcie tłumacza – ale oczywiście po rosyjsku.

CHRIS KEULEMANS

(ur. 1960) jest urodzonym w Tunisie podróżującym pisarzem, nauczycielem i moderatorem. Mieszka obecnie w Amsterdamie. Opublikował sześć książek prozatorskich i reporterskich, a także liczne artykuły o literaturze, wojnie, kinie, migracjach, muzyce, rozwoju miast, uchodźcach i piłce nożnej. Był kuratorem trzech centrów kultury w Amsterdamie, a także organizatorem lub uczestnikiem wydarzeń literackich m.in. w Amsterdamie, Brukseli, Londynie, Bratysławie, Sejnach, Dżakarcie, Sarajewie.



■ Podczas spotkań literackich publiczność musi zdobyć się na odrobinę cierpliwości – w ten sposób można wynieść ze spotkania zupełnie niespodziewany skarb.

Niezliczona jest liczba wydarzeń literackich zrujnowanych przez to, co zgubiło się w translacji. Albo, mówiąc inaczej, przez nieudaną komunikację.

Albo przez jej odmowę. Spotkanie pisarzy z czytelnikami z różnych stron świata potrafi być niesamowitym i pięknym wydarzeniem. Jednak by do niego doszło, potrzeba zbiorowego wysiłku wielu ludzi. Każdy dokłada coś od siebie i wszyscy muszą autentycznie chcieć się ze sobą porozumieć. Do tego każdy musi wiedzieć, co robić powinien, a czego mu nie wolno. Na przykład sponsorzy nie mogą się wtrącać w ustalanie listy gości i programu. Organizatorzy muszą przeczytać książki zapraszanych przez siebie gości, i to na tyle uważnie, żeby bez cienia wątpliwości wiedzieć, czego mogą się po nich spodziewać. Goście muszą otrzymać pakiet podstawowych informacji o mieście, do którego się udają, oraz o pozostałych autorach, z którymi będą występować. Moderatorzy

powinni mieć precyzyjny plan spotkania, który z wyprzedzeniem przedstawia swoim gościom. Pisarze z kolei powinni pamiętać, że zostali zaproszeni do udziału w debacie, w której chodzi o wymianę myśli i poglądów, a nie promowanie ich najnowszej książki. Ekipie od produkcji, technikom oraz wolontariuszom trzeba dać odpowiednio dużo czasu na przygotowanie, ale też wytłumaczyć, na czym dokładnie polega specyfika wydarzenia, nad którym właśnie pracują. A publiczność musi zdobyć się na odrobinę cierpliwości – w ten sposób można wynieść ze spotkania zupełnie nieoczekiwany skarb.

W sierpniu tego roku brytyjski powieściopisarz David Mitchell (autor „Atlasu chmur” i „Slade House”) był gościem wspaniałego festiwalu Bookstan w Sarajewie. Nie wszyscy z publiczności posługiwali się biegle angielskim, więc organizatorzy zatrudnili niezwykle błyskotliwą tłumaczkę symultaniczną. Mitchell – znany z zamiłowania do radosnej lingwistycznej zonglerki – od razu dostrzegł jej niezwykle umiejętności. Przez całą rozmowę co chwilę pytał ją o bośniackie tłumaczenie jakiejś skomplikowanej angielskiej frazy, której przed chwilą użył. Nie potknęła się ani razu. Wręcz przeciwnie – na bieżąco udzielała mu na zmianę lekcji bośniackiego i angielskiego. Mitchell był wniebowzięty, podobnie zresztą publiczność, bo przypominało to najlepszy tenisowy mecz. A to, co zostało po tym translatorским spektaklu, okazało się czystą poezją.

© Tłumaczenie MICHAŁ SOWIŃSKI

Kartowanie

MAGDALENA BARBARUK

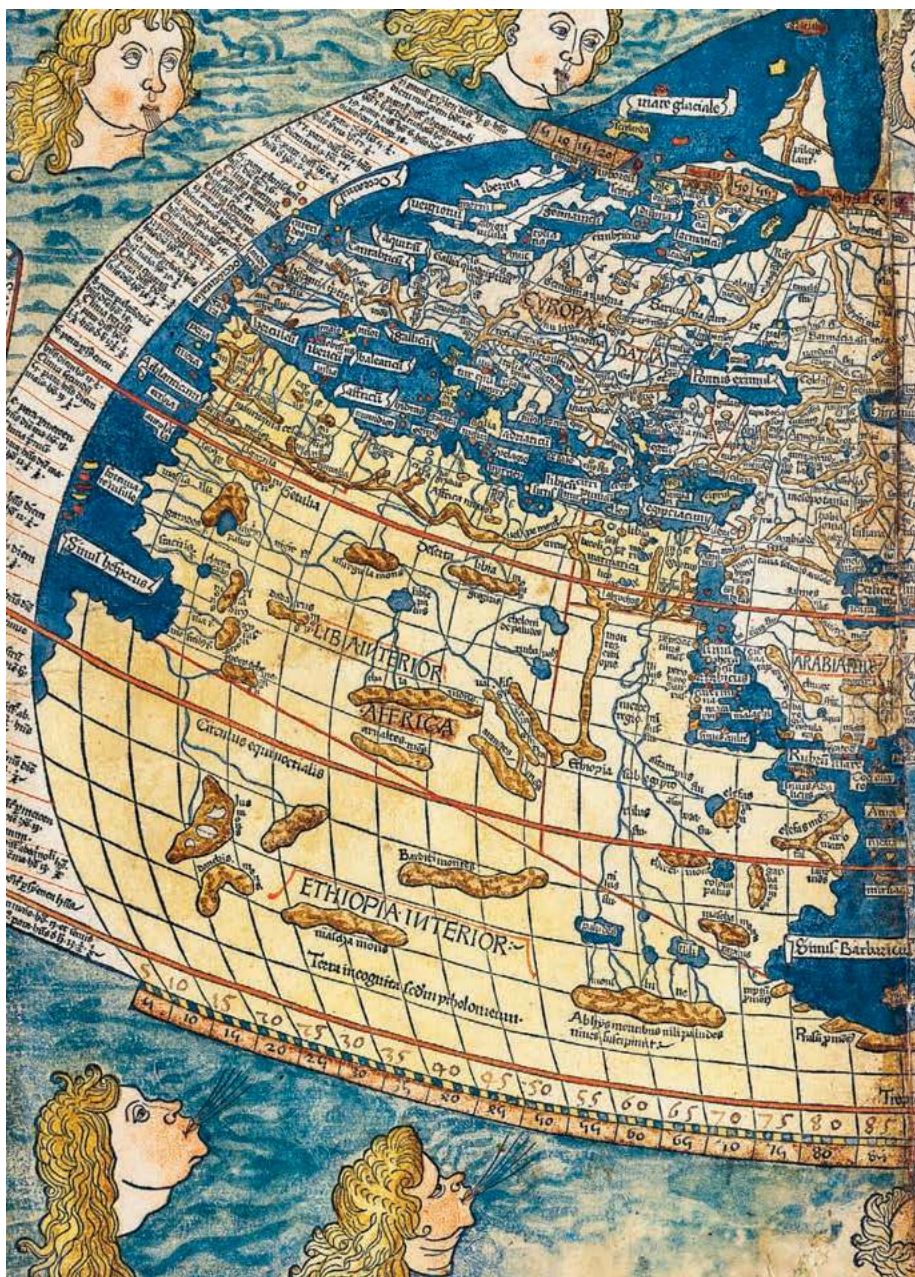
Mapa to rodzaj metafory, która zbiera i zagęszcza twarde dane, jakie zebraliśmy o świecie. Ma jedynie porządkować wiedzę, a mimo to zawsze otwiera zaskakujące perspektywy i rodzi nowe pytania.

Zajmowanie się mapami stało się podejrzanym. Czynność ta może być oznaką konserwatyzmu, gdyż „świat map (...) powoli umiera”, zastępują go aplikacje, które „pełnią funkcje mapy tylko przez chwilę, by zaraz zmienić się w jakąś usługę, zestaw zdjęć lub encyklopedyczne hasło” – jak pisał Paweł Cywiński w jednym z ostatnich numerów „Znaku”.

Są też inne powody dystansowania się wobec map. Z ostatnio opublikowanych w Polsce książek poświęconych przestrzeni większą dyskusję wzbudzały te związane z wędrowaniem czy podróżowaniem niż z ich wizualnymi „rusztowaniami”. Podczas premiery „Zewu włóczęgi” Rebecca Solnit poetka Ilona Witkowska argumentowała, że nawet ulice i ścieżki są opresyjne, bo ukierunkowują nasz ruch. Jesteśmy zwierzętami i to, że się poruszamy, jest kwestią biologii, a nie kultury. W przestrzeń wypycha nas nie mapa, lecz czujące ciało.

Mapa jako czasownik

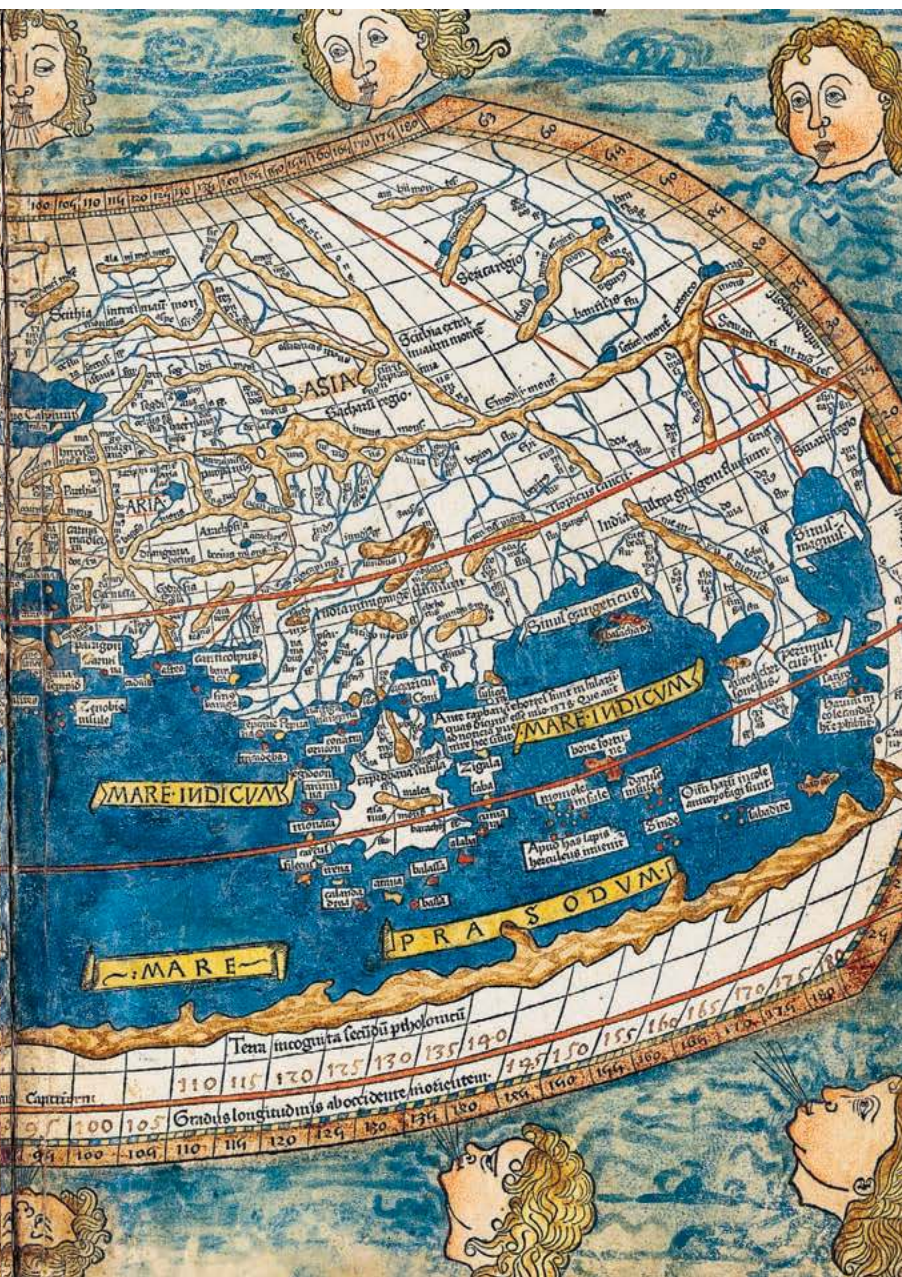
W klasycznym już esej prof. Ryszard Nycz postulował, żeby pojęcie „kultura” traktować jako czasownik, nie rzeczownik. Analizując nieufność wobec map, przydadzą nam się jego argumenty. A zatem „mapa” potraktowana jako rzeczownik uosabia wszystko to, co zarzucaliśmy nowoczesności: prymat rozumu wyrażający się potrzebą mierzenia i kontrolowania, panoptyzm, nadmierne dowartościowanie wzroku kosztem innych zmysłów, systemowość, przemoc, eurocentryzm, elitaryzm czy też uprzedmiotawianie tego, co procesualne. Dlatego mapy w zestawieniu z bezcelową włóczęgą są tak grzeszne. Zauważmy, że Solnit chcąc oddać „kształt kroków”, nie zwraca się ku mapom, lecz praktykom artystycznym z lat 60. XX w., kiedy sztuka stała się performatywna, zanurzona w czasie. Poświęca zatem uwagę chodzeniu, które stało się gestem, „krótkotrwałą, niewidzialną rzeźbą”. Koncentruje się na sztuce ziemi,



zmieniającej krajobraz w tajemniczą mapę, a to dzięki wydeptywanym przez artystów ścieżkom, liniom i labiryntom. Dla tak rozumianej sztuki mapy bywają tylko impulsem uruchamiającym wyobraźnię oraz zdolności interpretacyjne odbiorcy.

Istnieją poważne powody, by zarówno kulturę, jak i mapę traktować jako czasowniki, czyli czynność, praktykę albo proces. W przypadku kultury można zwrócić się ku etymologii słowa i jego metaforycznego użycia jako *cultura animi*, czyli uprawy umysłu. Z kolei słowo „mapa” wywodzi się z łacińskiego *mappa*, czyli obrus – Rzymianie używali *mappy* do zebrania ze stołu resztek, które chcieli wziąć ze sobą. W tym niekartograficznym rozumieniu słowo to funkcjonowało w Polsce długo, jeszcze w „Słowniku polszczyzny XVI wieku” oznaczało „obrus, serwetę, ręcznik, giezłko”.

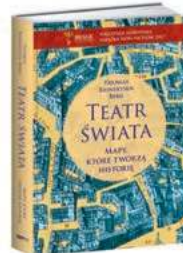
Nie trzeba jednak sięgać do dziejów słów i pojęć, by zrozumieć, że pisanie o mapach domaga się trybu czasownikowego. Do podobnego wniosku można dojść, czytając „Teatr świata” Thomasa Reinertsena Berga. To pięknie ilustrowana książka, która wygląda na tradycyjną historię kartografii, lecz ofiarowuje nam znacznie więcej, bo fascynujące, żywe losy kartografów i wynalazców narzędzi pomiarowych. Stymulujące wyobraźnię opowieści o wirtualnej, a czasem fak-



PIERWSZE MAPY powstały po to, by nasi przodkowie mogli trafić do celu. Kolejne zaś po to, byśmy poczuli, że cel, którym był podbój świata, został przynajmniej częściowo osiągnięty. Pragnienie panowania nad rzeczywistością skłaniało śmiatków do podejmowania dalekich wypraw, dzięki którym utrwalano na mapach nowe lądy. Gdy jednak brakowało odważnych podróżników lub jakieś terytorium okazywało się nieprzystępne, do gry o świat włączyła się wyobraźnia, która skłaniała ludzi do tworzenia kartograficznych fikcji. O tym, jaki wpływ miały one na los ludzkości, podczas festiwalu porozmawiają: norweski dziennikarz Thomas Reinertsen Berg, brytyjski pisarz i filmowiec Edward Brooke-Hitching oraz kulturoznawczyni Magdalena Barbaruk.

OBOK: Renesansowa mapa wykorzystująca współrzędne Ptolemeusza (1482).

NA NASTĘPNYCH STRONACH: *Mappa mundi* autorstwa Fra Mauro datowana na 1460 rok pod wieloma względami zaznacza koniec średniowiecznej tradycji map biblijnych i początek podejścia naukowego. Po prawej mapa stworzona przez geofizyków Davida Sandwella i Walthera Smitha przy użyciu zdjęć satelitarnych, które pokazują, gdzie pole grawitacyjne jest najsilniejsze. W tych miejscach najprawdopodobniej znajdują się łańcuchy górskie. W ten sposób bada się ukształtowanie dna oceanu.



Ilustracje pochodzą z książki Thomasa Reinertsen Berga „Teatr świata. Mapy, które tworzą historię”, tłum. Maria Gołębiewska-Bijak, Wydawnictwo Znak Literanova, Kraków 2018.

tycznej wspólnocie ludzi walczących o zobrazowanie świata powodują, że mapy zaczynają się bardziej kojarzyć z rozwijanymi w czasie aktami chodzenia czy mówienia. Udało się zdematerializować sztukę – podobnie dzieje się to z mapą, gdy pokazuje się ją z perspektywy długiego trwania praktyki kartowania.

Wspólnota postępu

„Teatr świata” mówi o niekończącej się kulturowej potrzebie tworzenia mapy świata. Z szerszej perspektywy widać, że wynika ona z obowiązku, jaki nałożył na geografów Ptolemeusz, utożsamiający geografę z kartografią. Dla greckiego astronoma i myśliciela kluczowe było przedstawienie całego znanego świata przy pomocy obrazów – włącznie ze zjawiskami, które na nim występują. Peter Turchi, autor „Maps of the Imagination”, zauważa, że kartografowie dalszych epok koncentrowali się przede wszystkim na słowach „znanego” i „całego”, co nałożyło na ludzkość obowiązek eksploracji świata, nauko-

wego podejścia i wymóg totalności obrazu. „Od tego czasu cel ten okazał się tak samo fascynujący jak nieuchwytny” – komentuje Turchi.

Dzięki lekturze książki Berga można dojść do wniosku, że w kartowaniu dokonuje się stały postęp. Może przesadą jest powiedzenie, że mapy objaśniają nam dziś świat, ale z pewnością wciąż mają ważną funkcję poznawczą. Jej apogeum przypadło na epokę oświecenia, gdy setki kartografów ruszyły w teren, by metodą triangulacji podzielić świat na trójkąty, zmierzyć je, a następnie nanieść na arkusz. Współczesne mapy nie są już tak cenne jak niegdyś – wyrzuca się je po zużyciu, szybko się też dezaktualizują – są niemniej coraz dokładniejsze i bogatsze w informacje. A Google Earth to nie tylko „cyfrowy, dwuwymiarowy obraz globu, który opisywali Sokrates, Cyceon, Makrobiusz czy von Braun, lecz także system z ponad dwudziestoma petabajtami informacji geograficznych. Odpowiada to tekstowi drukowanemu na dziesięciu tysiącach miliardów stron” – pisze Berg.



→ Badacza interesuje, jak i dlaczego dochodziło do przełomów w kartowaniu. Nie daje jednoznacznych odpowiedzi, ale ważną rolę przypisuje jednostkowym marzeniom i ambicjom. Jako pisarz sprawnie porusza się po *terra incognita* umysłu. Oto charakterystyczny sposób narracji: „W trakcie pracy nad mapami kanadyjskimi Tomlinson puścił wodze fantazji: co by to było, gdyby istniała baza GIS dostępna dla wszystkich? Z danymi dotyczącymi całego świata co do najdrobniejszego szczegółu?”. To marzenie doprowadziło do powstania internetu.

W rozwoju kartowania widać dobrze następującą zależność: chociaż mapy służą organizowaniu informacji, które już posiadamy, to przy ich powstawaniu wyłaniają się nowe perspektywy i pytania. Ważne miejsce w książce zajmuje odkrycie Marie Tharp, które potwierdziło ostatecznie teorię dryfu kontynentalnego i zrewolucjonizowało geologię. Postęp umożliwiło mało ambitne badanie – jedyne dostępne dla niej z racji płci – przenalizowanie 915 metrów wyników badań sonarowych zbieranych przez obserwatorium na Atlantyku. Jej mapę dna oceanu, na której widoczna była rozpadlina w dnie i czarne kreski sięgające lądów, opublikowano w „New York Timesie” 1 lutego 1957 r. Wywołało to szeroką reakcję, jednak o samej autorce odkrycia nie wspomniano. Być może właśnie dlatego Bergowi zależy na opowiedzeniu jej historii – balansując na granicy faktu i fikcji zastanawia się, o czym mogła myśleć sześćioletnia Marie, stojąc pierwszy raz nad Oceanem Atlantyckim w Pascaguola w stanie Missisipi.

Teatr świata

Znalezienie formy dla książki o mapach, która łączy opis odkryć geograficznych i technicznych (żegluga, triangulacje, foto-



■ Historia kartograficznych pomyłek pokazuje, że jakkolwiek byśmy byli pewni otaczającego nas świata, zawsze jest w nim coś niedopowiedzianego.

grafia lotnicza, sonary, satelity, serwery) z humanistyczno-psychologiczną wrażliwością, nie jest łatwe. Czy Berg sięgnął po znaną od starożytności metaforę „teatru świata” odwołując się do jej XVII-wiecznego znaczenia oraz dzieł Szekspira i Calderóna? Sądzę, że nazwisko hiszpańskiego poety zostało celowo pominięte we wstępie do książki.

Centralnym punktem książki jest opowieść o powstaniu pierwszego nowoczesnego atlasu map „Theatrum orbis terrarum” Abrahama Orteliusa (1570). Składał się on z 69 map, jednolicie wykreślonych w skali odpowiadającej formatowi książki. Był kwintesencją praktyczności, można było go przeglądać w trakcie rozmowy, posiłku czy w łóżku. Jednak ważniejsze było to, że Ortelius jako pierwszy wpadł na pomysł ujednolicenia obrazu świata między okładkami książki. W ten sposób historia ludzkości mogła zacząć być oglądana na scenie. Jednak dzisiejszą nazwę temu rodzajowi publikacji dał późniejszy „Atlas albo kosmograficzne medytacje nad utworzeniem świata” (1594) wielkiego geografą Gerarda Merkatora, który wyprostował po-

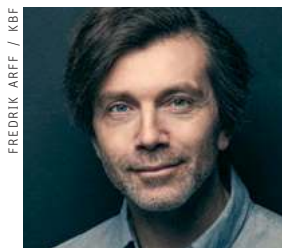
łudniki i równoleżniki, formatując tym samym nasze postrzeganie świata.

A zatem „Teatr świata” Berga to nie refleksja nad kondycją ludzką, lecz bogata faktograficznie historia kartografii. Wyposaża ona czytelnika w potrzebne narzędzia, by na przykład umieć umiejscowić „Mapy” Aleksandry i Daniela Mizielińskich (w krakowskim Muzeum Narodowym uznano je za polskie #dziedzictwo), w tradycji *mappa mundi*, którą zapoczątkował Beato z Liébany. Hiszpański mnich na rzymskiej mapie umieścił „tylko” historię biblijną i symbole chrześcijańskie, ale dzięki jego pomysłowi od IX w. na mapach umieszczano też informacje świeckie: o nacjach, zoologii, botanice, legendach. W ten sposób mapy stały się ilustrowanymi encyklopediami.

Błędne mapy, czyli atlas ED

W 1875 r. wymazano z map północnego Pacyfiku 123 wyspy, które oznaczono skrótem ED: *existence doubtful*, czyli „istnienie wątpliwe”. „Atlas lądów niebytych” Edwarda Brooke’a-Hitchinga to alfabetycznie uporządkowany fascynujący zbiór fantomów kartograficznych (wydaje się, że autor chciał jakoś uporządkować tamto wielowiekowe szaleństwo). Angielski tytuł książki „The Phantom Atlas” precyzyjnie oddaje jej treść, gdyż nie chodzi w niej tylko o lądy, ale też o cieśniny, morza (jak choćby „Australijskie morze wewnętrzne”, które dawało nadzieję na „kipiący zielenią raj” w środku lądu), rzeki, kontynenty (*Terra australis incognita*), ludzi (giganci patagońscy), a przede wszystkim wyspy – realizacji marzeń o utopii albo symbole utraconych światów.

Od innych książek o fikcyjnych geografiach, np. „Historii krain i miejsc legendarnych” Umberta Eco, różni ją to, że miejsca opisane przez Brooke’a-Hitchinga znajdowały się na rze-



THOMAS REINERTSEN BERG

jest norweskim pisarzem i dziennikarzem, ekspertem do spraw Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Autor książki „Teatr świata. Mapy, które tworzą historię” (2018).



EDWARD BROOKE-HITCHING

jest brytyjskim pisarzem i filmowcem. Pasjonat starych map, autor książki „Atlas lądów niebytych. Największe mity, zmyślenia i pomyłki kartografów” (2017).

czywistych mapach. Skoro fikcyjne lądy znajdowały się na prawdziwych mapach, to prowokowały władców, sponsorów wypraw i uczonych do działania. W zderzeniu z tym ontologia krain nazwanych literackimi wydaje się słabsza.

Ujęte w atlasie miejsca mogą być wymyślone, jak makabryczna wyspa Formoza George'a Psalmanazara, lub mieć status mityczno-religijny, jak Eden czy Atlantyda. Najciekawsze są jednak te przypadki, które nie poddawały się przyrostowi wiedzy geograficznej – po kolejnych demystyfikacjach wracały na mapy i stały się celami nowych wypraw, jak choćby „zaginione” miasto w kotlinie Kalahari, opisane przez pewnego cyrkowca w 1866 r., czy Kalifornia, która nie chciała przestać być wyspą, bo tak została opisana w hiszpańskich powieściach w XVI w.

Ten, kto uważa, że takie pomyłki w dobie zdjęć satelitarnych nie są już możliwe, niech poszuka informacji o wyspie Sandy na Morzu Koralowym, która jeszcze w 2012 r. widniała na Google Maps – i tylko tam, bo nie było jej na mapach nawigacyjnych, a naukowcy badający płyty tektoniczne, którzy udali się pod wskazaną pozycję, znaleźli tylko puste morze.

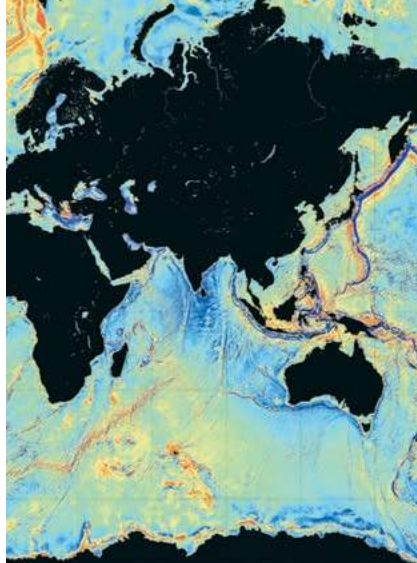
Mylący może być podtytuł polskiego wydania – „Największe mity, zmyślenia i pomyłki kartografów”. Ważniejsze bowiem od demaskowania pomyłek (albo kłamstw) podróżników i twórców map jest dla autora zachwianie naszego przekonania o istnieniu różnych zakątków rzeczywistości, a przy okazji powszechnej wiary w możliwość całkowitego i wiernego odwzorowania naszej planety. „Jakkolwiek pewni byłibyśmy otaczającego nas świata, zawsze jest w nim coś niedopowiedzianego”.

Część scenerii, w której prowadzimy nasze życie, ma widmowy charakter. Wiele fantomów wytwarza się dziś za pomocą literatury, filmu i wirtualnej rzeczywistości. Dlatego też „Atlas lądów niebyłych” jest książką zadziwiająco współczesną i anarchistyczną.

Wstęp do kartografii krytycznej

Nasze mapy legitymizują hegemoniczny porządek świata. Dlatego gdy chce się go podważyć, używa się metafory „odwracania mapy”. Albo dokonuje się gestów podobnych do tego, który w 1943 r. wykonał urugwajski konstruktywista Joaquín Torres García, odwracając o 180 stopni mapę Ameryki Południowej. Nie był to akt bez precedensu. Opisywane przez Berga i Brooke'a-Hitchinga przeorientowanie map ze wschodu na północ, które dokonało się w XV w., gdy powody religijne (na Wschodzie znajdował się raj) ustąpiły wymogowi praktyczności (opieranie nawigacji na portolanach), przypominają, że mapy są konwencjonalne i plastyczne.

Berg pisze, że z globalnego oglądu świata rodzi się poczucie odpowiedzialności, przejawiające się choćby potrzebą sprawiedliwszej dystrybucji dóbr. Jorge Luis Borges komentując idee Xula Solara powiedział: „należałoby inaczej drukować



■ Google Earth to nie tylko cyfrowy obraz globu, lecz także dwadzieścia petabajtów informacji geograficznych, które odpowiadają dziesięciu tysiącom miliardów drukowanych stron.

mapy. Wtedy zamiast jakby zwisać z tego strzępu, którym jest południowy stożek, byłibyśmy na szczycie, na wierzchołku (...) przecież one są tylko umowne i nietrudno byłoby coś takiego wykonać”. Oprócz wynikającej z usytuowania na mapie podrzędności ekonomicznej i moralnej Argentyńscy skarżą się także na izolację i samotność, wynikające z bycia na końcu świata. A jednak w liście skierowanym przez papieża Franciszka do uczestników tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos pisał on: „jeśli chcemy bezpieczniejszej przyszłości, która sprzyjałaby dobrobytowi przyszłych, konieczne jest, aby kompas był stale zorientowany na prawdziwą Północ, reprezentowaną przez autentyczne wartości”.

Prosty trik kartograficzny może łatwo nabrać politycznego i krytycznego znaczenia. Amerykanin Peter Turchi zamieścił w swojej książce mapę odwróconą, pokazującą, że Północ na górze jest jedynie konwencją. Z kolei zaprojektowana przez Australijczyka Stuarta McArthura południowo zorientowana mapa „Universal Corrective Map of the World” sprzedawała się w 350 tys. egzemplarzy. To zaczęło do tworzenia alternatywnej wspólnoty kartograficznej, której sprzyjają współczesne technologie.

której sprzyjają współczesne technologie.

Innym przykładem krytycznej roli map może być nanoszenie na nie tzw. miasta nieformalnego. Justin McGuirk podaje, że w roku 2030 w slumsach będzie mieszkać 2 mld ludzi. W fawelach Rio de Janeiro już teraz żyje 1,4 mln, a jeszcze pod koniec XX w. na oficjalnych planach miasta były jedynie białymi plamami. Można bagatelizować znaczenie takich wizualnych rewolucji mówiąc, że np. mapa Torresa Garcíi to projekt utopijny. A jednak wisi ona w gabinecie Jorgego Maria Jáuregui, architekta odpowiedzialnego za program Favela-Bairro i rewitalizację ponad 20 faweli. Czasem kilka kropek na mapie może radykalnie zmienić sposób, w jaki postrzegamy świat.

Mapa działa trochę jak poezja: zbiera, zagęszcza, dlatego funkcjonuje jak metafora. Potwierdzają to intuicję Deleuze'a i Guattariego, dla których sensem mapy była jej otwartość: „Może być wzięta na warsztat przez jednostkę, grupę, formację społeczną. Można ją narysować na murze, uważać za dzieło sztuki, konstruować jako działanie polityczne albo medytację”. Prawdziwą kondycją świata jest płynność i zróżnicowanie. Jak miałyby uwzględnić to mapy? Historia kartografii pokazuje, że „prawdziwa” mapa jest jak uciekający horyzont. To bowiem zawsze wypadkowa tego, co z jednej strony możliwe, z drugiej – ważne. Zdaniem Berga możemy być pewni tylko jednego: przyszłe mapy będą dla nas obce.

©

MAGDALENA BARBARUK (ur. 1981) jest kulturoznawczynią, autorką monografii „Długi cień Don Kichota” (2015), a także książki „Sensy błędzenia. La Mancha i jej peryferie” (2018) i filmu dokumentalnego „Błędne mapy”. Prowadzi badania nad kulturowym wpływem literatury na sposoby życia i „mapowania” przestrzeni.



MANTA

Polska firma rodzinna

REKLAMA

TELEWIZORY Z FABRYKI W POLSCE

MANTA



WIELKOPOLSKA NIEPODLEGŁA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 43/2018

**DODATEK
SPECJALNY**

100. ROCZNICA
POWSTANIA
WIELKOPOLSKIEGO



100 lat temu w Wielkopolsce
wybuchło powstanie.

**W Poznaniu
pamiętamy
i świętujemy
kulturalnie.**

Sprawdź program
wydarzeń na
www.wmp.poznan.pl

W Wielkopolsce przed stu laty

MAREK REZLER

**Wydarzenia w Poznańskim
z lat 1918–1919
postrzegane są zwykle
od strony walki zbrojnej,
zakończonych sukcesem
powstańców i włączeniem regionu
do wolnej Polski.
Tymczasem był to finał
znacznie dłuższego procesu.**



Proces ten zaczął się już po drugim rozbiórze w 1793 r., a na dobre – po utrwaleniu granic zaborów postanowieniami kongresu wiedeńskiego, po upadku Napoleona. Wtedy, w 1815 r., Rosja, Prusy i Austria ostatecznie podzieliły między siebie ziemie Rzeczypospolitej. Odtąd też każdy z zaborów funkcjonował według własnych zasad, w innym świecie administracyjnym, politycznym, a przede wszystkim – mentalnym.

Gdy mowa jest dziś o powstaniu wielkopolskim, zwykle jest ono analizowane od militarnej strony – z takimi opracowaniami najczęściej mamy do czynienia przy okazji kolejnych rocznic. Tymczasem rzadko mówi się o logicznej drodze, która prowadziła ku temu sukcesowi – drodze charakterystycznej dla polskich mieszkańców tego regionu.

Pod innymi zaborami

Wśród Polaków pod zaborem rosyjskim – w Królestwie Polskim (do 1831 r. mającym autonomię) i na wcielonych wprost do carskiej Rosji wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej – utrwalił się model permanentnych powstań. Każde kolejne pokolenie musiało dawać świadectwo na polu bitwy. Powstania kończyły się wielkimi stratami, zwłaszcza wśród najbardziej świadomej części społeczeństwa, i pogorszeniem położenia – na arenie międzynarodowej i w samym państwie zaborczym.

Stały się one jednak wzorcem patriotyzmu, narzuconym dwu pozostałym zaborom. Każde inne działania, niezwiązane z walką zbrojną, były uznawane jako wygodnictwo, asekurantstwo, wręcz tchórzostwo, i kwestionowane jako niepatriotyczne. Obowiązkiem Polaka było walczyć, cierpieć i dawać świadectwo kosztem największych ofiar – krwawych i daremnych. Skrajnym i rozpaczliwym podsumowaniem tego myślenia stały się mesjanizm i wizja Polaków cierpiących za inne narody, połączona z przekonaniem o własnej wyjątkowości oraz z pretensją do Europy o niedostateczne docenianie ich ofiar.

Inny duch władzy i system kierowania państwem był w monarchii austriackiej, a potem austro-węgierskiej. Po pró-

bie bezwzględnej germanizacji w końcu XVIII w. i gorzkich dla Austrii doświadczeniach – najpierw wojen napoleońskich, potem Wiosny Ludów, wreszcie klęsce w wojnie z Prusami w 1866 r. – zaszła potrzeba powołania monarchii dualistycznej i zapewnienia autonomii ludom zamieszkującym państwo Habsburgów.

Nadeszła pora, nadzwyczaj korzystna, na polskich mieszkańców Galicji. Mieszkańcy zaboru austriackiego uczestniczyli w powstaniach listopadowym i styczniowym, a także w powstaniach w Galicji (1846 i 1848) – ale możliwość w miarę swobodnego działania politycznego i kulturalnego zyskali dopiero po 1867 r. Rozwinęły się wtedy także polskie ugrupowania polityczne, zarówno o socjalistycznym, jak też konserwatywnym programie.

W pierwszej dekadzie XX w., w przeddzień wojny światowej, w zaborze austriackim – i tylko w nim – zaczęto tworzyć również, w pełni legalnie, formacje paramilitarne. W 1914 r. dały one początek Legionom. Równocześnie Polacy odgrywali znaczącą rolę w parlamencie wiedeńskim, zajmowali wysokie stanowiska w rządzie i na prowincji. Tworzyła się polska elita polityczna.

■ Niemcy sami wyszkolili sobie przeciwników: jesienią 1918 r. okazało się, że w Wielkopolsce **istnieją podstawy polskiego przemysłu, finansów, rolnictwa.**

Metoda specyficzna

Z kolei w zaborze pruskim sytuacja kształtowała się etapami.

Stosunek władz pruskich do ludności polskiej uzależniony był od aktualnej sytuacji w regionie – oraz od tendencji obowiązujących w Berlinie. I tak, zaostrezenie kursu wiązało się tu także z udziałem Wielkopolan w powstaniu listopadowym, a potem z przygotowaniami powstań-

czymi w 1846 r. Po epizodzie wielkopolskiej Wiosny Ludów zniesiono Wielkie Księstwo Poznańskie (mające pewną autonomię) i powołano Prowincję Poznańską – choć decyzji tej nie zatwierdzono oficjalnie (z czego strona polska korzystała skwapliwie aż do 1918 r.). Ostrzejsze sankcje niż po upadku powstania listopadowego zastosowano tu po powstaniu styczniowym lat 1863–64.

Ponownie kurs antypolski zaostrozono po utworzeniu Cesarstwa Niemieckiego w 1871 r. W ramach akcji duchowego scalania nowo powstałego państwa Berlin rozpoczął zdecydowaną politykę germanizacyjną i kontynuował ją aż do 1918 r. Wtedy zaczęto wydawać ustawy nadzwyczajne – i to z tym okresem łączy się sprawa protestu Michała Drzymały i dzieci z Wrześni: symbole wydarzeń, które objęły obszar całego zaboru.

Wcześniej Wielkopolanie przekradali się do Kongresówki, by uczestniczyć w powstaniach listopadowym i styczniowym. Z tego też regionu miały się rozpocząć działania militarne, planowane na przedwiośnie 1846 r. Tylko w Wielkopolsce prowadzone były walki w polu podczas wydarzeń Wiosny Ludów 1848 r. na ziemiach polskich.

A jednak to właśnie w tym regionie już po 1815 r., a ostatecznie po 1831 r. zaczęła się kształtować specyficzna metoda walki o wolność.

Jedną z cech regionalnych Wielkopolan jest nieuleganie chwilowym hasłom i umiejętność podporządkowania się celom i zadaniom ogólnie uznawanym za słuszne. Inicjatorami nowej metody byli dawni żołnierze napoleońscy i powstańcy listopadowi – głównie wywodzący się z kręgów ziemiańskich i mieszczańskich, prezentujący ustalony już poziom świadomości narodowej, otoczeni uznaniem niemal wszystkich środowisk.

Praca organiczna

W miarę upływu czasu w Wielkopolsce coraz bardziej zdawano sobie sprawę z niecelowości podejmowania walki zbrojnej – w sytuacji braku szans na sukces i na konkretną militarną pomoc z zewnątrz. Możliwość taka, związana np. z wielkim konfliktem zbrojnym między państwami zaborczymi, mogła się pojawić, ale w bliżej nieokreślonym czasie. A zanim to nastąpi, władze zaborcze będą starały się w maksy-





CONRAD HUENICH / BEW

POWYŻEJ: granica między Niemcami i Rosją nad Prosną. Rok 1914, jeszcze przed wybuchem I wojny światowej.

OKŁADKA: fragment Pomnika Powstańców Wielkopolskich w Poznaniu projektu Alfreda Wiśniewskiego.

FOT. TOMASZ KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

STRONA 3: ratusz i rynek w Poznaniu na pocztówce z 1900 r.

malnym stopniu zintegrować zagarnięte obszary, pozbawić świadomości narodowej, języka, poczucia więzi. Należało zatem społeczeństwo wykształcić, wyszkolić, umocnić narodowo i zintegrować.

Praca ta wymagała długotrwałego i wytężonego wysiłku. Jej założenia ustalił filozof August Cieszkowski, a nazwał w 1848 r. książdź Jan Koźmian. Była to praca organiczna. Realizowana wielokierunkowo przez nie więcej jak ok. 200 działaczy różnych specjalności, w ciągu trzech pokoleń, w latach 1815–1918, osiągnęła znako-

mite rezultaty. Kiedy zaś nadeszła pora wybuchu tego właściwego, ostatecznego w skutkach i zwycięskiego powstania, społeczeństwo regionu było gotowe – moralnie i psychicznie.

Czas pokazał, że przyjęta w Poznaniu praca organiczna, połączona z gotowością do walki zbrojnej, stała się skuteczną metodą walki o przetrwanie narodowe. Najmniej efektywna w ostatecznym bilansie okazała się natomiast taktyka permanentnych powstań, przyjęta pod zaborem rosyjskim. Ich uczestnikom należy się hołd. Ale ich walka nie przybliżyła niepodległości. Nie była też wzięta pod uwagę w czasie obrad konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r.

Wykorzystywanie szans

Charakterystyczną cechą wielkopolskich działaczy niepodległościowych w owym czasie była umiejętność wykorzystania inercji, schematyczności i niekiedy...

braku poczucia humoru przedstawicieli administracji berlińskiej i lokalnej.

Polscy działacze nie dążyli do jednoznacznego konfliktu. Mimo spotykanych czasem opinii, okres zaborów w Poznaniu wcale nie łączył się z nieustanną walką. Nastawiono się za to na wielokierunkową rywalizację – oczywiście z zachowaniem proporcji oraz z wykorzystaniem szans, jakie dawał choćby wysoki poziom kształcenia na niemieckich uczelniach czy jakoś szkolenia wojskowego.

Z czasem okazało się, że Niemcy sami sobie wyszkolili przeciwników – mimo stosowania kolonialnej zasady nieopuszczania „tubylców” do wyższych funkcji w administracji i wojsku. W rezultacie jesienią 1918 r. w Wielkopolsce istniały podstawy polskiego przemysłu, finansów, rolnictwa i życia naukowego, co w decydującym momencie końca wojny światowej zaowocowało *de facto* powstaniem sprawnego wielkopolskiego państwa powstańczego.

Wcześniej natomiast, gdy po utworzeniu Cesarstwa w 1871 r. zaczęła się systematyczna germanizacja ziem polskich, istniała już sieć skutecznych polskich organizacji gospodarczych i finansowych. Istniała też lokalna polska elita przywódcza (wykształcona także na dobrych niemieckich uczelniach).

Została też zachowana duchowa ciągłość: Polacy doświadczeni (pośrednio) działaniami Kulturkampfu byli rodzicami dzieci strajkujących w latach 1901–07, a dzieci wrześnieńskie to już powstańcy wielkopolscy z okresu 1918–19. Z kolei Polacy w służbie kajera – znakomici w armii niemieckiej sierżanci i podporucznicy, mający doświadczenie z wojny światowej – stanęli potem na czele oddziałów powstańczych. Powtórzmy: Niemcy sami sobie wyszkolili przeciwników.

Jesień roku 1918

Na tym tle powstały warunki dla tworzenia organizacji paramilitarnych działających pod szyldem związków sportowych i młodzieżowych – zwłaszcza Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” i skautingu. W lutym 1918 r. powstała też – za konspirowania – Polska Organizacja Wojskowa Zaboru Pruskiego. Mimo podobieństwa nazwy, zachowała autonomię →

→ wobec warszawskiej POW (podobnie jak Organizacja Wojskowa Pomorza i POW Górnego Śląska).

W miarę niepowodzeń armii niemieckiej na froncie zachodnim i pogarszania się sytuacji gospodarczej w Cesarstwie, już od 1916 r. w kręgach polskich działaczy – ziemian i duchownych – zaczęto tworzyć w terenie zakonspirowane Komitety Obywatelskie. Ich członkowie przygotowywali się do przejęcia władzy w razie załamania administracji pruskiej.

W gorących dniach jesieni 1918 r. to właśnie przedstawiciele tych gabinetów cieni, będących zaskoczeniem dla władzy zaborczej, zaczęli stopniowo przejmować kontrolę nad administracją – najpierw jako nadzorcy, a wkrótce jako polscy już urzędnicy w regionie. W listopadzie 1918 r. Komitety te ujawniły się jako Rady Ludowe.

Właśnie późną jesienią 1918 r. nastąpiło uaktywnienie polskich organizacji działających w prowincji poznańskiej. 11 listopada w Poznaniu powstał Wydział Wykonawczy Rady Robotniczo-Żołnierskiej (na fali rewolucji w Niemczech, obejmującej także armię), która dwa dni później – drogą swoistego zamachu – została zdominowana przez Polaków. Członkowie POW Zaboru Pruskiego gromadzili broń. Oficjalnie powstawały też oddziały Straży Ludowej oraz Służby Straży i Bezpieczeństwa – formalnie polsko-niemieckie i parytetowe składem, a w rzeczywistości głównie polskie.

Niektórym trudno było wytrzymać: zanim jeszcze wybuchło powstanie, w Ostrowie Wielkopolskim przystąpiono do formowania polskiego oddziału. Po interwencji Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej musiał on czasowo przejść przez granicę do odradzającej się już Polski. Prze-

kształcony w Batalion Pograniczny, został zakwaterowany w Szczypiornie.

Zachęty z Paryża

Wydarzenia listopada 1918 r. uruchomiły więc mechanizmy, które w zaborze pruskim doprowadziły do ujawnienia systemu polskich Rad Ludowych (podobne, choć funkcjonujące nieco inaczej, były Rady niemieckie i żydowskie). Rozkład dyscypliny w armii niemieckiej i wybuch rewolucji w Niemczech uniemożliwił władzom w Berlinie skuteczne przeciwdziałanie polskim poczynaniom. Władze berlińskie *de facto* były bezsilne w sytuacji, gdy Wielkopolska – obszar niezniszczony działaniami wojennymi – mogła sobie pozwolić na przejęcie inicjatywy.

W takiej sytuacji wystąpiono z postulatem zorganizowania i przeprowadzenia w Poznaniu obrad Polskiego Sejmu Dzielnicowego. Strona niemiecka, zagrożona wstrzymaniem dostaw żywności do centralnej Rzeszy, chcąc nie chcąc wyraziła na to zgodę – formalnie zastrzegając tylko, że Sejm nie może poruszać

kwestii przynależności państwowej ziem zaboru pruskiego. Obie strony zdawały sobie sprawę z tej gry pozorów. Ale Niemcy, jak powiedziano, byli w tym momencie bezsilni, polscy działacze chwycili zaś sytuacyjny wiatr w żagle.

Między 3 i 5 grudnia 1918 r. obradujący Polski Sejm Dzielnicowy nie tylko ujawnił Naczelną Radę Ludową – jako władzę w regionie, równoległą dla władzy niemieckiej – lecz ustalił też zasady przyszłej więzi zaboru pruskiego z odradzającą się Rzeczpospolitą. W ówczesnym położeniu Niemiec takie postulaty można było, na razie, głosić bezkarnie.

Nadchodziła pora na wykorzystanie sytuacji – tym bardziej że w Paryżu, gdzie toczyły się już rozmowy pokojowe, sprawa polska wcale nie była jednoznaczna. Ustalano tam głównie kwestie związane z pozycją Niemiec w powojennej Europie. Bierność Polaków z zaboru pruskiego mogła zostać tam odebrana jako oznaka ich obojętności.

W tej sytuacji demonstracja zbrojna wielkopolskich Polaków stawała się koniecznością. Zresztą z Paryża do Poznania

Uroczystość zaprzysiężenia wojsk powstańczych i wręczenie sztandaru dla 1. Dywizji Strzelców Wielkopolskich. Widoczni m.in.: gen. Józef Dowbor-Muśnicki (piąty z lewej, bokiem, salutuje), członek Naczelnej Rady Ludowej Wojciech Korfanty (drugi z prawej, trzyma sztandar) i komisarz Naczelnej Rady Ludowej ksiądz Stanisław Adamski (z prawej, obok Korfanteo). Poznań, 26 stycznia 1919 r.



płynęły sygnały, że energiczne działanie ludności polskiej pomoże negocjatorom. Francja chciała Polski w miarę silnej i związanej z Paryżem sojuszem – na wypadek, gdyby Berlin podjął próbę rewanzu i potrzebna była interwencja w Niemczech.

Blisko, coraz bliżej

Od czasu obrad Sejmu Dzielnicowego decydującą rolę w polskich kręgach odgrywał sześciuosobowy Komisariat NRL, w którym Poznańskie reprezentowali ks. Stanisław Adamski i Władysław Seyda, Pomorze Stefan Łaszewski, a Śląsk Wojciech Korfanty i Józef Dreyza, Kujawy zaś Adam Poszwiński. Widać, że kierowano się tu nie tyle granicami zaboru, ile reprezentacją obszarów o przewadze ludności polskiej. Ostatecznie jednak aż do początków 1920 r. decydującą rolę w regionie odgrywał triumwirat: ksiądz Adamski, Korfanty i Poszwiński (autorem głównych koncepcji politycznych był Adamski).

Był to też okres radykalizacji środowisk dążących do przejęcia władzy w regionie, skupionych przede wszystkim wokół POW

Zaboru Pruskiego i skautingu; ważną rolę odgrywali tu zwłaszcza Mieczysław Pałuch, Wincenty Wierzejewski, a w kontaktach między poznańską a warszawską POW Józef Jęczkowiak.

Dzięki zdecydowanemu działaniu 13 listopada przejęto kontrolę nad poznańską Radą Robotniczo-Żołnierską. Było to działanie niezgodne z linią przyjętą przez Komisariat NRL, który – oczekując decyzji wersalskiego kongresu pokojowego – wolał unikać przedwczesnych akcji. Owszem, także Komisariat myślał o powstaniu, ale nie wcześniej niż w połowie stycznia 1919 r. (brakowało jednak osoby przewidzianej na stanowisko naczelnego dowódcy).

Zwróćmy uwagę na specyfikę metody przyjętej przez stronę polską: Komisariat NRL wciąż pertraktował z przedstawicielami Berlina – rozmowy toczono nawet po wybuchu powstania.

Tymczasem w regionie narastało napięcie. Panowała atmosfera oczekiwania na wydarzenie, które zdecyduje o jego losach.

Strzał pod Bazar

Przyspieszenie nastąpiło po 21 grudnia 1918 r., gdy do Poznania nadeszła wieść o planowanym przyjeździe do miasta Ignacego Jana Paderewskiego. W drodze do Warszawy ten artysta i polityk miał zatrzymać się w Poznaniu, aby przeprowadzić rozmowy z władzami regionu.

Środowiska dążące do zdecydowanych rozstrzygnięć zaczęły rozpowszechniać wiadomość, że Niemcy mogą zagrozić osobie Paderewskiego – i z takim uzasadnieniem przystąpiły do ściągania do stolicy Wielkopolski oddziałów Straży Ludowej i Służby Straży i Bezpieczeństwa z okolicznych miejscowości.

Manifestacyjne powitanie Paderewskiego wieczorem 26 grudnia 1918 r. postawiło artystę w niezręcznej sytuacji. Mistrz chciał uniknąć bowiem kojarzenia jego osoby z radykalizacją nastrojów w Poznaniu. Reprezentował Warszawę, w rządzie polskim miał zająć ważne stanowisko (jeszcze nie wiedział, że będzie premierem i szefem MSZ). Łączenie z nim wydarzeń w Poznaniu mogło zaszkodzić sprawie polskiej na paryskiej konferencji pokojowej – sugerowałoby tworzenie faktów dokonanych przez Warszawę, bez czekania na werdykt mocarstw sprzymierzonych.

Jeszcze w dniu przyjazdu artysta wygłosił dwa przemówienia: do zebranych na placu Wilhelma (dziś Wolności) oraz do gości i dziennikarzy w hotelu Bazar. Widząc emocje tłumów, z obawy przed nieprzewidywanymi rezultatami swej wizyty, oficjalnie „zachorował” i do końca roku nie pokazywał się na zewnątrz hotelu, w którym zamieszkał.

Następnego dnia, w południe 27 grudnia, odbył się pochód dzieci szkolnych (szły w nim całe klasy, nie tylko dzieci polskie – one jednak miały już przygotowane chorągiewki z polską symboliką) przed hotelem na cześć Paderewskiego. Późnym popołudniem doszło do manifestacyjnego pochodu Niemców poznańskich pod Bazar. Chcieli zrównoważyć wrażenie polskiej demonstracji z poprzedniego dnia. Niemieccy manifestanci demolowali polskie lokale z wywieszonymi flagami państw koalicji (flagi polskie, od czasu obrad Sejmu Dzielnicowego, już ich tak nie drażniły). Podobnie postąpili z siedzibą →



→ Komisariatu NRL, aż wreszcie dotarli pod hotel Bazar.

Tu ich pochód został zatrzymany przez kordon polskiej Straży Ludowej. W ogólnym napięciu i wieczornych ciemnościach padł strzał (nie wiadomo, przez kogo oddany), który stał się iskrą do dalszych gwałtownych wydarzeń. Obie strony były zaskoczone rozwojem wypadków – jednak bardziej Niemcy, którzy nie byli w stanie przeciwstawić się determinacji powstańców.

Pierwsze dni

Od tej chwili w Wielkopolsce dochodziło do wydarzeń, które na ogół są znane.

Zaowocowało połączenie naturalnego w regionie przekonania o słuszności podejmowanych działań z determinacją typową dla młodego pokolenia, które – w myśl metody przyjętej w Kongresówce – powinno przystąpić do kolejnego powstania. Rzeczywiście, przystąpiło. Ale po okresie przygotowania psychicznego, moralnego i wreszcie zbrojnego.

Początkowo sytuacja w Poznaniu sprawiała wrażenie chaosu, ale do akcji szybko wkroczyły polskie oddziały Straży Ludowej oraz Służby Straży i Bezpieczeństwa. W ciągu dwóch dni śródmieście oczyszczono z oddziałów niemieckich. Opanowano też dworzec kolejowy i zatrzymano transporty wojskowe przybywające Niemcom na pomoc.

Dzięki podstępowi i zaskoczeniu w polskich rękach znalazły się też Cytadela, forty otaczające miasto i koszary – z wyjątkiem koszar 6. Pułku Grenadierów, których nie udało się zdobyć, mimo kilku ataków (pułk opuścił potem miasto na podstawie zawartej umowy). Do intensywnej wymiany ognia doszło pod Prezydium Policji, zanim niemiecka załoga opuściła budynek. Ostatnim akcentem zbrojnym w Poznaniu było zajęcie lotniska i magazynów ze sprzętem lotniczym w Ławicy 6 stycznia 1919 r.

Było to zarazem pierwsze działanie bojowe podjęte na rozkaz nowo utworzonego Dowództwa Głównego powstania.

Wielkopolska walcząca

Podobny schemat wystąpił w innych miastach Wielkopolski, do których wieści o wydarzeniach poznańskich docie-



NAC

rały drogą telefoniczną oraz przez wracających lokalnych delegatów, wcześniej przybyłych do Poznania na powitanie Paderewskiego. Natychmiast powstało kilka ośrodków, z których ruch powstańczy zaczął się szerzyć na okoliczne miejscowości. Były to głównie: Czarnków, Gniezno, Gostyń, Grodzisk, Kościan, Krotoszyn, Ostrów, Szamotuły, Śrem, Środa, Wągrowiec i Września.

W terenie władzę przejmowały – od początku grudnia istniejące już legalnie – Powiatowe Rady Ludowe. Natomiast miejscowe oddziały Straży Ludowej oraz Służby Straży i Bezpieczeństwa stawały się kompaniami powstańczymi, przyjmując regionalne nazwy (jak np. kompania szamotulska).

W mniejszych ośrodkach oddziały powstańcze formowano spontanicznie. Następnie, po przejęciu władzy w rodzimej miejscowości, ruszały one do wyzwolenia najbliższej okolicy. Znaczną rolę odgrywali miejscowi polscy księża i ziemianie, działacze społeczeni i narodowi.

Przy okazji ujawniła się szczególnie cecha powstania wielkopolskiego: „normalność” codziennego życia na tle walki zbrojnej. Od roku 1914 ludność była przyzwyczajona do funkcjonowania w warunkach nadzwyczajnych, wojennych. Życie codzienne i praca toczyły się jak co dzień – oczywiście z wyjątkiem miejsc, gdzie akurat trwała walka.

Miedzy Poznaniem i Warszawą

Komisariat Naczelnej Rady Ludowej początkowo uznał wybuch powstania za

Ignacy Jan Paderewski, polski polityk niepodległościowy oraz pianista, przybywa do Poznania, 27 grudnia 1918 r.

przedwczesny. Jak wspomniano, Komisariat zakładał wystąpienie zbrojne, ale planował je na połowę stycznia 1919 r. – po tym, jak do Poznania przybędzie z Warszawy oficer o odpowiednio wysokim stopniu, który obejmie komendę nad wojskami w Wielkopolsce (rozmowy na ten temat prowadzono od dłuższego czasu).

Jednak gwałtowność wydarzeń, które zaczęły się 27 grudnia, sprawiła, że zaszła potrzeba przejęcia kontroli nad rozwojem ruchu powstańczego. Już 28 grudnia stanowisko głównodowodzącego Siłami Zbrojnymi w byłym Zaborze Pruskim objął Stanisław Taczak – 44-letni kapitan armii niemieckiej, który podczas wojny światowej służył m.in. jako instruktor w Legionach (trafił tam na własną prośbę), a teraz służył w warszawskim sztabie powstającej armii polskiej. W Poznaniu znalazł się trochę przypadkowo – otrzymał urlop z możliwością podróży z Warszawy do Berlina, aby sprawdzić, co się dzieje z mieszkającymi tam żoną i dziećmi w warunkach rewolucji.

Wracając, postanowił odwiedzić w Poznaniu brata, prałata Teodora Taczaka. Był to już 28 grudnia, dzień po wybuchu powstania. Ksiądz stwierdził, że ktoś taki – oficer z armii niemieckiej, teraz służący w polskim Sztabie Generalnym – spadł jak gwiazdka z nieba. Zaaranżowano rozmowę z Korfantym – i tak to się zaczęło.

Taczak otrzymał telefonicznie zgodę z Belwederu na objęcie funkcji w Poznaniu

i przyjął ofertę NRL, ale zastrzegł, że jego funkcja głównodowodzącego ma charakter tymczasowy. Niemniej w ciągu dwóch kolejnych tygodni Taczak (awansowany na majora) zorganizował od podstaw Dowództwo Główne, przejął kontrolę nad operacjami powstańczymi poza Poznaniem, ustalił plan dalszych działań i zapoczątkował proces tworzenia regularnej armii wielkopolskiej.

Wbrew opiniom spotykanym już w okresie międzywojennym Warszawa nie była obojętna wobec wydarzeń w Wielkopolsce. Od listopada 1918 r. w Poznaniu działali nieoficjalni przedstawiciele rządu polskiego i dowództwa Wojska Polskiego. Józef Piłsudski (naczelnik powstającego państwa) i Sztab Generalny w Warszawie otrzymywali raporty o sytuacji w zaborze pruskim. Dwaj pierwsi szefowie Sztabu Głównego w Poznaniu, kapitan Stanisław Nilski-Łapiński i pułkownik Julian Stachiewicz, byli zresztą wcześniej legionistami. Kontakty Poznania z Warszawą były utrzymywane także przez Kalisz.

Zaproszenie dla generała

W połowie stycznia 1919 r. stanowisko głównodowodzącego powstaniem objął Józef Dowbor-Muśnicki. Ten 51-letni były carski generał, weteran wielu bitew na froncie wschodnim, został w 1917 r. dowódcą I Korpusu Polskiego w Rosji (w tamtym okresie, po rewolucji lutowej, w armii rosyjskiej rozpoczęto tworzenie jednostek narodowych), który wiosną 1918 r. został rozbrojony przez Niemców (przy okazji doszło wtedy do konfliktu między generałem a podziemną Polską Organizacją Wojskową).

6 stycznia 1919 r. Dowbor-Muśnicki, który wcześniej osiadł w Świętokrzyskiem, otrzymał propozycję od NRL, aby – jako doświadczony sztabowiec – objął dowództwo powstania. Otrzymawszy akceptację Piłsudskiego, generał wyruszył do Poznania. Zabrał ze sobą zaufanych ludzi – w ten sposób większość wyższych stanowisk w powstającej Armii Wielkopolskiej przejęli wkrótce byli oficerowie armii rosyjskiej, wywodzący się z dawnego I Korpusu Polskiego.

Zaproszenie generała armii carskiej do Poznania może wydać się egzotyczne. Jednak w powstającym wojsku polskim bardzo brakowało wyższych oficerów-sztabowców, mających doświadczenie nie tylko z pola

■ Wbrew opiniom spotykanym już w okresie międzywojennym

Warszawa nie była obojętna wobec wydarzeń w Wielkopolsce.

walki (jakie mieli np. legionści), ale też sztabowe.

Także w Poznańskim szybko ujawniła się potrzeba zorganizowania fachowego systemu dowodzenia. Nie wystarczył już patriotyczny zapał – im większe stawało się przedsięwzięcie, tym bardziej dawał się we znaki brak wyższych oficerów.

Umacnianie zdobyczy

Generał przybył do Poznania w połowie stycznia 1919 r. – w momencie, gdy zajęto już większość terenu, jaki miał pozostać w polskich rękach aż do rozejmu zawartego z Niemcami w Trewirze 16 lutego, i do ustalenia linii demarkacyjnej.

Było to zasługą Dowództwa Głównego, kierowanego przez majora Taczaka. Szybko przystąpiło ono do porządkowania spontanicznie tworzonych oddziałów i wyznaczyło im kierunki działania. Dwa dni po wydaniu pierwszego rozkazu, 7 stycznia, na obszarze Poznańskiego utworzono siedem okręgów wojskowych. Główne walki toczyły się wtedy na froncie północnym, w okolicach Szubina, Chodzieży, Żnina, Łabiszyna, Złotnik Kujawskich, Zbąszynia, Kopanicy i pod Osieczną. Między 1 i 6 stycznia Paweł Cymys poprowadził rajd na Kujawy, zakończony zdobyciem Inowrocławia (po zajęciu tego miasta powołano kolejne dwa okręgi wojskowe).

Gdy naczelnym dowódcą został gen. Dowbor-Muśnicki, zaczęło się formowanie regularnego już wojska, opartego nie tylko na ochotnikach, lecz także na poborze – z Naczelną Radą Ludową jako zwierzchnikiem politycznym. Ruszyła machina organizacyjna, która po kilku miesiącach doprowadziła do utworzenia 120-tysięcznej Armii Wielkopolskiej (jej

71 tys. żołnierzy było gotowych do natychmiastowego wykorzystania w walce). Była to wówczas jedna piąta sił zbrojnych odradzającej się Rzeczypospolitej.

W drugim okresie powstania, począwszy od połowy stycznia 1919 r., skupiono się przede wszystkim na umacnianiu zdobyczy. Podjęto też próby rozszerzenia zajętego obszaru – na ogół zakończone jednak niepowodzeniem (siły niemieckie zdążyły okrzepnąć). W tym czasie toczono walki m.in. o Kąkolewo, Nowe Kramsko, Rawicz, Babimost, Kargowę, Nową Wieś Zbąską, Łabiszyn i Kcynię. 18 lutego zdobyto niemiecki pociąg pancerny pod Rynarzewem.

Groźba marszałka Focha

Mimo tych sukcesów, z upływem czasu strategiczna sytuacja powstania się pogarszała. Po stronie niemieckiej mijało rozprężenie spowodowane rewolucją listopadową, uspokajała się sytuacja wewnętrzna. Armia niemiecka przerzucała na front wielkopolski coraz więcej żołnierzy. Dysproporcja sił stawała się coraz wyraźniejsza. Czas działał na niekorzyść powstańców – jasne się stało, że jeśli walki będą trwały, może to doprowadzić do pacyfikacji regionu przez siły niemieckie.

Na szczęście 16 lutego 1919 r. zachodni alianci podpisali z Niemcami w Trewirze kolejną umowę rozejmową, która przedłużała wcześniejsze ustalenia z Compiègne (zawarte 11 listopada 1918 r.), które przerwały walki na froncie zachodnim. Umowa trewirska miała kluczowe znaczenie dla Wielkopolski: dodano do niej bowiem punkty zaliczające armię powstańczą w Wielkopolsce do wojsk sojuszników, co – siłą rzeczy – objęło rozejmem także front w tym regionie. Dzień zawarcia rozejmu w Trewirze kończył drugi etap powstania wielkopolskiego.

Rozejm nie uspokoił jednak frontu w Wielkopolsce. Nadal toczyły się lokalne walki, niekiedy krwawe – choć nie zmieniły już zasadniczo zasięgu zdobyczy. A ponieważ gwarantem rozejmu byli alianci, oddziały wielkopolskie mogły – na prośbę rządu w Warszawie – skierować część swych sił na wschód: do obrony Lwowa i na front litewsko-białoruski.

Tymczasem Berlin nie zrezygnował wcale z dawnej prowincji. Na maj 1919 r. ➔

→ niemieckie dowództwo zaplanowało ofensywę z użyciem wojsk wycofanych z Kurlandii i Kongresówki. Berlin liczył, że tworząc fakty dokonane złagodzi warunki traktatu pokojowego.

Zanim jednak ofensywa się zaczęła, przygotowania do niej nie uszły uwagi Wielkopolan. Zaalarmowany marszałek Ferdynand Foch, naczelny dowódca wojsk sprzymierzonych, zagroził Niemcom, że jeśli złamią rozejm w Wielkopolsce, wojska francuskie, brytyjskie i amerykańskie wznowią działania zbrojne na Zachodzie. To poskutkowało.

Wtedy też doprowadzono do podporządkowania operacyjnego Wojsk Wielkopolskich dowództwu w Warszawie. Formalne, pełne już podporządkowanie sił zbrojnych regionu władzom polskim nastąpiło w sierpniu 1919 r.

W styczniu i lutym 1920 r. Armia Wielkopolska uczestniczyła w akcji rewindykowania ziem Pomorza i Wielkopolski (wcześniej nieobjętych powstaniem) do Rzeczypospolitej. Także w styczniu 1920 r. jednostki wielkopolskie zostały wcielone organizacyjnie do Wojska Polskiego. Rok 1920 to już okres zaangażowania Wielkopolan w wojnie polsko-bolszewickiej.

Państwo wielkopolskie

Wiele działało się też na froncie politycznym.

Kierownictwo polityczne regionu, reprezentowane przez Komisariat Naczelnej Rady Ludowej, przez cały okres sprawowania rządów w Wielkopolsce działało wyjątkowo racjonalnie. Oficjalne przejęcie władzy w regionie przez Naczelną Radę Ludową nastąpiło 8 stycznia 1919 r. (Rady Robotniczo-Żołnierskie zakończyły wtedy działalność – w realiach polskiego powstania i tak już iluzoryczną).

Wyzwolona część regionu zaczęła wtedy funkcjonować jako *de facto* samodzielne państwo – z własnym rządem, wojskiem, gospodarką i dyplomacją. Na wniosek ks. Adamskiego system władzy zorganizowano na wzór spółki gospodarczej; w pierwszym okresie kształtowania polskiej władzy w regionie sprawdziło się to znakomicie. Potem, od sierpnia 1919 r. do końca kwietnia 1922 r., w Poznaniu

działało Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej, które zajęło się płynnym połączeniem struktur władzy i gospodarki regionu z systemem całego państwa.

Warto podkreślić, że niemal przez cały czas funkcjonowania wielkopolskiego państwa powstańczego nie zrywano kontaktów i nie przerywano rozmów z Berlinem – równocześnie zacieśniając więź z władzami w Warszawie.

Endecja przeciw Piłsudskiemu

Władze polityczne i wojskowe regionu od początku zakładały połączenie uwolnionej Wielkopolski z odradzającym się krajem. Nie myślano o separatyzmie, choć w kręgach warszawskich oskarżenia takie były często podnoszone.

Mimo konfliktu między Piłsudskim i Dowborem-Muśnickim głównodowodzący powstaniem podporządkował się Warszawie. Wizyta Naczelnika Państwa w Poznaniu w październiku 1919 r. odbyła się z zachowaniem kurtuazji i zasad dyscypliny.

Trwała natomiast intensywna walka polityczna, która z góry ustawiała Wielkopolskę na pozycji wrogiej Piłsudskiemu. Z czasem utrzymała się stereotypowa opinia – rozpowszechniana w Wielkopolsce przez silną tutaj endecję – jakoby Piłsudski zdradził Wielkopolskę i wyrzekł się prawa Polski do ziem nad Wartą i Odrą.

W rzeczywistości Naczelnik Państwa nigdy nie zakładał rezygnacji z Wielkopolski, nie kwestionował zasług i patriotyzmu mieszkańców tych ziem, a chwilowe odsuwanie na dalszy plan spraw związanych z ziemiami zaboru pruskiego wynikało z potrzeby chwili – z aktualnej sytuacji na wschodzie, zwłaszcza na froncie galicyjskim.

Nigdy też Piłsudski nie wyrażał się o Wielkopolanach z lekceważeniem – odwrotnie, okazywał im uznanie i szacunek. To wielkopolska endecja nie przebiegała w środkach i retoryce, aby zdeprecjonować osobę Naczelnika. Echa tych zabiegów można w Poznaniu usłyszeć zresztą nadal, choć przeminęło już kilka pokoleń.

W istocie to nie Piłsudski odżegnywał się od Wielkopolski, lecz to wielkopolska endecja nie życzyła sobie jego rządów nad Wartą. Pogłębienie niechęci, a nawet wrogości do marszałka nastąpiło

po przewrocie majowym 1926 r. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne zaś wielkopolska endecja doprowadziła do izolacji regionu w państwie. Regionu, który więcej zyskałby na autonomii (zblížonej do tej, która była udziałem Górnego Śląska) niż na otwartym konflikcie.

Zwycięskie i konieczne

Powstanie wielkopolskie było – tylko i aż – zbrojną demonstracją miejscowej ludności polskiej, która w ten sposób podkreśliła swoją wolę przynależności do wolnego państwa polskiego. Było też na rękę władzom w Paryżu, które grały wtedy pierwsze skrzypce w kształtowaniu ładu powojennego w Europie. Kolejne misje koalicyjne odwiedzające Poznań i Warszawę potwierdzały trafność i potrzebę powstańczych poczynań Wielkopolan.

Gdyby nie powstanie, zgodnie z przyjętą wtedy praktyką na spornym obszarze zarządzono by zapewne plebiscyt. A w jego wyniku – wobec skutków polityki osadniczej Berlina z przełomu wieków XIX i XX – wiele powiatów północnej, zachodniej i południowej Wielkopolski, łącznie z Leszmem i Rawiczem, mogłoby przypaść Niemcom.

W ówczesnych realiach politycznych, to zwycięskie powstanie było po prostu konieczne.

W jego rezultacie, po podpisaniu traktatu wersalskiego w czerwcu 1919 r., zachodnia granica Polski w ogólnym zarysie przypominała granicę Rzeczypospolitej sprzed drugiego rozbioru.

© MAREK REZLER

DR MAREK REZLER (ur. 1948) jest historykiem, specjalizuje się w dziejach wojskowości i Wielkopolski XIX i XX w. Autor książek poświęconych m.in. dziejom Wielkopolski i Poznania, w tym: „Wielkopolska Wiosna Ludów 1848 roku”, „Wielkopolskie pod bronią 1768–1921. Udział mieszkańców regionu w powstaniach narodowych”. W tym roku nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się jego książka „Polska niepodległość 1918”. Współredaktor i współautor (z J. Karwatem) „Encyklopedii Powstania Wielkopolskiego”, która ukazuje się w tym roku.



Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w towarzystwie generała Józefa Dowbora-Muśnickiego odbiera defiladę Wojsk Wielkopolskich z okazji ich oficjalnego już włączenia do Wojska Polskiego. W tle budynek Uniwersytetu Poznańskiego, 27 października 1919 r.

Armia Wielkopolska

JANUSZ KARWAT

Kim byli powstańcy z Poznańskiego? Jak w ciągu kilku miesięcy udało się utworzyć tam ponad stutysięczne regularne wojsko?

Pierwsi byli ochotnicy – do zwycięstwa powstania wielkopolskiego przyczyniły się miejscowe formacje wojskowe, które początkowo składały się właśnie z ochotników, a dopiero później z oddziałów regularnych.

Ale także ochotnicy nie wzięli się znikąd. Ogromną rolę w przygotowaniu przyszłych żołnierzy Armii Wielkopolskiej odegrało Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Skupiało głównie młodych przedstawicieli warstwy rzemieślniczo-kupieckiej i było dla nich szkołą wychowania – patriotycznego i paramilitarnego. Grupowe ćwiczenia fizyczne, musztra pododdziałem, wspólny mundur – wszystko to było namiastką „polskiego wojska”. Tak też „So-

kół” był postrzegany przez władze zaborcze.

Podziemnie i legalnie

Wśród ochotników przyszłej armii istotną rolę mieli odegrać dezercerzy.

Gdy latem 1914 r. Rosja, Niemcy i Austro-Węgry ogłosiły mobilizację, polscy poddani trzech cesarzy w większości wykazali się lojalnością państwową (dla czego, to temat na osobną dyskusję). Historycy szacują, że podczas wojny światowej w armii niemieckiego cesarza służyło ok. 780 tys. Polaków – z Wielkopolski, Śląska i Pomorza.

Rozwój sytuacji na frontach, debata wokół „kwestii polskiej”, a także zwy-

czajne ludzkie zmęczenie wojną sprawiły, że od 1917 r. nasilała się akcja uchylania się poznańskich Polaków od służby w niemieckiej armii; wzrosła też dezercja. Dezercerzy zasilali konspirację – zwłaszcza Polską Organizację Wojskową Zaboru Pruskiego. Choć organizacji tej przyświecał ten sam niepodległościowy cel, co POW w Kongresówce, to POWZP działała samodzielnie. Niemniej od września 1918 r. obie organizacje – warszawska i poznańska – współpracowały, wykorzystując międzyzaborcze kontakty skautowe Wincentego Wierzejewskiego, komendanta poznańskich peowiaków.

POW Zaboru Pruskiego objęła Poznań i niektóre wielkopolskie miasta →

→ garnizonowe. Nie była jednak liczna: przed 10 listopada 1918 r. liczyła ok. 260 członków; potem do końca grudnia jej liczba wzrosła do 500-600 ludzi. Była jednak organizacją najbardziej skrajną, prącą do radykalnych rozstrzygnięć. To członkowie POWZP przyczynili się znacząco do sukcesów w pierwszych dniach powstania.

Największe liczebnie oddziały, o organizacji podobnej do wojskowej, istniały w Poznaniu. Były to – funkcjonujące legalnie – formacje Straży Ludowej (zwykle członkowie „Sokoła”) i Służby Straży i Bezpieczeństwa (niem. Wach- und Sicherheitsdienst), zorganizowanej w końcu listopada 1918 r. za zgodą władz berlińskich. Teoretycznie miały one mieć charakter mieszany, polsko-niemiecki. Miały pełnić służbę wartowniczą w garnizonach – jako przeciwwaga dla rewolucyjnego wrzenia, które ogarnęło armię niemiecką.

Jednak dzięki umiejętnej akcji werbunkowej w praktyce Straż miała polski charakter. Choć formalnie jej dowódcą był niemiecki podpułkownik Dobschütz, faktyczną komendę sprawował Polak, podporucznik Mieczysław Paluch. Prócz Poznania kompanie SSiB istniały m.in. w Jarocinie, Pleszewie i Wrześni. W dniu wybuchu powstania Straż liczyła 2 tys. ludzi.

Ochotnicy i poborowi

W pierwszym etapie powstanie miało charakter działań nieregularnych.

Tuż przed jego wybuchem w różnych oddziałach na terenie Wielkopolski znajdowało się 10-11 tys. gotowych do walki ochotników. Do połowy stycznia 1919 r. oddziały te, często lokalnej proveniencji, oswobodziły ponad dwie trzecie obszaru Poznańskiego. Na ten sukces i na wojskowe osiągnięcia organizacyjne znaczny wpływ mieli głównodowodzący: najpierw major Stanisław Taczak, a potem generał Józef Dowbor-Muśnicki.

Powołany 28 grudnia 1918 r., jeszcze jako kapitan, Taczak stworzył podstawy organizacyjne powstania i front osłaniający wyzwolony obszar. Z kolei Dowbor-Muśnicki rozwinął załóżki oddziałów w regularną armię, opartą także na przymusowym poborze. Podstawę korpusu oficerskiego stanowili

zawodowi oficerowie, zwłaszcza – gdy w grę wchodziły wyższe stanowiska dowódcze i sztabowe, w tym Dowództwo Główne – dawni podkomendni generała z czasów, gdy dowodził I Korpusem Polskim w Rosji.

W jednym z pierwszych rozkazów Dowbor-Muśnicki zakazał wojsku odbywania wieców i udziału w życiu politycznym Wielkopolski. Zaapelował też do oficerów, „by walczyli o duszę żołnierską i bronili ją przed wszystkimi złymi wpływami”.

Wykorzystując wzorce organizacyjne z wojska niemieckiego i rosyjskiego, generał sformował armię regularną, w skład której wchodziły trzy dywizje piechoty, brygada kawalerii, trzy brygady artylerii, lotnictwo, wojska techniczne (saperskie, telegraficzne, kolejowe, samochodowe), żandarmeria i służby (sanitarna, weterynaryjna i sprawiedliwości).

Sformowano też lotnictwo wielkopolskie – cztery eskadry samolotów bojowych (74 maszyny) i kompanię balonów (służyły do obserwacji czy kierowania ogniem artylerii). Utworzono też służbę duszpasterską (dziekanem generalnym

został ks. Marcin Dykier, a później ks. Józef Prądyński).

W organizacji oddziałów przyjęto etaty niemieckie, znane wielu Wielkopolanom z ich służby w armii kajzera. Stosowano też niemieckie regulaminy i instrukcje szkoleniowe, które tłumaczono na polski (z modyfikacjami uwzględniającymi wielkopolską specyfikę).

Oficerowie i sierżanci

Rozbudowa wojsk wielkopolskich wiązała się z rosnącym zapotrzebowaniem na oficerów. Wcześniej w armii niemieckiej stopnie oficerskie uzyskało tylko ponad 600 Polaków. Choć nieliczni, walcząc na różnych frontach uzyskali oni sporą wiedzę wojсковą i doświadczenie frontowe.

Jeszcze większą grupę stanowili Polacy, którzy ze względów narodowościowych kończyli służbę w stopniach podoficerskich. Armia niemiecka przykładła dużą wagę do szkolenia korpusu podoficerskiego – efekt był taki, że doświadczeni podoficerowie swoim poziomem ogólnym i kompetencjami dorównywali młodszym oficerom (porucznikom i kapitanom) z armii niemieckiej, a jeśli chodzi o doświadczenie

Powstaniec przy ciężkim karabinie maszynowym podczas walk w Poznaniu, 28 grudnia 1918 r.



KRZYSZTOF CHOJNACKI / EAST NEWS

wojenne, wielokrotnie ich przewyższali. Mimo klęski wojennej Niemiec z przegranej wojny wyszli w dobrej kondycji moralnej. Można było obsadzić nimi jedną trzecią stanowisk.

Wobec tych niedostatków oficerów w Armii Wielkopolskiej utworzono szkoły oficerskie poszczególnych rodzajów wojsk: Szkołę Oficerską Piechoty w Poznaniu, Szkołę Podchorążych Artylerii w koszarach na Sołaczu, na Ławicy – Szkołę Lotniczą i Oficerską Szkołę Aeronautyczną (Balonową) oraz Szkołę Oficerów Obrony Krajowej.

Na placu Wilhelma

Formowanie regularnej armii rozpoczęło się w drugiej połowie stycznia 1919 r. Chodziło o to, aby stworzyć siłę zbrojną, która utrzyma obszar wyzwolony przez oddziały ochotnicze. Już 17 stycznia Komisariat Naczelnej Rady Ludowej – jako polityczna zwierzchność nad wojskiem – wydał rozporządzenie o powołaniu do armii roczników 1897-98. Kolejny pobór ogłaszano potem jeszcze dwukrotnie, powołując roczniki 1894-96 i 1900-01.

Spowodowało to zwiększenie stanu liczbowego wojska, ale miało też inny skutek: dotychczasowe oddziały regionalne utraciły swój jednolity terytorialny charakter, co zwiększyło dyscyplinę. Wpływ na podniesienie dyscypliny – poprzez uświadomienie ochotnikom, że odtąd są regularnymi żołnierzami – miało też wprowadzenie przysięgi, której tekst ogłoszono 21 stycznia. Oficerowie i szeregowi, którzy wcześniej składali przysięgę na wierność rządowi warszawskiego, podpisywali tylko deklarację.

26 stycznia Dowództwo Główne i oddziały garnizonu poznańskiego zostały uroczystie zaprzysiężone na placu Wilhelma (dziś Wolności). Rota przysięgi brzmiała: „W obliczu Boga Wszechmogącego w Trójcy Świętej Jedyne go ślubuję, że Polsce, Ojczyźnie mojej i sprawie całego Narodu Polskiego zawsze i wszędzie służyć będę, że kraju Ojczystego i dobra narodowego do ostatniej kropli krwi bronić będę, że Komisariatowi NRL w Poznaniu i dowódcy, i przełożonym swoim mianowanym przez tenże Komisariat, zawsze i wszędzie posłuszny będę, że w ogóle tak zachowywać się będę, jak przystoi na mężnego i prawego żołnierza-Polaka, że po zjednoczeniu Polski



Zaprzysiężenie wojsk powstańczych i wręczenie sztandaru 1. Dywizji Strzelców Wielkopolskich.

Przysięgę na placu Wilhelma (dziś Wolności) składa gen. Dowbor-Muśnicki. Obok m.in.: ks. Stanisław Kostka Łukomski (na podeście, ze stulą), komisarz Naczelnej Rady Ludowej ks. Stanisław Adamski (pierwszy z lewej na drugim planie, w płaszczu i okularach).

Poznań, 26 stycznia 1919 r.

złożyć przysięgę żołnierską, ustanowioną przez polską zwierzchność państwową”.

Żołnierze i rezerwiści

W końcu stycznia 1919 r. wprowadzono jednolite umundurowanie, wykorzystując zapasy uniformów niemieckich. Elementem wyróżniającym żołnierzy wielkopolskich była wysoka rogatywka z płowoszarego sukna, z pętlą w kształcie trefla z lewej strony oraz białoczerwone wstążki na kołnierzu. Inne niż w powstającym wtedy Wojsku Polskim były też w Armii Wielkopolskiej oznaki stopni wojskowych, które noszono na rękawach i rogatywkach.

W ramach Komisariatu NRL funkcjonował Wydział Wojskowy, który pełnił funkcję lokalnego „ministerstwa wojny”. Od 20 marca 1919 r. kierował nim gen. ppor. Kazimierz Raszewski, były oficer huzarów armii pruskiej. Jako zaufany wielkopolskiego ziemiaństwa i Naczelnej Rady Ludowej pełnił rolę „kontrolera” poczynań Dowbora-Muśnickiego.

Wysiłki organizacyjne szybko dały efekty: o ile w połowie stycznia siły powstańcze liczyły 15-16 tys. ochotników, to miesiąc później żołnierzy było już

dwa razy więcej. Kilka miesięcy potem powstała silna armia, która w końcu czerwca 1919 r. liczyła ponad 100 tys. żołnierzy, z tego 70 tys. w pierwszej linii. Natomiast ochotnicza Straż Ludowa (Obrona Krajowa; rodzaj sił rezerwowych) skupiała kolejnych 100 tys. członków. W oddziałach wielkopolskich znalazło się też 6-8 tys. ochotników z Pomorza, Śląska i byłej Kongresówki.

3 maja 1919 r. Armia Wielkopolska zaprezentowała się społeczeństwu, organizując – w rocznicę uchwalenia konstytucji I Rzeczypospolitej – wielką rewię na Ławicy.

Do końca maja 1919 r. front wielkopolski funkcjonował samodzielnie, nie podlegając operacyjnie Naczelnemu Dowództwu Wojska Polskiego w Warszawie. Wobec wzrostu zagrożenia ofensywą niemiecką [patrz też tekst Marka Rezlera – red.] Komisariat NRL zgłosił wniosek „jedności armii narodowej”. 30 maja naczelny wódz Józef Piłsudski potwierdził operacyjne podporządkowanie wojsk wielkopolskich. Prace zjednoczeniowe trwały do listopada tego roku. Rozkazem Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego nr 504/III z 1 czerwca →

→ 1919 r. jako dowódca Frontu Poznańskiego (Wielkopolskiego) został mianowany (*de facto* potwierdzony w tej roli) gen. broni Dowbor-Muśnicki.

25-27 października 1919 r. w Poznaniu przebywał Piłsudski, przejmując oficjalnie władzę nad Wielkopolską i jej wojskiem.

W marcu 1920 r. front wielkopolski przestał formalnie istnieć.

Na Śląsku i na Wschodzie

Choć powstanie nie objęło wszystkich ziem zaboru pruskiego, wpłynęło na rozwój konspiracji na Pomorzu Gdańskim i Górnym Śląsku. Wojska frontu wielkopolskiego (2. i 3. Dywizja Strzelców Wielkopolskich) wzięły też udział w operacji włączenia do Polski Pomorza i tej części Wielkopolski, która – wcześniej nieobjęta powstaniem – została jej przyznana przez mocarstwa sojusznicze (styczeń 1920 r.). Potem obie dywizje przesunięto na wschód, na front litewsko-białoruski (3. DSW) i południowo-wschodni w Galicji (2. DSW).

Oddziały wielkopolskie walczyły również podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. Jewgienij Kakurin, jeden z dowódców Armii Czerwonej, analizując potem wojnę z Polską z punktu widzenia wartości bojowej formacji polskich, na pierwszym miejscu stawiał oddziały wielkopolskie – jako najbardziej zdyscyplinowane, bitne i wyszkolone.

Potem doświadczenia powstańcze i kadra oficerska z Wielkopolski przyczyniły się do zwycięstwa III powstania śląskiego w 1921 r. W organizacji akcji plebiscytowej i w powstaniach śląskich udział wzięło 3-4 tys. byłych powstańców wielkopolskich. Wymienić można tu kpt. Mieczysława Palucha (dowódce II powstania śląskiego w 1920 r.) czy

dwóch kolejnych dowódców III powstania śląskiego w 1921 r., podpułkowników Macieja Mielżyńskiego i Kazimierza Zenkellera (do nich dodać można by kilkadziesiąt nazwisk dowódców zgrupowań, pułków czy szefów służb).

Darowizny i pożyczki

Organizowanie i utrzymywanie stutysięcznej armii wymagało znacznych środków finansowych. Dopiero w listopadzie 1919 r. Armia Wielkopolska pod względem finansowym przeszła w zakres kompetencji Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie.

Wykorzystano w tym celu rezerwy polskich banków i spółek oraz zwrócono się do społeczeństwa o udzielenie Pożyczki Odrodzenia Polski. Wyniki były pomyslnie: do końca 1919 r. społeczeństwo polskie w Wielkopolsce subskrybowało i wpłaciło 348 mln marek i 12 mln rubli, złożono też złoto i srebro wartości 26 mln marek (dla porównania: w maju 1919 r. na utrzymanie frontu wielkopolskiego wydano 74 mln marek). Długie listy ofiarodawców ogłaszane były w poznańskich gazetach.

Generał Dowbor-Muśnicki szczególnie wysoko ocenił udział społeczeństwa w utworzeniu armii: „Nie zrobiłbym w Wielkopolsce połowy tego, co nazwano »doborowym wojskiem«, gdyby nie pomoc społeczeństwa oraz (w pewnym zakresie i do pewnego czasu) lokalnych władz” – pisał potem w „Moich wspomnieniach”, wydanych w 1936 r. Dalej podkreślał: „Przy niespełna 1,5 miliona ludności polskiej obojga płci wzięto do szeregów czynnych, regularnych wszystkie młode roczniki, a do Straży Ludowej wszystkich zdolnych do noszenia broni (w wieku od 19 do 42 lat). Przy warsztatach pozostali tylko ludzie starsi i ułomni,

na nich spadł obowiązek utrzymania zmobilizowanych około 300 tysięcy żołnierzy”.

Zweryfikujmy, że autor zawyżył znacznie wielkość dowodzonej przez siebie armii.

Za Poznań i za Polskę

W latach 1918-21 w walce o Polskę oddało życie ok. 8 tys. Wielkopolan: członków formacji powstańczych i potem regularnych Armii Wielkopolskiej (a zatem niemal co dziesiąty z tych, którzy trafili do jej szeregów). Kilka razy tyle odniosło obrażenia; wielu spośród rannych zostało inwalidami.

Podczas walk powstańczych – najpierw tych do połowy lutego 1919 r., a potem wzdłuż linii demarkacyjnej (mimo formalnego rozejmu) – poległo 1800 żołnierzy (najwięcej na froncie północnym, gdzie w boju poległo 587, a 101 zmarło z odniesionych ran). Po uwzględnieniu strat oddziałów wielkopolskich walczących w Galicji Wschodniej i na froncie litewsko-białoruskim liczba poległych i zmarłych z ran oraz chorób żołnierzy wielkopolskich wyniesie ok. 2,5 tys. Dalszych co najmniej 5 tys. poległo podczas wojny 1920 r. i powstań górnośląskich.

Większość poległych żołnierzy Armii Wielkopolskiej zginęła więc nie tylko za polski Poznań, lecz w obronie niepodległości całej Polski.

© JANUSZ KARWAT

PROF. JANUSZ KARWAT (ur. 1955) jest historykiem, kierownikiem Zakładu Studiów Gnieźnieńskich Instytutu Kultury Europejskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor książek, m.in. „1956. Poznań-Budapeszt” (wspólnie z J. Tischlerem), „Wspomnienia z powstania wielkopolskiego” (redaktor tomu), „Ziemia Gnieźnieńska w Powstaniu Wielkopolskim 1918/1919”. Współautor (z M. Rezlerem) „Encyklopedii Powstania Wielkopolskiego”, która ukazuje się w tym roku.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Dodatek do „Tygodnika Powszechnego” 43/2018

REDAKCJA: Wojciech Pięciak | OKŁADKA I PROJEKT GRAFICZNY: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn

SKŁAD: Marta Bogucka | KOREKTA: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk

WSPÓŁWYDAWCA:



DOFINANSOWANIE:



PARTNERZY WYDANIA:



WIELKOPOLSKA W NAJLEPSZYM WYDANIU!



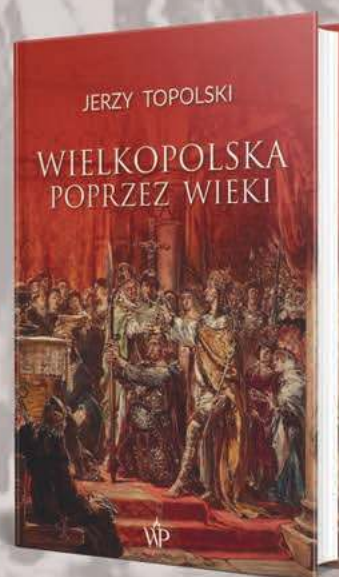
Świeże spojrzenie na mity
narodowej megalomanii!



Ponadczasowa i wnikliwa
analiza trudnych kwestii
polsko-niemieckich!



Wielkopolanie, którzy
wpłynęli na bieg
historii!



Najważniejsza
książka o regionie!



Targ w Poznaniu, rok 1910.

Wielkopolski kontynent

WALDEMAR ŁAZUGA

**Polak z Warszawy, Lwowa, Wilna czy Krakowa,
który sto lat temu przyjeżdżał do Poznania,
łądował w „zgoła obcym pod każdym względem kraju”.**

Stolica Wielkopolski – jak wspominali ówcześni – robiła wrażenie „czysto niemieckie”, ulice przypominały „jedną Berlinerstrasse”, ludzie mówili „gwarą nieprzyjemną, gardlaną”, stali na „najniższym szczeblu towarzyskim” (jakże daleko było im „do lekkomyślnej wspałości Warszawy”). Nie przesiadywali godzinami po kawiarniach, nie ceniili „baśni ani anegdoty”, nie pysznili się portretami przodków, karabele i pasy słuckie trzymali na strychach, do sarma-

tyzmu odnosili się sceptycznie, a o romantyzmie potrafili powiedzieć, że na romantyzm to ich zwyczajnie nie stać. Na co dzień powściągliwi, byli we wzajemnych stosunkach „równościowi”, „solidarni” i „demokratyczni”. Demokratycznie też, bez nadmiernego podkreślania różnic, się ubierali.

Opowiadano, że po I wojnie światowej w toalecie hotelu Bazar jakaś elegantka z Warszawy zignorowała skromnie ubraną starszą panią, biorąc ją niemal za

służącą. Po chwili obie spotkały się na parterze hotelu w wytwornej restauracji odwiedzanej przez wielkopolskie ziemiaństwo. „Jestem Czartoryska z Rokosowa” – usłyszała warszawianka.

Miesiącami śmiał się z tego cały Poznań.

Czterech synów w gimnazjum

„A jednak – pisał Ksawery Pruszyński, reporter urodzony na Wołyniu – Poznańskie jest oazą dobrobytu”, dla ludzi ze wschodu „dziwnym krajem nie zamalowanym hum-



Hotel Bazar w Poznaniu, lata 20. XX wieku.

bugiem”. Innych przybyszów dziwiły pola „buraczane omotykiwane, bez jednego chwastu, uprawne jak ogrodowe grzędy”, oświetlenie elektryczne po dworach zamiast nastrojowych świateł. I to, że do pociągu „wsiada się tu jak do tramwaju, a karetą po szosie jedzie się jak po gładkiej ulicy”.

Goście ze Lwowa zdumiały kupcowe i handlarki drobiu, „towarów krótkich etc.”, wystrojone i regularnie w siódmy dzień tygodnia chadzające do opery. A także – widywane po zamożniejszych domach – schludne, uczciwe i oszczędne „Pelacie” (czyli służące). „Z oddali – pisała Janina z Puttkamerów Żółtowska, arystokratka z drugiego krańca Polski – zapominam o brzydocie Księstwa [Poznańskiego], a cenię jego wartości, bezpieczeństwo moralne i prawie europejską praworządność”.

O wygodach wyższej cywilizacji już nie wspominając.

Z towarzyskiej więc strony Wielkopola nie wydawali się nieciekawi i nudni (ludzie

są tu „kubek w kubek podobni” – pisał jeden z Sapiechów). Jeśli zaś chodzi o pracowitość, zaradność, sumiennność, oświatę czy higienę – byli trochę z innego świata.

„W Księstwie – zanotował z uznaniem hrabia Bogdan Tyszkiewicz, rodem z Ukrainy – tytuł mój inżyniera bardzo imponował, więcej nawet niż skrzypce, bo praca tam górę brała”.

Gdzie indziej wygrywały skrzypce. O pracy rozmawiano rzadziej.

Inny Polak z Kresów nie mógł wyjść z podziwu, że w Wielkopolsce w połowie międzywojnia fernal ma czystą bieliznę, chatę, radioodbiornik, rower. Oraz czterech synów w gimnazjum.

A w niedzielę w operze...

Maria z Paygertów Bobrzyńska – synowa Michała Bobrzyńskiego (profesora UJ, namiestnika austriackiej Galicji i ministra austriackiego) – przekonywała, że o decyzji kupna ziemi w Wielkopolsce i wy-

prowadzce z Krakowa w 1919 r. zdecydowała ostatecznie sunąca po polach... kolejka rolna wioząca buraki, którą jej mąż zobaczył w majątku Garby koło Środy. I nie pomogło tłumaczenie szwagra, że ziemia tam licha i lepiej rozejrzeć się za czymś innym. W nowym miejscu zamieszkania miał Bobrzyński bogatą bibliotekę. Książka rachunkowa była podobno jedyną, do której nie zaglądał.

O Michaliku – słynnym cukierniku, właścicielu najslawniejszej kawiarni w Krakowie, który także przeniósł się do Poznania – mówiono, że miasto neurotyczne i rozgadane zamienił na spokojniejsze, lepiej urządzone i milczące.

Gdy w 1919 r. w Poznaniu organizowano uniwersytet, jednym z największych atutów, zachęcających do osiedlenia się tutaj profesury z Warszawy, Lwowa czy Krakowa, były mieszkania z łazienkami, których Poznań miał podobno pięć razy więcej niż Lwów. ➔

→ W Poznaniu też podobno „łatwiej było wychowywać dzieci”.

Jerzy Waldorff – w czasach PRL-u najsłynniejszy chyba krytyk muzyczny, który w międzywojennym Poznaniu robił maturę – napisał, że nic tak przybyśzów z innych części kraju wówczas nie dziwiło, jak to łagodne przejście od administracji pruskiej „do stosowania między sobą tych samych reguł gry o życie opartych na pewności bytu wobec prawa”.

W sklepach – czytamy dalej u Waldorffa – każdy nadal był „Szanownym Panem”, niezależnie czy był bogatym mieszczańcem z poznańskiej dzielnicy Łazarz, czy też drobnym rzemieślnikiem ze Śródk. A w niedzielę wszyscy spotykali się w operze, gdzie „znów byli równi sobie i wymieniali z obu stron grzeczności”.

Wiele lat temu usłyszałem od pewnej pani z Krakowa, że w Poznaniu lubi chodzić do opery, bo niezależnie od tego, co tam grają, jest wśród ludzi wykąpanych i starannie ubranych, a nie takich „alternatywnych”, jakich w Krakowie wielu.

Między patriotyzmem i lojalizmem

Znaczyli oni w Wielkopolsce może nawet więcej niż Potoccy w Galicji. Raczyńscy pozostawili po sobie: bibliotekę, jeden z najpiękniejszych gmachów Poznania, złotą kaplicę w katedrze, kolekcję obrazów, pomnik Higie i oraz wodociąg miejskie.

Edward, starszy z dwójki braci, znany był z tego, że paradował w wytartym surducie i spał na pryczy. Atanazego (tego od obrazów) zaliczano do grona „przyjaciół klas pracujących”. Dewizą rodu było „Vitam impendere vero” (życie poświęcone dla prawdy). Obydwaj zacytywali się w „Don Kichocie” i obydwoj zmagali się z polskością. Po powstaniu listopadowym do herbu rodzowego Nałęcz dodano – na prośbę młodszego z nich – dwa czarne pruskie orły. Wcześniej do pruskiego munduru Atanazy przypinał złoty krzyż Virtuti Militari, otrzymany w czasach Księstwa Warszawskiego. Albowiem walka toczona w czasach Księstwa u boku Napoleona przeciwko trzem zabiorcom miała, jego zdaniem, sens. Natomiast powstanie listopadowe, skazane na porażkę, jego zdaniem sensu nie miało.

■ Trudne do pojęcia sprzeczności kwitowano wierszykiem:

**„W Poznańskim,
ach w tym
Poznańskim,
w tym naszym
polsko-germańskim”.**

Kazimierz Raczyński był dziadkiem, a przede wszystkim autorytetem i wychowawcą obu braci. Dla rodaków zaś „zakałą imienia polskiego”, jurgielnikiem, targowiczanie i zdrajcą, „zaraz po marszałku sejmu rozbiorowego Ponińskim”. Nie było księdza, „któryby się chciał podjąć mowy na jego pogrzebie”. Wnukowie, Edward i Atanazy, brali dziadka w obronę. Polaków – tłumaczyli – cechuje egzaltacja, chimera, samowola i skłonność do destrukcji. Krytykowali politykę abstrahującą od politycznych realiów i rachunków, od Rosji, Austrii i Prus i wynikających stąd ograniczeń. Przekonywali, że demagogom udało się narzucić Polakom narzędzie służące do zamazywania wszelkiego sensu, proporcji i realności – narzędzie tłumiące jednocześnie rozsądek, trzeźwość i wyrzuty sumienia. W efekcie mamy patriotyzm ufundowany na emocjach.

Tymczasem – pisał Atanazy – wrodzone dążenie do porządku i sumienności kazało mi sprzeciwić się takiej polityce i wybrać lojalizm, co na końcu oznaczało „przywiązanie do dworu pruskiego”. O polskości młodszy z Raczyńskich mówił jako o wyzwaniu. O pracy dla społeczeństwa – jako o służbie.

Osobny kontynent

Nie ulega wątpliwości, że Raczyńscy stworzyli pewien model roli i funkcji ziemianstwa nad Wartą. W różnym stopniu stali się punktem odniesienia dla Mielżyńskich, Sołdrskich, Taczanowskich, Morawskich, Mycielskich, Kwileckich, Żółtowskich i wielu innych rodzin. W wię-

szości oszczędnych, racjonalnych, przedsiębiorczych, rządnych i „rachunkowych”. Postrzegających narzucić sobie dyscyplinę i zaangażowanych społecznie.

W hotelu Bazar nie wypadało wynosić się nad innych i szastać pieniędzmi. W cenie był umiar i samokontrola. Żeby więc trochę sobie pofolgować, wyszumieć się i puścić większą gotówkę kilka razy do roku, a w karnawale niemal obowiązkowo, wybierano się do Krakowa... Zauważmy: Bazar, ten bastion życia polskiego w rozmaitych jego przejawach, był spółką akcyjną. To całkiem coś innego niż krakowski pałac Pod Baranami, własność Potockich.

Bogdan hrabia Hutten-Czapski ze Smogulca był w oczach Polaków z innych zaborów kwintesencją germanofilstwa. Przed I wojną światową zmieniał język z niemieckiego na polski lub odwrotnie, ilekroć przekraczał dawną zachodnią granicę Rzeczypospolitej. Po wojnie zaś niemiecki zarząd swych majątków zmienił na polski, co nad Wartą w obu przypadkach nikogo specjalnie nie dziwiło.

Stanisław Wachowiak – syn robotników rolnych, później członek międzywojennych politycznych i finansowych elit – przyznawał, że choć za młodu ich nie lubił, to wśród ugodowców byli „gorący patrioci”. I dodawał, że w nowej odsłonie powtarza się „wielkopolska tragedia Wielopolskich”, czyli ogólne niezrozumienie rzeczy. Sam cytował rozmaite wypowiedzi Bismarcka, uważał się za Europejczyka, racjonalistę i realistę i twierdził, że przynajmniej pod tym względem rodzima Wielkopolska to niemal osobny kontynent.

Bo jak inni mieliby ją rozumieć: z jednej strony powstanie wielkopolskie, antyniemiecka endecja, antyniemiecki Obóz Wielkiej Polski i Dmowski osiadły po I wojnie światowej w podpoznańskim Chłudowie. A z drugiej strony Bogdan hrabia Hutten-Czapski, czołowy germanofil, prezesujący w najlepsze Kawalerom Maltańskim. Albo – Józef Żychliński: cieszący się popularnością najbogatszy Polak II Rzeczypospolitej, ziemianin z Gorazdowa pod Wrześnią, z czasów I wojny światowej i niemieckiej okupacji Kongresówki doradca generała gubernatora warszawskiego Hansa Beselera.

Trudne do pojęcia sprzeczności kwitowano przeważnie wierszykiem: „W Poznańskim – ach! W tym Poznańskim. W tym

naszym polsko-germańskim”... Co było nieświadomym zazwyczaj nawiązaniem do dygresyjnego „Poematu bez końca” Ryszarda Berwińskiego, poznańskiego romantyka.

Germanofilska endeckość? Nonsens.

Bohaterstwo zbiorowe

Trudno było zrozumieć coś jeszcze. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych zaborów, bogatych w panteony herosów, Wielkopolska stała (i stoi?) bohaterstwem zbiorowym. Nieczuła na charyzmatyków.

Pierwszym przywódcą powstania wielkopolskiego został najstarszy rangą oficer, a nie porywająca biografia. Na pierwszym miejscu wśród patronów wielkopolskich ulic i placów są powstańcy wielkopolscy, a nie Dowbor-Muśnicki czy wspomniany Taczak.

Bohaterów indywidualnych Wielkopolska miała (i ma do dziś) dwóch, wygrywających zresztą wszelkie plebiscyty popularności i rozpoznawalności: to Karol Marcinkowski (doktor, syn karczmarza) i Hipolit Cegielski (nauczyciel, który zbudował w Poznaniu słynną fabrykę). Obaj krzewili obywatelskość, oświatę, zaradność, solidarność społeczną i przedsiębiorczość. Przekonywali, że w pojedynkę niewiele się wskóra

– rachuj więc, działaj społecznie, „indywiduum przelej w ogólność”, pracuj, nie rozpaczaj, oświecaj się i dorabiaj. O czynie zbrojnym zaś zapomnij, dopóki nie masz szans na zwycięstwo. Nie umieraj. Żyj!

Od lat twierdzą, że trumny Marcinkowskiego i Cegielskiego wciąż rządzą Wielkopolską. Nie wygra z nimi żaden poeta, kompozytor, artysta ani nawet powstaniec wielkopolski, żaden bohater II wojny światowej, żołnierz podziemia wojennego czy powojennego ani opozycjonista z czasów PRL-u.

Z imieniem Marcinkowskiego i Cegielskiego wiąże się najściślej idea pracy organicznej, odmieniana przez wszystkie przypadki, celebrowana i animowana przez rozmaite wyróżnienia, nagrody i tytuły (z tytułem „lidera pracy organicznej” na czele). Kto raz był w Wielkopolsce, ten wie, że dla pracy organicznej żadnej konkurencji tu nie ma.

Między trzema zaborami

Nowoczesne narody ukształtowały się ostatecznie w XIX w., gdy trzy części podzielonej Polski wsiąkały w struktury obcych państw. Obawiano się, że Polaków

wkrótce może nie być. Pozytywista Świętochowski pisał o „niepodległości jako urzędzie, który można postradać bez postradania właściwych cech swojej istoty”, stańczyk Stanisław Tarnowski o patriotyzmie jako o „paszporcie, na którego jakość już nikt nie patrzy”. A arcybiskup poznański Florian Stablewski pouczał, że stan prawno-państwowy uznaliśmy bez zastrzeżeń, a „co będzie za jakichś 200-300 lat, tego nie wiemy”. Karabele, kontusze, a nawet język stawały się „etnograficznym znakiem” i „miejmy odwagę się przyznać – pisał Adam Grzymała-Siedlecki – że na progu XX stulecia niewielu już było takich, którzy by realnie wierzyli, że bez cudu można odzyskać własną państwowość”. Dodajmy: odzyskać zwłaszcza kosztem Niemiec, bo „Niemcy, panie tego, wiadomo, to potęga”.

Jeśli nie liczyć arystokracji, z biegiem czasu w trzech zaborach wiedziano o sobie coraz mniej,

→

Plac Wilhelma
(dziś plac Wolności) i gmach
teatru w Poznaniu, rok 1854.





Cesarzowa Augusta Wiktoria odwiedza Poznań, prawdopodobnie rok 1913.

→ a niezbyt częste kontakty najeżone były uprzedzeniami.

Gdy w 1879 r. w Bazarze dwóch profesorów jagiellońskiej wszechnicy – Bobrzyński i Tarnowski – wygłosiło wykłady z historii, część publiczności („kwiat obywatelstwa naszego”) poczuła się dotknięta. Za mało mówili o Polsce piastowskiej i „naszych przodkach”, za dużo o Polsce jagiellońskiej, a już całkiem za wiele „o Hektorach i Achillesach z Warszawy”.

Sytuację uratował Bobrzyński, tłumacząc, że „mimo stuletni podział Polak Polaka zawsze zrozumie”. Choć największe wrażenie zrobiło inne wypowiedziane wtedy zdanie: że każda z trzech dzielnic ma swój wkład w sprawę wspólną – Królestwo Polskie gromadząc zapasy materialne, Galicja otwierając skarbnicę umiejętności i wiedzy, a Wielkopolska łącząc wszystkie stany „w jedno polityczne ogniwo”.

Za rok Bobrzyński, autor tych słów, poślubi Zofię Cegielską, córkę sławnego Hipolita. Zostanie też członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zaś wpływowy Witold Korytowski z Grochowsk pod Gnieznem będzie ojcem chrzestnym ich dziecka.

Z Korytowskim, Ludwikiem Ćwiklińskim (synem gnieźnieńskiego organisty), kilku Morawskimi, Przybyszewskim czy Kasprowiczem wiąże się wielkopolski problem „emigracji zdolności”. I tak, Korytowski w monarchii habsburskiej zostanie prawą ręką Juliana Dunajewskiego – wszechwładnego ministra skarbu i trzykrotnego rektora UJ – jednym z jego następców na ministerialnym fotelu, dyrektorem banku we Lwowie, wreszcie namiestnikiem Galicji (po Bobrzyńskim).

Podobno w Wiedniu i we Lwowie raziła nieraz jego pruska pedanteria i kaprański styl. Ciekawe więc, że gdy Korytowski przyjeżdżał do Grochowsk, ucho-

dził tam za „Austriaka”. Chwalił się orderami, pokazywał zaproszenia na przyjęcia i bale dworskie oraz zasłynął opowieścią, że w Wiedniu w rozmowach z Rothschildami stosuje te same metody, co jego ojciec w pobliskim Rogowie, gdy u Żyda kupuje konia.

O potrzebie stowarzyszeń

Pod pruskim zaborem materiału na anegdotę było mniej. Walczono o język, o ziemię, o szkołę oraz o przetrwanie z przeciwnikiem, który dysponował najsprawniejszym w Europie aparatem administracyjnym. Z przeciwnikiem o wielkim dorobku cywilizacyjnym i kulturalnym.

Toczono więc tu bitwę o banki i cukrownie, o większą i mniejszą wytwórczość, o produkcję rolną, oświatę, towarystwa samopomocowe i zdolność do działań zespołowych. Zmagano się z pruską Komisją Kolonizacyjną, której okazały gmachy w Poznaniu stoi w sąsiedztwie ce-

sarskiego zamku oraz z osławioną „Hakatą” (związkiem dla popierania niemieczyny na niemieckich kresach wschodnich). Skupiano się w kasynach obywatelskich, towarzystwach przemysłowych i rolniczych, w towarzystwach pomocy naukowej, w towarzystwach wydawców polskich, w bankach ludowych, spółkach zarobkowych, towarzystwach czytelni ludowych, kołach śpiewaczych i kółkach rolniczych, które na wsi stały się prawdziwą potęgą.

Jeden z ostatnich wielkich organiczników, ksiądz Piotr Wawrzyniak (zmarły w 1910 r.), działał w dwudziestu kilku organizacjach. Niemcy z uznaniem nazywali go „polskim ministrem finansów”, a Polacy – „królem czynu” („Króla Ducha” oddając krakowianom). Ów genialny człowiek wygłaszał w Wielkopolsce wykłady znacznie odbiegające tematyką od wspomnianych krakowskich wystąpień z Bazaru.

Tych wykładów ks. Wawrzyniaka odnotowano ponad setkę. Oto tytułem próby tytuły kilku z nich: „Rachunkowość”, „Stosunek mistrzów do terminatorów”, „O potrzebie stowarzyszeń rzemieślniczych”, „Fałszowanie artykułów żywnościowych”, „Potrzeba robienia inwentarzy”, „Pszczelarstwo”, „Przeciw lichwie”, „Taryfy kolejowe”, „Stosunki pomiędzy robotnikami, rzemieślnikami a chlebobdawcami”.

Sprusaczeni

Ks. Wawrzyniak zauważał, że rozwój materialny Wielkopolski znacznie wyprzedził rozwój duchowy – i zastanawiał się, jak w przyszłości temu zaradzić (prawdziwie organicznikowskie podejście!). Urodzony w chłopskiej gacie, był dwujęzyczny. Widywano go pogrążonego w lekturze niemieckich gazet.

Niemieckie gazety czytało zresztą wielu Wielkopolan. Wiele rodzin arystokratycznych, szlacheckich, mieszczańskich i włościańskich miało też „Niemca” w rodzinie.

Tacy Żychlińscy, należący do „najstarszych i najpoważniejszych” rodzin w kraju, szczycili się pokrewieństwem zarówno z Piastami, jak też z Hohenzollernami. U Kwileckich senior rodu (pół-Niemiec po matce) sprzeciwiał się małżeństwu jednego z juniorów z niemiecką arystokratką. Niemką była żona brata mojego dziadka, choć on sam uważał się za przysięgo endecka.

Gorzej układały się te stosunki polsko-niemieckie za panowania kanclerza Bismarcka, lepiej po jego ustąpieniu. Gorzej po ustawie wyłączeniowej w 1908 r., lepiej na kilka lat przed wybuchem Wielkiej Wojny. Pod koniec XIX w. Ludwikowi Windhorstowi – liderowi partii katolickiej (poprzedniczki bawarskiej CSU) i przeciwnikowi Bismarcka – damy z Wielkopolski wręczały bukiety kwiatów. Przed wojną dało się zauważyć, że

■ Jeden z wielkich
poznających
organiczników **ksiądz
Piotr Wawrzyniak**
działał w dwudziestu
kilku organizacjach
i stowarzyszeniach.
Niemcy nazywali
go „polskim ministrem
finansów”, a Polacy
„królem czynu”.

coraz częściej odróżniano „hakatystów” od Niemców, często dobrych sąsiadów mieszkających tu od wieków.

Niewiele z tego rozumiano w innych częściach kraju. Aleksander Świętochowski przyznawał wprawdzie Wielkopolsce „najsprawniejszą zdolność ekonomiczną”, ale zaraz dodawał, że „z niej uleciała dusza”, a pozostał tylko „instynkt samozachowawczy niższego rzędu”. Żyje tam, argumentował, kultura materialna i europejska, ale „kona duchowa i polska”. Inni pisali o poznańskiej „ciemnocie”, „martwocie”, „sprusaczeniu” i „barbaryjności”. Co to za kraina – wołano dramatycznie – gdzie „piwowar wyżej stoi od poety”, a różne rzeczy nazywa się po niemiecku?!

Z kolei Wielkopolanie odpowiadali, że Galicja to „dziadostwo”, a Kongresówka to „błaga”. I cieszyli się, gdy w gazecie „Świat Słowiański” mogli przeczytać, że obie te dzielnice są „niestety tak zaco-

fane, że nawet Wielkopolski zrozumieć nie umięją”. Że nie dostrzegają, iż Wielkopolanie zawsze mają pełne ręce roboty, podczas gdy gdzieś indziej „pełno... patriotyzmu bez zajęcia”. A także, że Wielkopolan w przeciwieństwie do nich cechuje „erudycja współczesności”. I kto to wszystko napisał? Feliks Koneczny! Historyk z Krakowa.

Galicja patrzy na Wrześnię

Długo wyobcowana, swoje pięć minut miała Wielkopolska na początku XX stulecia za sprawą strajku dzieci szkolnych we Wrześni, strajku przeciwko germanizacji. Pisały o Wrześni wszystkie warszawskie i galicyjskie gazety, że buduje nas, a „zadziwiała już i obcych”. Dziennikarzowi krakowskiego „Czasu” przypominała się „stara historia filarecka”, a galicyjski „Przegląd Wszechpolski” stracił wszelką miarę i pisał tak: „Wyłazimy wszędzie z niemieczyną (...) Nawet na pytania polskie odpowiadamy po niemiecku, gdy po akcencie poznamy obcego. O ileż tedy niżej stoimy od dzieci wrześnieńskich. One umięją nie odpowiadać po niemiecku mającemu nad nimi władzę nauczycielowi, a my znośimy, gdy nam konduktor kolei Ferdynanda między Krzeszowicami i Krakowem odpowie pogardliwym tonem, że po polsku nie umię”.

Ciąg dalszy tej historii był nie mniej zaskakujący. Do Wrześni przyjechali dziennikarze krakowscy, żeby na własne oczy zobaczyć i poznać bohaterów. Rozpytywali o nich już na dworcu. I nieodmiennie wysłuchiwali, że to są zwykłe dzieci i tu żadnych bohaterów nie ma.

Wóz Drzymały – jak wiadomo – największe emocje budził nie nad Wartą, lecz na wystawie w krakowskim Barbakanie. Inna sprawa, że zwłaszcza w Kongresówce taki numer z „ruchomą nieruchomością” z pewnością by nie przeszedł.

Z Marią Konopnicką też zresztą było inaczej, niż wielu sobie wyobraża. W 1905 r. napisała „Rotę”. W 1910 r., gdy zbliżały się uroczystości 500-lecia bitwy pod Grunwaldem, Feliks Nowowiejski skomponował do niej muzykę – i od tej pory ta uroczysta pieśń wielu Polaków wzrusza.

⇒ Chodzi o to, że Wielkopolan wzruszała chyba najmniej. Nie odnajdywali się w tych słowach i emocjach. Powtarzali, że ich autorka – urodzona w Suwałkach – stosunków panujących w Wielkopolsce nie rozumiała.

W 1916 r., gdy zmarł Henryk Sienkiewicz i organizowano uroczystości żałobne, zastanawiali się, czy pieśń w ogóle umieścić w programie. Kilku znanych Wielkopolan nigdy jej nie polubiło. Chętnie natomiast przyznawano, że poza „Rotą” – i innymi „wielkopolskimi” utworami – Konopnicka była całkiem dobrą poetką.

Pruskie festyny

Prawdopodobnie ani w Galicji, ani w Kongresówce nie zauważono zmiany nastrojów, jaka nastąpiła w Wielkopolsce około 1910 r.

W planie była wtedy Wystawa Wschodnioniemiecka, która miała ukazać siłę niemczyzny na germańskich kresach wschodnich. Rzemiosło polskie było żywo zainteresowane zamówieniami i kontraktami, zwłaszcza że Niemcy sporo robili, żeby Polaków do udziału w niej zachęcić. Zaskoczona endecja wezwwała do bojkotu. Wpływowi konserwatyści zachęcali do złagodzenia kursu. Wygrali ci ostatni, a Towarzystwo Akcyjne Poznań H. Cegielski zostało nawet jednym z głównych laureatów tej wystawy. Wśród agitujących za wystawą był niedawny obrońca dzieci wrzesińskich – i przyszły obrońca młodych konspiratorów – mecenas Jarogniew Drwęski. Zapamiętajmy to nazwisko.

Zamek Cesarski w Poznaniu jest dziś ważną instytucją kultury. Przez poznanianów został oswojony. Właśnie latem 1910 r. szykowano się do jego uroczystego otwarcia. Zapowiedziano przyjazd cesarza Wilhelma, liczne związane z tym zabawy i festyny, asygnując na ten cel z budżetu miasta okrągłą sumę 30 tys. marek.

Powtórzyła się historia z wystawą. Endecja wzywała do bojkotu. Większość ziemian wezwań nie usłuchała. Niemala część kupców iluminowała okna swoich domów, mimo nawoływań prasy endeckiej, że od „pruskich festynów” powinni się trzymać z dala.

Przed I wojną światową Poznań piękniał w oczach, a mieszkańcy korzystali z uroków życia. Mówiono, że publiczność – niezależnie od narodowości – więcej niż kryzysem na Bałkanach interesowała się procesem hrabiego Mielżyńskiego, który pod własnym dachem zastrzelił żonę wraz z kochankiem. Mielżyńskiego przed sądem bronił mecenas Drwęski, zapadł wyrok uniewinniający, a hrabiego do Berlina dla odzyskania twardej „ekspicyjnej” służby powołał sam cesarz Wilhelm.

Na frontach i w instytucjach

W 1914 r. na Wielką Wojnę wyruszyło wielu Wielkopolan, w mundurach armii kajzera. Był wśród nich mój dziadek, uczestnik „wielkich bitew w Szampanii”, a także rozmaici jego bliźsi i dalsi znajomi. Większość z nich po czterech latach prosto z frontu poszła do powstania wielkopolskiego, a następnie wzięła udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r.

Brał w niej udział także Maciej Mielżyński. To od jego imienia słynną później czapkę nazwano „maciejówką”.

Podczas wojny 1920 r. mój dziadek zrozumiał, co to jest „metafizyka”. Powstanie wielkopolskie traktował zadaniowo. Do śmierci śpiewał piosenki z wojny, a nie z powstania.

Jesienią roku 1918 wyzwolił się Kra-ków, potem Warszawa. Od 1 listopada walczyli Polacy ze Lwowa. Tymczasem 11 listopada w poznańskim ratuszu wisiały jeszcze cesarskie portrety, a miasto nosiło nazwę Stadt Posen. „Rząd dusz” w Wielkopolsce nadal sprawowali organiczni. Radykalnie nastawieni młodzi ludzie nazywali ich czasem „wtajemniczonymi”. Ci zaś, krok po kroku, systematycznie przejmowali z rąk niemieckich rozmaite instytucje. A poza tym stale prowadzili jakieś narady, konsultacje i przeważnie trudno się było zorientować, kiedy i gdzie zapadają najważniejsze decyzje.

11 listopada ustąpił niemiecki nadburmistrz Stadt Posen. Jego następcą został znany nam już Jarogniew Drwęski. Na ponad miesiąc przed wybuchem powstania wielkopolskiego na czele miasta stał jeden z „wtajemniczonych”, popierany przez niemiecką radę miejską, polskie duchowieństwo i wielu wpływowych Polaków, Żydów oraz Niemców

w mieście. Znany nam już obrońca dzieci wrzesińskich, adwokat młodych Polaków reklamowanych z wojska i kilku arystokratycznych rodzin, pisujący do krakowskiej umiarkowanej „Nowej Reformy” i dystansujący się od endecji. Niedługo autor ostrych antyniemieckich artykułów, na kilka lat przed wojną opowiadał się za łagodzeniem narodowościowych sporów.

Wygrać i żyć

W Wielkopolsce wciąż panuje opinia, że powstania wielkopolskiego rodacy z innych części kraju nie rozumieją. Że nie rozumieją jego aury, temperatury, przywództwa, charakteru, racjonalności i mentalności (jeśli powstanie może mieć mentalność).

Nikt nie wyruszał w bój bez broni ani od nikogo podobnego bohaterstwa nie oczekiwano. Powstańców jak najszybciej zamieniano w żołnierzy, spontanicznie powstałe oddziały w armię. Po opanowaniu Poznania nie rozpędzono rady miejskiej, złożonej z przedstawicieli trzech narodowości. Nowe wybory na prezydenta wolnego już miasta wygrał – przy jednym głosie wstrzymującym się – Jarogniew Drwęski (jeden z niemieckich rajców postawił wniosek, by w nowych okolicznościach zrezygnować z niemieckiego jako języka obrad i zastąpić go neutralnym francuskim).

Działania zbrojne przypominały regularną wojnę. Mundury i broń po obu stronach podobne, co o zmroku zwłaszcza nakazywało ostrożność. Wstrzymywano działania tam, gdzie liczono na kapitulację przeciwnika lub pozwalało to uniknąć niepożądanych ofiar.

Nie chciano pięknie umierać. Chciano wygrać, jak najszybciej zakończyć walkę, wrócić do domu. I żyć. © WALDEMAR ŁAZUGA

PROF. WALDEMAR ŁAZUGA (ur. 1952) jest historykiem, wykłada na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Specjalizuje się w historii polskiej i powszechnej XIX i XX w. Autor książek, m.in. „Michał Bobrzyński: myśl historyczna a działalność polityczna”, „Znany nieznanym prezydent Poznania. Rzecz o Jarogniewie Drwęskim”, „Kalkulować... Polacy na szczytach c.k. monarchii”.



Polscy kolejarze ze stacji Złotniki w Wielkopolsce po oficjalnym, pokojowym przejęciu tej placówki z rąk niemieckich, 1 kwietnia 1920 r.

Sklejanie Rzeczypospolitej

PROF. ANDRZEJ CHWALBA, HISTORYK:

**Mentalności mieszkańców dawnych zaborów
znacząco się od siebie różniły.
Różniło ich nawet postrzeganie tego, czym będzie niepodległa Polska.**

KRZYSZTOF PIĘCIAK: Zacznijmy od „godziny zero”: mamy listopad 1918 r. Przed jakimi wyzwaniem stali politycy, którzy musieli „sklejać” państwo z ziem trzech zaborów?

ANDRZEJ CHWALBA: To było zadanie rozpięte na długie lata, ze względu na skalę odmienności prawnych, materialnych, technicznych itd. Nie sposób było dokonać tego w krótkim czasie. Dlatego zaraz po 1918 r. uznano, że w dawnych zaborach będzie zachowany dotychczasowy system administracyjny i prawny, łącznie z walutą. I tak, marka polska obowiązywała w dawnym

Królestwie Polskim, marka niemiecka w byłym zaborze pruskim, korony w Galicji, a ruble na ziemiach wschodnich. Jeszcze w 1920 r. marka polska, jako już oficjalna polska waluta, nie była powszechnie stosowana. Odmienne pozostawały też początkowo systemy kolejowe i pocztowe...

Co należało uczynić najpierw, by zapewnić państwu funkcjonowanie?
Ujednolicić system poboru podatków i system poboru rekruta. To były dwie

sprawy najistotniejsze, zresztą powiązane. Zachowanie niepodległości Rzeczypospolitej i zapewnienie jej bezpiecznych granic okazało się poważnym wyzwaniem.

W Galicji Wschodniej trwała już wojna z Ukraińcami, na Śląsku Cieszyńskim doszło do krótkiej, ale gwałtownej wojny z Czechami, konflikt rysował się także z młodym państwem litewskim, na zachodzie od grudnia 1918 r. walczyła Wielkopolska, a od wschodu wkrótce zaczęło rysować się zagrożenie bolszewickie. Potrzebna była liczna, sprawna i dobrze wyposażona armia. Głównym zadaniem →

→ odbudowującego się państwa było więc jej zorganizowanie.

Na ile było to początkowo wojsko jednolite, a na ile jednostki formowane w różnych częściach kraju, np. w Królestwie i Galicji, różniły się od siebie?

One się różniły praktycznie we wszystkich swoich składnikach, poczynając od mentalności oficerów, regulaminów wojskowych, umundurowania i wyposażenia. Żołnierze z oddziałów formowanych w dawnych zaborach byli dziedzicami tych systemów organizacji wojska i jego wyposażenia, jakie istniały w okresie Wielkiej Wojny. Dlatego należało zacząć prace nad ujednolicaniem regulaminów, nad stworzeniem wspólnych szkół oficerskich i podoficerskich.

Sprawy nie ułatwiał fakt, że powstające państwo było właściwie pozbawione przemysłu zbrojeniowego. Całe wyposażenie – poza drobnymi elementami, mało istotnymi – było albo pozostałością po armiach zaborczych, albo pochodziło z importu. Za kredyty francuskie, angielskie i amerykańskie kupowano sprzęt wojenny z tzw. demobilu. Alianci się go pozbywali, gdyż ich armie redukowano do stanu pokojowego i nagromadzone ilości broni chętnie sprzedawano „białym” walczącym z bolszewikami oraz Polsce.

A żołnierze?

Szeregowi byli albo weteranami armii zaborczych, często mającymi już dość wojowania, albo młodymi ochotnikami, albo też niewyszkolonymi jeszcze rekrutami. Na szczęście powstające wojsko mogło sięgać po byłych żołnierzy z polskich formacji, które powstały w czasie I wojny światowej – jak Korpusy Polskie w Rosji, Legiony Polskie, Polska Organizacja Wojskowa. Potem, od kwietnia 1919 r., rozpoczyna się transport Armii Hallera z Francji do Polski. W tym samym roku w skład Wojska Polskiego weszła też Armia Wielkopolska. Korpus oficerski i podoficerski tworzyli więc ludzie wywodzący się z trzech dawnych armii zaborczych i formacji ochotniczych.

A gdyby spojrzeć na cywilów, na zwykłego mieszkańca dawnej Kongresówki, Galicji czy Wielkopolski: czym



różniła się ich mentalność, ich wyobrażenie na temat odrodzonej Polski?

W ciągu ponad stuletniej niewoli przynależność do państw zaborczych potęgowała różnice. Tym bardziej że one istniały już w XVIII stuleciu, zwłaszcza między mieszkańcami ziem zachodnich i wschodnich. Także wyobrażenia na temat tego, czym ma być niepodległa Polska, były odmienne. To, co różniło mieszkańców ziem zachodnich i wschodnich, to nade wszystko stosunek do pracy, wewnętrzna dyscyplina, które to cechy posiadali mieszkańcy dzielnic zachodnich, natomiast niekoniecznie ziem wschodnich, gdzie tradycja „szerokiego gestu rosyjskiego” nie była bez znaczenia. Mieszkańcy z Wielkopolski, Pomorza i Śląska przeszli przez system edukacji pruskiej. Poziom analfabetyzmu w zaborze pruskim nie przekraczał kilku procent. Tymczasem na ziemiach dawnej Rosji carskiej, w której nie było obowiązku szkolnego, większość ludności to byli analfabeci. Np. w Łodzi w 1913 r. większość mężczyzn i zdecydowana większość kobiet nie potrafiła składać liter i liczyć do stu. Najgorzej było w przyszłych woje-

wództwach poleskim, wołyńskim i nowogrodzkim: ponad trzy czwarte ludności stanowili tam analfabeci.

Jak przekładało się to na życie społeczne?

Dla obywateli-analfabetów pojęcia z zakresu kultury politycznej, prawa, funkcjonowania państwa, którymi posługiwali się politycy na określenie rozmaitych decyzji – jak wybory, sejm, senat, ojczyzna, konstytucja, państwo – były niezrozumiałe. Stąd też trudno było oczekiwać, że ich zaangażowanie w sprawy polskie będzie takie samo jak ludzi wykształconych. Poważna część mieszkańców porosyjskiego Królestwa Polskiego, zwłaszcza ludności chłopskiej, nie miała ugruntowanego poczucia przynależności do narodu polskiego. Na porosyjskich Kresach bywało, że tamtejsi chłopcy polscy nie rozumieli pojęcia „Polska”. A od miejscowej ludności prawosławnej często różnił ich nie tyle język, co przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego.

Czy różnice między Wielkopolską, Galicją i zaborem rosyjskim przekładały się na antagonizmy?



Polacy – pracownicy sezonowi
– podczas kontroli przez polską Straż
Graniczną na granicy z Niemcami, rok 1927.

służba sprawiała, że ludzie coraz lepiej się poznawali. Ale żeby z tego nieoszlifowanego „materiału ludzkiego” – jak mawiali wojskowi – zrobić jednolitą armię, nie wystarczyła wojna z bolszewikami, nawet jeśli miała ona wielkie znaczenie integrujące dla społeczeństwa polskiego.

Czy rząd miał jakieś pomysły, jak likwidować te antagonizmy?

Kolejne rządy miały często różne pomysły na niwelowanie różnic dzielnicowych i antagonizmów. Nie zawsze były one spójne i skuteczne. Proces osłabiania antagonizmów był rozpisany na długie lata, który zresztą w okresie międzywojennym nie został zakończony. W postaci szczątkowej różnicy między dawnymi zaborami widać zresztą do dziś. „Sklejanie” Polski było naprawdę sprawą wyjątkowo złożoną i trudną.

Co zatem robiono?

Po pierwsze, przeprowadzano modernizację państwa, by stworzyć jednolity system prawno-administracyjny. Wprowadzono – za sprawą reformy Władysława Grabskiego – w miejsce marki polskiej nową walutę: złotego, który zyskał sympatię zdecydowanej większości mieszkańców Polski. Zaczęto zmieniać granice województw tak, aby – na ile było to geograficznie możliwe – w jednym województwie znalazły się ziemie dwóch dawnych dzielnic. Dalej: jednolita szkoła. Istotną rolę integrującą odgrywała też armia – służba wojskowa była wszak obojętna. Do integracji przyczyniały się też migracje za chlebem ze wsi do miast i pomiędzy dawnymi zaborami. Następnie: integracja systemu kolei, która była głównym środkiem transportu, a Polskie Koleje Państwowe były przedsiębiorstwem dobrze funkcjonującym. Pociągi były punktualne, również one budowały pozycję państwa. W II RP było oczywiste, że kolej się nie spóźnia, a konduktor jest uprzejmy i nieskorumpowany.

A administracja?

Również instytucje państwowe miały spełniać funkcje integracyjne. Wiadomo,

że zaufanie i szacunek do państwa buduje się także poprzez sprawne instytucje. W okresie międzywojennym zarobki urzędników, w tym kolejarzy i pocztowców, były stosunkowo wysokie – to miało zachęcać ludzi wykształconych, by pracowali w instytucjach państwowych, co z kolei budowało autorytet państwa. Takimi środkami chciano oddziaływać na ogół mieszkańców, w tym na stanowiące ponad 30 proc. ludności II RP mniejszości narodowe, które na sporej części ziem wschodnich stanowiły zresztą zdecydowaną większość. Gdy chodziło o modernizację i scalanie państwa, istniało niepisane porozumienie partii politycznych: musimy scalać, bo taka jest potrzeba, państwo nie może być rozczłonkowane. Natomiast gdy idzie o kreowanie polityki wobec mniejszości, tu wizje się rozchodziły. To był osobny problem: jak zintegrować z państwem polskim skonfliktowane z nim mniejszości.

Jak chciano to rozwiązać?

W latach 1918-20 siłą rzeczy koncentrowano się na wojnach o granice, które zresztą aż do 1923 r. nie były zaakceptowane przez mocarstwa koalicyjne, a to one były wtedy czynnikiem decydującym na arenie międzynarodowej. Pozyskiwanie mniejszości narodowych mogło zacząć się dopiero po ustabilizowaniu granic. Problem w tym, że polska polityka wobec mniejszości zamieszkujących wschodnią część kraju nie była spójna – i to niezależnie od tego, kto akurat rządził. Z jednej strony chciano wzmocnić polski element, co antagonizowało zwłaszcza Ukraińców. Bywało, że chłopci ukraińscy i białoruscy nie byli dyskryminowani w dostępie do ziemi z parcelowanych majątków, ale bywało, i to częściej, że faworyzowani byli Polacy. Wśród Ukraińców i Białorusinów powszechne było przekonanie, że nie są oni traktowani jako pełnoprawni obywatele RP, lecz jako obywatele drugiej kategorii.

Jednak w przypadku Ukraińców wiele ich środowisk politycznych było wręcz zainteresowanych konfliktem.

Partie nacjonalistyczne, zwłaszcza ukraińskie, znakomicie to wykorzystywały i jeszcze podgrzewały tę sytuację, ➔

Tak – i to bardzo poważne. Dlatego w pierwszym okresie budowy państwa zdecydowano się zachować niektóre odrębności, nie tylko ze względów praktycznych, ale też ze względu na oczekiwania mieszkańców. Rzeka Wisła, która w swym południowym biegu tworzyła granicę między Kongresówką i Galicją, jeszcze przez długie lata w świadomości mieszkańców pozostawała granicą. Mieszkańcy Królestwa mówili o mieszkańcach zaboru austriackiego „galicjoki”, a ci o rodakach z północy po prostu „moskale”. Z kolei o mieszkańcach zaboru pruskiego często mówiono „ci wykształceni”. Albo: „krzyżacy”.

Jak funkcjonowało to w praktyce?

Przykładowo, mieszkańcy dawnego zaboru pruskiego wymusili na rządzie w Warszawie zachowanie odmienności: powstało Ministerstwo Byłej Dzielnic Pruskiej. Przez jakiś czas istniała nawet granica celna między dawnym zaborem pruskim i resztą Polski. Różnice, chwilami przybierające postać separatyzmów, były problemem również w armii. Na porządku dziennym były napięcia między oficerami pochodzącymi z różnych dzielnic. Z drugiej strony wspólna

→ organizując zamachy na funkcjonariuszy instytucji państwowych, traktując ich jak okupantów. Jednocześnie taka polityka Rzeczypospolitej ułatwiała aktywność formacji nacjonalistycznych.

Z kolei odrębnym problemem był konflikt z mniejszością żydowską, w 1939 r. liczącą ponad 3 mln obywateli. Z jednej strony popierano żydowską emigrację, a z drugiej wspierano asymilację. Jeszcze inne polskie środowiska polityczne uważały, że z Żydami należy prowadzić wojnę kulturową i ekonomiczną. Stworzenia spójnej strategii integracyjnej – takiej na lata, którą kolejne rządy uznawałyby za właściwą i wartą kontynuowania – nie ułatwiały ostre podziały polityczno-partyjne i częste zmiany rządów.

Po 1918 r. Polska była państwem wielu religii. Różnice religijne pogłębiały podziały czy pomagały w „sklejaniu” państwa?

Konstytucja z 1921 r. gwarantowała wszystkim obywatelom równość, niezależnie od wyznania. Ale w praktyce było różnie. Konkordat z 1925 r. stawiał na uprzywilejowanej pozycji Kościoła rzymskokatolickiego. Zdaniem stronnictw narodowych i chrześcijańskiej demokracji Kościół miał być instytucją cementującą Polaków. Wizja Polaka jako rzymskiego katolika była w środowiskach centrowych powszechna – i przyniosła również i takie efekty, że polskość utożsamiano powszechnie z rzymskim katolicyzmem.

Z kolei polityka Cerkwi greckokatolickiej była odmienna od marzeń politycznych Warszawy, gdyż stała się oparciem dla silnych dążeń Ukraińców do stworzenia w Galicji własnego państwa. Duchowni unicy zwykle wspierali i głosili pogląd, że Polska okupuje ziemie ukraińskie. A skoro tak, to Cerkiew unicka może błogosławić tych, którzy walczą z okupantami. Z kolei Kościół ewangelicki/luterański starał się o zachowanie związku z Niemcami.

Natomiast stanowisko Żydów było niezmienne: prawie pełna jedność między wyznaniem i tożsamością narodową. Nawet jeśli ktoś spośród Żydów praktykował nieregularnie lub dystansował się od synagogi, to uważał się za Żyda w tym

sensie, że mentalnie przynależał do wspólnoty żydowskiej. Aczkolwiek byli również i tacy wyznawcy religii mojżeszowej, którzy nie uważali się za Żydów, lecz za Polaków. Według szacunków z 1939 r. było ich niemało, bo nawet do 400 tys. Oznacza to, że ponad jeden procent ludności Polski stanowili wyznawcy religii mojżeszowej uważający się za Polaków.

Dawny zabór austriacki dzielono na Galicję Zachodnią i Galicję Wschodnią. To była całość czy dwie różne dzielnice?

Choć podział na wschodnią i zachodnią Galicję był nieformalny i choć istniał dopiero od połowy XIX w., to zakorzenił się mocno w powszechnej świadomości. Dlatego pod koniec I wojny światowej władze austriackie były gotowe na wyodrębnienie „ukraińskiego kraju koronnego” – jak nazywali go Ukraińcy – czyli Galicji Wschodniej po San, ze Lwowem jako stolicą. Traktaty brzeskie z początku 1918 r. [kończące wojnę na froncie wschodnim, podpisane przez Niemcy i Austro-Węgry z Rosją oraz z powstającym państwem ukraińskim – red.] dawały taką perspektywę Ukraińcom. Choć Wiedeń anulował później traktat brzeski z Ukraińską Republiką Ludową, to w świadomości elit ukraińskich utwierdził przekonanie, iż Galicja Wschodnia – jako odrębny byt z przewagą ludności ukraińskiej i Cerkwi unickiej – powinna być odrębnym krajem koronnym, a w przyszłości niepodległą republiką.

Ten konflikt – między oczekiwaniami Polaków i Ukraińców – był w II RP chyba nie do rozwiązania?

Jeśli chodzi o przynależność państwową Galicji Wschodniej, w II RP nie było różnic między polską lewicą i prawicą. Choć Ukraińcy byli tam większością, po stronie polskiej powszechnie uważano, że cała Galicja musi być w granicach polskiego państwa, gdyż Polacy mają przewagę kulturalną i cywilizacyjną, a w niektórych powiatach Galicji Wschodniej także bezwzględną większość. Co najwyżej polscy politycy wspominali o szerokim samorządzie województw południowo-wschodnich. Socjaliści z PPS rozważali też auto-

nomię. W 1919 r., gdy trwała wojna polsko-ukraińska, alianci sugerowali podział Galicji Wschodniej: dwie trzecie jej ziem miałyby przypaść Zachodnioukraińskiej Republice Ludowej (ZURL), a jedna trzecia – ze Lwowem i roponośnym Boryslawem – Polsce. Ale ani Polacy, ani Ukraińcy nie byli tym zainteresowani. Jedni i drudzy chcieli posiadać całe sporne terytorium.

Zaczęliśmy od bilansu otwarcia. Minęło 20 lat. Czy w 1939 r. II RP była już państwem jednolitym?

Jeśli chodzi o wysiłki modernizacyjne, tych 20 lat było skutecznym okresem. Wspólne były kodeksy prawne, waluta, jednostki terytorialne, sprawdziło się w praktyce dobre prawo samorządowe: to wszystko powodowało, że podstawowe struktury państwa były jednolite i dobrze funkcjonowały. Także inwestycje, zwłaszcza w koleje, ułatwiły komunikowanie się dzielnic i ich mieszkańców.

Natomiast najtrudniejsze do zmiany były różnice w ludzkich głowach, w świadomości i mentalności. Tego nie udało się dokonać w dwie dekady, aczkolwiek przyspieszyły procesy narodowe. Polskojęzyczni mieszkańcy stali się Polakami. Natomiast nie powiodło się przekonanie mniejszości, zwłaszcza Ukraińców, że Polska jest ich ojczyzną. Jeśli chodzi o modernizację i ujednolicanie państwa, można więc mówić o wielu pozytywnych efektach. Za to w relacjach z mniejszościami Polska poniosła porażkę.

Podsumowując: w kwestiach prawnych, organizacyjnych, w edukacji – w tym „sklejaniu” państwa – Polska uczyniła wiele dobrego. Ale jeśli idzie o myślenie pojedynczych ludzi, zabrakło czasu i wytrwałości. ©

Rozmawiał KRZYSZTOF PIĘCIAK

PROF. ANDRZEJ CHWALBA (ur. 1949) jest historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor wielu książek, m.in. „Józef Piłsudski – historyk wojskowości”, „Polacy w służbie Moskali”, „Kraków w latach 1939–1945”, „Kraków w latach 1945–1989”, „Samobójstwo Europy. Wielka Wojna 1914–1918”. W tym roku ukazały się dwie jego najnowsze książki: „Legiony Polskie 1914–1918” oraz „Wielka Wojna Polaków”.



Międzynarodowe Targi Poznańskie



POLAGRA



BUDMA

**NAJLEPSZE
WYDARZENIA
I TARGI W SWOICH
BRANŻACH**



ITM POLSKA



MOTOR SHOW



CAVALIADA

**PRAWDZIWE
EMOCJE**

**PRAWDZIWE
SPOTKANIA**



POZNAŃ GAME ARENA



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**

**Organizator głównych obchodów
100. rocznicy Powstania Wielkopolskiego**



**27 GRUDNIA
1918/2018**

**100.
ROZBUDOWA
WIELKOPOLSKIEGO**



27GRUDNIA.PL